

*Judith A. Lansdowne*

*Zauroczony książkę*

# 1

Przeciągły huk zagłuszył długą litanię przekleństw, które wyrwały się zza zaciśniętych warg Abbercombe'a, gdy trafiony piorunem konar runął pod nogi jego wierzchowca. Rasowy koń spłoszył się i stanął dęba. Jeździec uspokoił przerażone zwierzę, szczelniej otulił się płaszczem i pochylił głowę tak, by lodowaty strumień deszczówki spływał z ronda kapelusza wprost na grząski trakt Otóż i uroki angielskiej prowincji!... Szczęściem do oberży „Pod różą i koroną” została już tylko mila drogi!

Najgorsze, że nie całkiem jeszcze wydobrał po przeprawie przez kanał La Manche. Zwieńczone białymi grzywami wzburzone fale zmusiły go - nieszczęsną ofiarę morskiej choroby - do odbycia podróży na stojąco, a raczej na zwisająco przy relingu „Wędrownego sokoła”. Mimo to, gdy tylko wylądował w Portsmouth, bez zwłoki wyruszył do Londynu. Gdyby utrzymała się ładna pogoda, siedziałby teraz wygodnie przed kominkiem w salonie Fielding House, książęcej rezydencji przy Great Stanhope Street. Niestety, niebo spłatało paskudnego figła i musiał wlec się noga za nogą.

W młodych latach znał tę drogę na pamięć, każdą wyrwę i wszystkie wyboje. Przebyłby ją galopem i ani burza, ani zapadająca noc nie spowolniłyby jego tempa. Ale nie był już niedowarżonym młodzikiem i nade wszystko pragnął znaleźć się w ciepłym wnętrzu oberży. Zasiąść wygodnie z kieliszkiem brandy w garści... a Londyn niech sobie czeka do jutra!

Kiedy ujrzał wreszcie oberżę, zadziwiła go swymi rozmiarami. Pamiętał skromny zajazd z kilkoma pokoikami dla podróżnych. Teraz zaś miał przed sobą imponujący trzypiętrowy budynek z ogromnymi stajniami! Ledwie wjechał na dziedziniec, dwóch stajennych wyrosło jak spod ziemi i zaopiekowało się jego wierzchowcem. W strugach deszczu Abbercombe musiał wyminąć trzy karetki pocztowe, faeton i kabriolet, nim wreszcie dotarł do frontowych schodów.

Wszedłszy do ogólnej sali, zatrzymał się przy drzwiach, a w jego spojrzeniu błysnęło rozbawienie. Wziął się pod boki i spiesznie wbił wzrok w swe ubłocone buty, by nie ryknąć gromkim śmiechem. Ubawił go kontrast pomiędzy własnym opłakanym wyglądem a powierzchownością elegantów, którzy z kieliszkami w rękach obsiedli oba buchające ogniem kominiki i głośno gawędzili.

- Witamy „Pod różą i koroną”, milordzie. Czego sobie wielmożny pan winszuje?

Abbercombe podniósł wzrok i uśmiechnął się do okrągłutkiego jegomościa opasanego ogromnym białym fartuchem.

- Jezdem Bill Wentworth - oznajmił grubasek, obrzucając przybysza badawczym spojrzeniem. - Znaczy się oberżysta. Jak wielmożny pan chce się ogrzać przy ogniu, to z serca zapraszam. Ale ani izby, ani łóżka u nas nie uświadczą, za żadne pieniądze! Wszystkie pokoje zamówione od kilku tygodni, co do jednego. Jutro będzie tu mecz bokserski, to i kibiców się nazjeżdżało. - Rumianolicy oberżysta zamilkł na chwilę, odetchnął głęboko i podrapał się w kark. - Bez urazy, milordzie, ale coś mi się zdaje, że jużem gdzieś widział wielmożnego pana... Jakem tylko spojrział, myślę sobie: przecie on nie obcy!... Mam nazwisko na końcu języka... i ani rusz!...

- Ale pamięć, no, no! - Abbercombe uśmiechnął się od ucha do ucha, zdjął mokrusieńkie rękawice i wyciągnął zziębniętą rękę. - Miałeś najwyżej siedem lat, kiedyśmy się widzieli po raz ostatni... Wszyscy wołali wtedy na ciebie Willy, nie Bill. Przybyło ci od tego czasu wzrostu... i tuszy!

Brwi Billa Wentwortha podjechały w górę ze zdumienia. Ujął wyciągniętą dłoń i z natężeniem popatrzył w twarz podróżnego.

- A niechże mnie! - wykrzyknął wreszcie, puszcżając rękę niespodziewanego gościa. - Lord Warren! Ze też doczekałem tego dnia! Zapraszam, z całego serca zapraszam, panie markizie! Zara się znajdzie miejsce przy ogniu i coś mocniejszego do wypicia na mój koszt, ma się rozumieć! A może milord chciałby przenocować...? Po co ja głupi pytam? Kto w taki ziąb i pluchę nie chciałby przenocować?! Zara pošę dziewczę, to migiem prześcieli łóżko dla pana markiza... moje własne łóżko, milordzie! I wygrzeje szkandela. Molly! Molly!

- Z przyjemnością napiję się brandy i posiedzę przy kominku. Przyznam też, że wprost marzę o łóżku... ale nie mogę pozbawiać cię twego!

- Jak to nie?! Tatulo wciąż powtarzali: „Dla markiza Warrena zawsze się znajdzie u nas miejsce. W kajdanach czy bez kajdan jest pod tym dachem najmilej widziany, nigdy mu tutaj nie odmówią ani jadała, ani noclegu!”

- No, no... Czuję się doprawdy zażenowany, Willy... to znaczy Bill. Tylko, widzisz, nie jestem już markizem.

- Niech mnie wielmożny pan nazywa, jak mu wygodniej. A markiz czy nic markiz, to dla mnie bez różnicy, milordzie. Pokój czekał tu na wielmożnego pana od osiemdziesiątego dziewiątego roku... i wreszcie się doczekał!

- Dzięki! - uśmiechnął się zaskoczony serdecznym przyjęciem Abbercombe. - Bardzo ci jestem wdzięczny, Willy.

- Pewnie chciałby pan czym prędzej zrzucić z siebie to mokre odzienie, co? Chodźmy, milordzie! Sam dopilnuję, żeby wszystko było jak trza!

- Obawiam się, że nie mam ubrania na zmianę. Moje kufry zostały w Portsmouth, a to, co było w jukach, zamokło i ubło-ciło się tak samo jak to, co mam na grzbiecie.

- Furda! - uśmiechnął się szeroko oberżysta, kładąc rękę na ramieniu milorda i popychając go w kierunku schodów. - Cóż tam zawsze się znajdzie suchego i ciepłego, i wielmożny pan od razu się lepiej poczuje!

- Chciałbym o coś spytać, o wiele się pan nie obrazi, milordzie - niepewnie odezwał się Wentworth w jakiś czas póź-

njej. Osobiście asystował przy kąpieli, wytarł Abbercombe'a do sucha i pomógł mu się przyodziać. - Jak też wielmożny pan zgubił tego markiza?! Nie wiedziałem, że te dranie nawet i z tego mogą człeka wyzuć!

- Bo nie mogą - odparł Abbercombe, zawiązując pod szyją niebieską chustkę w groszki. - Tylko, widzisz, mój ojciec zmarł pięć lat temu, więc teraz ja jestem księciem. - Roześmiał się na widok zdumionej miny oberżysty. - Chyba nie stracisz do mnie sympatii, Willy, z powodu takiego głupstwa? Mam w Anglii niewielu przyjaciół i bardzo bym się zmartwił, gdyby jednego ubyło!

- Panie święty! - sapnął Wentworth. - Pomyśleć tylko, że ja tu stoję i przebieram prawdziwego księcia we własne gacie...

- Ano, przebierasz. A księżę jest ci za to cholernie wdzięczny. Brr! Czuję mróz w kościach, odkąd wszedłem na pokład „Sokoła”. A mokrzuteńki jestem od rana. Wyglądam doprawdy bardzo oryginalnie! Może zejdziemy na dół i rozgrzemy się brandy? Napijesz się ze mną, prawda?

- Napiję się z panem i za pańskie zdrowie, milordzie - przytaknął Willy, energicznie kiwając głową. - Niech mi ktoś spróbuje zabronić!

Co prawda Bryan Kettering nie był pierwszym, który dostrzegł powracającego do ogólnej izby z szynkwasem Abbercombe'a, ale pierwszy wybuchnął na jego widok gromkim śmiechem. A było co oglądać: księżę stapał w samych pończochach, w bryczesach stanowczo zbyt obszernych, ale za to za krótkich, w koszuli, w której zmieściłoby się dwóch takich jak on, oraz w brązowym wełnianym surducie ze zbyt długimi rękawami, które właśnie starał się podwinać!

Abbercombe spojrział w kierunku młodzieńca, zmrużył porozumiewawczo oko i uśmiechnął się od ucha do ucha, po czym potulnie ruszył za gospodarzem w stronę kominka, przy którym zwolniło się miejsce. Usadowił się tam wygodnie ze szklaneczką brandy w rękę. Wentworth skłonił się ceremonialnie, stuknął się szklaneczką z księciem i łyknąwszy zdrowo za jego pomyślność, pospieszył do pozostałych gości. Księżę tymczasem odchylił głowę na oparcie krzesła, wy-

ciągnął nogi przed siebie i w milczeniu wpatrywał się w ogień. Z nawyku rejestrował liczbę i wygląd obecnych, każdy ruch i każdy dźwięk. Nakazał sobie jednak zignorować otoczenie i pogрузzył się w rozmyślaniach.

- Co to za jeden? - z cicha spytał Kettering swych kompanów. - Jakiś pociotek Billa?

- Chyba nie - odparł lord Goddering między jednym a drugim łykiem ponczu. - Raczej jakiś szlachciura z tej okolicy.

- Skądże znowu! To przecież Francuz - włączył się do dyskusji John Westbury. - Nie widzieliście płaszcza, w którym przyjechał? Ostatni krzyk mody na kontynencie. Musiał kosztować ładny grosz!

- Myślisz, że to jeden z tych *aristo* czy jak ich tam nazywają? Zwiął spod gilotyny, i to z workiem pieniędzy? - Goddering uniósł monokl i przyjrzał się uważnie siedzącej przy ogniu postaci. - Nie wygląda mi na Francuza. Te jasne włosy i w ogóle...

- Stary... mógłby być moim ojcem - dodał Kettering. - Ale Westbury ma rację: nie wygląda na byle szlachciurę. Nawet w przydzwiewku Billa.

- Mnie tam nie obchodzi, co to za jeden - włączył się do konwersacji czwarty głos. - Ale chętnie bym się dowiedział, jak załatwił sobie nocleg, skoro Bill od rana odprawia każdego z kwitkiem, powtarzając, że nie ma gdzie szpilki wetknąć!

- Racja, Hastings! - Lord Goddering energicznie kiwnął głową. - Wszystkie pokoje od dawna zarezerwowane.

- Może i on zarezerwował - rzekł Kettering, wzruszając ramionami.

- I zjawia się bez zmiany garderoby, z pustymi rękami: Coś mi tu nie gra! - zaprotestował Hastings. - Spada jak z nieba bez lokaja, bez bagażu, a dałbym głowę, że i bez rezerwacji... a Bill daje mu własne ubranie i osobny pokój! To musi być nie byle kto!... Widzieliście, jaką Bill zrobił minę na jego widok? Jakby zobaczył ducha!

Abbercombe ocknął się z zamyślenia, odstawił kieliszek na pobliski stolik i wstał. Wetknął ręce w kieszenie spodni i ruszył po schodach na górę. Dotarła do niego ostatnia uwaga

Hastingsa; nie chcąc wywoływać jeszcze większej sensacji, postanowił położyć się do łóżka.

- Milordzie!... Wasza książęca mość! - dobiegło go gromkie wołanie Wentwortha, gdy był już na trzecim stopniu. - Co z obiadem?! Może podać do pokoju?

Abbercombe pokręcił głową odmownie i dalej wspinał się na poddasze.

- „Milordzie”? „Wasza książęca mość”? - zaszemrało kilka osób.

- Chodź no tu, Bill! - huknął lord Goddering, gdy tajemniczy przybysz zniknął już z oczu. - Jakiego to księcia gościsz pod swoim dachem?

Oberżysta spojrział na zwrócone ku niemu twarze.

- Ano - odparł z nutką wyzwania, przybierając dumną postawę - księcia Abbercombe'a we własnej osobie! Choć ostatnim razem, jakem go widział, nazywał się jeszcze markiz Warren. Wrócił wręście do kraju, a był już najwyższy czas, powiadam!

- Tam do diaska! - syknął Kettering. - Mój rodzic chyba dostanie apopleksji, jak o tym usłyszy! Abbercombe wrócił do Anglii?!

Na najwyższym piętrze, w położonej na tyłach domu czyściutkiej izdebce z widokiem na ogród, książę przeklinał własną głupotę. Przez długie lata trwał niezłomnie w postanowieniu, że jego noga nigdy nie postanie na angielskiej ziemi. I trwałby nadal, gdyby nie przyrzekł umierającej Celi, że zrobi wszystko, by ich córki dobrze wyszły za mąż i były w małżeństwie szczęśliwe. Nawet mu wtedy nie przyszło do głowy... co tam wtedy, w ogóle nic przyszło mu do głowy, zanim Amaryllis i Bethany nie poruszyły tej sprawy, że zachce im się znajomości (a nie daj Boże nawet ożenku) z angielskimi dżentelmenami! Ależ musiał mieć głupią minę, gdy zaczęły paplać o podróży do Anglii, o tamtejszym wielkim świecie i o podniecających urokach londyńskiego sezonu!

- Chyba nie mówicie tego poważnie?! - wyszeptał w osłupieniu. - Londyński sezon? Nie macie dość absztyfikantów na miejscu? Gdziekolwiek byśmy się obrócili, wszędzie tego

pełno pod nogami, zwłaszcza przez ostatni rok. Żaden z nich nie spodobał się wam na tyle, by za niego wyjść?

Ale słowo się rzekło. Obiecał Celii. Polecił więc przez swych londyńskich pełnomocników przygotować Fielding House na przybycie całej rodziny. Posunął się nawet do tego, że powiadomił brata o swym powrocie. Przez cały czas łudził się jednak, że coś uniemożliwi realizację tych zamierzeń. Niestety, nic nie pokrzyżowało ich planów i oto stąpa znów po angielskiej ziemi, czując się niewymownie głupio. Stał się przedmiotem ogólnego zainteresowania i kryje się teraz przed ciekawskimi na poddaszu oberży „Pod różą i koroną”. I marzy tylko o tym, żeby znaleźć się jak najdalej od Anglii. Wszystko jedno gdzie, byle nie tu!

Tego rodzaju pragnienia nigdy nie dręczyły panny Olivii Willburton-Smythe. Ta córka nieodrodnego (choć niestety najmłodszego) syna wielkiego rodu, siostra kapitana pierwszego pułku huzarów oraz wnuczka hrabiny całe życie spędziła na ojczystej ziemi. Nigdy jej nie kusiło, by opuścić Anglię choćby na krótko. Siedziała teraz w przytulnym salonie lady Jessiki Denbigh i spoglądała na panią domu z wymownym dąsem.

- W każdym razie ja nie chcę mieć nic do czynienia z tymi młodymi osobami! - oświadczyła z wojowniczym błyskiem w szmaragdowych oczach. - Wszyscy wiedzą, moja droga, że ich ojciec to odrażający łotr. A jabłko, jak to mówią, niedaleko pada od jabłoni!

Lady Jessica westchnęła. Wiedziała, że nie powinna wspominać przyjaciółce o liście Abbercombe'a, ale zwierzenie się Olivii weszło jej już w nałóg.

-Ja... widzisz... ja muszę mieć z nimi do czynienia. W końcu to moje bratanice.

- Sebastian nie ma prawa wymagać od ciebie takich ofiar, moja droga! - stwierdziła stanowczo Olivia. - Z pewnością w żadnym porządnym domu nie będą przyjmować tych... panienek! Jeśli się w to zaangażujesz, narazisz tylko na szwank własną reputację. A Sebastian? Ubiega się przecież o miejsce



w parlamencie. Zadawanie się z kimś takim jak Abbercombe może mu poważnie zaszkodzić!

- Ależ Abbercombe to jego brat! Przyrodni brat. Sebastian nie może odwrócić się do niego plecami. I... i wcale tego nie chce!

Panna Willburton-Smythe z wyraźną konsternacją potrząsnęła ciemnymi lokami i podniosła do ust filiżankę z kruchej porcelany.

- Za żadne skarby nie chciałabym znaleźć się w twojej skórze, Jessico! Powiadają, że Abbercombe to diabeł wcielony!... Że też ma czelność żądać od ciebie, byś wprowadziła jego córki w wielki świat!

- Ależ on wcale tego nie żąda! - spiesznie zaprzeczyła lady Denbigh. - Choć nie pojmuję, jak zamierza wprowadzić je na londyńskie salony z pominięciem tradycyjnych zasad... Z krewnych Celi nikt już nie pozostał przy życiu... i doprawdy nie widzę nikogo, kto mógłby wyświadczyć jego córkom podobną przysługę... oprócz mnie, oczywiście.

- Ależ, Jessico! Jeśli spróbujesz wprowadzić córki Abbercombe'a do towarzystwa, z pewnością stracisz reputację! Musisz porozmawiać z Sebastianem. Nie może żądać od ciebie takiego poświęcenia!

W istocie lady Denbigh odbyła już długą dyskusję na ten temat. Mąż oczekiwał od niej lojalności względem jego bratanic... i jego brata.

- Nie zapominaj, Jess - mówił niewzruszonym tonem - że byłoby z nami marnie, gdyby po śmierci ojca Cash nie pospieszył nam z pomocą. A poza tym to mój brat, z którym nie spotykałem się od dwudziestu dwu lat. A jego dzieci w ogóle nie widziałem! Nie będę trzymał się od nich z daleka z obawy przed gniewem kapryśnych starych plotkar i bandy intrygantów!

Olivia dostrzegła lęk na ślicznej buzi przyjaciółki, gdy ta w milczeniu rozważała słowa męża, i pożałowała swojej porywczości. Widziała wyraźnie, że jej reakcja na wieść o przybyciu Abbercombe'a zaniepokoiła Jessicę.

- No, no, Jess! Nie przejmuj się aż tak moją paplaniną! - rzuciła, ukazując w uśmiechu czarujący dołeczek. - Dobrze

wiesz, jaki ze mnie raptus: powiem coś bez namysłu, a potem żałuję. Bez wątpienia to jedna z przyczyn mego staropanieństwa!

- Nie opowiadaj takich rzeczy, Olivio! W każdej chwili mogłabyś wyjść za mąż - zaprotestowała lady Denbigh. Jej smutne brązowe oczy szukały pociechy w oczach przyjaciółki. - Po prostu nie spotkałaś jeszcze tego, kogo ci los przeznaczył.

- Dożyłam trzydziestu jeden lat i ten ktoś jakoś się nie pokazał - odparła z uśmiechem Olivia. - Według mnie to najlepszy dowód, że jestem urodzoną starą panną, moja droga! Ale dość o mnie. Lord Sebastian wymógł na tobie przyrzeczenie, że zajmiesz się tymi dziewczętami, nieprawdaż?

- Tak... I miał całkowitą słuszność! To przecież nasza rodzina. A poza tym Abbercombe był dla nas wyjątkowo szczodry. Wyobraź sobie, kupił nam ten dom, ponieważ nie mogłam wytrzymać w tamtej okropnej mieścinie w Yorkshire... I pozwala nam korzystać z jego posiadłości w Somerset. To byłaby czarna niewdzięczność, gdybyśmy się teraz odwrócili od niego albo od jego dzieci!... Powiedz mi, Olivio - spytała niemal z płaczem - czy ty wiesz, za co Abbercombe został skazany na deportację?

- A ty tego nie wiesz? - zdumiała się panna Willburton-Smythe.

- Nie... Wiem tylko tyle, że to było coś okropnego! Ale co, tego nie wie nawet Sebastian. Miał wtedy dziesięć lat i nikt mu nie wyjaśnił, co się stało. A potem ojciec zabronił nawet wymieniać imię Casha!

- I nigdy twemu mężowi nie przyszło do głowy, że mógłby spytać o to brata?

- Chyba nie chciał sprawić mu przykrości... Zresztą, o ile wiem, wymienili listy tylko trzykrotnie: po śmierci Celi, po śmierci ich ojca i teraz, gdy Cash powiadomił nas o zamierzonym powrocie do Londynu. Przedtem nie mieliśmy pojęcia, że on ma córki... Nadal nie wiemy, w jakim są wieku... ale młodsza musi mieć co najmniej siedemnaście, prawda? Nawet Abbercombe nie wprowadziłyby na salony młodszej dziewczynki! To byłoby sprzeczne z wszelkimi zasadami!

- Przecież całe jego zachowanie jest sprzeczne z wszelkimi zasadami! - zauważyła Olivia. - Może mu nawet nie przyszło do głowy, że wiek dziewcząt ma jakieś znaczenie... Wiesz, Jess, dochodzę do wniosku, że myliłam się. Powinnaś zawrzeć znajomość z tymi dziewczętami. Nie tylko dlatego, że twój mąż na to nalega. Pomyśl, jakie ciężkie życie mają te biedactwa... skazane na codzienne kontakty z potworem!... Pomyśl, jak łakną miłości, zrozumienia... Celia nie żyje już od sześciu lat, nieprawdaz...? A one muszą samotnie stawiać czoła wcielonemu diabłu!... Tak, jestem pewna, że obie powinnyśmy zapoznać się z nimi. Karać niewinne dzieci za grzechy ojców to krzyżująca niesprawiedliwość! Powinniśmy przynajmniej przyjrzeć się im.

Oczy lady Denbigh poweselały i zapłonęły wdzięcznością.

- Chcesz zrobić to dla mnie, Olivio? - wyszeptła. - Przecież i twoja reputacja może ucierpieć! Nigdy na to nie pozwolę!

- Moja reputacja jest niezniszczalna - odparowała jej przyjaciółka. - Londyn zna mnie od wieków... Nigdy z moim imieniem nie wiązała się żadna plotka, żaden skandal mnie się nie imał. Wielki świat nie może się mnie pozbyć, choćby nawet chciał... a ja po raz pierwszy zamierzam z tego skorzystać.

- Olivio... nie odpowiedziałas na moje pytanie. Co takiego zrobił Abbercombe? Za co go zakuli w kajdany i skazali na deportację?

Szmaragdowe oczy panny Willburton-Smythe błysnęły gniewnie.

-Zatłukł kogoś na śmierć... w jakiejś podejrzanej speluncie. Chyba w Seven Dials.

- Och!... - jęknęła lady Jessica i cała krew odpłynęła jej z twarzy.

Następnego dnia po południu Dawson, nowy majordomus księcia Abbercombe'a, odetchnął głęboko, wyprostował się, uniósł dumnie głowę i opuścił nieco powieki. Miał nadzieję, że dzięki temu zyska wygląd osoby kompetentnej, a zarazem imponującej. Powód wszystkich tych starań zajechał właśnie przed frontowe drzwi, zsiadłszy z konia, powierzył go czekającemu stajennemu, po czym popędził po marmurowych

schodach w stronę majordoma. Widząc wyciągniętą ku niemu prawicę w rękawiczce z kozłej skórki, zgięty w ukłonie Dawson skamieniał na sekundę, po czym również wyciągnął rękę.

Książę pochwycił ją i mocno uściśnął.

- Anthony Dawson, nieprawdaż? - odezwał się łagodnym, niskim głosem. - Szkoda wielka, że nie ma nikogo, kto by dokonał prezentacji! Lowery jedzie z tyłu, przy powozach. Nie mogłem zostawić dzieci bez opieki.

- Oczywiście, wasza książęca mość. Czy książę pan życzy sobie poznać całą służbę?

Brwi Dawsona uniosły się na widok podróznego stroju przybysza, a raczej jego opłakanego stanu. Majordomus siłą woli zmusił brwi do powrotu na dawne miejsce.

- Od razu widać, że podróżowałem bez Fanninga, co? - spytał książę, z zainteresowaniem obserwując mimikę służącego. - A jeśli już o nim mowa, to gdzie się podziewa? Chyba zdążył dotrzeć?

- Tak jest, wasza książęca mość. Pan Fanning przybył tu w poniedziałek. W chwili obecnej nie ma go w rezydencji. Wyszedł, by dokonać jakichś zakupów dla waszej książęcej mości. - Dawson zamrugał nerwowo, ujrzawszy przed sobą (a raczej nad sobą) parę niebieskich oczu iskrzących się wesołością.

- Nie bądź takim ponurakiem, Dawson. Nie zamierzam pożreć cię na surowo!

Ściągnawszy rękawiczki, Abbercombe powierzył je pieczy majordoma razem z mocno sfatygowanym kapeluszem.

- Ze służbą zaznajomię się nieco później, kiedy zdołasz spędzić całe stadko. Wetknął nonszalancko szpicrutę za cholewkę i wkroczył do frontowego hallu. Jego delikatne rysy mogłyby wydać się komuś zniewieściałe, ratowała je od takich podejrzeń szrama pod okiem (pamiątka po pojedynku) i złamany dwukrotnie nos. Pełna wdzięku postawa, atletyczna sylwetka - wszystko to pasowało raczej do młodzieńca niż do mężczyzny w średnim wieku. Podobnie jak ruchy pełne werwy.

- Chciałbym najpierw zamienić kilka słów z tobą, Dawson, i z gospodynią, jeśli to możliwe. Może byś po nią poszedł

i sprowadził ją do biblioteki? Ałe najpierw przypomnij mi, jak tam trafić. Nie byłem w tym domu ponad dwadzieścia lat... a i przedtem rzadko tu zaglądałem.

Majordomus ruszył przodem po spiralnych, przykrytych chodnikiem schodach, a następnie korytarzem prowadzącym do centralnej części domu. Na koniec otworzył drzwi ciemnego pokoju, którego ściany pokrywały półki z książkami. Z ukłonem odsunął się na bok, przepuszczając swego chlebobawcę. Abbercombe niespiesznym krokiem wszedł do biblioteki.

- A przy okazji... jak się nazywa nasza gospodyni? Obawiam się, że Lowery zapomniał mnie poinformować.

- Pani Griffin, wasza książęca mość.

- Dziękuję. A teraz idź po nią!

Po kilku minutach Dawson powrócił w towarzystwie pulchnej starszej pani, wyraźnie zdenerwowanej. Abbercombe powitał ją uśmiechem, który instynktownie odwzajemniła, i namówił, by usiadła na krzesło z różanego drewna. Skłonił również Dawsona do zajęcia miejsca. Potem przyciągnął krzesło dla siebie, obrócił je oparciem do służących i usiadł na nim okrakiem. Brwi majordoma znów poszybowały w górę na znak dezaprobaty.

- Wiesz co, Dawson? Uzbrój się lepiej w cierpliwość - zaśmiał się książę. - Jeśli będziesz unosił brwi za każdym razem, gdy zrobię coś twoim zdaniem niestosownego, to nigdy się nie uspokoją!

- Tak jest, wasza książęca mość... To znaczy, nie... a właściwie tak, wasza książęca mość.

- Naprawdę nie zamierzam cię prowokować. Po prostu nie należę do tych arystokratów, z jakimi miałeś dotąd do czynienia. Z początku będzie ci trudno, potem się przyzwyczaisz. Mam nadzieję, pani Griffin, że Lowery albo Holt poinformowali panią, że prócz mnie będą tu mieszkały moje dzieci?

- Tak jest, wasza książęca mość - odparła gospodyni. Jej szare oczy spoglądały na księcia z wyrazem oczekiwania. - Pan Lowery Dowiedział, że książę pan będzie tu mieszkał razem z dziećmi

- Ale czy opowiedział pani wystarczająco dużo, by była pani świadoma, jaki kłopot bierze sobie na głowę?

- Słucham, wasza książęca mość? - Brwi pani Griffin uniosły się ku górze podobnie jak u majordoma.

- Więc nie opowiedział? Tak też myślałem. Dzieciarnia w domu nie będzie pani przeszkadzać?

- Bynajmniej, wasza książęca mość. Mam słabość do dzieci.

- A ty, Dawson? Czy chmara wszędobylskich bachorów nie doprowadzi cię do szału? Wszystkie są dobrze wychowane, słowo daję, ale nie brak im ani energii, ani pomysłowości przy jej wyładowywaniu.

- Nie przewiduję żadnych problemów, wasza książęca mość.

Abbercombe roześmiał się. Pani Griffin odniosła wrażenie, że w dusznym starym pokoju pojaśniało i zrobiło się niemal przytulnie.

- Zawsze w domu milej, kiedy są dzieci - powiedziała z uśmiechem.

- No tak... ale ich jest ośmioro! - Książę uśmiechnął się szeroko. - I potrafią być wszędzie jednocześnie.

Gospodyni zaparło dech.

- Ośmioro, milordzie?! Boże święty! A ja kazałam przygotować tylko cztery pokoje!

- I w porządku! Od urodzenia każda para bliźniaków ma własny pokój. I nadal tak będzie. Jest pani pewna, że ośmioro dzieci to nie za wiele dla pani? Nieraz na samą wieść o tym kandydatki na gospodynie rezygnowały z pracy.

- Nie jestem z tych bojących, wasza książęca mość.

- A ty, Dawson? Czy mogę liczyć na to, że i ty zostaniesz?

- Jak najbardziej, wasza książęca mość - przytaknął nieulekły majordomus.

Następnego dnia późnym popołudniem przed Fielding House zajechały cztery powozy. Na frontowym dziedzińcu aż się zakłębiło. Z trudem zmusiwszy się do zachowania spokoju, Dawson wysłał wszystkich dziesięciu lokajów do pomocy przy wyładowywaniu bagażu.

- Nie wpadaj w panikę, Dawson - mruknął książę, podchodząc do majordoma. - W pierwszej chwili rzeczywiście można się przestraszyć, ale szybko się do nich przyzwyczaisz!

- Tatusiu! - rozległ się słodki, ale donośny głos i młoda da-

ma odziana w wytworny kostium prosto z Paryża wbiegła po schodach i rzuciła się księciu w ramiona. Ze swymi złocistymi lokami i błękitnymi oczyma była uosobieniem czarownej młodości. Abbercombe uniósł ją i okręcił w koło. Ledwie postawił na ziemi tę cudowną istotę, a już jej kopia, odziana w równie twarzowy strój podróży, rzuciła mu się na szyję z takim samym zapałem. Ją również książę objął z całej siły i zakręcił nią w powietrzu.

Tuż za pięknością numer dwa z powozów wypadła czwórka zdumiewająco podobnych do siebie dzieci i popędziła na łeb na szyję po schodach, wrzeszcząc na całe gardło. Gromko wyrażali swe oburzenie, że tata na nich nie zaczekał, tylko pojechał przodem, i że w ogóle od początku podróży do Anglii prawie go nie widzieli. Najgłośniejszą jednak zabrzmiała oświadczenie: Tatusiu, jeść! Jesteśmy okropnie głodni!

Abbercombe po kolei brał na ręce każde z dzieci, obdarzał całusem i podrzucał do góry. Ledwie jednak zapędził rozchichotaną czwórkę do hallu, dopadło go dwóch smukłych wyrostków i zamknęło w niedźwiedzim uścisku.

- Coś mi się zdaje, Dawson, że najlepiej będzie posłać po panią Griffin - powiedział książę z szerokim uśmiechem, wyzwoliwszy się z objąć ostatniej pary bliźniaków. - Jak tylko dzieci dowiedzą się, gdzie która para mieszka, zaraz się tam po swojemu urządzą.

Resztę popołudnia i wieczór Abbercombe spędził bardzo aktywnie. Odbył konferencję ze swymi doradcami prawnymi. Ustalił kryteria wyboru guwernantki, guwernera oraz dwóch pokojówek, które należało jeszcze zatrudnić. Wziął też udział w pierwszym rodzinnym obiedzie podanym w niezwykle wytwornej jadalni. Uczestniczyły w nim wszystkie jego pociechy, pozerając z zapałem sześć dań głównych oraz cztery dodatkowe. Po posiłku, schroniwszy się w zaciszu gabinetu, książę wypalił cygaro, sącząc maderę i czytając *Post*. Potem ucałował na dobranoc czwórkę najmłodszych dzieci i osobiście otulił kołderką każde z nich.

Teraz zaś stał przed lustrem w garderobie i mierzył spojrzeniem nowy surdut, zakupiony przez osobistego lokaja.

- To najnowszy fason, wasza książęca mość. Innych się nie nosi, przysięgam! - przekonywał Fanning, nerwowo przegarniając włosy ręką.

- Może to i dobre... dla dwudziestoletnich frantów, mój Robinie!

- Londyn to nie Paryż, milordzie.

- Istotnie. Ani Paryż, ani Wiedeń, ani Sankt Petersburg... Ale to jeszcze nie powód, żebym miał się mordować w tym kaftanie bezpieczeństwa! Do wszystkich diabłów, Robinie, ściągnij to ze mnie natychmiast! Sam nie dam rady!

- Nie, wasza książęca mość. Mowy nie ma!

Abbercombe odwrócił się od lustra i spiorunował lokaja wzrokiem.

Ten zaś skrzyżował ramiona na piersi z niewzruszoną miną. Kłócili się z Rudolphem Casimirem Denbighem, dyskutowali, wymieniali poglądy na temat mody już od dwudziestu pięciu lat. O, nie, Fanning ani myślał kapitulować!

- Nie ma najmniejszego powodu, aby zdejmować surdut, chyba że wasza książęca mość rozmyślił się i zamierza spędzić wieczór w domu. Książę pan jest ubrany bez zarzutu. Prawdziwy wzór męskiej urody i elegancji w stylu brytyjskim.

- Nie zamierzam służyć za wzór urody i elegancji, psia-krew! Chcę mieć na sobie wygodne ubranie!

- To jest zupełnie wygodne, milordzie. Wasza książęca mość ma, niestety, szczególne upodobanie do strojów całkiem *passe*, żeby nie powiedzieć... nienadających się do noszenia.

- Nie gadaj głupstw, Robinie! Nie rozumiesz, że w tym czymś mam unieruchomione ręce?! Nawet krew nie może w nich krążyć!

- Za pozwoleniem waszej książęcej mości, co najmniej stu dżentelmenów dałoby nie wiem co za taki szyk... A pan mi tu o krążeniu krwi, milordzie!

- Niech cię wszyscy diabli, Robinie! Na całym świecie nie ma drugiego takiego uparciucha!

- Doprawdy, wasza książęca mość?

- Doprawdy. Nie podtykaj mi tego kapelusza! I tak nie



mógłbym go włożyć ani zdjąć. Tej idiotycznej laski też nie wezmę. Najlepiej pozbadź się tego paskudztwa!

- Tak jest, wasza książęca mość. - Fanning uśmiechnął się. Wygrawszy bitwę o surdut, z przyjemnością ustąpił w sprawie kapelusza i laski. - Czy wolno spytać, dokąd się książę pan udaje?

- Do diabła! - odburknął Abbercombe, przypasując doskonale wyważoną szablę. - W tym rzecz, że nic wiem, gdzie szukać odpowiedniego piekiełka. Ale w końcu je znajdę, możesz być pewien. Powiedz Dawsonowi, by zostawił dla mnie świeczkę w hallu, dobrze? Nie zamierzam wracać przed świtem.

- Tak jest, wasza książęca mość. Przekażę Dawsonowi życzenie księcia pana.

## 2

Jack Sloan wpatrywał się w dżentelmena z popielatoblond grzywą opadającą na czoło. W jego twarzy było coś znajomego... nieuchwytnie, irytująco znajomego... Do uświęconych przybytków słynnego klubu White'a wstęp mieli wyłącznie członkowie oraz ich goście. A portier Jack Sloan - cerber strzegący tych wrót - szczylił się tym, że zna z gęby wszystkich członków klubu, co do jednego.

- Najmocniej przepraszam, ale... - zaczął, a na ustach nieznajomego pojawił się uśmiech rezygnacji.

- W porządku, Jack. Nie zamierzam się tu wdierać. Pomyślałem tylko, że zasięgnę u ciebie języka, gdzie mógłbym sobie pograć. Nie musi to być porządny lokal... byle mnie tam wpuścili.

Na dźwięk miękkiego głosu niepewność na twarzy Sloane'a ustąpiła miejsca zdumieniu.

- Rany boskie! - wykrzyknął i chwyciwszy jasnowłosego dżentelmena za rękę, uścisnął ją z całej siły. - Nie myślałem, że

dożyję tego dnia! Witaj w Anglii, milordzie!... chciałem powiedzieć: wasza książęca mość! Cieszę się jak głupi z tego spotkania!

- Ja też, Jack. Możesz mi poradzić, dokąd iść?

- A jakże, wasza książęca mość: w te drzwi i na prawo.

- Nie, nie! Tutaj nie mogę.

- Może pan, milordzie! Jest pan nadal członkiem klubu. Nie skreślili pańskiego nazwiska, mógłbym przysiąc! Proszę wejść, milordzie, wszyscy się ucieszą!

Książę wysunął rękę z mocnego uścisku portiera.

- Może innym razem, Jack, jeśli starczy mi odwagi. Teraz szukam jakiejś dziury, w której nikt mnie nie rozpozna.

Sloan wymienił kilka domów gry i wyjaśnił, jak do nich dotrzeć.

- To on! - syknął Kettering, ciągnąc brata za ramię; zbliżali się już do White'a.

- Kto taki?

- No, on! Abbercombe!

- Niemożliwe - wymamrotał wicehrabia Harcourt, mierząc wzrokiem dżentelmena rozmawiającego z portierem. - Abbercombe ma tyle lat, co nasz ojciec... albo i więcej!

- Mówię ci, że to on! - upierał się Kettering. - Słowo honoru, Davey!

Książę podziękował Sloanowi za pomoc i ruszył przed siebie. Przezornie zachowując dystans, bracia podążyli za nim aż do spelunki na Pickering Place. Abbercombe zabawił w tym przybytku hazardu dwie godziny i rozbił bank, wzbogacając się o dwadzieścia kilka tysięcy funtów.

- Nie pojmuję, jak on to robi! - szepnął Kettering. - Wiadać ma diabelski fart!

- To nie fart, Bry! Facet ma smykałkę i zręczną rękę do kart i kości. Drugi raz już go tu nie wpuszczą. - Wicehrabia uregulował należność i obaj bracia opuścili lokal.

Przeszli za księciem trzy ulice, zanim Abbercombe zatrzymał się, odwrócił do nich i z ręką na rękojeści szabli powiedział cicho:

- Nie jesteście parą złodziejasków, bo nie wykorzystaliście żadnej okazji do rabunku... a mieliście ich sporo! Może

więc któryś z was oświeci mnie, po jaką cholerę lezicie za mną aż od White'a?

Młodzi dżentelmeni wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- No, jazda! - ponaglił ich Abbercombe. - Gadajcie, bo będę zmuszony zrobić użytek z broni... a byłaby wielka szkoda, nieprawdaż?

Harcort roześmiał się głośno.

- Ogromna szkoda, wasza książęca mość! Proszę o wybaczenie - dodał - ale mój młodszy braciszek uparł się zawrzeć znajomość z waszą książęcą mością. Ponieważ nie zdołałem mu tego wybić z głowy, dla świętego spokoju włóczę się z nim przez cały wieczór.

Bryan spojrzął wilkiem na Davida, po czym zwrócił oczy pełne adoracji na twarz zdumionego księcia.

- Czy to prawda? - spytał Abbercombe.

- Tak jest, milordzie. Postanowiłem zawrzeć znajomość z waszą książęcą mością, odkąd ujrzałem księcia w oberży „Pod różą i koroną”... tylko jakoś nie nadarzała się przyzwoita okazja...

Tym razem zaśmiał się Abbercombe; jego dłoń nadal jednak spoczywała na rękojeści szabli.

- W takim razie wykorzystaj nieprzyzwoitą okazję. Z kim mam przyjemność?

- Kettering, do usług waszej książęcej mości. Bryan Kettering. A to mój brat, wicehrabia Harcort.

- Co takiego?! Synowie hrabiego Stamforda?

- Tak jest, milordzie! - odparli zgodnym chórem.

Abbercombe puścił rękojeść szabli.

- Nie powinniście rwać się do znajomości ze mną. Gdyby wasz ojciec dowiedział się o tym, żywcem obdarłby was ze skóry!

Harcort wyciągnął rękę.

- Od razu widać, że znasz naszego rodzica, milordzie! Nie uściśnię mi wasza książęca mość ręki?

- Lepiej nie - odparł książę z krzywym uśmieszkiem. - Na pewno byś tego żałował. Czyżby ojciec nie ostrzegł was przede mną? A może wieść o moim powrocie jeszcze do niego nie dotarła?

- O, wie o tym doskonale! - zapewnił Kettering. - Sam go o tym poinformowałem po powrocie do Londynu. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby się aż tak wściekał!

- Tym bardziej nie należy szukać ze mną znajomości.

- Ależ, milordzie! Człowiek, który potrafi rozwścieczyć naszego ojca samym przyjazdem do Londynu, z pewnością wart jest poznania! Może by się wasza książęca mość napił z nami wina? Kilka kroków stąd jest oberża...

Abbercombe kiwnął głową na znak zgody.

- Zastanawialiśmy się właśnie - wyznał Harcourt - jak zdołałeś, milordzie, rozbić bank w tej speluncie. Większość tamtejszych kości obciążona jest ołowiem!

- Wszystkie kości są obciążone ołowiem - uściślił Abbercombe.

- Naprawdę...? A mimo to wasza książęca mość wygrał! - zdumiał się wicehrabia.

- Istotnie. Ale ja mam własne sposoby wyrównywania szans.

- Jakie? - Kettering nie mógł powstrzymać ciekawości.

Spojrzenie księcia przeniosło się na młodszego z braci.

- Naprawdę jesteś synem Stamforda? Nie sądziłem, że któryś z jego dzieciaków wie, jak się gra w kości... i w dodatku głowi się, jak rozbić bank w podejrzonej speluncie!

- Bryan zawsze był ciekawski, wasza książęca mość - wyjaśnił Harcourt, trąc brata łokciem w żebra. - A najbardziej korcą go sprawy, w które lepiej nie wtykać nosa.

Dotarli właśnie do oberży i Abbercombe przepuścił obu młodzieńców przed sobą. Braci aż замуrowało z wrażenia.

- Wolę nie mieć nikogo za plecami - wyjaśnił książę, sadowiąc się przy stole w najodleglejszym kącie. - Kto płaci? Wy czy ja? - spytał, widząc zbliżającego się szynkarza.

- Słucham, wasza książęca mość...? - Harcourt miał tak zdumioną minę, jakby książę posądził go o morderstwo lub o coś równie nieprawdopodobnego.

Abbercombe uśmiechnął się od ucha do ucha i kazał podać butelkę wina kanaryjskiego.

- Rozumiem: ja płacę - powiedział z wesołym błyskiem w oku. - Pewnie jeszcze nigdy nie piliście wina kanaryjskie-

go. Nie wypada domagać się od kogoś, by płacił za wino, które mu nie przypadnie do smaku!

Patrzył na obu braci znad kieliszka, gdy obaj niepewnie pociągnęli łyczek.

- Wyborne! - zawyrokował zdumiony Kettering.

Harcort potwierdził opinię brata skinieniem głowy i łyknął po raz drugi.

- No więc - spytał, wracając do poprzedniego tematu - jak można oszukać oszustów?

Księżę wychylił kielich do dna i znów go napełnił.

- Jest na to wiele sposobów. Na przykład, można przemycić własne kości.

Panna April Willburton-Smythe witała nowy świt, trzęsąc się z zimna. Włożyła najszykowniejszy płaszcz z grono-stajowym kołnierzem i dopasowany kapelusik, miała także rękawiczki z cieniutkiej kozłej skórki. A mimo to było jej zimno. Coraz zimniej! Łza spłynęła jej po twarzy, gdy nerwowo rozglądała się po ulicy. Geoffreya nadal nie było. Nie mogła w to uwierzyć. Był ucieleśnieniem jej nadziei i marzeń... a jednak pozostawił ją samą, by zamarzała na śmierć na rogu jakiejś okropnej ulicy!

- O, dobry Boże! - wyszeptała. - Błagam cię, dobry Boże, nie pozwól, by Geoffrey mnie porzucił! Zrób coś, żeby się jeszcze zjawił! Proszę cię, Boże...

Do uszu rozmodlonej panny dotarł stek przekleństw wypowiedzianych niskim głosem. W nocnej ciszy zabrzmiało to bardzo groźnie, toteż April cofnęła się pod ścianę najbliższego domu w nadziei, że nie zostanie tam dostrzeżona. Dżentelmen, który właśnie wyłonił się zza węgła, przeszedł koło dziewczyny, nie podnosząc nawet głowy. Właśnie za to dziękowała Bogu, gdy zawrócił nagle i zatrzymał się tuż przed nią.

- Nie bój się, malutka! - rzekł nieco przepitym głosem. - Mam trochę w czubie, bo od razu bym cię zauważył... Jakieś kłopoty? Może mógłbym w czymś pomóc?

April dobrze wiedziała, że nie należy rozmawiać z niezna-

jomymi, a tym bardziej z dżentelmenem, który klunie głośno, wędrując po Londynie przed świtem. Przygryzła wargę, modląc się w duchu, by odszedł czym prędzej.

- Masz ci los! - westchnął zawiany dżentelmen. - Przestraszyłem cię! Nie powinnaś o tej porze wystawać tu sama! - Jego spojrzenie padło na pudło od kapeluszy stojące na bruku, po czym wróciło znów do twarzy dziewczyny. - Nie stał się, co? Bardzo ci na nim zależy, *petite*? Nie lepiej wrócić do domu i udawać, że nic się nie stało?

Serdeczność, z jaką do niej przemawiał, sprawiła, że łzy znów zaczęły płynąć po zmarzniętych policzkach April. Mimo woli pociągnęła nosem. Usłyszała śmiech nieznajomego.

- To w...w...wcale nie jest z...z...zabawne! - oświadczyła z urazą. - S...stoję tu od drugiej i...i...

- Nie płacz, *ma petite* - szepnął. - Wszystko będzie dobrze! - To rzekłszy, przygarnął ją do piersi.

Kiedy April przestała wreszcie szlochać, popatrzyła w niebieskie oczy pełne współczucia. Uśmiech zrozumienia rozjaśnił twarz, która niegdyś musiała być wyjątkowo piękna. Jeden policzek szpeciła blizna (zapewne pamiątka po jakimś pojedynku). Linia nosa aż dwa razy zmieniała kierunek. Nieujarzmiona jasna grzywa opadała na czoło i bezczelnie wlażyła do uszu. April ponownie spojrzała nieznajomemu w oczy i spostrzegła, że skrzą się wesołością.

- No i jak wypadły oględziny, moja droga?

Panna Wilburton-Smythe uświadomiła sobie nagle, że tonie w męskich objęciach. Jęknęła i odskoczyła.

-Jeśli czekałaś na tym rogu od drugiej, malutka, to najwyższy czas wracać do domu.

-K...która jest t...teraz?

Dżentelmen wyjął zegarek z kieszeni kamizelki i spojrzał na tarczę, mrużąc oczy.

- Dochodzi czwarta.

April zaczęła szcząkać zębami.

-Tego już za wiele! -oświadczył z ponurą miną i zabrał się do rozpinania surduta. - Pomóż mi zrzucić z siebie to paskudztwo, moja droga! Chwyć mocno i ciągnij ze wszyst-

kich si! Uff! - Z wprawą świadcząca o długoletnim doświadczeniu nieznajomy narzucił surdut na plecy dziewczyny, a przyklękawszy na jedno kolano, wsunął jej ręce w rękawy surduta i zapiął go, jakby była małym brzdącem. - A teraz - powiedział, wstając i ujmując jej dłoń - dość tych głupstw! Podasz mi swój adres, a ja odprowadzę cię do domu. - Drugą ręką podniósł z bruku pudło.

- Nie m...m...mogę wrócić do d...domu! - wydukała April i znowu porwał ją płacz. -Ja... uciekałam, rozumie p...pan?

- Rozumiem. Chcieliście wziąć potajemny ślub, ale twojemu chłopakowi coś stanęło na przeszkodzie. Można wiedzieć, jak mu na imię?

- Geoffrey... - wyszeptała April.

- ...Geoffrey - kontynuował nieznajomy, ciągnąc ją za rękę - z pewnością nie życzyłby sobie, żebyś stała sama na rogu ulicy i zamarzała na śmierć. Bez wątpienia zamartwia się, czy coś ci się nie stało.

- Tak pan sądzi? - spytała dziewczyna z nadzieją w głosie.

-Jak najbardziej. Z pewnością zatrzymało go coś, na co nie miał wpływu; wobec tego musisz ująć sprawę w swoje ręce. Tutaj skręcamy?

April potulnie skinęła głową. Trochę się wreszcie rozgrzała, a mocny uścisk wielkiej ręki dawał jej poczucie bezpieczeństwa.

- Mieszkam trzy domy dalej. ...Ależ się ciocia Olivia będzie gniewać!...

- W takim razie lepiej, żeby się o niczym nie dowiedziała. O tej porze nie chodzi chyba po domu?

- No, nie... Ale jak zastukamy do drzwi, z pewnością usłysz)'.

- Zamknęłaś drzwi za sobą? I nie wzięłaś klucza?

- Nie wyszłam drzwiami, tylko przez okno i po balkoniku. Usłyszała, że jej wybawca śmieje się z cicha.

-Jak myślisz, czy z moją pomocą zdołasz się wdrapać na balkon i wrócić przez okno?

- Chętnie spróbuję, jeśli nie sprawię panu zbyt wiele kłopotu

- Ależ, *mademoiselle!* To dla mnie żaden kłopot, tylko prawdziwy zaszczyt!

Mężczyzna roześmiał się i jego życzliwy śmiech rozgrzał

April od wewnątrz równie skutecznie, jak jego ciepły surdut od zewnątrz.

- To nasz dom - powiedziała, wskazując budynek. - Balkon jest z tej strony... Och! - westchnęła, podprowadzając nieznanego do miejsca, skąd zeszła na dół. - Dopiero teraz widzę, jak to wysoko!

- Nie tak znów wysoko - uspokoił ją, spoglądając w górę. - Chyba nawet nie trzeba będzie czepiać się pńczy, *petite*. - Postawił pudło na ziemi, przykląkł i podwinął April rękawy, by mogła swobodnie poruszać dłońmi. - A teraz - szepnął, splatając ręce - postaw tu nóżkę, to wywinduję cię w górę!

Chwycił ją mocno za stopę i silnym pchnięciem ramion uniósł na wysokość swych barków. Sprawdziwszy, czy stoi mocno i nie traci równowagi, zmienił nieco chwyt i dźwignął ją jeszcze wyżej, by mogła dosięgnąć rękoma balustrady. Raz jeszcze upewniwszy się, że April trzyma się mocno, puścił jej bucik.

- Sprawdź, czy okno się otwiera, zanim odejdziesz! - szepnął.

Panna Willburton-Smythe przelazła przez balustradę i pospieszyła do okna. Otworzyło się bez trudu. Odwróciła się, by podbiec do barierki i powiadomić o tym swego wybawcę, gdy nieoczekiwanie zetknęła się z nim nos w nos. Jęknęła zaskoczona, ujrawszy go na balkonie.

- Miałybyś kłopoty, gdyby to znaleziono na dole - szepnął, stawiając przed nią pudło na kapelusze. - A teraz zachowuj się cicho jak myszka i kładź się czym prędzej do łóżka! I nikomu ani mru-mru o tej nocnej wyprawie, bo będzie straszna awantura!

- Nie pisnę ani słowa! - zapewniła go szeptem April, zauważając mimo woli, jak gęste i ciemne wydawały się rzęsy tajemniczego dżentelmena w świetle budzącego się dnia.

-I nie daj się znów namówić na ucieczkę, bo mogłoby przytrafić ci się coś złego, a poza tym i ty, i twój Geoffrey skompromitowalibyście się raz na zawsze! Jeśli twoja ciocia kręci na niego nosem, to pomyśl, czym mógłby ją sobie zjednać. A najlepiej - dżentelmen uśmiechnął się i przesunął pieszczotliwie okrytym rękawiczką palcem po policzku dziewczyny -



wstrzymajcie się trochę, aż ty podrośniesz, a on zmądrzeje. *A bientot, ma petite!* - szepnął.

April nie odrywała od niego oczu, gdy przesadził balustradę i wyładował na stojąco na trawniku pod oknem. Pomachał jej jeszcze na pożegnanie, po czym wetknął ręce do kieszeni i niespiesznie się oddalił. Jak we śnie April wróciła do swej sypialni i dopiero wówczas dotarło do niej, że nadal ma na sobie męski surdut

Oślepiające słońce wtargnęło przez szparkę między adamaszkowymi storami i obudziło wreszcie April. Dziewczyna ziewnęła i przeciągnęła się pod puchową pierzynką. Musi być już bardzo późno - pomyślała - jeśli słońce tak praży! Zwykle wstawała o wiele wcześniej niż ciocia Olivia, ale dziś było jej w łóżku tak przytulnie... I nagle wszystko jej się przypomniało. Niepokój sprawił, że wyskoczyła z łóżka, podbiegła do rzeźbionej szafy i otworzyła ją gwałtownym szarpnięciem. Z szaleńczym pośpiechem przerzucała stroje, aż wreszcie dotarła do ukrytego surduta. Upewniwszy się, że kompromitująca część garderoby wciąż wisi, April odetchnęła z ulgą. Zaraz jednak znów ją obleciał strach, gdy zdała sobie sprawę, że w każdej chwili może tu wejść ciocia albo pokojówka. Należało znaleźć pewniejszą kryjówkę. Niedostępną dla nikogo! Ależ, oczywiście! - pomyślała, zła na siebie, że od razu nie przyszło jej to do głowy. Cedrowa skrzynia! Ojciec kazał ją zrobić specjalnie dla niej i tylko ona miała do niej klucz.

Podbiegła do palisandrowego stoliczka i chwyciła stojący na nim wazon z weneckiego szkła. Wyjęła stojące w nim sztuczne kwiaty i przewróciła wazon do góry dnem. Na dłoń wypadł jej klucz. Otworzyła nim cedrową skrzynię, po czym schowała w niej wyjęty z szafy elegancki surdut. Ukrywszy klucz w dawnym miejscu, przysiadła na chwilę na łóżku. Zastanawiała się, kim był dżentelmen, który tak wielkodusznie przyszedł jej z pomocą. Czy jeszcze kiedyś ich drogi się spotkają...? Powrócił też niepokój o Geoffreya. Musi koniecznie się dowiedzieć, co mu się przytrafiło, i powiadomić go, że jest zdrowa i bezpieczna.

Dokładnie w tym samym momencie Geoffrey Hempstead otworzył oczy i ujrzał przed sobą znękane oblicze wicehrabiego Harcorta.

- Nareszcie! - Harcort odetchnął z widoczną ulgą. - Jużeśmy się bali, żeś tym razem naprawdę wykorkowałeś! Jak się czujesz?

- To ty, Davidzie...? Gdzie ja jestem...? Co się stało...?

- Jesteś w domu, Geoff - wymamrotał spoczywający na szezlongu Kettering. - Strażnik miejski przytaszczył cię wczesnym rankiem. Leżałeś bez ducha w jakiejś alejce w pobliżu Lisie Street.

Hempstead podniósł rękę do czoła, wyczuł pod palcami bandaż i jęknął.

- Nietęgo się czujesz, co? - uzalił się nad nim Harcort. - Hawkins poszedł po lekarstwo dla ciebie. Aptekarz powiedział, żebyś je zażył, jeśli głowa będzie cię bolała.

- Tam do diaska! - wykrztusił Hempstead, prostując się raptownie. - Napadły na mnie rzezimieszki, niech to szlag!

Kettering jęknął i ostrożnie obrócił się na szezlongu.

- Jesteś tego pewien, Geoff? Co prawda, w tamtej okolicy o to nie trudno... O, Boże!... Chyba zaraz umrę, Davey...

Harcort westchnął.

- Wierzę, braciszku. Ja umieram już od godziny. Co najmniej! Po kiego licha, Hempstead, lażeś akurat tam? - spytał, pocierając skronie.

- O, do diabła! - wykrzyknął ranny. - April!

- Mylisz się, stary: to nie prima aprilis. Dopiero początek marca.

- Żadne prima aprilis! Miałem się spotkać z April!

- Z April? Na Lisie Street?! Coś ci się poplątało, drogi chłopcze. Porządne panienki nie pokazują się w pobliżu Lisie Street!

- Nic nie rozumiesz, Bry! Napadli mnie, gdy szedłem do Donovaną wynająć karetkę pocztową. Bo, widzisz, April i ja, po prostu... A niech to wszyscy diabli! Mieliliśmy uciec z April zeszłej nocy. Boże święty!... Co ona sobie o mnie pomyśli...? A może jej się coś złego stało?!

- Nie gorączkuj się, Geoff - mitygował go Harcort. - Co-

kolwiek się stało, nic już na to nie poradzisz, a tylko ci się pogorszy!

- Ale ona czekała na mnie... sama, samiuteńka o drugiej w nocy na rogu Broad Street!...

- Stamtąd tylko parę kroków do Park Street - uspokajał go Kettering z większym przekonaniem w głosie niż w sercu. - Panna April nie jest głupia, Geoff. Jak się zorientowała, że coś ci wypadło i nie przyjdiesz, zawróciła do domu. Posłuchaj, biorę to na siebie. Złożę dziś wizytę pannie Willburton-Smythe i przy okazji szepnę pannie April słówko o tobie. Z pewnością niepokoi się o ciebie tak jak ty o nią.

- Albo uważa, że rozmyśliłem się i zostawiłem ją na lodzie! - jęknął Hempstead. - Nie pozwól, Bryan, żeby tak o mnie myślała! Ja jej nie mogę stracić, rozumiesz?

- Bez obawy, Hempstead - wymamrotał Harcourt - Bry ma gadane! Wszystko jej wytłumaczy, niech no tylko stanie na nogi!

- Całe szczęście, że książę ma taką mocną głowę i nogi! Inaczej nigdy byśmy nie dotarli do domu - westchnął Kettering.

Hempstead spojrzał pytająco na przyjaciół.

- Wczoraj wieczorem popiliśmy zdrowo z księciem Abbercombe'em - wyjaśnił wicehrabia - u Hodge'a na Pickering Place. Jak stamtąd wychodziliśmy, to Bry wisiął księciu na jednym ramieniu, a ja na drugim. Wpakował nas obu do dorożki.

- Abbercombe? - spytał zaniepokojony Geoffrey.

- Abbercombe - potwierdził Harcourt. - Bryan się uparł, że musi zawrzeć z nim znajomość.

- Czyście obaj na głowę upadli?! Przecież to niebezpieczny typ! Jak myślisz, za co skazali na deportację markiza i przyszłego księcia? Za to, że dał po gębie strażnikowi miejskiemu?!

- Spyaliśmy go o to - wymamrotał Kettering, starając się jak najmniej poruszać bolącą głowę.

- I co, powiedział wam?

- No, coś nie coś... - burknął Harcourt. - Wytłumaczył, czemu właśnie my powinniśmy go unikać.

- Zabił naszego stryjka Channinga - jęknął Kettering, marszcząc brwi, jakby to mogło pomóc na ból głowy.

\*

Tego samego ranka, wszedłszy do jadalni w Fielding House, lord i lady Denbigh zastali księżącą progeniturę przy śniadaniu. Poproszono ich, by zajęli miejsca przy stole. Wokół panował okropny zgiełk i zamęt, gdyż każde z dzieci kursowało między stołem a kredensem, zaopatrując się w jajka, grzanki i owoce.

- Może jednak stryjostwo skuszą się na coś? - namawiała Amaryllis, najstarsza z rodzeństwa. - Proszę przynajmniej napić się gorącej czekolady... albo herbaty? Czy raczej kawy? Tatuś zawsze pije kawę.

Lord Sebastian z niezbyt przytomnym uśmiechem na sympatycznej twarzy skapitulował i skinął głową.

- Może być kawa.

Bethany natychmiast wstała od stołu i napełniła filiżankę z dzbanka stojącego na kredensie.

- A ciocia Jessica? - spytała. - Ciocia też powinna się czegoś napić!

- Może trochę herbaty... - poprosiła lady Denbigh zdławionym szeptem.

- Czy to naprawdę nasz stryjek i nasza ciocia? - dopytywał się chłopczyk o włosach koloru miodu i oczach błękitnych jak zimowe niebo. Klęczał na krześle obok lorda Sebastiana i przez całą szerokość stołu sięgał do talerza siostry po leżącą na nim nerczkę.

- Tak, Ethanie, to naprawdę nasi stryjostwo - zapewniła go Amaryllis. - Nikt nie miałby ochoty podawać się za naszych krewnych.

- Czemu?

- Bo z nas niebezpieczna banda, jak mówi tatuś. Na nasz widok każdy oszust wzięłby nogi za pas.

- Ciocia Trzęsinka jest prawdziwa, a też się nas boi! - pisnęła dziewczynka w sukieneczce w kwiatki.

- Wcale nie boi! - zaprotestowała jej bliźniaczka z pełną buzią.

- Właśnie że boi!

Jeden ze starszych chłopców uciszył siostrzyczki i uśmiechnął się rozbijając do gości.

- Tata nie uprzedził was, prawda? Nie spodziewaliście się, że jest nas tak dużo!

- No... nie - przyznała lady Denbigh.

- Wasz ojciec powiadomił nas listownie, że przyjeżdża z córkami, Amaryllis i Bethany, na londyński sezon - wtrącił lord Sebastian z wesołym błyskiem w oku. - Prawdę mówiąc, wcześniej ani nam się śniło, że mamy dwie bratanice.

- To doprawdy szokujące! - wykrzyknęła Bethany, choć wyglądała raczej na ubawioną niż na zaszokowaną. - Pomyśleć tylko, stryjkę Bastianie: byłeś stryjem od osiemnastu lat i nie miałeś o tym pojęcia!

- Czy ucieszyliście się, gdy napisał wam o nas? - spytała Amaryllis, smarując bułkę masłem.

- Byliśmy zachwyceni! - Lord Denbigh uśmiechnął się. - Żałowałem tylko, że wasz ojciec nie powiadomił mnie wcześniej. Chętnie bym wam przesyłał prezenty i zapraszał w odwiedziny!

- Ale kiedy się urodziłyśmy, miałeś tylko dziesięć lat! - zauważyła Bethany. Jej anielska buzia spochmurniała. - A dziadek z pewnością nie pozwoliłby stryjkowi korespondować z nami!

- O, Boże! - westchnęła lady Jess, biorąc męża za rękę. - Miałam nadzieję, że nie wiecie o... o rodzinnych niesnaskach...

- E tam! - burknął jeden z młodszych chłopców. - Każde z nas dobrze wie, co było między dziadkiem a tatusiem!

- Ale to wcale nie usprawiedliwia taty, Frazier! Powinien był wcześniej napisać do stryjka Sebastiana i opowiedzieć mu o nas. - Amaryllis uśmiechnęła się szeroko. - Wyobrażam sobie, jak się czuliście, wpadając w ten okropny rozgardiasz!

- Ale zachowali się po bohatersku - podsumował jeden ze starszych chłopców. - Nawet się nie wzdrygnęli, choć każdy by się wzdrygnął! Uważaj, Frazier! Zaraz będziesz zbierał całe śniadanie z podłogi.

- Jakie tam całe! - obruszył się chłopiec. - Spadła mi tylko bułka. Zaraz podniosę! Jest nas ośmioro - dodał, zerkając z niepokojem na gości. - Czy to dla was nie za dużo?

- Za dużo? - Lady Jessica spojrzała w pełne powagi oczy dziecka. - O co ci chodzi, kochanie?

- On myśli, że nie potrzeba wam aż tylu bratanic i bratanków - wyjaśnił Etlian, przerzucając śledzia ze swego talerza na talerz

jednej z młodszych siostr. - Mnie się też zdaje, że Amy i Beth całkiem wam wystarczą. A może i one będą wam zawadzały?

W kompletnej ciszy, która nagle zapadła, słowa Ethana zabrzmiały szczególnie donośnie. Osiem par oczu w różnych odcieniach błękitu z niepokojem wpatrywało się w lorda i lady Denbigh.

Jess poczuła, że palce męża zaciskają się mocno na jej ręce pod stołem. Nigdy jeszcze nie widziała w tyłu oczach takiego lęku i takiego pragnienia akceptacji. Znikła jej dotychczasowa rezerwa, w zapomnienie poszła kryminalna przeszłość Abbercombe'a, zgasł lęk przed utratą reputacji.

- Któż by nie chciał takich ślicznych bratanic jak Amy i Beth? Ale dwie to za mało, chcemy was wszystkich! Tyle bratanic i bratanków to dla nas najpiękniejsza w świecie niespodzianka! Prawda, Bastianie?

- Pewnie! Nic by nam nie sprawiło większej przyjemności. Ale musicie nam trochę pomóc, bo ani ciocia Jess, ani ja nie mamy pojęcia, jak się nazywacie i jak was rozróżnić. Nigdy dotąd nie mieliśmy do czynienia z czterema parami bliźniąt!

- O, to całkiem proste, stryжку - odezwał się jeden ze starszych chłopców. - Wystarczy znać alfabet. Im kto bliższy początku, tym starszy.

-Jak to?

- Najstarsze są Amaryllis i Bethany. Amy urodziła się pierwsza, więc ma imię na A. Beth po niej, więc ma imię na B. Od różnić je od siebie bardzo łatwo, bo Amaryllis wszystkim dyktuje, co mają robić, a Bethany jest okropnie romantyczna.

- Christianie, dość tych głupich żartów! - ofuknęła go młoda dama siedząca po lewej.

- Sam widzisz, stryжку: to cała Amaryllis!

- Christian... - powtórzył z namysłem lord Sebastian i oczy mu błysnęły. - Wobec tego jesteś następny po Bethany. Mam rację?

-Jak najbardziej, stryжку. Amy i Beth mają po osiemnaście lat, a my z Damianem po piętnaście. Ale tylko ja mam tytuł markiza i w przyszłości zostanę księciem, bo - jak mówi tata - urodziłem się trzy minuty wcześniej niż Daymee. Następ-

ni w kolejce są Ethan i Frazier. Mają po osiem lat. A Gracie i Helen po sześć.

- A Christiana od Damiana też łatwo odróżnić, bo Chrisowi nigdy się buzia nie zamyka, a Daymee siedzi wiecznie z nosem w książkach - dorzuciła od niechcienia Amaryllis.

- Mnie też łatwo można odróżnić od Frazia - zawołał Ethan. - Jestem o wiele miłszy od niego!

- Wcale nie! - zaprotestował bliźniak.

- Wcale tak!

- Nie jesteś miłszy, i już!

- Obaj jesteście równie mili - rozstrzygnął ojciec, który właśnie wszedł do pokoju. - Ale co wam strzeliło do głowy... - Na widok dwojga dorosłych siedzących u szczytu stołu książkę urwał w pół słowa. Uśmiech znikł z jego twarzy, wskutek czego dzieci znowu zamilkły.

Lord Sebastian Denbigh zdjął serwetkę z kolan i wstał. Żona poszła za jego przykładem.

Abbercombe nie spodziewał się zastać w jadalni nikogo prócz dzieci, toteż nie zwracał sobie głowy szczotkowaniem włosów ani goleniem. Wetknął ręce do kieszeni i cofnął się ku drzwiom, zaraz jednak się opanował i stanął.

- To stryjek Baszta i ciocia Trzęsinka, tatuśku!

Cienki pisk Gracie przerwał pełną napięcia ciszę. Dziewczynka z pewnym trudem zsunęła się z krzesła i podbiegła do ojca. Objęła go rączkami za nogi i przytuliła się mocno.

Helen zerwała się zaraz po niej, zrzucając serwetkę na podłogę.

- Oni som z wizytą - wyjaśniła ojcu i wyciągnawszy mu z kieszeni rękę, uczepliła się jej obiema łapkami. - I bardzo nas lubię, wiesz? - obwieściła teatralnym szeptem.

- Cash... - mruknął trochę niepewnie lord Sebastian.

Osiem par niebieskich oczu popatrzyło na niego i zaraz potem na ojca.

Książkę uwolnił się z objęć córek i z wahaniem postąpił o krok, wyciągając rękę. Denbigh wydostał się zza stołu i obiema dłońmi schwycił wyciągniętą rękę, by zaraz ją puścić i zamknąć księcia w mocnym uścisku.

- Przebrzydły draniu! - mruknął bratu do ucha. - Pozwól, Jessico - zwrócił się do żony, która podeszła do niego - to mój brat, Cash.

Abbercombe spojrział na bratową niepewnie.

- Ogromnie się cieszę, że mogłem cię poznać, Jessico - powiedział niemal szeptem. - Ale nie musisz zadawać się z kimś takim jak ja, jeśli nie masz na to ochoty.

Lady Denbigh poczuła dziwne trzepotanie w okolicach serca, gdy księżę pochylił się nad jej dłonią i ucałował koniuszki palców. Kiedy podniósł głowę i jeszcze raz na nią spojrział, wzruszyła ją niepewność i nieśmiała nadzieja malująca się na jego pobrużdżonej twarzy.

- Ależ mam ochotę, Cash, mam wielką ochotę zaprzyjaźnić się z tobą! - usłyszała własny głos. Oparła ręce na ramionach szwagra, stanęła na palcach i ucałowała go serdecznie.

- O rany! - jęknęli głośno Ethan i Frazier, a cała dzieciarnia wybuchnęła śmiechem.

### 3

Wieść o powrocie Rudolpha Casimira Denbigha obiegła Londyn z szybkością błyskawicy i wywołała istną burzę wśród tamtejszej elity. Zgodnie z obietnicą Cash zabrał dzieciaki do Tower i tam nie doszło do żadnych przykrych incydentów. Kiedy jednak następnego dnia udał się z Chrisem i Damianem do Westminster, został rozpoznany i ostentacyjnie zignorowany przez lordów Worceстера i Foleya. Będąc w podłym humorze, Abbercombe odmówił obejrzenia „najnowszego wielkiego spektaklu z udziałem mistrzów sztuki jeździeckiej” w Astley's Royal Amphitheatre, w końcu jednak dał się dzieciom ubłagać i nie doznał żadnej przykrości podczas widowiska.

Dwa dni później w Muzeum Brytyjskim lady Caroline



Rothenberg zatrzymała się wraz ze swoją siostrą przed eksponatem, który przyciągnął uwagę księcia oraz Amaryllis i Bethany.

- Abbercombe! - wykrzyknęła lady Caroline wyjątkowo przenikliwym głosem. - Nawet do tak szacownej instytucji wdarł się ten nędzny szczur?! Czyż nikt i nic nie uchroni nas przed odrażającym plugastwem?!

Usłyszawszy te słowa (a chcąc nie chcąc, musiał usłyszeć je każdy z obecnych w muzeum), panna Willburton-Smythe wzdrygnęła się. Uraził ją nie tylko świdrujący głos, lecz okrucieństwo i wulgarność wypowiedzi. Znieważanie ojca w obecności córek zasługiwało na najwyższe potępienie. Szmaragdowe oczy panny Willburton-Smythe rozbłysły gniewnie, pierś jej wezbrała świętym oburzeniem. Schwyciła swą bratanicę za ramię i nie zwracając uwagi na chichoczących gapiów, niczym korweta pod pełnymi żaglami ciągnąca na holu szalupę, ruszyła prosto na Abbercombe'a.

- Wasza książęca mość! - wykrzyknęła głosem nie mniej donośnym niż lady Caroline. - Jakże się cieszę ze spotkania! - Z brawurą godną mistrzów sceny Z Drury Lane puściła rękę bratanicy i uczepliła się ramienia Abbercombe'a. - Chodź, April, i wy, drogie dziewczątka - rzuciła przez ramię trójce młodych panienek. - Pokażemy księciu ten eksponat, który tak nas zaciekawił, i spytamy jego książęcą mość o zdanie!

Wypowiadając te słowa, popychała Abbercombe'a w kierunku drzwi i pod ostrzałem niezliczonych zdumionych spojrzeń wyprowadziła go do przedsionka, gdzie stało kilka krzeseł i niewielka kanapa.

- Zamknij drzwi, April - poleciła bratanicy znacznie cichszym głosem. - I oprzyj się o nie plecami! - dorzuciła. Puściła ramię księcia i podeszła do okna. - Jeszcze nigdy w życiu nie byłam taka oburzona! - oświadczyła, zwracając się do Abbercombe'a. - Mam nadzieję, że zarówno pan, mości książę, jak i obie pańskie córki przyjmiecie moje przeprosiny w imieniu całej londyńskiej elity za zniewagę, która was spotkała!

- To raczej ja winienem przeprosić, *mademoiselle* - odparł lodowatym tonem Abbercombe, poprawiając rękaw surduta, w który wczepiła się Olivia - że naraziłem panią na tyle

fatygi. Pospieszyła nam pani na ratunek z niezwykłym samozaparciem... choć śmiem przypuszczać, że dałbym sobie radę i bez pani pomocy.

Olivia spojrzała na niego spode łba.

- Może istotnie wasza książęca mość poradziłby sobie, ale w chwili gdy przystąpiłam do działania, nic na to nie wskazywało. - Nie bardzo wiedziała, na jaką reakcję z jego strony liczyła. Może na zwykłe „dziękuję”... Nie spodziewała się jednak podobnej bezczelności!

Abbercombe odpowiedział na jej przytyk eleganckim ukłonem.

- Złapałem się we własne sidła! - mruknął pod nosem.

- I dobrze ci tak, tatusiu! - stwierdziła stojąca za nim Amaryllis. Wysunęła się zza pleców ojca i biorąc go pod ramię, spytała: - Czy wolno spytać o nazwiska naszych wybawicielek?

- O tak, proszę pani, bardzo chcielibyśmy je poznać! - poparła ją Bethany.

Abbercombe przyjrzał się uważnie twarzy starszej damy. Świadczący o uporze zarys szczęki, zaciśnięte posepnie wargi, błysk przerażenia i niepewności w oczach...

- Nie nalegajcie, moje drogie. Ta pani - jak sądzę - bynajmniej sobie nie życzy znajomości z wami, a mnie nie chce znać z całą pewnością. Zapamiętajcie sobie: odruchowy sprzeciw na widok brutalnej napaści nie musi być dowodem życzliwości dla poszkodowanych.

- Co takiego?! - Olivia aż się zatchnęła.

- Słyszała mnie pani doskonale, *mademoiselle*. Serdeczne dzięki za wspianałomyślny gest. Proszę się nie obawiać kompromitującej znajomości. Przy następnym spotkaniu może nas pani śmiało zignorować, jak czyni to reszta elity, w imieniu której pani przemawiała.

- Daj spokój, tatusiu! - ofuknęła go Amaryllis. - Jesteś niepoprawny!

- Nic podobnego - odparł ponuro książę. - Odkąd przybyłem do tego miasta, bez przerwy ignorują mnie, znieważają, szepczą i chichoczą na mój widok, i wytykają mnie palcami!... Nic mogę ich nawet powstrzymać od ubliżania wam! ... A teraz jeszcze mam dług wdzięczności wobec zarozumia-

łej pannicy, która raczyła okazać swe miłosierdzie! Tego już za wiele, słowo honoru!

- A ja, mój panie - warknęła Olivia, biorąc się pod boki i tupiąc nogą - absolutnie sobie nie życzę ani twojej wdzięczności, ani twoich obelg! Zarozumiała pannica?! - też coś! Ujęłabym się za byle kundlem, gdyby go zaatakowała ta podła żmija, Caroline Rothenberg!

- A więc ze szcztura awansowałem na kundla? Zapewne wściekłego!

- Tatusiu! - jęknęła Bethany. - Opamiętaj się!

Olivia, która miała już ciętą odpowiedź na końcu języka, zamknęła usta, gdy druga z panienek wyłoniła się zza pleców ojca i położyła mu rękę na ramieniu. Po raz pierwszy panna Willburton-Smythe uświadomiła sobie, że córki księcia są identyczne; miały tylko różne toalety. Bliźniaczki! - pomyślała. I prawdziwe piękności!

- Proszę łaskawie wybaczyć tatusiowi - westchnęła Bethany. - Od przyjazdu do Londynu jest nie do wytrzymania! Ja sędzę, że szkodzi mu tutejsza woda, ale Amy twierdzi, że to nocne powietrze. Tatuś upiera się spać przy otwartym oknie, nawet w trzaskający mróz!

Oburzenie Olivii zniknęło, na jej wargach pojawił się lekki uśmiech. Dostrzegła, że kąciki ust Abbercombe'a drżą podejrzenie, jakby i on miał ochotę się roześmiać.

- Czy naprawdę sypia pan przy otwartym oknie, milordzie? - zagadnęła go.

- Nie sędzę, *mademoiselle* - wykrztusił książe, zmagając się z wesołością - by tak intymnie szczegóły mego życia wypadało omawiać w Muzeum Brytyjskim.

- Istotnie - przytaknęła z całą powagą Olivia. - Wobec tego gdzie, pańskim zdaniem, powinniśmy kontynuować naszą dyskusję?

Abbercombe dał za wygraną i roześmiał się. Jego ponura twarz przeistoczyła się jak nocne niebo rozświetlone ognistą błyskawicą.

- Pozwoli pani, *mademoiselle*, że przedstawię jej swoje córki?

- Bardzo mi miło. Jestem Olivia Willburton-Smythe. -

Odpowiedziała dygającym pannom lekkim ukłonem. - A młoda dama pilnująca drzwi to moja bratanica, April.

Kiedy cała trójka Denbighów odwróciła się w jej stronę, April raptownie poczerwieniała i równie nagle zbladła.

- To pan!... - wyszeptała.

Błyskawicznie uwolniwszy się z rąk Amy i Beth, książę skoczył na pomoc mdlejącej panience i w ostatniej chwili zdołał ją uchronić od upadku na kamienną posadzkę.

Lady Jessica przestała krążyć po pokoju i zajęła miejsce naprzeciwko przyjaciółki. Znajdowały się w salonie Olivii, w jej domu przy Park Street.

- Mówisz poważnie, Otivio? Nie boisz się, że goście, dowiedziawszy się, iż córki Abbercombe'a też otrzymały zaproszenie, zbojkotują twoje przyjęcie?

- Prawdę mówiąc, Jess, nie zamierzam nikogo o tym uprzedzać. A gdy zobaczą je w moim salonie... Wątpię, czy nawet lady Carrington ośmieli się uchybić im pod moim dachem! Nie, nie! Dziewczęta są urocze, a wielki świat umiera wprost z ciekawości... Poza tym April chciałyby się z nimi zaprzyjaźnić. Była taka zażenowana swoim omdleniem w muzeum! Słowo daję, gdyby nie szybki refleks księcia, biedactwo potłukłoby się okropnie... Abbercombe nie tylko ocalił ją od tego, ale zaniósł do powozu i otulił troskliwie, jakby przez całe życie opiekował się chorymi albo dziećmi!

- Wcale mnie to nie dziwi! - Lady Denbigh uśmiechnęła się szeroko. - Nie widziałyśmy się od tamtej pamiętnej rozmowy, Olivio, więc nie wiesz, że złożyliśmy z Sebastianem wizytę w Fielding House i dokonaliśmy niewiarygodnego odkrycia!

- O czym ty mówisz?

- Wyobraź sobie, że mamy nie tylko dwie doskonale wychowane bratanice, prawdziwe młode damy, ale jeszcze sześcioro młodszych bratanic i bratanków! O ile wiem, Cash wychowuje je samodzielnie od szeregu lat.

- ...jeszcze sześcioro...? - jęknęła Olivia.

- To czarujące dzieci! Musisz je koniecznie poznać. A na twoje przyjęcie Amy i Beth przybędą oczywiście pod moją opieką.

Optymistyczne przewidywania Olivii sprawdziły się co do joty. Żaden z zaproszonych gości nie wzbraniał się przed zawarciem znajomości z córkami Abbercombe'a ani nie dopuścił się wobec nich jakiegoś afrontu. Uroda i wdzięk bliźniaczek sprawiły, iż towarzyski debiut wypadł pomyślnie, a „przyjätko” panny Willburton-Smythe okazało się wielkim sukcesem. Od tej pory szczerą przyjaźń połączyła Amaryllis i Bethany z April, a bliźniaczki stały się częstymi gośćmi w domu przy Park Street.

- Nie mogę się już tego doczekać! - wyznała April, gdy pewnego rześkiego popołudnia wszystkie trzy usadowiły się wygodnie w jej saloniku. - Przyjęcie u lady Skiffington to mój pierwszy londyński bal!

- Wątpię, by nas zaprosili - westchnęła Bethany. - Choć tatuś powiada, że nigdy nie należy tracić nadziei.

- Może jest w tym trochę racji - orzekła Amy. - Dostałyśmy sporo zaproszeń na rozmaite przyjęcia. Tatuś mówi, że to od dawnych przyjaciół mamy: okazują nam względy przez pamięć dla niej.

- Założę się, że mnóstwo osób przyśle wam zaproszenia na przyjęcia i bale - rzekła April z dużą pewnością siebie. - Ciocia Olivia też jest tego zdania.

- W gruncie rzeczy to nie ma większego znaczenia - oświadczyła Beth. - Nie przyjechałyśmy do Londynu po to, by robić furorę w wielkim świecie!

- A ja myślałam, że właśnie po to!

- Nie - odparła Amy. - Londyński sezon posłużył nam za pretekst. Przybyłyśmy tu ze względu na tatusia.

- Co ty wygadujesz?! Przecież waszego tatusia traktują tu jak... ostatniego wyrzutka!

- Lepiej być wyrzutkiem niż zimnym trupem - stwierdziła Amy. - A gdyby pozostał we Francji, zabiliby go z całą pewnością!

- Z... zabiliby go?! - zdumiała się April.

- Właśnie - odparła Bethany. - I tak cudem się wymigał!... Co prawda tatuś wolałby pojechać wszędzie, byle nie do Lon-

dynu, ale doszliśmy we czwórkę do wniosku (Amy, Chris, Daymee i ja), że w Anglii będzie najbezpieczniej.

- AJe... ale kto chciałby go... zabić...? - wydukała April.

- O, mnóstwo ludzi ma na to ochotę. - Bethany wzruszyła ramionami. - Choć większość z nich nie wie, że ich wrogiem jest właśnie tatuś. Ale w Paryżu była wielka wsypa... i tatuś tylko cudem uniknął aresztowania.

- Jakby go pochwycili, toby go posłali na gilotynę - do-rzuciła Amy. - Lecz tatuś sobie nie życzy, byśmy rozmawiały na ten temat. Zresztą, tutaj jest naprawdę bezpieczny.

- Przeczuwałam to! - rzuciła nagle April. - Od pierwszej chwili, gdy go spotkałam, czułam, że to ktoś niebezpieczny i tajemniczy!

Bliźniaczki spojrzały na nią ze zdumieniem.

- Jak możesz opowiadać takie rzeczy? - skarciła ją Beth. - Przecież w trakcie naszego pierwszego spotkania leżałaś zemdlna. A z pewnością nie mogłaś wyciągnąć takich wniosków z początkowej sprzeczki tatusia z twoją ciocią!

- To wcale nie było nasze pierwsze spotkanie! - wyznała w podnieceniu April. - A zemdlałam właśnie dlatego, że... do-wiedziałam się, kto był moim wybawcą, i... i bałam się, że opowie cioci o mojej eskapadzie... choć kiedy niósł mnie do powo-zu, zapewnił, że mogę absolutnie polegać na jego dyskrecji.

- Bo możesz! - potwierdziła z uśmiechem Amy. - Ale czy twoje pierwsze spotkanie z naszym tatusiem to sekret, którego nie wolno ci wyjawić?

Oczy April błyszczały podnieceniem, gdy energicznie potrząsnęła kasztanowatymi lokami.

- Was mogę przypuścić do sekretu - powiedziała z szerokim uśmiechem - bo wiem, że mnie nie zdradzicie!

Tajemniczym szeptem opowiedziała o pechowej próbie ucieczki z ukochanym. Obie bliźniaczki słuchały z otwartymi buziami, a oczy robiły się im coraz większe.

- Zmyśliłaś to wszystko! - orzekła na koniec Amaryllis.

- Nic podobnego! - zaprotestowała April. Zerwała się z miejsca i pobiegła do sypialni. Gdy znów się pojawiła, tuliła do piersi elegancki ciemnoniebieski surdut. - Teraz mi z pew-

nością uwierzycie - stwierdziła - bo to surdut waszego ojca! Jeśli mu go oddacie, opowie wam dokładnie, co się wtedy wydarzyło. Ja dodam tylko, że wasz tatuś jest najlepszym, najmiłszym i najdzielniejszym dżentelmenem na świecie! I zakochałabym się w nim do szaleństwa, gdyby nie był taki stary!

W swoim kremowo-różanym salonie na pierwszym piętrze Olivia również przyjmowała gościa.

- Dzień dobry, łaskawa pani. Stokrotnie przepraszam, że wpadłem bez uprzedzenia... ale mijając pani uroczy dom, nie mogłem oprzeć się pokusie zamienienia z panią kilku słów. Jakże się pani miewa?

- Dzień dobry, *monsieur* LeBruin - powitała Olivia wyjątkowo przystojnego dżentelmena. - Jest pan zawsze mile widzianym gościem. Proszę siadać. Laslow - zwróciła się do stojącego przy drzwiach majordoma - *monsieur* LeBruin z pewnością chętnie skosztuje madery. Nieprawdaż, *monsieur*?

- Istotnie, łaskawa pani.

LeBruin uniósł w uśmiechu delikatnie zarysowane brwi. Nie był wysoki, ale robił imponujące wrażenie dzięki postawie pełnej godności. Był jeszcze dzieckiem, gdy jego rodzina cudem uniknęła gilotyny i wyemigrowała do Anglii. Choć LeBruinowie pozostawili we Francji pokaźne dobra, zabrali ze sobą dość precjozów i gotówki, by się urządzić całkiem wygodnie. *Monsieur* LeBruin obracał się w najwyższych kręgach angielskiego towarzystwa. A że dzięki rozsądnym inwestycjom i sprytnym spekulacjom znacznie powiększył swój majątek, większość niezamężnych londyńskich dam wyszła by za niego z pocałowaniem ręki.

- Słyszałem, że gości pani pod swoim dachem bratanicę - zagadnął, posyłając gospodyni przeciągłe spojrzenie.

- Istotnie, i to od dość dawna. April wiele o panu słyszała, *monsieur*. Obiecałam jej, że pozna pana osobiście, ale ostatnio jakoś nie zaglądał pan do Londynu.

- Interesy, *chere mademoiselle*, nudne interesy! - Gest LeBruina wyrażał najwyższe znużenie. - A w dodatku ten nędzny łotrzyk, Napoleon, ciągle nam bruździ, *nest-ce pas?*

Czy będzie pani na jutrzejszym wieczorze u Langdonów? - spytał nieoczekiwanie.

Panna Willburton-Smythe skinęła głową.

- Owszem. - Zamilkła, gdyż zjawił się Laslow z maderą. - Udaję się tam w charakterze przyzwoitki April, oczywiście - podjęła wątek po wyjściu majordoma. - Pan również tam będzie?

- *Oui, mademoiselle.* Być może będę miał przyjemność poznać pani *protegee*. Czy pani wie, *mademoiselle* Olivia, o kim ciągle słyszę od mego powrotu? O tym *mauvais sujet* (nicponiu) Abbercombe! Nic, tylko on i on. W całym Londynie aż huczy!

- Rzeczywiście - zgodziła się Olivia. - Choć doprawdy nie pojmuję, o co tyle hałasu. Przeszłość miał istotnie burzliwą, ale od powrotu do Anglii nie popełnił nic niewłaściwego.

Szare oczy LeBruina zwęziły się, gdy przez chwilę wpatrywał się w twarz Olivii. Intensywność tego spojrzenia nieco ją speszyła. Znow uprzytomniła sobie z całą ostrością, czemu nie przepada za tym dżentelmenem. Pod jego maską opanowania i obojętności wyczuwała gwałtowne emocje, których nie potrafiła zdefiniować. Nie pojmowała również, co skłania LeBruina do prób nawiązania z nią bliższej znajomości.

- Niech się pani strzeże, *ma chere mademoiselle* Olivia! Przeszłość pozwala wyrokować o przyszłości. Proszę sobie nie zaprzętać głowy kimś takim!

- Ja miałabym sobie zaprzętać głowę Abbercombe'em?! Cóż za nonsensowne podejście!

- A więc to nieprawda? Nie wprowadziła pani jego dwóch córek na londyńskie salony?

- Owszem, przedstawiłam te panienki moim gościom, bo to doskonale wychowane młode damy i z przyjemnością wyświadczyłam im tę przysługę. Ale ich ojciec doprawdy nic mnie nie obchodzi!

Wizyta LeBruina trwała dokładnie przepisowy kwadrans, po tym czasie Francuz się pożegnał. Zdumiona Olivia nie mogła dociec, co w ogóle spowodowało go w jej progi i czemu pod koniec okazywał całkowity brak zainteresowania



osobą Abbercombe'a, choć początkowo wyraźnie ją o księcia wypytywał.

Abbercombe'a nieustannie dręczyła obawa, że z powodu jego dawnych grzechów Amy i Beth mogą być narażone na ostracyzm. Ponieważ dzięki wysiłkom lady Jess i panny Willburton-Smythe sytuacja wyglądała całkiem inaczej, wrażliwość księcia na afronty zdecydowanie osłabła. Przestał przejmować się publicznymi upokorzeniami, odkąd uwierzył, że jego dzieciom zostaną one oszczędzone. Za istotniejsze uznał znalezienie dla nich najodpowiedniejszej guwernantki i guwernera.

Ostatecznie książę postanowił zatrudnić pannę Clarissę Greene i pana Charlesa Stantona. Oboje nie posiadali się wprost z radości, tym bardziej, że żadne z nich nie miało większego doświadczenia.

- Zaangażowałem was właśnie z tego powodu! - wyjaśnił Abbercombe, gdy para nauczycieli zasiadła naprzeciw niego w gabinecie. - Wychowuję swoje dzieci w sposób zgoła odmienny od tradycyjnych brytyjskich metod. Wy, drodzy państwo, jesteście dostatecznie młodzi, by nagiąć się do moich wymagań i okazać wiele jakże potrzebnej cierpliwości. Gracie i Helen, panno Greene, są ogromnie ciekawe i dociekliwe; pragną wiedzieć dosłownie wszystko o wszystkim! Ethan i Frazier, panie Stanton, są równie żądni wiedzy... niestety, ich ciekawość często bywa niewłaściwie ukierunkowana. Obowiązkiem każdego z was, drodzy państwo, będzie oczywiście zapędzenie moich pociech do nauki, choć nie życzę sobie, by ślezczały nad książkami przez długie godziny i były pozbawione kontaktów ze mną. Może pani liczyć na pomoc Amaryllis i Bethany, panno Greene. Panie Stanton, panu również Christian i Damian chętnie pomogą, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Myślałem, że do moich obowiązków będzie należała również opieka nad starszymi chłopcami - zdziwił się Stanton. - Czyżby mieli własnego preceptora?

Książę spojrział na guwernera z wyraźnym zdumieniem.

- Nie - odparł. - Zdali już pomyślnie wstępny egzamin do Oksfordu, choć nie podjęli jeszcze decyzji, czy rozpoczną studia.

- Piętnastoletni chłopcy zdali na uniwersytet, wasza książe-  
ca mość? - upewnił się Stanton.

- Tak, chociaż - jak już wspomniałem - nie zdecydowali  
jeszcze, czy podejmą studia. Czy coś się stało? - spytał Ab-  
bercombe, dostrzegając konsternację na obu zwróconych ku  
niemu twarzach.

- Ależ nie, wasza książe- ca mość - odparła z wahaniem pan-  
na Greene. - Jesteśmy tylko zaskoczeni, że w tak młodym wie-  
ku zostali przyjęci na uniwersytet i że sami mają decydować  
o podjęciu nauki.

- Rozumiem. No, cóż... chyba strasznie rozpuściłem moją  
gromadkę, włóczęc ją ze sobą po całym świecie. O, widzę, że  
już przyszli, by wskazać państwu ich pokoje. Doskonale! -  
powiedział i mrugnął porozumiewawczo do swych pociech,  
zaglądających przez uchylone drzwi. - Mam nadzieję, że bę-  
dziecie się dobrze czuli wśród nas. Cieszę się niewymownie,  
że znalazłem dokładnie takich opiekunów, na jakich mi za-  
leżało.

Po tych słowach dzieci przypuściły formalny szturm na no-  
wych nauczycieli. Gracie i Helen uczepiły się panny Greene,  
zaś czterej chłopcy obstąpili Stantona. Wszystkim buzie się  
nie zamykały, gdy prowadzili młodych guwernerów do prze-  
znaczonych dla nich pokoi.

Abbercombe odchylił się na oparcie fotela, westchnął  
i przymknął oczy.

- Cóż to? Już cię sen morzy? Wstydz się, Cash! Dopiero  
trzecia; większość z nas dopiero co wstała z łóżka!

Dźwięk znajomego głosu podziałał na Abbercombe'a jak  
prąd elektryczny. Otworzył oczy, zerwał się z fotela i już  
biegł, by uściskać stojącego w drzwiach gabinetu starego przy-  
jaciela, gdy nagle zatrzymał się i wetknął ręce w kieszenie.

Wysoki, elegancki dżentelmen, który obserwował tę pan-  
tomimę, potrząsnął głową i cmoknął z dezaprobatą.

- Nie pojmuję, Cash, jak mogłeś aż tak zgłupieć na stare  
lata! Nie pozwoliłem twojej służbie powiadomić cię o moim  
przybyciu, bo się bałem, że zechcesz mnie zbyć frazesem  
„księcia pana nie ma w domu"! I nie myliłem się, jak widać!

No, chodźże tu, bezczelny łotrze! Przyznaj, że rad widzisz moją gębę! - Hrabia Worth jednym skokiem przebył dzielącą ich przestrzeń i przygarnął przyjaciela do piersi, ściskając go tak mocno, że Abbercombe zaczął ze śmiechem błagać o litość.

- Litości?! - uśmiechnął się szeroko Worth. - Żadna litość ci się nie należy! Sloan powiedział mi, że już dwa tygodnie temu byłeś pod klubem, lecz nie chciałeś wejść i od tej pory trzymasz się z dala od White'a. Tak się nie robi, Cash! Nie myśl, że się tak łatwo uwolnisz od przyjaciół! Jestem tu, by cię do nich zaciągnąć, choćby siłą. Nie strój mi tu groźnych min! - wycedził Worth i zerknąwszy w lustro, poprawił fular. - Pojedziesz ze mną do White'a, zjemy tam obiad i do diabła z każdym, komu to nie przypadnie do smaku! A teraz się pospiesz, bo Richardson i Hurley czekają już na nas u Tattersalla. Ponieważ sam nie zadbałeś dotąd o swoje stajnie, postanowiliśmy cię wyręczyć.

- Ani trochę się nie zmieniłeś, Edwardzie - mruknął Abbercombe. - Bezczelnie pewny siebie i nadgorliwy jak zawsze! Mimo to cholernie się cieszę, że cię widzę!

- Byłem tego pewny! - odparł Worth z uśmiechem. Podszedł do kominka i oparł się o gzyms. - Słyszałem, że powitano cię w Londynie niezbyt mile. Myślałem, że spluniesz na to i jakby nigdy nic wkroczysz do White'a, zwariowany i bezczelny jak zawsze!... No cóż... pomyliłem się. Wybacz, że tak długo zwlekałem, Cash! Ale gdyby Sebastian nie powiedział mi, jaki się zrobiłeś cholernie bojaźliwy, tobym dalej czekał na twój pierwszy ruch! Jakiś mógł wątpić w to, że się ucieszę z twego powrotu?! Mózg ci zgliwiał przez te wszystkie lata, coś się rozjeżdżał po zagranicach?!

- Nie... - Abbercombe przysiadł na biurku i wlepił wzrok w buty. Kurczowo zacisnął obie ręce na krawędzi biurka, tak że Worth z drugiego końca pokoju mógł dostrzec zbiegłe kostki. - ...To Bastian cię tu przysłał...?

- Nikt mnie tu nie przysyłał. Przyszedłem z własnej woli. A teraz bierz kapelusz i idziemy obejrzeć konie. Nie wypada, by książę pan rozbijał się dorożkami. Powinieneś mieć

w stajni konie pełnej krwi, a do tego elegancki powóz albo i dwa. Zupełnie nie rozumiem, co cię opętało, kiedy sprzedałeś konie swego ojca. No, ale było minęło! Richardson, Hurley i ja pomożemy ci naprawić ten błąd!

Wręczywszy przyjacielowi lejce, Worth przekonał się od razu, że Abbercombe jest w dalszym ciągu niezrównanym woźnicą. Para doskonale dobranych kasztanów, nieco zbyt żywych i skłonnych do brykania, równo mknęła po zatłoczonych ulicach stolicy.

- Ach, ten Londyn! - westchnął Abbercombe. - Dobrze jedziemy? Tattersall nie zmienił przypadkiem adresu?

- Adres ten sam. Ale przedsiębiorstwo się rozrosło. Timmy Bittner zbankrutował. Jego konie idą dziś po południu pod młotek. Może któryś przypadnie ci do gustu.

Książę skinał głową i skłonił wdzięcznie stąpające kasztanki do objechania powozu, który utknął na środku ulicy.

- To Skiffington! - zauważył Worth. - Musimy się zatrzymać.

- Czemu?

- A prawda, nie wiesz! To mój teść. Nie mogę ot tak go wyminąć, kiedy wpadł w tarapaty.

Książę zjechał na bok, zatrzymał kasztany i rzucił cugle „tygrysowi” Wortha. Obaj dżentelmeni wysiedli i podeszli do powozu, który utknął na drodze.

- Co się stało? - zagadnął Worth dżentelmena o rumianej twarzy, który wpatrywał się w powóz takim wzrokiem, jakby chciał wymierzyć mu tęgiego kopa.

- Co...? A, to ty, Worth! Ten grat odmówił posłuszeństwa. Tylne koła się nie obracają. A z mego cholernego stangreta nie mam za grosz pożytku! Włazł pod wóz i siedzi tam, diabli wiedzą po co!

- Tak ni stąd, ni zowąd przestały się obracać? - spytał Abbercombe.

- Ano właśnie! Jechaliśmy sobie w najlepsze, a tu masz!

- Drażki hamulcowe się zacięły - stwierdził książę, spoglądając na przyjaciela.

- Co takiego? - spytał Worth z miną niewiniątka.

- Doskonale wiesz, o czym mówię, Edwardzie. Ale widzę, że nie zamierzasz przyłożyć ręki do roboty.

- Nie jestem odpowiednio ubrany, Cash - odrzekł Worth, strzepując niewidoczny pyłek z brunatnego płaszcza.

Abbercombe spojrział na niego spode łba, odgarnął z czoła kosmyk jasnych włosów i wczołgał się pod powóz.

- Gdzie się zacięło? - spytał tkwiącego już tam stangreta lorda Skiffingtona.

- A bo ja wiem? - wymamrotał woźnica. - Ja jezdem od powożenia, nie od rperacyj. Nic a nic się nie znam na takich sztuczках.

- W takim razie posuń się trochę. O, tu... widzisz? - wyjaśnił, kładąc się na wznak. - To są drażki hamulcowe. Jak pociągniesz za dźwignię, to drażki dociskają te drewniane klocki do obręczy. A jak zwolnisz dźwignię, to drażki odskakują i koła nie są zablokowane. Ale te klocki nadal blokują koła, widzisz? To znaczy, że drażki się zacięły. Jak ci na imię?

- Ivan Jones, milordzie.

Abbercombe roześmiał się.

- Ivan! To ci dopiero!

Stangret zmarszczył brwi.

- Ja wiem, że jaśnie panom wszystko wolno, ale grzecznie proszę nie obśmiewać mego imienia. Sam go żem sobie nie wybierał, ino matka - burknął.

- Źle mnie zrozumiałeś. Śmiesz mnie, żeśmy się dobrali jak w korcu maku! Tobie dali na imię Ivan, a mnie nazwali Rudolph Casimir. Tamci, co nam stoją nad głową, nazywają się jak należy: Edward i Johh. I gdzie tu sprawiedliwość, bracie Ivanie?!

Stangret uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę, by pomóc księciu w poskramianiu drażków.

- Widać taki już los biedaków, co za wszystkich odwalają czarną robotę!

- Masz rację! To Ivany i Rudolphy wycierają tyłki po rynsztokach. Żaden Edward ani John nie zhańbi się ciężką pracą. No! Udało się.

Abbercombe wygramolił się spod wozu, a następnie wyciągnął stangreta.

- Teraz sprawdź, Kanie, jak to działa! - polecił. - Powiedz chłopakowi, żeby ruszył konie z miejsca, powolutku, parę kroków do przodu.

- Niech mnie kule biją! - mruknął Skiffington, gdy powóz gotów był do dalszej drogi. - Wybawiłeś mnie z opresji, drogi chłopcze! Jak cię zwa? Myślałem, że znam wszystkich kamratów swego zięcia!

- Pozwól, milordzie - uśmiechnął się Worth - że dokonam prezentacji. Jego książęca mość Rudolph Casimir Denbigh, książę Abbercombe. Mości książę, oto mój teść, lord Skiffington.

- Abbercombe? - wymamrotał starszy pan, marszcząc czoło. - Czyżby ten obwieś, co przed laty wywołał taki skandal...? Chodziło zdaje się o tę małą, jak jej tam...? Aleś narobił wtedy zamieszania!... Doszły mnie słuchy, że wróciłeś. Tym cholernym plotkarzom gęby się nie zamykają!

- Tak, to ja, milordzie - odparł Abbercombe.

Worth spostrzegł, że przyjaciel instynktownie cofa się, przewidując kolejną zniewagę.

- No to dzięki, Abbercombe! - Skiffington poklepał księcia po ramieniu. - Wybawiłeś mnie z kłopotu, chłopcze!

Worth pomógł teściowi wsiąść do powozu, podniósł schodki i zamknął drzwiczki.

- Ale, ale! - Skiffington zawołał jeszcze z wnętrza powozu, nim konie ruszyły. - Dobrze, żeś wrócił do domu. A gadułami się nie przejmuj. Nie wygrają z tobą, chłopcze! Zrobiłeś to, coś musiał.

W pożegnalnym geście stangret lorda przyłożył palec do kapelusza, mrugnął do Abbercombe'a i powóz ruszył.

- Od wieków nikt się do mnie nie zwracał per „chłopcze”! - Książę zachichotał. - Czy ciebie, Edwardzie, też uważa za żółtodzioba?

- Raczej za urwipołcia i wartogłowa. To odmładza, nieprawdaż? Od razu człowiek robi się żwawszy.

- Zdawało mi się przez chwilę, że znów mam osiemnaście lat! - przyznał Abbercombe i uśmiechnął się szeroko.

- Nie możemy tak jechać do Tattersalla: wyglądasz, jakbyś

cały dzień spędził w ryszotoku! - stwierdził Worth, gdy znaleźli się znów w jego powozie. - Musimy wrócić do Fielding House. Ale nim się wyszorujesz i przyzwoicie ubierzesz, będzie zbyt późno na wyprawę do Tattersalla. Nie szkodzi! Spotkamy się z Richardsonem i Hurleyem u White'a.

Przyjaciele wrócili do rezydencji księcia, w chwili gdy Amy i Beth wysiadały z landa panny Willburton-Smythe, którym odwieziono je do domu. Abbercombe przedstawił hrabiego córkom; Worth powitał je wytwornym ukłonem.

- Co się stało, tatusiu? - spytała Amy. - Wyglądasz, jakbyś leżał w ryszotoku!

- Bo leżałem. Wejdźmy do środka. Wszystko wam wyjaśnię.

- Właśnie miałyśmy cię prosić o wyjaśnienie... ale w zupełnie innej sprawie! - Bethany uśmiechnęła się słodko i wyciągnęła spod szala surdut, który wręczyła im April. - To twoja własność, nieprawdaż? April zapewniła nas, że to należy do ciebie!

W oczach Wortha błysnęły iskry humoru na widok przyjaciela rumieniącego się jak panienka.

## 4

Z racji powiązań sir Richarda Langdona z kołami dyplomatycznymi wieczór w jego rezydencji okazał się równie interesujący, jak przyjemny. Olivia, która wybrała się na przyjęcie jako przyzwoitka April, nieoczekiwanie stała się ośrodkiem zainteresowania grupki dżentelmenów. Odkrywszy, że panna Willbunon-Smythe interesuje się polityką i ma wyrobione poglądy na temat bieżącej sytuacji międzynarodowej, panowie obścibali ją wianuszkami i jak urzeczeni wpatrywali się w rozkoszne usteczka, z których płynął strumień wcale rozsądnych sugestii.

- Stanowczo powinniśmy panią nakłonić do współpracy z nami - oświadczył kapitan Lovelace. - Jestem pewien, że od-

nosiłaby pani ogromne sukcesy w kontaktach z naszymi sojusznikami. Jak mogliby nie wysłuchać argumentów takiej czarodziejki?

- Wysłuchaliby ich z pewnością - poparł go czcigodny James Ratherton. - Moim zdaniem Wyndham powinien był skaptować panią do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Z pewnością znalazłoby się wówczas znacznie więcej chętnych do współpracy z nami!... A tak przy okazji, panno Olivia, miała pani ostatnio wieści od brata?

- Niestety nie, Jamie. Od ponad dwóch miesięcy nie dał znaku życia - odparła Olivia; na jej ustach nie było już uśmiechu. - Nie pojmuję, czemu nie znalazł czasu nawet na krótki liścik. Należy teraz do sztabu Wellesleya, jak pan zapewne wie. Mam nadzieję, że nie stało mu się nic złego.

- *Certainement, mademoiselle*, nic mu się nie stało - dobiegł Olivię dobrze jej znany głos. Zaraz też *monsieur* LeBruin wyrósł przed nią, w podkreślającym szerokość jego ramion czarnym fraku i w białej kamizelce haftowanej złotem. - Spotkałem pani brata, *mademoiselle*, podczas swej ostatniej podróży.

W tym właśnie momencie, gdy cała uwaga Oliwiiskupiła się na osobie Francuza, osłaniany przez dwóch ochoczych sprzymierzeńców - Ketteringa i Harcorta - Geoffrey Hempstead wyciągnął April z sali pełnej gości na balkon.

- Moja najdroższa dziewczeczko! - westchnął, obejmując ją ramionami i składając niewinny pocałunek na jej czole. - Lękałem się, że już nigdy cię nie zobaczę! Pomyśleć tylko, że z mojej winy wystawałaś samotnie na tym przeklętym rogu ulicy! Nigdy sobie tego nie wybaczę!

- To wcale nie była twoja wina, Geoffreju! Przecież się nie zmówiłeś z tymi rabusiami, którzy cię napadli! Pan Kettering opowiedział mi o wszystkim. Byłam pewna, że zaszło coś nieprzewidzianego, gdyż nigdy nie porzuciłbyś mnie bez słowa!

- Nigdy! - zapewnił ją gorąco Hempstead.

- Wiesz co, najdroższy? Może to i lepiej, że los przeszkodził nam w ucieczce. Cóż by to był za skandal! Mój ojciec kipiałby ze złości, a ciocia Olivia!... Nie miałam racji, namawiając cię do tego kroku... i nigdy więcej tego nie zrobię.



Marzycielskie oczy Hempsteada lśniły w księżycowym blasku. Po słowach April poczuł ogromną ulgę. Ustąpił paniczny strach, który nękał go od tamtego wieczora, gdy ogarnięty czułością na widok zwróconej ku niemu słodkiej twarzy dziewczyny, przystał na ucieczkę.

- Ja również miałem wrażenie, że to nie byłoby w porządku - przyznał. - Tylko... co my teraz zrobimy? Ani twój ojciec, ani twoja ciotka Olivia nie spoglądają na mnie przychylnym okiem.

April przyszedł na myśl słowa wyszeptane na innym balkonie. Uśmiechnęła się.

- Myślę, Geoffreju, że powinniśmy poczekać, aż ja będę trochę starsza, a ty trochę mądrzejszy.

- Co to ma znaczyć, April? Chcesz, żebym odszedł? Żebyśmy się już nie spotykali...? Chyba bym tego nie przeżył!

- Och, nie! Ale gruntownie rozważyłam sprawę. Ciocia Olivia nie aprobuje naszych planów, bo uważa, że nie masz ani majątku, ani ambicji.

- No to bardzo się myli! Też coś?! Stara wampirzyca! Właśnie że mam ambicję!

- Geoff, nie powinieneś tak mówić o mojej cioci! - ofuknęła go rozchichotana April. - Ona mnie kocha; pragnie tylko mojego szczęścia. Obawia się po prostu, że nie będziesz miał środków na utrzymanie żony i dzieci. A ojciec kręci na ciebie nosem, bo uważa cię za obiboka, choć w gruncie rzeczy cię lubi. Pewnie by ustąpił, gdyby ciocia Olivia cię zaaprobowowała. I wobec tego - ciągnęła April, wydymając stworzone do pocałunków usta - musimy znaleźć jakiś sposób na przedjednanie cioci!

- Przestaną obijać się po mieście i znajdę sobie pracę - oświadczył Hempstead.

- Ale jaką? Nie chcesz chyba zająć się handlem... ani czymś w tym rodzaju? Ciocia nigdy by tego nie zaakceptowała!

- Błagałem ojca, by kupił dla mnie patent. Gdybym został oficerem kawalerii, twoja ciocia Z pewnością by mnie zaaprobowowała. Przecież twój ojciec jest kapitanem pierwszego pułku huzarów! Ale moja matka nie chce o tym słyszeć. Wystarczy,

że Lionel i Arthur walczą już za Anglię; nie pozwoli mi się zaciągnąć do wojska, i już! A ojciec na pewno się jej nie sprzeciwi. Zdaje się, że matka wolałaby, żebym został duchownym.

-Jakoś cię nie widzę na kazalnicy, wielebny proboszczu! - zaśmiała się April. - Utknąłbyś w połowie pierwszego kazania!... Może twoi przyjaciele, pan Kettering i pan Harcourt, wpadną na lepszy pomysł? Musisz koniecznie zasięgnąć ich rady! A ja skonsultuję się z Amy i Beth.

- Z kim? - spytał Hempstead.

-Z Amy i Beth. To moje najnowsze i najserdeczniejsze przyjaciółki! Wyjątkowo inteligentne i obyte w świecie. Żebyś wiedział, ile krajów zwiedziły! Jestem pewna, że wynajdą takie zajęcie, które i tobie się spodoba, i zaimponuje mojej cioci!

Gdy zakochana para powróciła dyskretnie do sali (znów osłaniana przez Ketteringa i Harcorta), *monsieur* LeBruin wprowadzał właśnie Olivię do gabinetu Langдона.

- Pani brat jest kurierem w sztabie Wellesleya, nieprawdaż? - spytał półgłosem.

- Tak, jednym z kurierów. Co chce mi pan przekazać od brata? Czemu nie wspomniał pan o tym podczas wizyty u mnie?

Piękne oczy LeBruina widać zajęły się od ognia na kominu, takie były płomienne.

- Nie wspomniałem, ponieważ pani brat nie przekazał mi żadnej wieści dla pani. Proszę wybaczyć to małe kłamstewko, *mademoiselle*.

- Ależ przed chwilą twierdził pan... Wobec tego, w jakim celu pan mnie tu zwabił?! Wracam natychmiast do mej podopiecznej!

- Proszę nie odchodzić, *mademoiselle*! Muszę porozmawiać z panią o sprawie najwyższej wagi. Nie przywiozłem co prawda wieści od dzielnego kapitana, ale to, o czym chcę powiedzieć, wiąże się z jego osobą. Nie spotkałem go podczas mej podróży, *mademoiselle* Olivia, choć miałem się z nim spotkać. Pani brat, ma *belle*, zaginął.

- Zaginął?!

- Tak, zaginął. Przepadł bez wieści i nikt nie wie, gdzie się podziewa.

- O, Boże!... - jęknęła Olivia, a LeBruin pospiesznie podsunął jej krzesło.

Jeśli Jack Sloan zamierzał swym szerokim uśmiechem podnieść Abbercombe'a na duchu, to mu się nie udało. Wchodząc do frontowego hallu w klubie White'a, księżę był bliski paniki. Wszędzie pełno ludzi!

- Ależ mam szczęście! Akurat dziś wszystkim zachciało się uciec od żon i dzieci! - wymamrotał, na co Worth uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Weź się w garść, Cash! Zanim się obejrzysz, będzie po strachu! Nie możesz wiecznie ukrywać się przed światem.

- Chcesz się założyć? Zapiszemy to w Księdze Zakładów!

- Prawdę mówiąc - hrabia uśmiechnął się jeszcze szerzej - jest tam już odnotowany zakład dotyczący twego powrotu do klubu.

- Niemożliwe!... - jęknął prawie niedosłyszalnie Abbercombe.

- Ale prawdziwe - zapewnił go przyjaciel, kiwając głową. - O ile dobrze pamiętam, założyli się o to Akanley z Brummellem. Zaraz się przekonamy; obaj tu są.

- Gdzie?

- Tam. - Hrabia powitał lekkim ukłonem Brummella i jego świtę. - Znasz Brummella?

- Raczej nie. Coś tam o nim słyszałem.

- A prawda... Wtedy już cię nie było w Londynie - perorował Worth, biorąc przyjaciela pod ramię i prowadząc go przez całą salę do prywatnego gabinetu, który zarezerwowali na tę okazję. - Brummell jest teraz wyrocznią mody i dobrego smaku. Dandysi ślepo go naśladują - w stroju, w mowie i w uczynkach. Damy ubiegają się o jego aprobatę. Jeśli spodobaś się Beau (Pięknemu) Brummellowi, powodzenie w Londynie murowane!

- Kpisz sobie ze mnie! - Księżę uśmiechnął się szeroko.

- O, to już lepsza mina! Spokojnie, Cash, nikt cię tu nie zje.

Wszelkie rozmowy zamilkły, gdy dwaj przyjaciele kroczyli po barwnym tureckim dywanie. Spojrzenia wszystkich członków klubu koncentrowały się na nich.

- No, cóż? - wycedził nieco afektowany głos, przerywając pełną napięcia ciszę. - Chyba pora rozstać się z gotówką, Alvanley. Czyż to nie on we własnej osobie, ramię w ramię z Worthem?

Abbercombe mało się nie skręcił ze złości, ale na zewnątrz wydawał się spokojny i opanowany. Worth był dumny z przyjaciela.

Od jednego ze stolików podniósł się szatyn średniego wzrostu o bardzo wymownych oczach i zbliżył się do pary przyjaciół.

- Zechciej mnie przedstawić, Worth, bardzo proszę - powiedział z uśmiechem i stanął przed Abbercombe'em. W ciemnoniebieskim surducie z najlepszej wełny i w beżowych pantalonach wyglądał niezwykle wytwornie. W butonierce miał czerwoną różę.

Worth skinął głową.

- Pozwolę sobie zaprezentować waszej książęcej mości pana George'a Bryana Brummella. Panie Brummell - oto Rudolph Casimir Denbigh, książę Abbercombe.

Beau ukłonił się, Abbercombe zdawkowo skinął głową.

- Od bardzo dawna pragnąłem zawrzeć znajomość z waszą książęcą mością... a teraz nie potrafię wymyślić nic mądrego, by zrobić odpowiednie wrażenie. - W oczach Brummella zabłyśły wesołe iskierki. - Czy moglibyśmy uściskać sobie ręce? Niech wasza książęca mość uczyni mi ten zaszczyt.

- A to po co? - spytał Abbercombe półgłosem, chowając dłonie do kieszeni. - O to się też założyliście?

Zdumiony Brummell uniósł brwi.

- Słucham, wasza książęca mość...?

- Jeśli tak, to się zgodzę pod warunkiem, że podzielimy się wygraną. Nie chcesz, to przegrywaj. No więc, mój panie Brummell, ile gotów jesteś zapłacić za książęcy uścisk dłoni?

Twarz Brummella przybrała wyniosły wyraz.

- Czy wasza książęca mość zdaje sobie sprawę z tego - wycedził - że nasz przyjacielski uścisk rąk może się walcie przyczynić do powrotu waszej książęcej mości na łono wielkiego świata?

- Doprawdy? - spytał Abbercombe głosem pozbawionym wszelkiego wyrazu. - Taki smarkacz, a już ma takie wpływy, no, no! Ale mimo wszystko smarkacz. Nawet nie przyszło ci do głowy, dzieciaku, że mi wcale nie tęskno do tego łona, co?

Worth usiłował zachować powagę, ale osłupienie na twarzy Brummella było tak zabawne, że mimo woli parsknął śmiechem. W sali rozległ się szmer zdumienia.

- Opanuj się, Edwardzie - burknął książę i wyjąwszy rękę z kieszeni, pociągnął przyjaciela za ramię. - Brummell i ja usiłujemy dojść do porozumienia. Zechciej nas nie rozpraszać! No więc, dzieciaku - znowu schował rękę do kieszeni - ile jest według ciebie wart mój uścisk dłoni?

Brummell z trudem zachował powagę.

- Mógłbym powiedzieć, że jest bezcenny, wasza książęca mość.

- Owszem, mógłbyś, ale nic by ci z tego nie przyszło. No więc, jak było z tym zakładem? Gadaj szczerze, a jak nie, to idziemy dalej. Worth!

- Pięć tysięcy - wymamrotał Brummell. - Teraz widzę, że trzeba było wyżej obstawić.

- Wezmę tysiąc - oznajmił cicho Abbercombe. - Dla Wortha dwa. Ostatecznie jemu zawdzięczasz pierwszą wygraną. Ściągnął mnie tu, prawda?

- Istotnie - przytaknął Brummell, zerkając na hrabiego. Gdyby nie to, że natychmiast odwrócił wzrok, obaj ryknęliby śmiechem. - Czy wasza książęca mość życzy sobie partycypować także w tej wygranej?

- Nie, trzy tysiące wystarczą w zupełności. - Abbercombe uśmiechnął się i wyjąwszy rękę z kieszeni, podał ją Beau.

Brummell uściśnął wyciągniętą dłoń, po czym ujął księcia pod ramię i we trójkę odbyli resztę drogi.

- Dopilnuję, by pieniądze dotarły do waszej książęcej mości przed końcem obiadu - oświadczył tonem człowieka interesu. Przed wejściem do zarezerwowanego gabinetu pożegnał przyjaciół jeszcze jednym ukłonem.

Wieczór w klubie okazał się znacznie miłszy, niż Abbercombe się spodziewał. Z Ralphem Richardsonem i Donal-

dem Hurleyem nie widział się od czasu swego haniebnego wydalenia z Anglii. Przekonał się, że są szczerze radzi z jego powrotu i sami już nie wiedzą, jak mu to okazać. Karmili go wybornymi potrawami, raczyli nowinami z ostatnich dwudziestu lat oraz anegdotkami, suto podlewając je jego ulubionym winem kanaryjskim. Cash dowiedział się, że Worth zwlekał z ożenkiem do trzydziestego pierwszego roku życia i w końcu znalazł sobie smarkulę; że Richardson ma córkę w tym samym wieku co Amy i Beth; że brat Hurleya walczył w Portugalii w szeregach nieszczęsnej armii sir Johna Moore'a i wrócił do domu ledwie żywy.

- Gdyby nie pewien gość, zwany „Łotrem”, który jakimś cudem przemycił przez linie Francuzów statki i umożliwił naszym chłopcom powrót do Anglii, Neil gryłby teraz ziemię jak sam sir John - westchnął Hurley. - Nikt nie zdołał odkryć, kim był ów „Łotr”. Tylu ludziom ocalił życie... i żaden z nich nie wie, komu za to dziękować.

- Dość tego gadania! - Worth położył kres opowieściom. - Najwyższy czas zasiąść do kart, nieprawdaż? Masz ochotę na wista, Cash?

Abbercombe uśmiechnął się szeroko i pospieszył za przyjaciółmi do jednego z pokojów karcianych. Chęć zmierzenia się z hrabią i księciem wyrazili kipiący entuzjazmem Brummell i mniej pewny zwycięstwa Alvanley. Kilku członków klubu demonstracyjnie opuściło pokój, ale większość skoncentrowała się na grze. Worth dziękował w duchu opatrności, że nikt otwarcie nie stawił czoła księciu. Zdumiewającą powściągliwość członków klubu, z których nawet najbardziej szanowani nie pozwolili sobie na wszczęcie sprzeczki, przypisywał nieoczekiwanej sympatii, jaką poczuł do Abbercombe'a Brummell.

Owa sympatia została wszakże poddana ciężkiej próbie, kiedy po kilku godzinach Abbercombe wstał od stolika z dziesięcioma tysiącami wygranych od Brummella funtów w kieszeni.

- Wasza książęca mość nie może tak odejść! - oświadczył Brummell, a jego oczy zwięziły się w groźne szparki. - Musi mi dać szansę rewanżu!

- Muszę, powiadasz? Czyżby chroniło cię, dzieciaku, jakieś nowe prawo?

- Cash! - westchnął Worth, dostrzegając zmienioną twarz Brummella. - Nie upieraj się!

Abbercombe usiadł i odchylił się na oparcie krzesła. W milczeniu przyglądał się śnieżnobiałej kamizelce Beau.

- Niech będzie - burknął w końcu. - Jeszcze jedna partycja. Moje dziesięć tysięcy przeciwko twojej kamizelce.

Brummell wzdrygnął się.

- Nie prosiłem o jałmużnę, mości książe! - oświadczył skonsternowany.

- Wcale ci jej nie proponuję. Przypadła mi do smaku twoja kamizelka, i tyle! Proponuję takie stawki. Nie chcesz, to nie graj.

Worth smutno potrząsnął głową, gdy Brummell namówił Alvanleya na ostatnią partię.

- Nie wiesz, na co się porywasz! - szepnął do Beau, biorąc karty do ręki.

Abbercombe grał w milczeniu; oczy mu błyszczały wesołością. Gdy gra dobiegła końca, chichoczący Alvanley pomógł Brummellowi zdjąć surdut. Niemal płaczący ze śmiechu Worth przyglądał się, jak Beau ściąga białą kamizelkę i wtyka ją w wyciągniętą rękę księcia. Ten zwinął zdobycz w trąbkę, wetknął za cholewę buta, skinął głową i obrócił się na pięcie. Otoczony natychmiast przez śmiejących się przyjaciół, Wortha, Hurleya i Richardsona, opuścił pokój.

Brummell, któremu udało się do tej pory zachować kamienny wyraz twarzy, padł na krzesło, oparł się czołem o blat stołu i pozostał w tej pozycji przez pełne dwie minuty.

- Nic ci nie jest, Beau? - zagadnął go wreszcie Alvanley.

- Absolutnie nic - wycedził Brummell, prostując się na krześle i wycierając ręką oczy. - Jestem nie tylko cały i zdrowy, Alvanley, ale i wyjątkowo szczęśliwy. Gdyby nie to, że urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą, Abbercombe'owi zachciałoby się moich pantalonów!

- A widzisz! - Lord Molyneux mrugnął znacząco, podchodząc do stolika. - Mogłem cię ostrzec, że się tak skończy... Abbercombe urodził się z talią kart w jednej ręce, a komple-

tern kości w drugiej! Właśnie stąd to przezwisko „Cash”, bo nasza forsa zawsze zniknęła w jego kieszeni. Powinieneś się cieszyć, Brummell, że nie domyślił się tego zakładu o uścisk dłoni! Obrałby cię i z tej forsy!

- Co ty powiesz? - mruknął Brummell, a w jego oczach zamigotały złośliwe ogniki. - Ależ ze mnie szczęściarz, Molyneux! Szczęściarz nad szczęściarzami!

Olivia w milczeniu wpatrywała się w LeBruina; na jej twarzy malował się niepokój.

- Jestem niepokieszony, łaskawa pani, że przynoszę takie wieści - rzekł LeBruin, ściskając jej dłonie w białych rękawiczkach. - Odkładałem tę chwilę, a teraz żałuję mej opieczętowania. Kiedy złożyłem wizytę w pani domu, miałem nadzieję, że spotkam tam kapitana Willburton-Smythe'a.

- Ale... ale jak mógł pan tego oczekiwać? Przecież Andrew jest teraz na froncie, w sztabie Wellesleya!

- *Non, mademoiselle*. Miał mi przekazać pewną przesyłkę w małej mieścinie o nazwie Gironde. Kiedy moja obecność w tej dziurze zaczęła wzbudzać podejrzenia, wyjechałem stamtąd, licząc, że w domu zastanę wiadomość od niego. Niestety, myliłem się.

- Jak... jak ja to powiem April...? - wyszeptęła Olivia bliska płaczu.

Francuz jeszcze mocniej ścisnął jej rękę.

- *Non, mademoiselle*, proszę nie mówić ani słowa biednemu dziecku! Po co ją przedwcześnie niepokoić? Być może kapitan zjawi się niebawem. Możliwe, że powrócił do sztabu Wellesleya, dowiedziawszy się, że opuściłem Gironde. Powiadomiłem panią o jego zniknięciu tylko dlatego, że pani zapewne pierwsza otrzyma od niego jakąś wiadomość... i zechce wówczas uspokoić mnie, że jest zdrow i bezpieczny.

- Ale dlaczego właściwie Andrew miałby przekazywać panu jakieś wieści? - Olivia usiadła prosto i oswobodziła rękę z uścisku Francuza. - Czyżby pan... czy to możliwe, by pan był... szpiegiem?

LeBruin odwrócił wzrok, ale po chwili znów spojrzął jej



w oczy. Jego ciemne kędzierzawe włosy, odgarnięte stanowczą ręką z czoła, nie zasłaniały płonących oczu. Olivia instynktownie cofnęła się z odrazą.

- *Oui, mademoiselle*, jestem szpiegiem. To gra o wysoką stawkę: moje życie i upadek tego tyrana, Napoleona! Ale proszę nie mówić o tym nikomu. A gdyby otrzymała pani jakąś wiadomość od brata, czy zechce mnie pani powiadomić? Nie zaznam spokoju, póki się nie dowiem, że nic mu już nie grozi.

Olivia skinęła głową.

- Proszę zaglądać od czasu do czasu na Park Street, *monsieur*, powiadomię pana, skoro tylko dotrą do mnie wieści od Andrew.

Abbercombe pożegnał się z przyjaciółmi, zapewniając ich, że bez trudu zdoła przejść ostatni kawałek drogi na piechotę. Ziewnięciem uczcił chwilę, gdy dotarł na spowity mrokiem dziedziniec Fielding House. U podnóża frontowych schodów przystanął.

- Kto tam? - warknął, odwracając się błyskawicznie w stronę krzewów rosnących na drugim końcu podjazdu.

Nic nie usłyszawszy, odwrócił się i bez pośpiechu ruszył po schodach, z dłonią na rękojeści szabli. Drugą macał się po kieszeniach w poszukiwaniu klucza. Kiedy pochylił się, by włożyć go do dziurki, usłyszał szmer. Wyprostował się i obejrzał przez ramię. Nie odrywając spojrzenia od kępy krzewów, obrócił klucz w zamku, otworzył drzwi, wślizgnął się do środka i natychmiast zamknął je za sobą.

- Ty durniu! - szepnął, szukając po ciemku świecy, którą Dawson miał dla niego zostawić. - Jesteś w domu. Nikt cię nie śledzi, nikt nie czai się na ciebie. To Anglia! Bezpieczna Anglia. I ty też jesteś bezpieczny.

Ostrożnie stąpając, udał się na drugie piętro. Zajrzał do każdej z czterech sypialni i ucałował w czoło każde z dzieci. Potem dowlókł się do swego pokoju, gdzie w fotelu obok dogasającego kominka zastał śpiącego Fanninga.

Z promiennym uśmiechem przyklejonym do twarzy Olivia przez całą drogę powrotną przysłuchiwała się paplaninie

April na temat wieczoru u Langdonów. Prawdę mówiąc, słyszała tylko głos bratanicy, treść jej wypowiedzi nie docierała do niej. Będąc nadal w stanie szoku, wyprawiła April do łóżka i udała się do swojej sypialni. Pomyśleć tylko: Andrew zaginął! Być może tropią go wrogowie... może nawet (nie daj, Boże!) zabili go i leży teraz w obcej ziemi!... Nie, to niemożliwe! A LeBruin, w którego obecności czuła się zawsze tak niepewnie, okazał się angielskim szpiegiem!... Nigdy dotąd - do chwili gdy w gabinecie Langdona LeBruin po raz pierwszy wymówił imię jej brata - z taką mocą nie dotarły do jej świadomości tragiczne konsekwencje wojny i cała jej groza. Tej nocy Olivia nie zmrużyła oka. Rano kazała podać sobie śniadanie do łóżka; chciała zapanować nad sobą, zanim stanie z April twarzą w twarz. Nie mogła obarczać bratanicy brzemieniem lęku o zaginionego ojca. Nie mogła tego uczynić. Sama musi dźwigać ten ciężar i zachowywać się tak, jakby nic złego się nie wydarzyło.

Na początku następnego tygodnia panna Willburton-Smythe w towarzystwie bratanicy przechadzała się po wielkiej hali targowej Burlington Arcade. Celem był zakup jakiegoś efektownego drobiazgu, który można by postawić na stole we frontowym hallu.

- Z pewnością znajdę coś, co będzie pasowało - mruknęła do April z wyraźnym brakiem przekonania. - Rozejrzyj się po stoiskach, kochanie, a nuż coś zwróci twoją uwagę. A przy okazji może znajdziesz jakąś błyskotkę dla siebie? Tylko nie zapuszczaj się zbyt daleko - dodała, lustrując najbliższe otoczenie. - Już wiem! Weź ze sobą Peggy! Doskonale obejdę się bez niej przez jakiś czas.

Ogromnie rada, że nie musi już wlec za sobą bratanicy i pokojówki, na których twarzach malowała się bezbrzeżna nuda, Olivia znów podjęła swą wędrówkę

W pobliżu miejsca, gdzie poszukiwała czegoś do dekoracji stołu, książe Abbercombe wykonywał właśnie obrót dookoła własnej osi, mierząc bystrym wzrokiem halę targową. Towarzyszyły mu dwie złotowłose dziewczynki, każda uczeptiona jego ręki.

- No więc, dokąd chcecie iść? - spytał, kucając przed nimi tak, że ich twarze znalazły się na jednym poziomie. - Jakoś nie mogę się zorientować, który sklepik macie na myśli.

- Ten tam! - oświeciła go Gracie z wyraźnym zniecierpliwieniem.

- Ten z takim dużym panem-lalką przy wejściu - uzupełniła Helen.

- Ale to trafika, sklep z wyrobami tytoniowymi, moje złotka! Z pewnością nie macie tam czego szukać.

- Właśnie że mamy - stwierdziła z uporem Gracie.

- Że mamy! - poparła ją Helen, błagalnie spoglądając na ojca niebieskimi oczkami.

- Nie możecie tam pójść i basta! - odparł Abbercombe, przytulając obie na pociechę. - W każdym razie nie same. Ze mną owszem, ale beze mnie nawet nie próbujcie. Wszystko, co tam sprzedają, moje kochaneczki, nadaje się tylko dla pań: fajki, tytoń, tabaka... Dla małych dziewczynek nic tam nie ma.

Dwie kędzierzawe główki zwisły jak zwiędłe kwiatki. Dwie pary niewinnych niebieskich oczu spoglądały tragicznie na dwie pary wysokich buczków.

- Wstrętne oszustki! - jęknął książę. - Nie strójdzie tych rozpaczliwych min! Wszyscy pomyślą, że się nad wami znęcam. Tego właśnie chcecie?

- Nie, tatusiu - odparła Helen, unosząc główkę na tyle, by jej słowa dotarły do ojcowskich uszu. - Ale sam mówisz, że możemy wydać kieszonkowe na co chcemy!

- To prawda, możecie wydać te pieniądze na wszystko, co się wam spodoba. Ale tutaj nie ma nic dla was, zrozumiano? Niedaleko jest sklep z różnymi świecidełkami. Idziemy tam?

- Nie! - wymamrotała Gracie tak cicho, że Abbercombe musiał się nachylić, by ją usłyszeć. - My chcemy coś kupić TU! - Podniosła główkę i ze łzami w oczach wskazała sklepik z wyrobami tytoniowymi. - I bez ciebie!

- Gracie Irene, tylko bez tych sztuczek ze łzami! - westchnął książę. - Nie od dziś jestem twoim tatusiem i dobrze wiem, że umiesz płakać na zawołanie. Mnie na to nie nabierzesz!

- N...n...nie będę płakać, t...tatusiu... - wyjąkała Gracie i dwie wielkie łzy spłynęły po różowej buzi.

Abbercombe uśmiechnął się, wyjął chusteczkę z kieszeni i starł z policzków córki dowody jej niezwykłego talentu.

- Gdybyście mi powiedziały szczerze, co tu chcecie kupić... - podsunął. - Może zobaczyłyście coś na wystawie, kiedy byłyście tu z panną Greene? Jestem pewien, że nie wprowadziła was do trafiki!

- Nie, tatusiu - potwierdziła Helen z nadąsaną minką. - Powiedziała: „Mowy nie ma"! Ale ona nie rozumi... nic a nic!

- Bardzo mi przykro, ale i ja nic nie rozumiem. Już trzeci raz przychodzicie tu z zamiarem wydania waszej tygodniówki... i po raz trzeci wracacie z pustymi rękami!

- Bo jak chcemy to coś kupić, to nikt nam nie pomoże! - oparła Gracie i tupnęła nóżką. - Ani Greene, ani Amy, ani NIKT!

Olivia, która przystanęła w pobliżu wiedziona ciekawością, podobnie jak kilkoro innych klientów, zachichotała ubawiona tym przejawem rodzinnego temperamentu. Abbercombe usłyszał śmiech, podniósł głowę i spostrzegł ze zdumieniem, że stał się ośrodkiem ogólnego zainteresowania. Poczzerwieniał z irytacji. Potem w tłumie gapiów dostrzegł Olivie i wyprostował się, ujmując za rękę każdą ze swych pociech. Z pewnym wahaniem zbliżył się do panny Willburton-Smythe. Jasne włosy miał zmierzwione, na ustach rozbrajający uśmiech.

- Witam, panno Olivio - powiedział, kłaniając się, ale nie wypuszczając z rąk dziecięcych łapek. Otworzył usta, ale nie mógł już wydobyć ani jednego słowa.

- Nie ma się czego wstydzić, wasza książęca mość - szepnęła Olivia z serdecznym uśmiechem. - Tym razem pozwolili pan, bym go wybawiła z opresji? Zachowujmy się swobodnie, jakbyśmy byli szczęśliwą rodziną, a gapie szybko się nami znudzą.

- Oby tak było! - szepnął Abbercombe, wznosząc oczy do góry. Olivia znów zachichotała. - Chyba pani jeszcze nie zna moich młodszych córek?

- Jeszcze nie, ale z przyjemnością je poznam.

-W takim razie... to jest Gracie. -Wskazał głową dziewczynkę po lewej. - A to Helen.

Olivia znowu uśmiechnęła się na widok dziewczynek dygających z ogromnym zapałem, ale dość chwiejnie. Pewnie by się przewróciły, gdyby nie ojcowskie ręce.

- A to jest panna Willburton-Smythe - poinformował córki książe. - Ciocia April, u której Amy i Beth były z wizytą.

- Bardzo miło panią poznać - wyrecytowała Helen, wpatrując się wielkimi oczami w Olivię. Gracie też się na nią gapiła, ale nie powiedziała ani słowa.

- Ja również bardzo się cieszę, że mogę was poznać - odparła Olivia. - A może i pomóc w czymś? Coś mi się zdaje, że jesteście w kłopotcie.

- Nie mamy żadnych kłopotów z tatusiem! - ujęła się za ojcem Gracie, ściskając jego dłoń obiema rączkami.

- Właśnie że mamy kłopot - sprzeciwiła się Helen, puszczając rękę ojca i przytulając się do jego nogi. - A pani umie pomagać, panno Gil...bujda...smyk...?

Abbercombe wzruszył ramionami.

- To bardzo trudne nazwisko - mruknął, obejmując córeczkę ramieniem.

- Oczywiście, lady Helen. I chętnie wam pomogę. Musicie mi tylko wytłumaczyć, o co chodzi.

- Z jakiegoś powodu - wyjaśnił książe - koniecznie chcą wejść do trafiki, lecz beze mnie. Tłumaczyłem im, że damy bardzo rzadko zagląдают do takich sklepów, a one same w żadnym wypadku nie mogą tam wejść. Ale to im wyraźnie nie trafia do przekonania.

Olivia wyciągnęła ramiona.

- Proszę tu na nas zaczekać, wasza książęca mość - powiedziała, gdy Gracie i Helen wzięły ją za ręce. - Musimy odbyć naradę w kobiecym gronie. - Uśmiechnęła się do księcia uspokajająco i odeszła z dziewczynkami na bok. - A teraz wyjaśnijcie mi, czemu musicie wejść do tego sklepu bez tatusia - powiedziała, przyklękając i obejmując siostry ramionami.

Kilka minut później Olivia wstała, wzięła dziewczynki za ręce i pewnym krokiem weszła wraz z nimi do trafiki. Kiedy

stamtąd wyszły, każda z bliźniaczek miała w ręku pakunek, który niosła niezwykle ostrożnie. Abbercombe pospieszył im na spotkanie.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że pani tego dokonała! - mruknął z dziwnym wyrazem twarzy, którego Olivia nie mogła rozszyfrować.

- Nie jestem panienką prosto z dziecięcego pokoju, wasza książęca mość! - odparła dość szorstko. - Mogłabym wejść do samego diabła, gdybym tam miała coś do załatwienia!

Książę już otworzył usta, ale zaraz je zamknął, wbił wzrok w podłogę, a potem jakoś dziwnie spojrział na Ołivię.

- Bardzo dziękuję - powiedział cicho. - Ogromnie nam pani pomogła.

## 5

Przez całą drogę do domu myśli Olivii powracały uparcie do Abbercombe'a. Chwilowo zapomniała nawet o obawach o los brata.

- Bardzo się zmęczyłaś, ciociu? - spytała ją April, gdy znalazły się już w domu. - Jesteś taka milcząca... Może byś się położyła na chwilkę?

- Nie, nie! Nic mi nie dolega. Napiję się herbaty i zaraz nabiorę wigoru. Albo nie, lepiej wybiorę się na spacer. Peggy! - zwróciła się do pokojówki, która już miała odejść. - Idziemy na przechadzkę, włóż z powrotem płaszcz!

Podczas spaceru nogi same zaniósły Ołivię na Cumberland Square, w objęcia zaniepokojonej Jessiki.

- Co z tobą, Olivio? Skąd ta ponura mina? Siadaj, proszę! Właśnie chciałam napić się herbaty... jeszcze lepiej będzie mi smakowała w twoim towarzystwie!

Mimo iście matczynej troski lady Denbigh minęło dobre

pięć minut, nim panna Willburton-Smythe otrząsnęła się z przygnębienia i przeprosiła za swoje zachowanie.

- Naprawdę nie wiem, co mnie tak rozstroiło... - westchnęła. - Nie, to nieprawda! Doskonale wiem co... a raczej kto. Twój szwagier!

- Abbercombe? - Policzki lady Jess poczerwieniały. - Co on takiego zrobił? Jeśli sprawił ci przykrość, musisz mi natychmiast o tym powiedzieć!

Olivia już otworzyła usta, by wyjaśnić, że księżę niczym wobec niej nie zawinił, ale przeszkodziło jej wejście majordoma, któremu dosłownie następowało na pięty dwóch bardzo młodych kędzierzawych dżentelmenów.

- Bratankowie jaśnie pani chcą się koniecznie widzieć z cicią, milady - oznajmił Robson i - o dziwo! - uśmiechnął się.

- To strasznie ważne, cioteczko! - wołał już od progu Christian, który zręcznie wyminawszy służącego, wpadł do pokoju. - O, proszę wybaczyć... Nie wiedziałem, że ciocia ma gościa...

- Dzień dobry pani. - Wynurzając się zza pleców brata, Damian uśmiechnął się do Olivii i pięknie się uklonił.

Lady Denbigh przedstawiła bratanków przyjaciółce i kazała podać więcej herbaty.

- Miałam przyjemność poznać Amaryllis, Bethany, Christiana, Damiana, Gracie i Helen - powiedziała z uśmiechem Olivia. - Chyba to już wszyscy?

- Nie, proszę pani - roześmiał się Daymee. - Ale Ethan i Frazier zaraz tu będą.

- Naprawdę? - zdziwiła się lady Jessica.

- Tak, cioteczko - zapewnił ją Christian. - A w każdym razie spodziewamy się ich. Pan Stanton - ich guwerner, ciocia wie? - zabrał ich na zwiedzanie katedry, ale postarają się czym prędzej go zgubić! To znaczy... niezręcznie się wyraziłem... Pan Stanton jest bardzo miły i wszyscy go lubimy, tylko...

- Tylko akurat dziś wolicie, żeby się nie plątał pod nogami? - podsunęła Olivia.

- Z ust nam to pani wyjęła! - potwierdził Damian.

- Przyszliśmy specjalnie, żeby zaprosić ciebie i stryjka na

następną sobotę. Chyba nie masz, ciociu, innych planów na ten wieczór? Wydajemy przyjęcie.

Lady Jessica zrobiła wielkie oczy i z niepokojem obejrzała się na przyjaciółkę. Christian trafnie odczytał myśli ciotki i uśmiechnął się uspokajająco.

- Możesz się nie obawiać, ciociu! Na tym przyjęciu nikt nie obrazi tatusia! Zapraszamy wyłącznie przyjaciół. Pani Griffin obiecała posłać do cukierni Guntera po ciastka z truskawkami. Lubisz je, prawda, cioteczko? Będą też pierniczki i lemoniada.

- A Dawson pomoże nam udekorować salę... Będzie po prostu fantastycznie! Obiecuj, że przyjdiesz, cioteczko! - nalegał Damian. - Panią również serdecznie zapraszamy, panno Wiilburton-Smythe, i pannę April też! Amy i Beth udały się właśnie na Park Street z zaproszeniem. To przyjęcie z okazji urodzin naszego taty!

Na korytarzu rozległ się głośny tupot. Po chwili do pokoju wpadli Ethan i Frazier.

-Już jesteście! -wykrzyknął radośnie Frazier. -Gdzie stryjek Bastian? Jeszczeście go nie dopadli? O, bardzo przepraszam - dodał pospiesznie, gdy groźne spojrzenie starszego brata uświadomiło mu, że w pokoju są damy. - Dzień dobry, ciociu. Dzień dobry pani!

- To panna Wiilburton-Smythe - oznajmił Christian ceremonialnym tonem. - Ciotka panny April.

Ośmioletni bliźniacy, rozczochrani, zaczerwienieni i bez tchu po długim biegu, spowaźnieli natychmiast i powitali Olivię całkiem zgrabnym ukłonem.

- Ethan i Frazier - przedstawił braci Damian. -I to już wreszcie koniec. Teraz zna już pani całą naszą drańską paczkę!

- Daymee, wyrażaj się odpowiednio! Przy paniach nikt nie mówi o „drańskich paczkach” - ofuknął brata Christian.

- Niby dlaczego? - zdziwił się Ethan. - Tatuś tak mówi!

- To nie jest odpowiednie słowo dla damskich uszu.

- Ale to fajne słowo! - zaprotestował Frazier. -Jak tata mówi „drańskie”, to zaraz wiem, że opowie nam o piratach!

Christian wymownie wzruszył ramionami i zaprzestając dyskusji, zwrócił się do dam.



- Przyjadą panie, prawda? O ósmej wieczorem.
- W sobotę! - wrzasnął Ethan, skacząc na jednej nodze.
- Będzie fantastycznie! - zachwalał równie głośno Frazier. - Coś jeszcze lepszego niż ucztą u cara!
- Mój Boże! - Olivia udała niebotyczny zachwyt. - Takiej okazji nie można przepuścić, prawda?
- Pewnie że nie! - przytaknął Ethan, potrząsając kędzierzawą czupryną. - I wszyscy się przebieramy za Cyganów! A te wstrętne zakute pały, co tatusiowi narobiły tyle przykrości, niech nam zazdroszczą! Nikogo z nich nie wpuścimy!
- Nikogo, nawet Prinny'ego - dodał Frazier. - Choćby błagał na kolanach! Zamkniemy mu drzwi przed nosem!
- Zanim zjawił się lord Sebastian w stroju do konnej jazdy, by zapędzić czterech rozchichotanych chłopców do stajni, obie damy obiecały solennie, że zjawią się na przyjęciu.
- Mam wrażenie, że przeleciał tędy huragan - zaśmiała się po ich wyjściu Olivia.
- To bardzo ładnie z twojej strony, że przyjęłaś zaproszenie.
- Jak mogłabym odmówić? Jeszcze wspanialsza impreza niż ucztą u cara! Ale dlaczego musimy się przebrać za Cyganów? Na samą myśl o tym serce mi zamiera!
- Ale humor ci się wyraźnie poprawił! - stwierdziła lady Denbigh i uśmiechnęła się szeroko. - Co takiego chciałaś mi powiedzieć, Olivia, na temat Abbercombe'a?
- Czy wiesz, Jess, że on wybrał się z Gracie i Helen na zakupy do Burlington Arcade? Nigdy dotąd nie słyszałam, by jakiś dżentelmen chodził z dziećmi po sprawunki! Ależ byłabym dumna, gdyby w dzieciństwie ojciec zabrał mnie na spacer po Piccadilly czy Mayfair. - Olivia opisała scenkę rodzinną, której była świadkiem; oczy lady Jessiki rozbłyły wesołością. - A potem spojrzał na mnie tak dziwnie, kiedy wyszłam z dziewczynkami z trafiki... Myślałam, że obraził się na mnie, że je tam zabrałam. Ale nie mogłam mu niczego wyjaśnić, bo to ma być niespodzianka!
- Może przypomniała mu się Celia - rzekła lady Denbigh, marszcząc czoło. - Nie znałam jej, ale mam wrażenie, że bez namysłu zabrałaby dziewczynki do sklepu, tak jak ty. Amy

i Beth mówiły mi, że ilekroć tatusiowi przypomni się mama, bardzo go to boli... -Jessica przyjrzała się uważnie przyjaciółce. -Już nie jesteś taka nieprzejednana, prawda?

- Nieprzejednana? O czym ty mówisz?

- Nie pamiętasz, jak nazywałaś Casha diabłem i chciałaś ocalić Amaryllis i Bethany od tego potwora? Przyznaj, że masz teraz o nim inne zdanie!

Panna Willburton-Smythe wymigała się od odpowiedzi, wykrzykując, że jest już bardzo późno i musi natychmiast wracać. Jednak dręczący ją niepokój nie zelżał, a myśli krążyły uparcie wokół Abbercombe'a.

Poprzedni obraz księcia - złośliwego diabła - wydawał się jej fałszywy i krzywdzący. Im więcej miała do czynienia z dziećmi Abbercombe'a, tym bardziej była przekonana, że taki człowiek nie mógł nikogo zatłuc na śmierć w Seven Dials czy gdziekolwiek indziej. Widok księcia klęczącego obok córeczek, z czułością je obejmującego i absolutnie obojętnego na reakcję otoczenia przekonał Oliwię bardziej niż wszelkie inne dowody, że wyrok sprzed lat był straszliwą pomyłką. Abbercombe wyglądał tak niewinnie, tak prostodusznie, że serce omal się jej nie wyrwało z piersi!... Jessica zapewne miała rację: widać przypomniała mu się zmarła żona, stąd ten nagły smutek i dziwne spojrzenie. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie! Taki dobry, taki wrażliwy człowiek skazany na życie wyrzutka... Jej ukochany brat Andrew zaginiony, być może w śmiertelnym niebezpieczeństwie... I pan LeBruin zmuszony do prowadzenia podwójnego życia tylko dlatego, że chce ocalić świat od groźnego szaleńca!...

Zanim dotarły z Peggy na Park Street, Olivia wpędziła się w tak czarną melancholię, że zwykła rozmowa z April przy obiedzie wydawała jej się czymś ponad jej siły.

Abbercombe również miał tego wieczora kłopot)' z ujarzmieniem niesfornych myśli, ale ponieważ od dawna zwykł ukrywać uczucia, podczas obiadu z dziećmi tryskał wprost humorem, potem zaś - zamiast delektować się w samotności ulubionym winem - zapędził wszystkie swoje pociechy do gry

w loteryjkę; skłonił do niej również pana Stantona i pannę Greene przymówkami, że tracą sympatię swych podopiecznych, jeśli będą kręcić nosem na ich niewinne rozrywki.

Dopiero późnym wieczorem schronił się w zaciszu gabinetu, nalał sobie brandy, zapalił cygaro i opadł na obity brokatem fotel koło kominka. Zapatrzył się w płomienie i pozwolił wreszcie swoim myślom skupić się na osobie panny Willburton-Smythe.

Nie rozumiał, doprawdy, czemu ta kobieta tak go fascynuje! Nie, do licha! Rozumiał to doskonale, tylko nie chciał przyznać się do swej fascynacji. Niech to szlag! Zadziwiła go na każdym kroku! A nie udało się to żadnej kobiecie, od chwili gdy Celia wprawiła go w osłupienie, schodząc jakby nigdy nic po trapie z pokładu „Mężnego serca” na nadbrzeże bostońskiego portu - dokładnie w rok po tym, jak się pobrali, i zaledwie w dwa miesiące po jego haniebnej deportacji. Widok żony przypawił Casha o gwałtowne bicie serca i wywołał zamęt w jego duszy. Ich małżeństwo było zaaranżowane przez rodziny i Cash nawet sobie nie uświadamiał, że kocha Celię. Teraz jednak dobrze wiedział, że mógłby na zabój zakochać się w pannie Willburton-Smythe. W staromodnym kapelusiku z plecionej słomki, ozdobionym zawadiacką zieloną kokardą, wyglądała jak Gracie czy Helen przebrana „za damę”. Właśnie ta troszkę niepewna mina dziecka udającego dorosłość zdawała się przeczyć temu, o czym świadczyły słowa i czyny panny Willburton-Smythe: jej niezależności i samowystarczalności. Abbercombe nie mógł pojąć, czemu taka kobieta matkuje bratanicy, zamiast wychowywać gromadkę własnych dzieci. Czyżby pod jego nieobecność elita towarzyska tak zwyrodniała, że wszyscy mężczyźni pozbawieni byli wzroku, słuchu i rozumu?! Jak mogli pozwolić, by równie urocza istota wymknęła im się z rąk?

Niech to wszyscy diabli! Mężczyzna w jego wieku i z jego zaszarganą opinią nie może nawet marzyć o związaniu się z przyzwoitą panną! No, cóż... jeśli nie wolno mu zakochać się w pannie Willburton-Smythe, to przynajmniej spróbuje ułatwić jej życie. Na początek zrobi to, o co prosiły go Amy

i Beth. Pomoże małej April; sprawi, że Geoffrey Hempstead Z nieproszonego amanta przeistoczy się w pożądanego konkurenta... a tym samym uwolni Olivię od troski o los bratanicy. Postanowił, że jeszcze dziś napisze do Wyndhama i zasugeruje mu, by zaangażował Hempsteada w zastępstwie Harry'ego.

Olivia zerknęła znad haftu na April apatycznie wpatrującą się w ogień. W duchu wyrzucała sobie, że zaprzątnięta własnymi troskami nie poświęcała dość uwagi bratanicy.

- Wybierasz się jutro na przejażdżkę po parku z lordem Godderingiem? - spytała, odkładając robótkę. - Jego faeton jest niezwykle szykowny; z pewnością przyjemnie ci będzie pokazać się w takim powozie.

April z trudem zebrała myśli.

- Tak - odparła. - Przyrzekłam dziś rano lordowi, że wybiorę się z nim na spacer.

- To bardzo miły młodzieniec, nieprawdaż? Mam wrażenie, że dobrze się bawisz w jego towarzystwie.

- Tak, ciociu, jest naprawdę miły - odpowiedziała dziewczyna, zachodząc w głowę, czemu ciotka uczepiła się akurat Godderinga. - A przejażdżka jego faetonem z pewnością będzie przyjemna.

- Nie wątpię. - Olivia skinęła głową. - Teraz, gdy ludzie całymi rodzinami zjeżdżają do Londynu, z pewnością przybędzie dżentelmenów, którzy będą zabiegać o twoje towarzystwo. Sama się przekonasz, jak wielu! W pełni sezonu nieraz pomyślisz tęsknie o spokojnym wieczorze w domowych pieleszach. Takim jak ten.

- Tak - westchnęła April i znów zapatrzyła się w ogień.

- Mam nadzieję, kochanie, że nie usychasz z tęsknoty za panem Hempsteadem, co? Wiem, wiem: wydaje ci się, że jesteś w nim zakochana... ale masz tak niewiele doświadczenia w tych sprawach! A ten młodzieniec ani twemu ojcu, ani mnie nie wydaje się odpowiednim konkurentem. Sama się przekonasz, April. - Porzuciwszy fotel, usiadła na sofie koło bratanicy. - Niejeden raz poczujesz słabość do tego czy innego dżentelmena, zanim wyjdiesz za mąż.

- Czy i ty, ciociu, miewałaś słabość do różnych dżentelmenów?

- Oczywiście! Tylko obiekt moich uczuć stale się zmieniał. Byłam widać z natury płocha i okropnie wymagająca... ale bawiłam się wyśmienicie! - Olivia uśmiechnęła się szeroko, wspominając swój pierwszy sezon.

- A jednak nie wyszłaś za mąż!

- Pewnie bym w końcu wyszła, gdyby twój dziadek nie umarł tak niespodziewanie. Po jego śmierci znalazłam się w wyjątkowo korzystnej sytuacji. Ponieważ nasz majątek nie był związany majoratem, więc mój ojciec mógł rozporządzić nim wedle własnego uznania. Otrzymaliśmy po połowie - twój ojciec i ja. I wówczas odkryłam, że wcale nie muszę wychodzić za mąż. Obawiam się, że uznasz mój sposób rozumowania za dziwaczny, ale mnie wydawało się to bardzo proste. Jeśli wyjdę za mąż, mój posag przejdzie w ręce męża, a ja nie będę miała nic do gadania. Natomiast jeśli pozostanę panną, będę mogła robić ze swoim majątkiem, co mi się spodoba.

April wpatrywała się w ciotkę rozszerzonymi oczyma.

- Jak mogłaś myśleć o takich rzeczach, ciociu? Ja marzę tylko o tym, by ktoś ożenił się ze mną, czuwał nade mną i kochał mnie!

- Wiem, kochanie. Pewnie i ja wyszłabym za mąż, gdybym się naprawdę zakochała. Ale tak się nie stało. Nie brakowało mi adoratorów, bo byłam niebrzydka, pochodziłam ze starej, szacownej rodziny i miałam okazały posag. Ale żaden z konkurentów nie traktował mnie poważnie, nie liczył się z moim zdaniem i mógł doskonale obejść się beze mnie. Pomyślałam więc - podsumowała Olivia z cierpkim uśmiechem - że jeśli oddam komuś moje serce, to tylko temu, komu naprawdę będę potrzebna!

W środę Olivia udała się wraz z April na wieczór muzyczny u Sinclairów i z radością odkryła, że wśród gości znajdują się także lord i lady Denbigh, stanowiący eskortę Amaryllis i Bethany.

- Sebastian wcale nie miał na to ochoty - wyjaśniła szep-

tern Jess, gdy usiadły na kruchych białych krzeselkach. - Ale Cash porozmawiał z nim w cztery oczy i nagle mój pan mąż zmienił zdanie. Nie wiem, co takiego brat mu powiedział, ale odkąd tu przyjechaliśmy, Sebastian ani razu nie zrobił boleściwej miny! Mimo to bardzo wątpię, by wytrzymał do końca, zwłaszcza jeśli będzie się popisywać jakaś harfiarka!

Jak się okazało, mniej więcej w połowie programu był przewidziany występ młodej damy grającej na harfie. Zgodnie z przewidywaniami żony Sebastian Denbigh wymamrotał, że mają tu chyba karciany pokój, i wymknął się na korytarz. Zaczekał tam, niedbale oparty o ścianę, aż młoda instrumentalistka zacznie się popisywać i korytarz opustoszeje. Następnie podszedł bez pośpiechu do schodów i przechyliwszy się przez poręcz, sprawdził, czy w hallu na dole nie krząta się służba. Widząc, że droga wolna, po cichu zszedł na parter.

Zerknąwszy na prawo i lewo, stwierdził, że nie jest obserwowany. Udał się więc do gabinetu pana domu, wszedł do środka i po cichu zamknął za sobą drzwi. Pokój tonął w mroku rozświetlonym tylko przez mdły blask ognia tłącego się na kominku. Lord Denbigh stał przez chwilę, przypominając sobie rozkład pomieszczenia, po czym ruszył w stronę kotar, za którymi znajdowały się wychodzące na tyły domu skrzynkowe okna. Rozsunął zasłony i otworzył jedno z okien. Wzdrygnął się, gdy poczuł na ramieniu dotknięcie dłoni w rękawicze. Cofnął się i przyglądał się, jak brat wchodzi do wnętrza i zamyka okno. Cash zaciągnął story i odwrócił się z uśmiechem.

- Dzięki, Bastianie! Możesz już wracać do towarzystwa.

- Może chcesz, żebym ci pomógł?

- Nie.

- Mógłbym przynajmniej stać na czatach!

- Nie napraszaj się, bo pożałuję, że zwróciłem się do ciebie o pomoc. Nie mam czasu na sprzeczkę.

Sebastian skinął głową, ruszył do drzwi i wyszedł, zamykając je bezgłośnie. Dwie minuty później był już na pierwszym piętrze i zmierzał do pokoju karcianego, podobnie jak

wielu innych panów niebędących melomanami. Przyłączył się do gry i pogawędki. Nikt nie zauważył, jak okrężną drogą tu przybył.

Tymczasem Abbercombe zapalił świecę i postawił ją na biurku Sinclaira. Szuflada po szufladzie zaczął je metodycznie przeszukiwać, przeglądając sterty korespondencji i rachunków. Następnie przyszła kolej na szafę z książkami, a wreszcie na ścienny sejf za pejzażem wiszącym nad kominikiem. Książę wiedział, że z każdą minutą ryzyko staje się coraz większe; mimo to przystąpił do oględzin kominka i za oblużowaną cegłą odkrył skrytkę, a w niej torbę kurierską.

Otwierał ją właśnie, gdy do jego uszu dotarł odgłos kroków. Pospiesznie wygarnął papiery, zamknął torbę i wsadził ją z powrotem do schowka. Zgasił świecę i zniknął we wnęce okiennej w tej samej chwili, gdy drzwi gabinetu otwały się bezszelestnie do wewnątrz. Bezpiecznie ukryty za kotarami otworzył okno. Stawiał już nogę na parapecie, gdy nagle zamarł ze zdumienia. Po sekundzie stanął na podłodze i przezornie zamknął okno. Serce waliło mu tak gwałtownie, że niemal zagłuszało szept, który rozległ się kilka stóp od niego.

- Czego pan właściwie szuka? - spytała Olivia.

- Dokumentów, *mademoiselle* - odpowiedział jakiś niski głos. - Papierów z pieczęcią Ministerstwa Wojny albo z podpisem generała Wellesleya. Ale musimy się spieszyć, bo koncert niebawem się skończy, a goście rozejdą, *n'est-ce pas?* Niech pani z łaski swojej przeszuka te szuflady, ma *chere*, a ja zajmę się tamtymi.

Odgłos wysuwanych szuflad i szmer spiesznie przerzucanych kartek sprawiał, że serce podeszło księciu do gardła. Stal bez ruchu, póki panna Willburton-Smythe i jej sprzymierzeńcy nie zakończyli pospiesznej rewizji. Dopiero gdy opuścili pokój, Abbercombe wyszedł przez okno na tylny dziedziniec rezydencji Sinclairów. Kryjąc się w cieniu, dotarł niezauważony do ulicy i spacerowym krokiem ruszył w stronę Great Stanhope.

Dochodziła już czwarta nad ranem, kiedy Fanning ze zmarszczką niepokoju na czole zastukał dyskretnie do drzwi

gabinetu. Znużony głos kazał mu wejść. Lokaj miał już na ustach trafną uwagę na temat zarywania nocy w ogóle, a zdrowia i wieku jego książęcej mości w szczególności. Słowa zamarły mu jednak na ustach, gdy intensywnie niebieskie oczy spojrzały na niego z niewiarygodną rozpaczą.

- Co się stało, wasza książęca mość? - spytał fanning, siadając na brzeżku fotela naprzeciwko swego chlebobdawcy. Zauważył jakieś papiery leżące na dywanie i schylił się, by je podnieść.

- Zostaw to, Robinie.

- Ale, wasza książęca mość...

- No dobrze, wrzuc je do ognia. Wszystko mi jedno.

- Nikt nie zauważy, że zniknęły?

- Z pewnością zauważą ich brak, ale zwracanie ich byłoby zbyt ryzykowne. A mnie nie zdadzą się na nic.

- Z pewnością odnajdzie pan Harry'ego, milordzie - powiedział lokaj cicho, ale z niezłomnym przekonaniem. - I sprowadzi go zdrowo i cało do domu.

Abbercombe poruszył się niespokojnie w fotelu.

- Jasne, że znajdę Harry'ego! Nie o to chodzi. Nie powinienem być tu wracać - wymamrotał, nie odrywając oczu od płomieni. - Trzeba było jechać do Sankt Petersburga albo Mińska.

- Brednie! - mruknął Fanning, wrzucając do ognia ostatni dokument. - To zwykłe zmęczenie, milordzie, i rozczarowanie. Jak tylko wasza książęca mość wypocznie, wróci do roboty z dawnym zapałem.

- Takiś tego pewien, Robinie?

- Jak najbardziej, wasza książęca mość.

Jednakowoż Abbercombe nie czuł wcale dawnego zapału, gdy następnego popołudnia zasiadł w salonie Olivii. Podtrzymała go tylko wiara w nieomylny instykt i rozsądek własnych dzieci, których opinii zasięgnął przy śniadaniu. Jednogłośnie zapewniły go, że panna Wilburton-Smythe jest „na medal” i godna najwyższego zaufania.

Olivia przyjęła gościa ciepło, choć z pewnym zdziwieniem. Zauważyła, że wierci się niespokojnie na samym brzeż-



ku obitego brokatem fotela i że jego oczy błędzą po całym pokoju, unikając jej wzroku.

- Proszę się nie obawiać, wasza książęca mość. - Uśmiechnęła się uspokajająco. - Nie pożeram swoich gości na surowo! - Na jego wargach ukazał się cień uśmiechu. - Jeśli przynosi pan jakieś wieści od Amy i Beth, milordzie, to bardzo mi przykro, ale April wybrała się akurat na przejażdżkę.

- Nie zależy mi na rozmowie z April - odparł, wpatrując się w kwietny wzór na dywanie. - Chciałem pomówić z panią, Olivio.

- Doprawdy? Czemu zawdzięczam ten nieoczekiwany zaszczyt?

Abbercombe spojrział jej wreszcie w oczy i odchrząknął dyskretnie.

- Przyszedłem tu, żeby... Czemu, u licha, robisz z siebie starą babę, Olivio?! - wybuchnął niespodzianie, wpatrując się w bardzo twarzowy stroik, zwany „czepkiem starej panny”, spoczywający na jej ciemnych lokach. - Jesteś przecież, do wszystkich diabłów, piękną młodą kobietą! I nie powinnaś siedzieć tu ze mną bez przyzwoitki!

Panna Willburton-Smythe wpatrywała się w swego gościa w osłupieniu. Odebrało jej mowę.

- A niech to szlag! - wymamrotał książę, znów wbijając wzrok w dywan. - Najmocniej przepraszam - powiedział po chwili całkiem rozsądnie. - Nie mam prawa niczego krytykować. Ten czepeczek jest doprawdy uroczy, Olivio, a co do siedzenia sam na sam, to z pewnością lepiej ode mnie wiesz, co wypada, a co nie wypada.

Olivii przemknęło przez myśl, że ów apostoł przyzwoitego zachowania w mieszanym towarzystwie zbytnio szafuje jej chrzestnym imieniem i podejrzenie często myli mu się „pani” i „ty”, ale postanowiła nie wytykać mu braku konsekwencji.

- Wybaczam panu, milordzie - powiedziała. - Proszę mówić dalej.

- Jest... pewna młoda dama... - dukał Abbercombe. - Której chyba... na to wygląda... przydałaby się pomoc... I ofiarowałbym swoją. Tylko że jakoś... nie wypada, tak ni z tego, ni

z owego... - Przerwał i westchnął tak potężnie, że Olivia uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Czemu nie wypada? - spytała.

- Bo nie znamy się zbyt dobrze. Prawdę mówiąc, w ogóle się nie znamy - westchnął. - A nie mogę zbliżyć się do niej na gruncie towarzyskim, by lepiej mnie poznała i nabrała do mnie zaufania. Gdyby raz czy drugi pokazała się w moim towarzystwie, straciłaby reputację.

Olivia zrobiła wielkie oczy.

- Ależ, milordzie! Czy mogę spytać...

- Nie!

- Chciałam tylko spytać, skąd pan wie, że ta dama potrzebuje pomocy? I czy nikt inny nic mógłby jej pomóc?

- No, bo... ja właśnie... A niech to wszyscy diabli! - warknął Abbercombe. Zerwał się z fotela i zaczął krążyć po pokoju. Przejechał ręką po nieskazitelnej fryzurze, zmieniając ją w splątany gąszcz. - Musisz być, u licha, taka szczerza i otwarta?! Nie potrafię cię okłamać, psiakrew, tak jak nie mógłbym okłamać własnych dzieci!

- Okłamać? Przecież prawie się nie znamy. Po cóż wasza książęca mość miałaby mnie okłamywać? Nie musisz wcale ust do mnie otwierać, milordzie, jeśli nie masz na to ochoty.

- W tym sęk, że mam ochotę! - zagrzemiał Abbercombe. - Niech mnie szlag, Olivio! Nie wiem, co mnie opętało... ale jeśli natychmiast nie ściągniesz tego staropanieńskiego czepka, nie rękę za siebie!

- Wasza książęca mość!

- Wiem, wiem, że to nie mój interes! Że nie pozyskam twoich względów, upierając się przy tym... ale jeśli nie ściągniesz z głowy tego paskudztwa, to nie zdołam wykrztusić, co mnie tu sprowadza!

- No, cóż... odnoszę wrażenie, że jest pan nieco... wytrącony z równowagi, milordzie - odparła Olivia, równocześnie ubawiona i poirytowana. - A szaleńcom podobno nie należy się sprzeciwiać. - Kilkoma zręcznymi ruchami zdjęła z głowy stroik z jedwabiu i koronek. - Spełniłam pańską zachciankę. Czy możemy teraz pomówić rozsądnie?

- Na czym to ja stanąłem...?

- Na problemach z okłamywaniem mnie, wasza książęca  
mość. - Panna Willburton-Smythe uśmiechnęła się słodko. -  
Proszę mówić dalej!

Abbercombe opadł na fotel, wyciągnął nogi przed siebie  
i zasłonił twarz szczupłą ręką o długich palcach. Na trzech  
widniały pierścionki: szafir otoczony raucikami, sygnet  
z onyksem i masywna złota obrączka. Ślubna! - pomyślała  
zaskoczona Olivia.

- Pani jest tą młodą damą, której chciałbym pomóc - wy-  
mamrotał książę, odejmując rękę od twarzy i zaciskając kur-  
czowo palce na poręczy fotela. - Wiem, że wczoraj wieczorem  
była pani w gabinecie lorda Sinclaira i grzebała w jego papie-  
rach. O towarzyszącym pani mężczyźnie mogę powiedzieć  
tylko tyle, że jest Francuzem. Łatwo ich poznać po akcencie.

Olivia otwarła usta... zamknęła... i otwarła z powrotem.  
Na policzkach czuła piekący rumieniec.

- O, Boże! - jęknęła. - Mój Boże...

Wstała i odwróciła się od swego gościa. Była taka zażeno-  
wana, że najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Po chwili moc-  
ne ramiona objęły ją od tyłu, delikatnie, ale stanowczo, a cichy  
głos szepnął jej do ucha:

- Nie odwracaj się ode mnie, serduszko! Nic ci z tego nie  
przyjdzie. Nie przyszedłem tu po to, by cię zawstydzić ani  
oskarżać. Chcę ci tylko pomóc! Czy masz do mnie dość za-  
ufania, by wyjaśnić, czemu to zrobiłaś i czego szukałaś?

Z każdym słowem księcia serce Olivii biło coraz mocniej.  
Czuły głos, siła obejmujących ją ramion, muskający jej ucho  
oddech - wszystko to wywołało w jej umyśle taki zamęt, że  
instynktownie obróciła się w objęciach Abbercombe'a, wtuli-  
ła twarz w fałdy jego fularu i rozpłakała się. Ta oznaka włas-  
nej słabości zirytowała ją tak, że zaczęła walić pięstkami  
w pierś księcia.

- Nienawidzę cię! - mamrotała w jego chustkę pod szyją. -  
Jesteś potworem! Okrutnym potworem!

- Wiem. Nieraz mi to mówiono. - Abbercombe odsunął  
Oliwię na odległość ramienia i ucałował - jak dziecko - w oba

zalne łzami policzki. Obejmując ją mocno w talii, podprowadził do sofy, posadził na niej i sam usiadł obok. Potem wyjął chustkę z kieszeni, otarł nią łzy Olivii i wetknął jej chustkę do ręki.

- Wytrzym nosek! - polecił.

Spojrzała spod mokrych rzęs w cudowne, śmiejące się oczy i dziwnie zagulgotała.

- Nie płucz gardła, tylko wytrzym nos! - ofuknął ją ze śmiechom; użyła więc jego chusteczki zgodnie z instrukcją. - A jak się z tym uporasz, powiedz, jak mógłbym ci pomóc.

Bez żadnej logicznej przyczyny, ośmielona jedynie wyrazem twarzy i serdecznym spojrzeniem Abbercombe'a, Olivia zwierzyła mu się ze wszystkiego. Opowiedziała o zniknięciu brata, o francuskim emigrancie, panu LeBruinie, który był angielskim szpiegiem, i o poszukiwaniu w gabinecie lorda Sinclaira jakiejś zabranej z Ministerstwa Wojny notatki lub dokumentu, który mógł zawierać informacje dotyczące sztabu Wellesleya, a zwłaszcza miejsca pobytu jej brata.

- T... tylko nic nie z...znaęliśmy - zakończyła opowieść. Oczy miała już suche, twarz znacznie mniej rozpaloną.

-I twój brat miał się spotkać z tym LeBruinem w Gironde? - dopytywał się Abbercombe. -Jesteś pewna, że właśnie tam?

- Tak. Ale Andrew nie zjawił się! - odparła z pośpiechem.

- Olivio, czy zgodzisz się oddać sprawę w moje ręce? Pozwolisz, bym odnalazł twojego brata?

-Jak mógłbyś go odnaleźć?!

Cash uśmiechnął się niewesoło.

- Mieszkałem już w tylu krajach, moja droga, poznałem tyle miast i wsi! Mam mnóstwo przyjaciół w najbardziej nieprawdopodobnych zakątkach świata. Pomogą nam odnaleźć kapitana Willburion-Smythe'a.

Olivia skinęła głową. Argumenty księcia wydawały się jej całkiem rozsądne. A szanse odnalezienia Andrew zupełnie realne.

- Musisz mi jednak przyrzec, że więcej nie skorzystasz z pomocy tego LeBruina. Wczoraj wieczorem nieświadomie naraziłaś się na ogromne niebezpieczeństwo. Grzebanie

w papierach wysokiego urzędnika z Ministerstwa Wojny mogłoby być poczytane za zdradę stanu... a za to, kochanie, grozi kara śmierci.

-Jakim cudem dowiedziałeś się o tym, co zrobiłam? Kto nas wtedy widział?

- Ten ktoś, kto was widział, nie piśnie ani słowa, Olivio. Przysięgam ci, że nikt prócz mnie o tym nie wie. I nigdy się nie dowie!

## 6

Gdy w sobotni wieczór Olivia i April przybyły do Fielding House, zaprowadzono je na pierwsze piętro do sali balowej. W usytuowanych po przeciwnych stronach pomieszczenia kominkach huczał ogień; na każdym blacie czy gzymsie płonęły i migotały świece. Całe bele jaskrawych tkanin zwiisały w malowniczych fałdach, tworząc obniżone sklepienie. Posadzkę zaścieniały poduszki w różnych odcieniach czerwieni, błękitu i brązu. Dodatkową oryginalną dekorację stanowiły porozwieszane na ścianach elementy wyczyszczonej do połysku uprząży.

W najodleglejszym kącie sali wznosił się niewielki namiot z lnianych prześcieradeł. Obok stał groźnie wyglądający koń na biegunach. Długa ława bez oparcia, wyłożona poduszkami, przykryte złocistym aksamitem krzesło poręczowe oraz okazała kolekcja najróżniejszych stołków i taboretów otaczała półkolistie kominek znajdujący się na wprost namiotu. Klawikord, przysłonięty wyjątkowo paskudnym szalem z frędzlami, ustawiono mniej więcej pośrodku sali. Na wierzchu położono skrzypce i smyczek. Na kredensach pod ścianami piętrzyły się owoce i rozmaite smakołyki, stały także dzbany z lemoniadą.

- To ma być obóz cygański - wyjaśniła ze śmiechem

Amaryllis, biorąc Olivię za rękę. - Tak się cieszymy, że pani i April zechciałyście przyłączyć się do nas!

- Z pewnością tego nie pożałujecie! - dodała Bethany. - Zawsze to jakaś przygoda, prawda?

April przyjrzała się uważnie przyjaciółkom i wybuchnęła śmiechem.

- Wyglądacie nadzwyczajnie! Skąd wytrzasnęłyście takie kostiumy? My z ciocią długo nie mogłyśmy się zdecydować, jak powinny być ubrane Cyganki!

Bliźniaczki okręciły się w kółko, prezentując kloszowe spódnice oraz białe muślinowe bluzki z długim rękawem i gorseciki.

- Wy też macie wspaniałe stroje - pochwaliła Amy. - Moim zdaniem, przebijając się za Cygankę, trzeba włożyć na siebie dużo fatałaszków, które zupełnie do siebie nie pasują. A pani włosy, panno Willburton-Smythe, są absolutnie cudowne! - dodała, spoglądając z błyskiem zazdrości na ciemne loki spływające na ramiona Olivii spod jaskrawoczerwonej przepaski.

- O, spójrzcie na lorda Sebastiana i lady Jess! - zawołała April.

- Ależ z pana szykowny Cygan, milordzie! - zachichotała Olivia, dygając przed Debighem.

- Nieprawdaż? To zasługa Ethana i Frazier. Przetrzęsęli wszystkie kufry swego taty, nim znaleźli dla mnie ten przyodziewek!

- Nie zapominaj, proszę - przypomniała mu żartobliwie lady Jessica - że ów zabójczy kolczyk zawdzięczasz mojej babci. Miała fatalny gust, jeśli idzie o biżuterię!

Sebastian pociągnął znacząco wielkie złote koło zwisające mu z prawego ucha i ukłonem wyraził żonie swą wdzięczność.

- Czy widziała już pani najmłodsze bliźniaczki? - spytał, podając ramię Olivii i prowadząc ją w stronę stołków ustawionych wokół kominka. - Para czarujących małych oberwańców! One również buszowały w starych kufkach tatusia i wybrały najjaskrawsze chustki na swoje kędzierzawe łebki!

- To prawda! - potwierdziła ze śmiechem lady Debigh. - Z kolorowych koszul Abbercombe'a Helen i Grace zrobiły sobie sukienki, a z jego fularów szarfy! I ponawieszały na szyi mnóstwo paciorków i jakieś piórka... zupełnie jak Indianie! Obie są tak podniecone, że nie mogą usiedzieć na miejscu. Co chwila biegają do okna zobaczyć, czy tatuś nie wraca.

- Nie ma go w domu? - zdziwiła się Olivia.

- Wszystko zostało przygotowane w tajemnicy - poinformowała ją przyjaciółka. - Czyżby Grace i Helen nie powiedziały ci o tym, gdy pomagałaś im przy zakupie prezentów?

- Owszem, wiedziałam, że prezenty mają być niespodzianką... ale nawet mi w głowie nie powstało, że księżę nic nie wie o przyjęciu... i to jakim przyjęciu! - zachichotała.

- Chris i Daymee ubłagali Edwarda, by wyciągnął ich ojca z domu na cały dzień - wyjaśniła lady Worth, siadając na stołku. - Jakże się cieszę, widząc cię w naszym gronie, Olivia! Od jak dawna znasz Casha? Mój mąż przyjaźni się z nim od dzieciństwa i dosłownie świata poza nim nie widzi!

Jak na pariasa i wyrzutka Cash ma wyjątkowo szacownych przyjaciół - pomyślała Olivia. Trudno o bardziej znamięnitą i poważaną parę niż hrabia i hrabina Worth!

Rozejrzała się dyskretnie za bratanicą. Dostrzegła ją w namiocie, gdzie razem z Christianem i Damianem ustawiali niewielki stolik i dwa krzesła. Gdy przykryli blat liliowym szalem z frędzlami, Ethan umieścił na nim jakąś dziwną podstawkę, zaś Frazier ostrożnie położył na niej kryształową kulę.

- To prawdziwa czarnoksiężska kula? - spytała April.

Niebieskie oczy Christiana rozbłysły wesołością.

- Tego nicht nie wi! - oznajmił gardłowym szeptem; jego bracia zachichotali. - W ty kuli może coś uwidzieć ino taki, co ma cygański uroczy wzrok!

- Nikt z nas go nie ma, więc trudno sprawdzić! - rzucił ironicznie Damian.

- Ale m o ż e być prawdziwa! - oświadczył Frazier. - Tatuś mówi, że jest!

- O koniu Gracie też tak mówi - burknął Ethan. - A z niewidzialną przyjaciółką Helen, panią Bumble, nawet się wita!

- Wiesz co, Ethanku? - Christian uśmiechnął się szeroko. - Całkiem dobrze pamiętam tego niedźwiedzia, którego wszędzie wlokłeś ze sobą. Tatuś też ci wierzył, jak mówiłeś, że jest prawdziwy, i pomagał ci go ciągnąć.

- Albo nasza myszka! - roześmiał się Damian. - Chyba nie zapomniałeś, Chris, ile sera wpakowaliśmy w tamtą mysz w Mińsku?

- To nie była prawdziwa mysz? - spytała April.

- Bo ja wiem? Nigdy jej nie widzieliśmy - wymamrotał Chris. - Ale co noc zostawialiśmy dla niej kawałki sera.

- Właśnie - przytaknął Damian. - A po przeprowadzce przez dłuższy czas, ile razy mama podsuwała tacie pod nos podstawkę z serem pod koniec obiadu, tatuś ryczał ze śmiechu!

- Tatuś idzie! Tatuś idzie! - wrzasnęły dwa cienkie głosiki i do pokoju wbiegły ogromnie podekscytowane Gracie i Helen.

Namiot natychmiast opustoszał.

- Daymee, zamknij drzwi! Wszyscy na miejsca! Szybko! - zakomenderował Christian. Sebastian przerwał rozmowę z czcigodnym Donaldem Hurleyem i wraz z żoną i lady Eugenią zabrał się do gaszenia świec. Wkrótce salę rozjaśniał tylko blask ognia z kominków.

- Chowamy się tam, gdzie najciemniej! - popędzała Arnaryllis.

Wśród szeptów i chichotów każdy wybierał sobie kącik, w którym nie można go było dostrzec od strony drzwi.

Tymczasem na parterze Dawson otworzył drzwi frontowe, odsunął się na bok i zbaraniał.

- Nie dziwota, że się tak gapisz, Anthony! - burknął Abbercombc, wkraczając do hallu. - Fanning zrobił ze mnie przebierańca! Cygańskiego, psiakrew!

- I z hrabiego Wortha również? - spytał majordom, starając się zachować powagę.

- Sam doszedłem do wniosku, że jak ubiorę się podobnie, to może Abbercombe przestanie wariować - wycedził Worth. - Nawiasem mówiąc, wygląda bardziej na pirata niż na Cygana. Nieprawdaż, Dawson?



włosej hałaśliwej czeredy i lekkim krokiem ruszył w stronę gości, by się z nimi przywitać, Olivia wciąż stała bez ruchu, w niemym podziwieniu.

- Nie brakuje mu tego, co nazywają „zwierzęcym magnetyzmem”, i to w najlepszym gatunku! Nieprawdaż, panno Willburton-Smythe? - zagadnął ją hrabia Worth i przekornie stanął tak, że zasłonił jej księcia.

- Jak... jak miło znów pana spotkać, milordzie - odparła Olivia, usiłując dostrzec coś za jego plecami.

- Cała przyjemność po mojej stronie, łaskawa pani. Od dawna zna pani Casha?

- Nie, to całkiem nowa znajomość. Ale dwie najstarsze córki księcia przyjaźnią się z moją bratanicą, więc... pojmuje pan?

- Wygląda imponująco w tym cygańskim stroju, prawda? Przypominają mi się młode lata... ubieraliśmy się wtedy podobnie. Ale wkrótce potem ten styl całkiem wyszedł z mody.

- Ubieraliście się w ten sposób?!

- Jak najbardziej, tylko nosiliśmy długie surduty z jedwabiu albo brokatu. Koronki przy szyi i mankietach, no i zawsze szpada u boku! Cash dotąd nie zarzucił tego zwyczaju, choć Fanning jakimś cudem na dziś wieczór pozbawił go szabli.

- Czarująca z ciebie Cyganka, Olivio - rozległ się za jej plecami głos księcia.

Odwrociła się błyskawicznie. Stał tuż za nią, prawie jej dotykał... a jednak dzieliła ich otchłań szerokości jednego cala.

Lord Worth zauważył wyraz oczu przyjaciela spoglądającego na pannę Willburton-Smythe i zakasłał dyskretnie.

- Muszę zamienić słówko z Sebastianem, państwo wybaczą.

- Czemuż on się tak szybko stąd zabrał?! - mruknął Abbercombe, wpatrując się w twarz Olivii. - Nie obawia się chyba, że go obedrę ze skóry za udział w tym spisku przeciwko mnie?

- Nie wyobrażam sobie, żebyś był zdolny do obdarcia ze skóry kogośkolwiek z uczestników tego spisku, milordzie - uśmiechnęła się Olivia nieco skrzępowana.

Nigdy dotąd nie przytrafiło się jej coś podobnego. Stała tak blisko mężczyzny, że czuła ciepło jego ciała... Ta bliskość podniecała bardziej niż dotyk.

Abbercombe wziął ją za rękę i podprowadził do jednego ze stołków przed kominkiem. Gdy usiadła, przez długi czas wpatrywał się w nią w milczeniu.

- Wiesz, Olivio - odezwał się wreszcie. - Zupełnie nie mogę uwierzyć w to, że stuknęło mi już czterdzieści piec lat. Zawsze myślałem, że w tym wieku jest się starcem, jedną nogą w grobie...

- Więc obchodzimy dziś czterdzieste piąte urodziny waszej książęcej mości? - spytała Olivia i natychmiast zorientowała się, jak głupio zabrzmiało to pytanie.

Oczy błysnęły księciu rozbawieniem, ale mars pozostał na twarzy, gdy usiadł obok, zachowując tym razem należyty dystans.

- Dziękuję, że zechciałaś przybyć. Dzieci nie rozumieją w pełni, czym jest los pariasa, choć próbowałem im to wytłumaczyć. I skutkiem tego nie uświadamiają sobie wielkoduszności, która skłoniła cię do przyjęcia zaproszenia.

Olivia chciała zaprotestować, ale Abbercombe delikatnie przytknął palec do jej warg i potrząsnął głową.

- Nie przecz, moja miła - szepnął. - Jestem pariasem i łotrem. Przez całe życie dawano mi to wyraźnie do zrozumienia. A teraz stałem się w dodatku starym dziadem. Jesteś aniołem, że zechciałaś przyjść.

- Tatusiu! - zapiszczał cienki głosik, w chwili gdy pozornie niewinny dotyk męskiego palca wydał się Olivii czułą pieszczotą. - Chodź, tatusiu, i powróż nam! Stryjek Baszta nie wierzy, że umiesz wróżyć! No, chodź, tatusiu! Pokaż im wszystkim! Pannie Gilbujdasmyk też!

- Chyba będzie lepiej, Helen, jak zaczniemy nazywać pannę Willburton-Smythe Olivią, - poinstruował księżę córeczkę. - Tak okropnie wszyscy przekreścamy jej nazwisko - ty, ja i Gracie, że biedaczka zapomni, jak się naprawdę nazywa!

Zawieszona między snem a jawą Olivia spróbowała wrócić do rzeczywistości.

- Skąd wiedziałaś, że to Helen? - spytała, mając nadzieję, że brzmi to bardzo rzeczowo. - Przecież nie mogłaś przewidzieć, która z nich włoży tę, a która tamtą koszulę... W ogóle nie miałaś pojęcia, że się przebiorą!

Abbercombe wstał.

- Ależ, panno Olivio. - Puścił do niej oko. - Ojciec zawsze pozna swoje dziecko! No, chodźmy - dodał ze śmiechem i posadziwszy sobie Helen na jednym ramieniu, drugą rękę wyciągnął do Olivii. - Chyba pozwoli pani sobie powróżyć? Moje wróżby zawsze są pomyślne i zawsze się spełniają!

April nie wiedziała, czego się spodziewać po wróżbie księcia. Przyglądała się uważnie gościom, którzy wchodzili do namiotu i opuszczali go. Jej ciotka wyszła rozpromieniona, lady Jessica również. Hrabina Worth zabawiła w namiocie aż pięć minut i gdy tylko się z niego wynurzyła, podeszła do męża i zaczęła coś mu szeptać do ucha. Zaraz potem hrabia też udał się do namiotu, a wychodząc stamtąd, śmiał się i chyba pogwizdywał. Pan Hurley, który mamrotał coś pod nosem, niemal siłą zapędzony do namiotu przez roześmianego Damiana, wyszedł po kilku minutach, nadal coś mamrocząc, i popędził przez całą salę, by ugasić pragnienie lemoniadą. Lord Sebastian wyszedł z namiotu z oczyma pełnymi śmiechu, gwizdnął donośnie, zatoczył koło wokół sali i gwizdnął raz jeszcze.

- A ty nie wejdiesz, April? - Amy wzięła przyjaciółkę za rękę i pociągnęła ją w stronę namiotu.

-Ja...? Chyba... to znaczy...

- To przecież tylko nasz tatuś! Nie ma się czego bać. Już trzy razy pytał, czemu nie wchodzisz.

April wołałaby wymigać się od tego. Obawiała się, że księżę zacznie ją wypytywać o Geoffreya. W końcu jednak stanęła przed nim, a płócienne ściany namiotu zagroziły jej drogę ucieczki.

- Witaj, malutka! - Abbercombe ujął ją za rękę i posadził na krześle. - Czemu jesteś taka wystraszona? Czyżbyś nagle złąkła się starego znajomego? - Usiadł naprzeciw niej. - Chcesz, żebym ci powróżył?

- T...tak. T...to znaczy... n...nie! - jąkała się April, usiłując coś wyczytać z jego twarzy.

Księżę potrząsnął głową.

- To naprawdę nie wypada!

- Co?! - wychrypiała April. - Co nie wypada?!

- Nie wypada, żebyś takim wzrokiem wpatrywała się w dżentelmenów. Wiesz, ilu Bogu ducha winnym biedakom złamałabyś serce?

-O!...

- No, April - powtórzył łagodnie, kładąc na blacie zwrócone ku niej ręce. Dotknęła ich dłońmi. - Nadal kochasz Geofreya Hempsteada?

Ręce April zdrząły.

- O, tak!

Abbercombe roześmiał się i ona również się zaśmiała.

- W takim razie powrózę ci o nim.

- Czy wasza książęca mość naprawdę potrafi wróżyć...?

- Czasem mi się to udaje - powiedział, puszcżając jej ręce i obejmując czarodziejski kryształ. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w połyskliwą kulę. Kiedy wreszcie podniósł wzrok, ujrzał, że April oddycha z trudem i przygryza wargę. Ze szczerym współczuciem popatrzył w jej spragnione pociechy oczy. - Pewien wysoko postawiony dżentelmen zwróci uwagę na twego Geoffreya i uzna, że taki zdolny młodzieniec bardzo mu się przyda.

- Naprawdę? - spytała bez tchu.

- Naprawdę. Kiedy spotkacie się następnym razem, pan Hempstead będzie już sprawował pewną funkcję związaną z działalnością rządu, a twoja ciocia nabierze o nim lepszego mniemania.

- Żeby to była prawda!...

- Kryształowa kula nie kłamie, moja malutka. No, chodź - Książę uśmiechnął się i okrążywszy stolik, pomógł April wstać. - Sądząc z wrzasków Frazier, pierniczki wreszcie się zjawiły. Musimy się pospieszyć, bo nic dla nas nie zostanie!

Na kredensach zapłonęły nowe świece, a uśmiechnięta pani Griffin po raz piąty napełniła srebrne dzbany. Wszyscy Cyganie - młodzi i starzy - usadowili się na poduszkach. Ustawione wokół kominków stołki i ławy opustoszały.

-Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz siedziałam na podłodze - wyznała lady Eugenia.

- To nasze cygańskie kostiumy dodają nam odwagi -

stwierdziła lady Jessica. - W konwencjonalnych strojach nie zdobylibyśmy się na to.

- Mylisz się, moja panno! - wycedził Sebastian. - To nie fatalaszki, tylko nieujarzmiony duch Casha dodaje nam odwagi!

Worth skinął głową potakująco.

- Tak długo Casha nie było wśród nas, że prawie już zapomniałem, jak swobodnie i beztróska można się czuć w gronie przyjaciół! - Oczy hrabiego poszukały oczu żony, która zaczerwieniła się jak podlotek.

- Jeszcze nigdy nie czułam się na przyjęciu tak wspaniale! - westchnęła z rozmarzeniem lady Jess. - Dzieciaki znakomicie się spisały w roli gospodarzy!

- Przywykła już pani do takiego tłumu bratanic i brataników? - spytał żartobliwie Worth, unosząc jedną brew.

- Tak dalece, że nie wyobrażam sobie życia bez nich. I dziwię się, jak mogliśmy dawniej wytrzymać w takiej pustce!

- Wie pani, o czym teraz myślę? - spytał szeptem sir Ralph Richardson, sadowiac się na poduszce. - Ogromnie żałuję, że nie łączy mnie z Priscillą taka serdeczna zażyłość jak Casha z jego bliźniaczkami. Ilekroć znajduję się w towarzystwie mojej córki, nie mam pojęcia, o czym z nią rozmawiać. Szkoda, że oboje z Angellą nie spędzaliśmy z nią więcej czasu, kiedy była mała.

- Ale przecież tak robią wszyscy! - odrzekła półgłosem lady Worth, spoglądając nieśmiało na męża. - Od tego są nianie i guwernantki, żeby dzieci przez większość czasu przebywały w ich towarzystwie... A jednak Abbercombe bawi się ze swoimi pociechami... Jaka szkoda, że moi rodzice nigdy nie przekomarzali się ze mną w taki sposób! Z pewnością byłabym w siódmym niebie!...

- Bardzo rzadko przebywałem z moimi rodzicami - westchnął Worth. - A Cash prawie nie widywał ojca, bo posłali go do Harrow, kiedy miał sześć lat, i nawet na wakacje nie wracał do domu.

- Nie wracał na wakacje?! - zdumiał się Sebastian.

Hrabia potrząsnął głową.

- Sytuacja ogromnie się zmieniła, odkąd przyszedłeś na

świat. Pamiętam, że Cash z najwyższym zdumieniem opowiadał mi o tym, jak twoja matka cię rozpieszcza i zamartwia się, kiedy choć raz kichniesz! Jej postępowanie było dla niego czymś niepojętym, ale zawsze spieszno mu było do domu i jechał tam, nawet bez zaproszenia, żeby pobawić się z tobą.

- Bez zaproszenia? - wykrzyknęła Olivia. - Musiał czekać na zaproszenie, żeby przyjechać do rodzinnego domu?!

- Kto tu jeszcze umiera z głodu? - spytał Abbercombe, siadając na podłodze obok Wortha ze szklanką lemoniady w jednej ręce, a półmiskiem pierników w drugiej.

- Z głodu nikt nie umiera - odparł hrabia. - Ale po latach zapomnienia poczułem znów słabość do łakoci!

- Ja też - przyznał Hurley. - I przypomniało mi się, jaki cudowny jest świat widziany oczyma dziecka. Żałuję, że w moim domu nie roi się od takich maluchów!

- Mogę ci pożyczyć kilkoro moich - zaproponował ksiązę, uśmiechając się szeroko.

- Nie wmówisz nam, że założyłybyś wypożyczalnię dzieci! - zaśmiała się lady Jess.

- Przeważnie nie mam na to ochoty, ale bywają chwile, Jessico, gdy z przyjemnością odstąpiłbym je komuś.

- Takie chwile jak ta? - spytał Sebastian z niewinną miną, spoglądając na bratanków zebranych przy klawikordzie.

Ksiązę spojrział w tamtym kierunku, mruknął coś pod nosem i wyraźnie zamierzał się podnieść. Nie zdążył jednak wstać, gdy Amaryllis uderzyła w klawisze i wesoła melodyjka zabrzmiała w sali. Ethan wziął do rąk skrzypce, chwycił smyczek i zawtórował pianistce. Abbercombe opadł na poduszki i uniósł oczy do nieba w niemym błaganiu. Jego próśby nie zostały jednak wysłuchane i ku zadowoleniu gości Bethany i Damian zaśpiewali niezbyt przystojną marynarską śpiewkę, która rozbawiła wszystkich słuchaczy. Następnie trio instrumentalne (Frazier jako trzeci grał na flecie) wykonało *Yankee Doodle*, urozmaicone marszem najmłodszych bliźniaczek dokoła klawikordu - przodem Helen z drewnianą strzelbą na ramieniu, za nią Gracie waląca w bębenek.

Z kolei Christian wystąpił do przodu; oczy skrzyły mu się

wesołością, gdy zapewniał, że wykonawcy znają wiele innych piosenek, za którymi ich ojciec wprost przepada, ale reszta towarzystwa stanowczo wolałaby ich nie słyszeć.

-I wobec tego - zakończył z szerokim uśmiechem - chcemy ci po prostu, tatusiu, złożyć najlepsze życzenia z okazji urodzin!

Amaryllis i Bethany podbiegły do ojca i zmusiły go, by wstał z podłogi.

- Wszyscy mamy dla ciebie prezenty - oznajmiła Amy. - Ten jest od Beth i ode mnie! - Podała ojcu paczkę owiniętą w srebrny papier, który jubilat rozdarł bez najmniejszych zahamowań. Były w niej dwie powieści: Marii Edgeworth *Zamek Rackrent* i Jane Austin *Rozważna i romantyczna*. - Wreszcie będziesz mógł się przekonać, co nas tak w tych powieściach fascynuje!

- Wszystkiego najlepszego, tato! - wyskandowali chórem Christian i Damian, podając ojcu owinięty w muślin obraz.

Olivia wpatrywała się w księcia odsłaniającego malowidło. Gdy zaparło mu dech, podniosła się na klęczki, by zobaczyć to arcydzieło. Otrząsnąwszy się z zaskoczenia, Abbercombe zaniósł się głośnym śmiechem. Na obrazie widniało ośmioro jego dzieci wykonujących dziwaczne wygibasy. Całość sprawiała wrażenie kompletnego, acz radosnego chaosu.

- To my w trakcie kolejnej przeprowadzki - wyjaśnił z szerokim uśmiechem Damian. - A to Helen - wskazał małą figurkę, która najwyraźniej wyłaziła z ram obrazu. - Christian uparł się, że trzeba ją tak namalować: zawsze się wychyla z okien i przez poręcz, więc i tu powinna wyłazić z ram.

Księżę podszedł do klawikordu i oparł malowidło o nogę instrumentu. Potem odwrócił się do synów i ich uściskał.

- A ja przez cały czas myślałem, że malujecie jakiś... hm... nieobyczajny portrecik i już drżałem na myśl o kazaniu, które trzeba będzie wam palnąć! Byłem w błędzie. Dzięki ci. Boże! - dodał, spoglądając pobożnie na sufit.

Worth dostał napadu chichotek, którymi natychmiast zarazili się lord Sebastian, sir Ralph i pan Hurley.

Grace i Helen, które wymknęły się niepostrzeżenie na ko-

rytarz, stały teraz w drzwiach. Każda z nich z niesłychaną ostrożnością niosła w obu rączkach małą paczuszkę.

- Wszyściutkiego najlepszutkiego, tatusiu! -zapiszczały niezwykle przejęte.

Abbercombe poznał tajemnicze paczuszki z trafiki i zerknął na Olivię. Skinęła głową z uśmiechem. Klękawszy, zrównał się wzrostem z córeczkami, wziął do rąk paczuszki i uśmiechnął się od ucha do ucha, wyjąwszy z nich dwa ogromne cygani.

- Nigdy jeszcze takich nie widziałem! Czym sobie zasłużyłem na podobne wspaniałości?! Chyba wypalę oba równocześnie, co wy na to?

Dwie złote główki przytaknęły z entuzjazmem.

- A my się będziemy przyglądać! - oświadczyła Gracie, klaszcząc w rączki.

- I narobisz mnóóóstwo kołeczków! - uzupełniła Helen, podskakując jak piłka.

- Z całą pewnością. I będę trzymał was obie na kolanach, żebyście mogły łapać kółeczka na palec, jeśli wam się spodoba.

Głośne chichoty sprawiły, że Olivia zwróciła wzrok na dwóch chłopców, którzy wkraczali właśnie na salę, taszcząc duże pudło.

- Wszystkiego najlepszego, tato!

Ethan i Frazier rzucili się ojcu na szyję, a potem niemal włączając mu na plecy, obserwowali jego reakcję. Pudło najwyraźniej poruszyło się. Olivia zamrugała oczyma i ponownie wlepiła w nie wzrok. Prezent znów się przesunął.

-Jeśli w środku jest to, co podejrzewam, to dostaniecie za swoje, łobuzy! - Księżę zmarszczył gniewnie brwi i odsunął się od paczki.

- Ależ, tatusiu! - zawołała Bethany, podbiegając. - Nie chcesz nawet otworzyć pudła?!

- Nie! - warknął. - Dobrze wiem, że jak otworzę, gorzko tego pożałuję!

Olivia zmarszczyła brwi. Mimo utyskiwań Abbercombe nie zapomniał jednak przygarnąć wiszących mu u ramion



synków do piersi i ucałować siarczyście. Tymczasem pudło znów się przemieściło, po czym zaczęło się kolebać na boki.

- Ależ, tatusiu - uroczo przymilała się Amy, która także do niego podeszła. - Ethan i Frazier wydali na to całe kieszonkowe, myśmy też się do tego dołożyły. Musisz przynajmniej otworzyć!

Książę uparcie kręcił głową.

- Nie widzę żadnego rozsądnego powodu, by otworzyć to pudło. Chyba że...

- Chyba że co? - zapiszczał Frazier, wrywając się ojcu.

Olivia domyśliła się, że Abbercombe łaskocze synka, i na jej twarzy znów pojawił się uśmiech.

- Chyba że co, tatusiu? - spytały chórem dzieci, obstępując go kołem.

- Chyba że... zaszczeka! - odparł i westchnął z teatralną przesadą.

- Hau! - odpowiedziało pudło jak na zawołanie.

Lady Worth roześmiała się zachwycona. Książę postawił synków na podłodze, otworzył pudło i wyjąwszy czarno-brązowo-białego szczeniaczka, uniósł go na wysokość swojej twarzy. Piesek przyjrzał mu się i liznął go po brodzie.

- Na wyżła mi nie wygląda - stwierdził Hurley, gdy jubilat postawił szczeniaka na podłodze i wytarł brodę rękawem koszuli.

- Ten pokurcz nie ma w ogóle nóg - wycedził Richardson. - Łapy owszem, nawet duże, ale wyrastają prosto z brzucha.

- Właśnie że ma nogi - zaprotestował Frazier, który położywszy się na podłodze, zbadał dokładnie sytuację. Pies przysiadł na zadku i spoglądał w zdumieniu na wszystkich po kolei. - Naprawdę ma, wszystkie cztery, sir Ralphie. Tyle że bardzo krótkie.

- Nigdy jeszcze nie widziałem takiej pokraki - mruknął Sebastian. - Co to za rasa?

- To corgi - odpowiedział Christian, klękając obok pieska i gładząc kosmatą sierść. - Hodują je w Walii. Tatuś miał takiego samego, kiedy był chłopcem.

- Owszem - wycedził Worth. - Teraz sobie przypominam.

Ileż to godzin zmarnowaliśmy w szkole, starając się ukryć tego dziwoląga przed belferskim wzrokiem. A teraz wygląda na to, że Cash znowu ubrai się w takie paskudztwo! Jak już spojrział w te błagalne oczyska, to przepadł z kretesem!

- Święte słowa! - roześmiał się Damian. - Na to właśnie liczyliśmy.

Olivia zachichotała i podniosła oczy na Abbercombe'a. Uśmiechnął się od ucha do ucha i mrugnął do niej.

## 7

Następnego dnia popołudniu Abbercombe zszedł ze schodów zdumiewająco statecznym krokiem; odebrał kapelusz, rękawiczki i szpicrutę z rąk Dawsona; dosiadł wierzchowca o wielce osobliwym wyglądzie, któremu nadał równie osobliwe miano Dokata, i udał się do rezydencji lorda Wortha, gdzie został powitany przez Marleya, majordoma odznaczającego się imponującym wzrostem i towarzyskim usposobieniem.

- Mniemam, wasza książęca mość, iż pan hrabia przebywa obecnie w klubie. Czy wasza książęca mość będzie łaskaw zostawić jakąś wiadomość?

- Nie, nie! Ale może mógłbyś mnie poinformować, gdzie znajdę synów hrabiego Stamforda? Zapewne nie mieszkają w Stamford House.

Potężny majordomus zastanowił się przez chwilę, po czym promiennie się uśmiechnął.

- Mamy niedzielne popołudnie, wasza książęca mość. Większość złotej młodzieży uda się z pewnością na błonie Fletcher Common, żeby obejrzeć wyścig.

-Jaki wyścig?

- Konny, wasza książęca mość, całkiem nieoficjalny. Lord Goddering zmierzy się na klaczy Pohulance z lordem Dash-

woodem na Baletnicy. Początek o wpół do czwartej, o ile dobrze pamiętam.

Z szerokim uśmiechem Abbercombe rzucił służącemu koronę i udał się we wskazanym kierunku. Kiedy dotarł do Fletcher Common, uniósł brwi ze zdumienia na widok chmary młodzieńców, którzy zebrali się, by ujrzeć swych faworytów w akcji. Szanse odnalezienia w tej ciżbie Harcorta czy Ketteringa były niewielkie. A on nie miał ochoty zapuszczać się w tłum. Wcale go nie pociągała perspektywa znoszenia kolejnych afrontów ze strony aroganckich smarkaczy. Westchnął więc i postanowił zaczekać do końca imprezy. A nuż szczęście mu dopisze i zauważy któregoś z braci, gdy będą się stąd zbierać? Uwolnił stopy ze strzemion, przerzucił nogę przez łęk siodła i usadowił się jak najwygodniej, by obejrzeć wyścig.

Goddering i Dashwood stanęli na linii startu i na wystrzał z pistoletu puścili konie galopem. Goddering wziął pierwsze okrażenie o całą długość przed Dashwoodem. Huknęły pierwsze brawa. Książę nie pasjonował się już podobnymi zawodami tak jak w młodości i, prawdę mówiąc, marzył tylko o tym, by jak najprędzej wrócić do domu. Jednak obserwował, jak obaj jeźdźcy pokonują w dobrym stylu - jeden po drugim - niskie kamienne ogrodzenie. Doszedł do wniosku, że choć Goddering dosiada lepszej klaczy, Dashwood jest zdecydowanie lepszym jeźdźcem i w duchu postawił na niego. Jego faworyt istotnie wygrał i to o półtorej długości, co połowa młodych sportsmenów powitała gromkimi brawami, druga zaś wpadła w posępną zadumę.

Kiedy kariolki i faetony zaczęły się rozjeżdżać, Abbercombe przyglądał się uważnie twarzom odjeżdżających, starając się nie zwracać większej uwagi na siebie. Uświadomił sobie jednak, że mimo woli Dokata przyciąga mnóstwo ciekawych spojrzeń, i westchnął ciężko.

- Nie mam nawet tyle rozumu, ile dwulatek - mruknął do swego wierzchowca. - Gdybym miał choć odrobinę, nigdy bym nie wybrał ciebie, paskudny bydlaku! Widać cię z daleka!

W tejże chwili obok niego przejechała ciemnobrązowa ka-

riolka z żółtymi kołami. Książę przerzucił znów nogę przez siodło i spał konia.

- Harcort! - zawołał, podjeżdżając z boku i przesuwając kapelusz na tył głowy. - Mogę zamienić z wami słówko? Nie zabiorę wam wiele czasu.

Wicehrabia wymienił zdumione spojrzenie z siedzącym obok niego bratem i zatrzymał powozik przy kępie wiązów.

- Do usług waszej książęcej mości!

- Cóż to za odmieniec? - spytał Kettering. - Skąd wytrzasnąłeś takiego wierzchowca, milordzie? Założę się, że nie na aukcji u Tattersalla!

Abbercombe uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Racja! Przysłano mi go z Chembesley Hall w ubiegłym tygodniu.

- Takiej rasy nie hodują w Yorkshire - wtrącił Harcort, spoglądając dość pogardliwie na Dokata. - Nie wygląda mi na konia wyścigowego.

- Bo nie jest. Koniki tej rasy nazywają się Appaloosa i pochodzą z Ameryki. Indianie jednego ze szczepów mają do nich szczególne upodobanie.

- Widać biedakom brak gustu! - zauważył ironicznie Kettering. - Nigdy jeszcze, psiakrew, nie widziałem podobnego szkaradziejstwa!

- No, cóż... Widać i mnie brak gustu, bo parę lat temu przysłałem kilka takich koników do Chembesley Hall. Ale nie o koniach chciałem z wami pogadać.

- A można wiedzieć, o co chodzi? - spytał uprzejmie Harcort

- Szukam pewnego dżentelmena nazwiskiem Geoffrey Hempstead. Jest mniej więcej w waszym wieku, więc przyszło mi do głowy, że któryś z was mógłby mnie z nim skontaktować.

- Z Geoffem? No pewnie! - pośpieszył z odpowiedzią Kettering. - Mieszka razem z nami przy Great Russell Street. Ale po kiego licha waszej książęcej mości Hempstead?

- Nie wiem, czy to ten sam... Szukam młodego człowieka, który jest poważnie zajęty panną April Willburton-Smythe.

- A jakże, to on! - Harcort uśmiechnął się szeroko. - Świata

za nią nie widzi! Wściec się można, nic tylko „April to” albo „April tamto”!

-I biadoli, psiakrew, nad jej nieszczęsnym losem - sarknął Kettering.

Abbercombe uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Jeśli o to chodzi, mój chłopcze, to chyba położę kres temu biadoleniu. Ale przedtem muszę zawrzeć znajomość z tym dżentelmenem. Moglibyście nas sobie przedstawić?

Hempsteadowi opadła szczęka, gdy Kettering wkroczył do malutkiego saloniku w ich kawalerskim mieszkaniu w towarzystwie księcia Abbercombe'a.

- Opanuj się, Hempstead - rzekł wicehrabia, dokonawszy formalnej prezentacji. - Księżę chce zamienić z tobą kilka słów. Może wasza książęca mość czegoś się napije?

- Dziękuję, nie. - Intensywnie błękitne oczy Abbercombe'a wpatrywały się w Geoffreya tak przenikliwie, że młodzieniec dosłownie wił się pod tym spojrzeniem.

- Jesteś strasznie młody! - podsumował z westchnieniem Abbercombe.

- Mam dwadzieścia dwa lata! - obruszył się Hempstead.

- Może wasza książęca mość zechce usiąść - zaproponował Kettering.

- Nie, dziękuję. Wpadłem tylko na chwilę.

- Mam zostawić panów samych?

-Tak.

Hempstead zerknął niespokojnie na wicehrabiego. Ten wzruszył ramionami.

- Wasza książęca mość nie ma chyba zamiaru wyzwąć Geoffa na pojedynek... czy coś w tym rodzaju? - spytał, bo zdjęła go litość nad przyjacielem.

- Skądże znowu! No, zmiataj, dzieciaku! Za pięć minut możesz wracać.

Gdy drzwi się zamknęły za Ketteringiem, księżę stanął w szerokim rozkroku z rękoma założonymi do tyłu i zakłótywał się na piętach. Potem potrząsnął głową i wetknąwszy rękę do kieszeni, zaczął krążyć po pokoju.

- Chciałbym się dowiedzieć, Hempstead, co cię skłoniło do tej zakończonyj fiaskiem ucieczki z panną April Willburton-Smythe?

- Co takiego?!

- Nie warto się zapierać, młodzieńcze. Wspomniana panna zwierzyła mi się i wymieniła twoje nazwisko. Nie mogłeś się jej oświadczyć jak należy?

- Nie pojmuję - warknął Hempstead, rzucając się gniewnie na fotel z wysokim oparciem - co to waszą książęcą mość obchodzi?!

Abbercombe przestał krążyć po saloniku i wsparł się ramieniem o gzyms kominka.

- Niech ci wystarczy, że mnie to obchodzi. Żądam odpowiedzi.

Hempstead uległ z wyraźną niechęcią. Siła książęcego spojrzenia i ponura mina skłoniły go do odpowiedzi.

- April bardzo na rym zależało. Jej ciotka ma o mnie nieszczególną opinię i April była zdania, że jedynym rozwiązaniem jest ucieczka. Panna Willburton-Smythe uważa, że jestem nieodpowiedzialny, nie mam za grosz ambicji i zupełnie się nie nadaję na męża.

- Rzeczywiście brak ci ambicji?

Hempstead zbladł pod srogim spojrzeniem lodowato zimnych niebieskich oczu.

- Nie, milordzie, ale młodszy syn nie ma wielkiego wyboru, prawda? Matka jest absolutnie przeciwna mojej karierze wojskowej, więc ojciec z pewnością nie kupi mi patentu oficerskiego. A że jest zaledwie baronetem, ja zaś trzecim synem, nie mam widoków ani na tytuły, ani na gotówkę.

- W takim razie, z czego zamierzałeś utrzymywać żonę, kiedy pobralibyście się z April?

- No, tego... Ja...

- Co ty?

- Myślałem, że jakoś się to ułoży. Może zostanę pastorem i otrzymam prebendę.

Usta Abbercombe'a drgnęły.

- Czyżbyś miał powołanie do stanu duchownego?

- No... nie bardzo. Ale dla April gotów jestem to zrobić.

- Ach, tak...? Więc może dla April przyjąłbyś również posadę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych?

- W... Ministerstwie Spraw Zagranicznych...?

- Nie przesłuszałaś się. Nie uważasz, że stała posada w ministerstwie zaimponuje panie Willburton-Smythe i skłoni ją do zmiany opinii na temat twojej ambicji? Poza tym stan twoich finansów wyraźnie się poprawi.

Hempsteadowi ponownie opadła szczęka.

- Musisz podjąć decyzję niezwłocznie. Nie ponowię propozycji. Okazja przepadnie raz na zawsze, gdy opuszczę ten pokój. - Książę wymienił wysokość wynagrodzenia, które przekraczało najśmielsze nadzieje Geoffreya. - Jeśli się sprawdzisz w tej robocie, możesz liczyć na podwyżkę.

- Ale... ale skąd wasza książęca mość wie...? Jak może...? I czemu miałby mi...

- Zapewniam cię - wycedził Abbercombe - że dobrze wiem i wystarczająco wiele mogę, by zagwarantować ci tę posadę. Tylko ani mru-mru o tym, że ja ci ją naraziłem. No więc jak - przyjmujesz propozycję czy nie?

Hempstead spojrział na niego szklitym wzrokiem.

- Byłbym ostatnim głąbem, gdybym coś takiego odrzucił - wymamrotał w końcu.

- Doskonale. - Abbercombe wyprostował się i ruszył w stronę drzwi. - Masz się spotkać z lordem Wyndhamem jutro o trzeciej popołudniu na podjeździe Whitehall - rzucił rozkazującym tonem przez ramię. - To starszawy dżentelmen; będzie stał u podnóża schodów oparty o poręcz, gapił się na kieszonkowy zegarek i mamrotał do siebie. Od razu go rozpoznasz.

- Czy to mój przyszły zwierzchnik?

- Właśnie.

- A co będzie, jeśli mnie nie zaaprobuje?

- O to niech cię głowa nie boli. - Książę skłonił się lekko i wyszedł.

Nazajutrz po południu na podjeździe przed siedzibą rządu okropnie zdenerwowany Hempstead ujrzał lorda Wyndhama. Nie sposób było się omylić, gdyż wyglądał i zachowy-

wał się dokładnie tak, jak mówił Abbercombe. Zerkał na kieszonkowy zegarek i mamrotał coś dosyć głośno, lecz niezrozumiale, przez co przyciągał uwagę większości przechodniów. Hempstead ruszył ku niemu, zatrzymał się, odchrząknął i zagadnął:

- Bardzo przepraszam, czy mam przyjemność z lordem Wyndhamem?

Okrągłutki jegomość w malinowym surducie i jasnoniebieskich ineksprymablach oderwał wzrok od tarczy zegarka i wymamrotał, unosząc i opuszczając po każdym słowie krzaczaste siwe brwi:

- Trzecia zero jeden... znakomicie... znakomicie... Chodź no, mój chłopcze, pospacerujemy sobie po dziedzińcu.

Wziął Hempsteada pod ramię i uwiesiwszy się na nim, jakby jego nogi nie były w stanie udźwignąć korpulentnej figurki, poprowadził młodzieńca wzdłuż północnej ściany budynku.

- Jest na co popatrzeć, prawda? Whitehall to prawdziwa perła architektury. Zawsze tu pełno przyjezdnych. Chodźmy tam - mruknął, wskazując ławkę pod wielkim dębem. - W sam raz! Usiądziemy sobie i pogawędzimy.

Hempstead pomógł starszemu panu usiąść i stojąc nad nim, przedstawił się nerwowo:

- Nazywam się Geoffrey Hempstead, milordzie.

- Tak, tak... Jasne, że się nazywasz Hempstead. No, siadaj! Rudolph powiedział ci o posadzie, co?

- To księżę Abbercombe przysłał mnie do pana, milordzie.

- A któż by inny, mój chłopcze? Na imię mu Rudolph. Nie wierzysz własnemu szczęściu, co? Wietrzysz w tym głupi kawał? Zapewniam cię, że to nie żarty. No, siadaj, chłopcze, i przestań się wiercić. Znamy się z Rudolphem od wieków. Ponieważ sam cię wybrał, nie będę kwestionował jego decyzji. Podejrzewam jednak, że nie wyjaśnił dokładnie, na czym będzie polegać twoja praca.

- Istotnie, milordzie.

- To ci szelma! A nie mówiłem...? No, no... Spójrz tylko! - Starszy wskazał na boczną ścianę budynku. - Dałbym głowę,



że w zeszłym roku nie było tego pasażu... Zdumiewające, nieprawdaż?

Hempstead posłusznie spojrział we wskazanym kierunku. Nabrał poważnych podejrzeń, że Wyndham nie jest przy zdrowych zmysłach, i zaczął zastanawiać się, jak wyślizgnąć się ze szponów szaleńca. Cudowny sen o przyzwoitych dochodach i małżeńskim szczęściu u boku April rozwiewał się w nicość. Powinien był od razu domyślić się, że nikt nie zatrudni go na podstawie jednej jedynej, na niczym nie opartej rekomendacji.

- Z pewnością się nie mylę, Hempstead. To najnowszy dodatek do budynku... W porządku, chłopcze, możesz się już na to nie gapić - powiedział korpulentny człowieczek, opuszczając wskazujący palec. - Widzisz tego dżentelmena w ciemnozielonym surducie i beżowych pantalonach, który dopiero co nas mijał? Nazywa się LeBruin i nie mam do niego za grosz zaufania, choć udaje niewiniątko. Już sobie wyobrażam, co mu się roi w głowie! Lepiej uważaj na to, co mówisz, kiedy LeBruin jest w pobliżu. Póki się nie oddali co najmniej o dziesięć kroków, lepiej gadać o byle jakich bzdurach. Wydajesz się zbulwersowany. Tak trzymać, mój chłopcze! Szczerłość to cnota. Jak człowiek nie wie, co o tym wszystkim myśleć, to niechże nie stroi mądrych min, na Jowisza!

- Obawiam się, milordzie - rzekł cicho Hempstead - że zaszła jakaś okropna pomyłka.

- Nic podobnego. Na razie nie ma mowy o pomyłce. Kazałem moim ludziom, żeby cię sprawdzili.

- Co takiego?!

- To, co słyszałeś. Zaraz po tym, jak dostałem wiadomość od Rudolpha.

-Jakim prawem...

- Żadnym, mój chłopcze, żadnym... ale nie stać nas na tak kosztowną pomyłkę. Musimy mieć czarno na białym, że jesteś godny zaufania, honorowy, prawdziwy - że tak powiem - wzór młodego angielskiego patrioty. Bo widzisz, mój chłopcze - dodał starszy pan, znowu puszczając w ruch krzaczaste brwi - masz zostać moim osobistym asystentem. Hartshorn,

który do niedawna pełnił tę funkcję, zaginął bez wieści. Po-  
dejrzewam, że nie żyje, ale nie wiemy nic pewnego. Rudolph,  
oczywiście, nie daje za wygraną.

- ...Nie żyje...?

- Tak sądzę. Ale Rudolph przysięga, że to nieprawda i że  
najdalej za miesiąc odnajdzie Harry'ego. Tak czy owak, mu-  
simy mieć kogoś na jego miejsce.

- Nie żyje? - powtórzył Hempstead nieco donośniej.

- Wpadł w jakieś tarapaty na peryferiach Paryża. Nie masz  
się czym przejmować, ciebie to nie spotka. Zwłaszcza teraz,  
gdy mamy pod bokiem naszego „Łotra"! Żadne słowa nie wy-  
rażają, jak jestem rad, że ten czort wrócił do Anglii. Do ostat-  
niej chwili szukał Harry'ego, ale na razie ani widu, ani słyhu!

Hempstead wydawał się całkowicie zbity z tropu.

- Zaraz wszystko stanie się jasne. - Wyndham zachicho-  
tał. - Ale muszę ci najpierw powiedzieć to, czego Rudolph  
nie raczył ci zakomunikować. A mianowicie, że twoja nowa  
posada wiąże się z... hm... z pewnym ryzykiem. Twoim głów-  
nym zadaniem będzie utrzymywanie stałych kontaktów  
z „Łotrem". I żebyś wiedział, że od tych kontaktów zależy  
bezpieczeństwo państwa i obywateli. Nieraz trzeba będzie  
też wspomagać działania naszej armii. I mieć na oku osobni-  
ków, którzy chętnie by widzieli upadek obecnego rządu.

Hempstead czuł, jak wzbiera w nim zbożny podziw i roś-  
nie poczucie własnej wartości.

- Czy chce pan powiedzieć, milordzie - spytał wreszcie  
z mocno bijącym sercem - że mam pracować w... wywiadzie?!

- Coś w tym rodzaju, Hempstead... Jak ci na imię? Geof-  
frey, powiadasz? No więc, Geoffreju, coś w rym właśnie ro-  
dzaju. Będziesz łącznikiem pomiędzy mną a pewnym wyjąt-  
kowym dżentelmenem. Myślałem do niedawna, że Harry  
idzie w jego ślady... ale w tej sytuacji trudno na Harry'ego  
liczyć. No i co, nie żałujesz swojej decyzji, chłopcze? - spy-  
tał na koniec Wyndham z twarzą rozjaśnioną uśmiechem.

- Nie! - odparł Hempstead bez tchu. - Prawdę mówiąc,  
czuję się zaszczycony, jak... jak wszyscy diabli! Musi mi pan  
tylko wyjaśnić, milordzie, co i jak mam robić.

- No, cóż? Zostaniesz jednym z moich asystentów. Będziesz miał w Ministerstwie Spraw Zagranicznych własne biurko, a na nim stertę papierzyków. Zbierajmy się stąd. Odprawisz mnie do powozu, co? Te papiery, uważasz, to zwykłe mydlenie oczu, twoja prawdziwa robota nie będzie miała wiele wspólnego z gmachem ministerstwa.

- Drzę o bezpieczeństwo pani, *mademoiselle*, i uroczej panny April - rzekł półgłosem LeBruin. Stał z rękoma założonymi za plecy i spoglądał z poważnym wyrazem twarzy. Oliwię przebiegł dreszcz. - Dowiedziałem się, że wraz z bratanicą bawiła pani w Fielding House i że Abbercombe miał czelność wejść w progi pani domu. Czy nie pojmuje pani, *ma belle*, na jakie niebezpieczeństwo się naraża?

- Istotnie, nie pojmuję - odparła Olivia, przerażona błyskiem nienawiści, który dostrzegła w stalowoszarych oczach Francuza, gdy wymawiał imię księcia. - Skąd w panu tyle wrogości w stosunku do Abbercombe'a? Cóż takiego uczynił, by wzbudzić w panu tak wielką nienawiść, *monsieur*?

- Ależ nic, *mademoiselle*, nic wartego wzmianki! - Wargi LeBruina wykrzywiły się w sztucznym uśmiechu. - Przybył tylko do mego kraju, zabawił niespełna miesiąc i odjechał. Zapewne zbiegiem okoliczności akurat w trakcie jego wizyty motłoch paryski został podburzony do buntu, Bastylia zdobyta, a mój stryj *le comte de Avirgonne* i jego słodka, niewinna oblubienica zamordowani, a ich dobra zagrabione!

- Ależ, *monsieur*! Nie obwinia pan chyba Abbercombe'a o rozpętanie rewolucji?!

- Nie, łaskawa pani - odparł z ironią LeBruin. - Ale był jednym z tych, którzy tamtego pamiętnego lipca podjudzali mieszkańców Paryża do szaleńczej nienawiści, która spowodowała śmierć stryja i zagrabienie rodowego majątku. O to go moja rodzina obwinia i oskarża. A teraz jeszcze ów osławiony książę stał się szpiegiem napoleońskim! Jego obecność w tym kraju, *mademoiselle*, może oznaczać klęskę wszelkich naszych usiłowań ocalenia Europy przed zakusami tego... małego kaprala!

- Nie mogę w to uwierzyć! - wykrztusiła Olivia. - Abbercombe zdrajcą ojczyzny? Niemożliwe!

- W takim razie, z jakiej racji Napoleon w ubiegłym roku obdarzył go dobrami mego stryja, które przed laty skonfiskowano? Czyżby dla pięknych oczu księcia? O, nie, *mademoiselle!* Ten człowiek to arcyszpieg! Jego wyczyny stały się legendą, choć mało kto zna jego prawdziwe miano. Niech się go pani wystrzega, *ma belle*, dla własnego dobra i dla dobra Anglii! Czy zechciałaby pani powiadamiać mnie o jego słowach i czynach? Kto wie? Może właśnie pani ten potwór zechce wyjawić motywy swego nieoczekiwanego powrotu do Anglii? Może dzięki uzyskanym przez panią informacjom ocaleje nasz kontynent?

Olivia drżała pod spojrzeniem francuskiego patrioty wypędzonego z ojczyzny. Ze skruchą przekazała mu treść rozmowy z Abbercombe'em. Książę obiecał jej pomoc w odnalezieniu brata. Dowiedział się - nie wiadomo skąd - o rewizji, jaką przeprowadzili we dwoje w gabinecie lorda Sinclaira. A w dodatku zdradziła księciu, że pan LeBruin współpracuje z angielskim wywiadem.

-Jestem zrozpaczona, *monsieur*. Przez swą łatwowierność zdemaskowałam pana i wystawiłam naszych żołnierzy na niebezpieczeństwo. Ale... ale on robił wrażenie...

- Dobrze wiem, jakie on robi wrażenie, *mademoiselle* - warknął LeBruin. - Zawsze miał ogromny wpływ na kobiety. Pani nie ponosi żadnej winy, *ma chere*. Ten człowiek zwiódł najtęższe umysły naszych czasów... między innymi cara Aleksandra. Gdybym wiedział, że Abbercombe zagiał na panią parol, przestrzegłbym ją przed groźącym niebezpieczeństwem.

- Cara...? - spytała słabym głosem Olivia, przypominając sobie przechwałkę chłopców, że ich przyjęcie będzie większą atrakcją niż uczta u cara.

- *Oui, mademoiselle*. Abbercombe zauroczył go. Zaufanie cara do tego nikczemnika to jedna z głównych przeszkód, które usiłujemy pokonać.

- O, Boże! - jęknęła Olivia. - Co ja zrobiłam najlepszego?!

LeBruin odsunął się od okna i podszedł do Olivii. Przyklęknął u jej stóp i wziął ją za ręce.

- Proszę nie rozpaczać, *mademoiselle!* Nie wszystko jeszcze stracone! Będziemy się starali na różne sposoby krzyżować plany tego szatana i sprowadzić pani brata do Anglii - cało i zdrowo.

- Ale ja zdradziłam mu miejsce umówionego spotkania! - wykrzyknęła Olivia. - Powiedziałam, że mieliście się zobaczyć w Gironde!

Ręce LeBruina zacisnęły się kurczowo na jej dłoniach. Spojrzał na nią z taką determinacją, że od razu nabrała odwagi.

- Co panu przyszło na myśl? - spytała bez tchu. - Co możemy zrobić?

- Przede wszystkim przed panią, *ma chere*, roztacza się szerokie pole działania. On darzy panią zaufaniem... i dzięki temu mamy do niego dostęp, o jakim nawet nie marzyłem! Jest pewien, że zdołał panią omamić, że pani ufa mu i jest do niego przyjaźnie nastawiona. Jeśli starczy pani męstwa, możemy zyskać nad nim ogromną przewagę. Powinna go pani zachęcać, wciągnąć do grona swoich przyjaciół i przysięgać wieczną wdzięczność pod warunkiem, że zagwarantuje pani bratu bezpieczny powrót do ojczyzny. Abbercombe z ochotą spełni ten warunek w nadziei, że dzięki pani będzie miał dostęp do tajemnic ogromnej wagi, o których powiadomi Napoleona. Ale się przeliczy, *ma chere*, bo będziemy go mieli nieustannie na oku, a gdy pani brat dotrze szczęśliwie do ojczyzny, nakarmimy tego piekielnika furą kłamstw, które przyczynią się do upadku i Abbercombe'a, i Napoleona!

Przez dłuższy czas po wyjściu LeBruina Olivia siedziała w milczeniu. Oczyma duszy widziała księcia obejmującego ją, zapewniającego, że pomoże jej odnaleźć brata. Ujrzała go znów stojącego w drzwiach sali balowej, otoczonego dzieciarnią, słyszała jego śmiech, gdy w zaciszu namiotu przepowiadał jej przyszłość. Wydawał się taki dobry, taki wrażliwy ... a tymczasem jego serce było mroczną otchłanią, kłębowskiem żmij! Czyż nie uprzedzano jej o tym? Zatłukł

kogoś na śmierć i zesłano go za to do kolonii. A ona, głupia, uważała go za niewinnie oskarżonego i niesłusznie skazanego! Co gorsza, miała dla niego współczucie i zrozumienie, skończona kretynka! A w dodatku, idiotka nad idiotkami, przywiązała się do jego dzieci!

Nie, to nie był dowód głupoty!

Wstała i zaczęła krążyć po pokoju. Dzieci Abbercombe'a nie szkodziły nikomu! Były niewinne, nikogo nie oszukiwały. To ojciec tych niewiniatek, wcielony diabeł, wyrządzał swemu potomstwu krzywdę - aczkolwiek w inny sposób, niż początkowo myślała. Krzywdził ich, każąc wierzyć w swą dobroć, a potem wykorzystywał ich niewinność dla własnych egoistycznych celów - pozyskując dzięki nim zaufanie ludzi, których zamierzał omamić i zgubić. Ale to mu się nic uda! Ona - Olivia - położy temu kres. We dwójkę z LeBruinem pokonają tego potwora jego własną bronią! Dotychczas uważała się za niezdolną do oszustwa... ale teraz zacznie się ćwiczyć w fałszu. Przysięgła w duchu na swą miłość do brata, że powali Abbercombe'a na kolana.

Brwi księcia zbiegły się nad nosem, na czole pojawiła się wyraźna bruzda. Pozostawił kariolkę pod opieką swego „tygrysa” i wszedł na schodki wiodące do drzwi domu pod numerem piątym przy Park Street. Nie miał pojęcia, czemu panna Willburton-Smythe wezwała go tak nagle do siebie. Zastukał w drzwi frontowe, a gdy się otwały, pomaszerował za Laslowem na piętro. Olivia wstała, gdy wszedł do salonu, i uśmiechnęła się jakoś dziwnie. Skoro tylko służący odwrócił się i wyszedł, Abbercombe podszedł natychmiast do niej.

- Co się stało, moja droga? Zaraz po otrzymaniu twego listu ruszyłem w drogę - i oto jestem na rozkazy.

- Przyjechałeś kariolką zgodnie z moją prośbą?

- Tak, Olwio, ale co to ma...

- Bardzo się cieszę. Doszły mnie słuchy, że twoje stajnie nie świecą już pustkami...

- Tak, serduszko. Mam teraz tyle koni i powozów, że starczyłoby dla trzech książąt! - odparł Abbercombe, wyraźnie

zdziwiony. - Wszystkie są do twojej dyspozycji. Są jakieś nowe wieści o twoim bracie?

- Powzięłam pewne postanowienie, mości księżę, i nie odwiedzisz mnie od niego. Sam powoziłeś, jadąc do mnie?

- No, tak... ale...

- To dobrze. Poczekaj grzecznie, o tu, w tym fotelu; muszę zmienić suknię - poleciła. - A potem wybierzemy się do Hyde Parku i pokażemy się na promenadzie. - Wykręciła się na pięcie i wyszła z pokoju. Kiedy wróciła po dziesięciu minutach w spacerowej sukni z niebieskavo-zielonego jedwabiu, w stosownym kapelusiku z zawadiacką kokardą pod brodą i w szmaragdowym szalu wdzięcznie udrapowanym na ramionach, ponownie nie dopuściła gościa do słowa, tylko wzięła pod ramię i poprowadziła do drzwi.

- Laslow - zwróciła się do majordoma - wybieramy się z jego księżęcą mością na przejażdżkę. Jeśli panna April wróci wcześniej niż ja, powiedz jej, że będę koło szóstej.

- Słucham, jaśnie pani - wymamrotał Laslow, otwierając drzwi frontowe.

- Cóż za uroczy powozik! - powiedziała z uśmiechem Olivia na widok pomalowanej na wiśniowo kariolki z białymi kołami. - Pomoże mi wasza księżęcą mość wdrapać się na te wyżyny?

- Słowo daję, Olivio, naprawdę nie powinnaś tego robić - protestował Abbercombe, gdy wsparta na jego ręce zajęła miejsce w powoziku.

-Jeśli jesteś moim szczerym przyjacielem, rób, co ci każe. Nie masz zresztą innego wyjścia.

- Mylisz się, moja droga - wycedził księżę, siadając obok niej i biorąc do rąk lejce. Mały „tygrys” zajął miejsce z tyłu. - Jest oczywiście inne rozwiązanie, ale wyjątkowo nieprzyjemne, więc nie mogę się na to zdobyć.

-Jakie znów rozwiązanie?

- No, cóż... Powiniennem ściągnąć cię z kozła, postawić na bruku i odjechać galopem. Ale nie ma we mnie aż tyle szlachetności!

- Wobec tego ogromnie się cieszę, że nie wybrałam sobie

na towarzysza wzoru doskonałości! Mam zamiar przejechać się po parku w twoim towarzystwie, mój panie! I nie dam się od tego odwieść. Zbyt długo znajdowałeś się poza nawiasem, najwyższy czas z tym skończyć!

- Możliwe - wymamrotał Abbercombe i zebrało mu się na śmiech, gdy uświadomił sobie, że ta herod-baba, której wolał się nie sprzeciwiać, sięga mu zaledwie do ramienia. - Lecz czy zastanowiłaś się, jak dalece ucierpi twoja reputacja, kiedy wszyscy zobaczą cię w moim towarzystwie?

- Owszem. I doszłam do wniosku, że mało mnie to obchodzi. Przez trzydzieści jeden lat byłam wcieleniem przyzwoitości i jeśli jedna przejażdżka po parku może zniszczyć tę opinię, to doprawdy nic było warto zabiegać o coś tak nietrwałego! - Przyjrzała się uważnie twarzy Abbercombe'a. Wyglądał znacznie starzej niż zwykle. - To dlatego, że się wiesznie zamartwiasz! - wymamrotała bezwiednie.

- Co mianowicie?

- O, czyżbym głośno myślała?

- Tak, moja droga. Więc co się wydarzyło z powodu wiecznego zamartwiania się?

- No, cóż... zauważyłam, że... To znaczy wydało mi się, że... wyglądasz, milordzie, starzej niż zwykle. - Westchnęła. - Bardzo przepraszam!

Abbercombe roześmiał się i ująwszy rękę OHvii, uściśnął ją lekko.

- Kiedy człowiek się zamartwia, zmarszczki stają się wyraźniejsze. Czy naprawdę masz trzydzieści jeden lat?

- Owszem. Widzisz więc, że jestem wystarczająco stara, by robić to, na co mam ochotę!

- Być może... - Uśmiechnął się ciepło. - AJe wystarczająco młoda, by żałować poniewczasie nieprzemyślanych decyzji. Nie chciałbym, żebyś przeklinała dzień, w którym mnie poznałaś.

Na te słowa oczy Ołivii błysnęły. Pewnie! - myślała, odwracając głowę i obserwując spacerowiczów. Nie chciałbyś, żebym przeklinała naszą znajomość... Chcesz tylko omamić mnie do tego stopnia, żebym poświęciła dla ciebie brata, zdradziła ojczyznę... wyrzekła się swych ideałów.



Abbercombe zatrzymał konie tuż przy zachodniej bramie. Popatrzył na siedzącą obok niego młodą damę ze zdumieniem i podejrzliwością.

- Olivio - powiedział cicho, dostrzegając już dezaprobatę w oczach ludzi siedzących w powozach, które mijały ich kariołkę. - Czy naprawdę życzysz sobie tego? Czuję, że dzieje się coś złego. Nie możesz mi zdradzić, o co chodzi?

- Nie dzieje się nic złego - oświadczyła panna Willburton-Smythe z przesadnie promiennym uśmiechem, którym zamierzała owinąć księcia wokół małego palca. - Po prostu doszłam do wniosku, że wolę przyznać się publicznie do przyjaźni z tobą, niż kryć się z tym po kątach. A wielki świat musi to zaakceptować. I zaakceptuje, zobaczysz! Mam w sobie tyle szacowności, że starczy na dwoje!

## 8

Niezwykłe wrażenie, jakie wywarła przejażdżka panny Willburton-Smythe po parku w towarzystwie Abbercombe'a, spotęgowało się jeszcze, gdy nazajutrz Olivia ponownie pojawiła się na promenadzie w powoziku księcia, a następnie ich popołudniowe spacerowanie powtarzały się dzień w dzień.

- Nie podoba mi się to! - westchnął Abbercombe, gdy jego kary zaprzęg wjechał do parku po raz czwarty od początku tygodnia. - Wszyscy londyńscy plotkarze wycierają sobie gęby twoim imieniem. Nawet Worth wspomniał o naszym... związku.

Olivia uśmiechnęła się promiennie. Przysięgła sobie, że za nic nie okaże niepokoju!

- Doprawdy tak się wyraził? Nie martw się: od lat uchodzę w eleganckim świecie za wzór przyzwoitości i surowych zasad.

- Naprawdę?

- Naprawdę. A w dodatku uważają mnie za sawantkę.

- Czym zasłużyłaś sobie na tak koszmarną opinię?! Nic dziwnego, że nikt z tych durniów nie kwapił się do żeniaczki! Na samą myśl o takim wzorze cnoty wszyscy trzęśli się ze strachu.

- Być może. - Olivia uśmiechnęła się. - Ale taka opinia jest też bardzo przydatna. Nawet znajomość z tobą, mój panie, nie może mi zaszkodzić.

- Tylko dlatego, że nie uwziąłem się, żeby cię skompromitować. - Abbercombe uśmiechnął się rozbrajająco.

Olivia skwitowała ten żart wybuchem śmiechu i pochwyciła zgorzone spojrzenie pani Drummond-Burrell, której lando właśnie przejeżdżało obok.

- Uff! - jęknęła. - Tym razem chyba mi się dostanie!

Lando, w którym obok wspomnianej damy znajdowały się trzy inne „protektorki”, trzęsące klubem Almack's i stanowiące wyrocznie londyńskiego sezonu, stanęło. Władczy gest jednej z pań zmusił Abbercombe'a do zatrzymania kariolki.

- Dzień dobry, panno Willburton-Smythe - przywitała się pani Drummond-Burrell z groźną miną.

- Dzień dobry pani. Cóż za miłe spotkanie, lady Cooper... lady Jersey... lady Castelreagh!

- O ile mi wiadomo, zarówno pani, jak jej bratanica otrzymałyście karty wstępu na wszystkie imprezy w Almack's - rzekła wyniośle pani Drummond-Burrell.

- Istotnie, łaskawa pani - odparła Olivia - i jesteśmy ogromnie wdzięczne.

- Mam co do tego poważne wątpliwości. - Na twarzy wpływowej damy malowała się wzgarda; gniewnym wzrokiem lustrowała Abbercombe'a. - Skoro zaś nie ceni ich pani zbyt, z przyjemnością uwolnimy panią od nich. Chętnych nie zabraknie.

- Czy to groźba, łaskawa pani? - spytał miękko książę i syknął, poczuwszy bolesne kopnięcie w łydkę. Zrobił groźną minę, ale w jego oczach było tyle wesołości, że Olivia omal nie wybuchnęła śmiechem. - Jak się masz, Emily Annę - zwrócił się do jednej z siedzących w powozie dam. -

Chyba nie miałem przyjemności poznać twoich uroczych przyjaciółek.

Olivia omal nie zemdłała; trzem matronom zaparło dech z oburzenia; tylko lady Castlereagh potrząsnęła głową w imponującym turbanie.

- Chyba nie zostałeś im formalnie przedstawiony, Cash, ale z pewnością wiesz, kim są pani Drummond-Burrell, lady Jersey i lady Cowper. Pozwólcie, moje drogie: jego książęca mość Rudolph Denbigh, książę Abbercombe.

Książę zaszczycił skinieniem głowy każdą z dam, po czym zignorował je kompletnie.

- Mam do ciebie prośbę, Emily Anne. Chyba nie muszę prawić ci komplementów, zanim przystąpię do sprawy?

- Chyba jednak musisz - odparła lady Castlereagh, spoglądając nań spod ciemnych rzęs.

- Doskonale. Cóż za niezrównana toaleta, moja droga! Tak znakomicie harmonizuje z żarem twoich płomiennych oczu...

- Żar moich płomiennych oczu, powiadasz? Niezgarszy komplement.

- Przypuszczałem, że ci się spodoba. Pamiętasz, jak Barrington nazwał cię „niegasnącym płomieniem, który trawi jego serce”?

Lady Castlereagh zaniósła się perlistym śmiechem.

- A w dwa tygodnie później razem z Castlereaghem zwa biliście go pod balkon lady Howe i ugasiliście pożar jego serca kilkoma wiadrami wody!... No, Cash, mów: o co ci chodzi?

- Bardzo bym chciał, żebyś poznała moje dzieci. Nie, nie musisz przyjeżdżać do Fielding House. Przyślę je do Sebastiana, kiedy tylko zechcesz. Widzisz, Celia często im o tobie opowiadała i dzieciaki nie bardzo rozumieją, dlaczego ani razu... To znaczy...

- Do licha, Cash! Czy zawsze twoje musi być na wierzchu?! Oczywiście, że chcę poznać twoje dzieci! I spotkam się z nimi w Fielding House. Jutro o pierwszej po południu. A teraz jedźmy, zbyt długo tarasujemy drogę!

- Jestem ci bardzo wdzięczny, Emily Anne - rzekł cicho

książę. - Powiem dzieciakom, że jutro przyjedziesz. Będą w siódmym niebie!

- Ależ ty masz tupet: zwracać się do lady Castlereagh per „Emily Anne”! - wyszeptała zaszokowana Olivia. - A w dodatku zignorowałaś pozostałe damy! Przez całe tygodnie twoje zuchwalstwo będzie tematem ogólnych rozmów.

- Przecież ona ma na imię Emily Ann! - odparował Abbercombe, gdy konie ruszyły kłusem. - A tamte trzy wyraźnie sobie nie życzyły rozmowy ze mną, więc poszedłem im na rękę.

W tym momencie do kariolki zbliżył się dżentelmen na gniadej klaczy.

- Dzień dobry, panno Willburton-Smythe. Wymarzony dzień na przejażdżkę, nieprawdaż?

- O, pan Brummell! Co za miłe spotkanie - powiedziała Olivia i utknęła na amen. Nie potrafiła się zdobyć na ani jeden zdawkowy frazes.

Brummell zdjął kapelusz i skinieniem głowy powitał księcia.

- Witaj, Abbercombe! Czy mogę się na chwilę do państwa przyłączyć?

- Po co? - spytał lakonicznie książę.

- Jak to „po co”?

- Zwyczajnie. Co ci z tego przyjdzie, Brummell? Kolejny zakład?

- Zakład? - spytała zdezorientowana Olivia.

- Pan Brummell ma nadzieję zbić fortunę na przewidywaniu moich postępów; uparcie czyni je przedmiotem wysokich zakładów - wyjaśnił jej książę. - Nawiasem mówiąc, jego rozumowanie jest całkiem logiczne. Nie uwzględnił tylko jednego: jeśli nawet zbije fortunę, przegra ją do mnie.

Beau Brummell słuchał tego wywodu i oczy mu się śmiały. Olivia była zdumiona. Sądziła, że ów arbiter elegancji jest pozbawiony ludzkich uczuć. Nigdy ten wzór doskonałości nie zaszczycił jej niczym więcej niż zdawkowe skinienie głowy.

-Zmykaj, dzieciaku! -burknął Abbercombe. -Jeśli myślisz, że pomagasz pannie Willburton-Smythe w pozyskaniu

powszechnej aprobaty, mylisz się. Ona nie potrzebuje żadnej podpórki!

- Abbercombe! - jęknęła Olivia. - Bądźże cicho!

- No właśnie: bądźże cicho, Abbercombe! - zawtórował jej Brummell. - Równie bezczelnego, apodyktycznego, zarozumiałego starucha w życiu nie widziałem!

- Szkoda, że nie znałeś mego ojca! - mruknął książę, na co Olivia i Beau wybuchnęli śmiechem.

- Pomyliłeś się... - wysapał Brummell, z trudem łapiąc oddech. - Nie zamierzam jak błędny rycerz bronić honoru panny Willburton-Smythe. Chciałem tylko zaprosić cię na obiad, milordzie.

- Czyste kpiny!

- Słowo honoru, o nic się nie zakładałem. Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy zjeść razem obiad w Grillon's Hotel, i tyle.

- Czyżbyś chciał dopiec Florizelowi, dzieciaku? O to ci chodzi?

- Wolałbym, książę, żebyś nie nazywał mnie „dzieciakiem”. Czuję się wtedy jak sześciolatek. W istocie nie miałbym nic przeciw temu, by Prinny trochę się poirytował. Sta je się zbyt pewny siebie.

- Ty również, żółtodziobie! - Abbercombe roześmiał się. - A więc zgoda, zjemy razem obiad. Kiedy?

- Może dziś? O jedenastej?

Abbercombe skinął głową i popędził konie.

- Mam wrażenie, wasza książęca mość - rzekła z uśmiechem Olivia - że Beau chce cię wylansować na gwiazdę sezonu!

- Doprawdy? - zaśmiał się Abbercombe i uściśnął jej dłoń.

- Nie zależy ci na popularności? - spytała Olivia. Uścisk ręki księcia sprawił jej przyjemność; z trudem sobie uprzytomniła, że ma do czynienia z wcielonym diabłem.

- Niespecjalnie, Olivio. Ale z Brummella całkiem porządny chłopak. Tyle że psotnik. Zupełnie jak Frazier.

Kilka szacownych osobistości, które były świadkami konwersacji Brummella z księciem, skłoniło się parze w czerwono-

nej kariolce. Margaret Dunleavy, hrabina Vale, gdy mijali jej powóz, wyprostowała się i pomachała im ręką. Ku zdumieniu Olivii Abbercombe odpowiedział starej damie w ten sam sposób.

- Nie rób takiej zdziwionej miny - powiedział, nakrywając jej rękę swoją dłonią. - Lady Vale to moja chrzestna matka. Co też ją przywiodło do Londynu?

- Może przybyła na prośbę Sebastiana i Jessiki? - podsunęła Olivia z niepewnym uśmiechem.

Abbercombe odpowiedział jej spojrzeniem, którego nie potrafiła rozszyfrować. Im więcej czasu spędzała w towarzystwie księcia, tym bardziej serce ją bolało na myśl, że nie jest naprawdę taki, jakiego udawał. Gdyby rzeczywiście był szlachetny i czuły, zakochałaby się w nim! Niestety, robił tylko dobre wrażenie. Nie powinna ulegać jego oszukańczym urokom.

- Przestań kluczyć, Olivio! - Abbercombe nachmurzył się. - Mów szczerze! Czy Sebastian zwrócił się do niej z taką prośbą? Jesteś tego pewna?

- Jessica wspomniała kiedyś, że warto by to zrobić. Jej zdaniem twoje córki wiele by zyskały, gdyby pokazały się na kilku przyjęciach w towarzystwie hrabiny Vale. A propos, czemu od wieczoru muzycznego u Langdonów dziewczęta nigdzie nie bywają? Myślałam, że spotkam je przynajmniej w salonie lady Doering.

Posępna zaduma księcia ustąpiła miejsca irytacji.

- Nie mogą nigdzie być, moja droga, bez opiekunki i przewodniczki z prawdziwego zdarzenia... a tej na razie nie jestem w stanie im zapewnić.

- Jessica z pewnością...

- Nie ma mowy! I tak już sprawiliśmy jej mnóstwo kłopotu - stwierdził Abbercombe. - Wychodząc za Sebastiana, nie miała pojęcia, że bierze sobie na głowę szwagra, z którym nie wypada się zadawać, i bandę cudzych dzieciaków! Nie powinna dźwigać tych ciężarów. Nie pojmujesz, Olivio, w jakiej znalazła się sytuacji? Ty możesz sobie pozwolić na kaprysy i pokazywać się ze mną w parku, gdyż masz wolną

rękę. Jessica nie ma takiej swobody. Jeśli chce dotrzymać kroku Bastianowi, musi z konieczności iść na kompromis. Nie zamierzam więc jeszcze bardziej komplikować jej życia!

Olivia spoglądała za odjeżdżającym, póki nie zniknął za rogiem. Potem pospieszyła do biblioteki. Po kilku minutach wysłała lokaja do apartamentu *monsieur LeBruina* z informacją, że Abbercombe dziś wieczorem je obiad w towarzystwie Beau Brummella w Grillon's Hotel.

Schwytanie nikczemnika w jego własne sidła było niebezpieczną, podniecającą przygodą. Ilekroć jednak Olivia znajdowała się w towarzystwie Abbercombe'a, serce podchodziło jej do gardła, a po odejściu księcia czuła dojmującą pustkę. Cóż... tak widocznie musiało być. Odgarnęła niesforne kosmyk, który przylgnął jej do policzka. Ani razu nie nakryła włosów „czepkiem starej panny”, odkąd Abbercombe tak go skrytykował. Jakiż wspaniały wydawał się jej wówczas! A ona czuła się przy nim taka bezpieczna, taka potrzebna, taka... kochana...? Nie! - powiedziała sobie twardo. Nie będę już łatwowierną gąską. Abbercombe to wcielenie zła. Całe jego życie opiera się na fałszu i zdradzie. Udawał tylko troskę o mnie i mojego brata, gdyż było mu to potrzebne. Jeśli jednak Andrew nie wróci, dopilnuję, by winowajca zapłacił za to głową!

-Jak możesz?! - wyrzucała księciu półgłosem, jakby stał przed nią. -Jak możesz być zdrajcą?! Nie jesteś nikczemny z natury. Nie całe twoje serce szerniało i skamieniało! Naprawdę kochasz swoje dzieci; to od ciebie nauczyły się miłości! Więc dlaczego, dlaczego stałeś się takim potworem?!

- Ciociu Olivio, co się stało? Co ci dolega? - April wbiegła do pokoju i chwyciła szlochającą ciotkę w ramiona. - Cemu płaczesz, ciociu? - Ostrożnie podprowadziła ją do fotela przed kominkiem.

Łzy wciąż spływały Olivii strumieniami po policzkach. Nienawidzę cię, Abbercombe! - myślała, ocierając chusteczką twarz. Nie jesteś wart moich łez! Ani jednej!

\*

Abbercombe opuścił Grillon's Hotel najedzony i w znakomitym humorze. Brummell odkrył jego upodobanie do niemal zapomnianego wina z Wysp Kanaryjskich i zdobył pięć butelek tego wyśmienitego trunku do obiadu.

- Chodźmy! - nalegał teraz, biorąc księcia pod ramię. - Podwiozę cię pod dom.

- A to po co? Myślisz, że sam nie trafię? - spytał Abbercombe, unosząc brew. - Nie jestem aż tak ululany!

- Oczywiście, że nie - zachichotał Brummell - ale nie puszczę cię samopas w ciemną noc. Za żadne skarby, wasza książęca mość... zwłaszcza że byłeś tego wieczora wyjątkowo miły i ani razu nie nazwałeś mnie dzieciakiem.

- Doprawdy? Widocznie umknęło mi to z pamięci, gdy podano ostrygi. Uwielbiam ostrygi na surowo!

- Wiem - rzekł Brummell i przystanął, by dać stangretowi szczegółowe dyspozycje. Następnie w ślad za księciem wsiadł do powozu. - Nigdy dotąd nie jadłem ostryg. Wyjątkowe pa-skudztwo!

Abbercombe roześmiał się.

- Upodobanie do ostryg należy w sobie wyrobić. Kto ci wygadał, że za nimi przepadam?

- Prinny. Opowiedział mi, jak któregoś wieczora z Charlesem Foxem pożarliście całą baryłkę w niespełna godzinę. Podobno wszyscy obserwatorzy dostali cholernych mdłości od samego patrzenia.

- Zgadza się. Mieliliśmy to w planie. Co jeszcze Florizel nagał ci o mnie?

- Tylko tyle, że jego ojciec bardzo cię lubił. I że jesteś niebezpiecznym człowiekiem.

- Niebezpiecznym?! Nie bierz tych słów poważnie, Beau. Florizel żywi do mnie urazę o sprzeczkę, w trakcie której przyłożyłem mu ostrze szabli do gardła. Ale mu go nie poderżnąłem, więc nie jestem wcale taki niebezpieczny, za jakiego mnie uważa.

Oparłszy się wygodnie o poduszki, Brummell wpatrywał się w siedzącego na wprost niego księcia.

- Czy to za pojedynek z Prinnyem zostałeś skazany na deportację? - spytał wreszcie.



- Nie. Chyba nikt nie wiedział o tym incydencie oprócz Florizela i mnie.

- Czemu go nazywasz Florizelem? Nikt już nie pamięta o tym przydomku.

- Tu może nie, ale na kontynencie jego legenda nadal żyje. We wczesnej młodości robił niezwykle korzystne wrażenie... Prawie tak korzystne jak ja! - Abbercombe roześmiał się. - Niestety, obaj się zestarzeliliśmy.

- „Starszy” nie zawsze znaczy „mniej imponujący”. - Brummell nie spuszczał wzroku z twarzy księcia. - Wspomniałeś o swoich córkach, milordzie... Bardzo bym chciał, żebyś przedstawił mnie obu paniom.

- A to po co? Czyżbyś miał ochotę je wylansować?

- To nie ochota, to imperatyw kategoryczny.

Nieprawdopodobnie błękitne oczy Abbercombe'a przewierciły Beau.

- Amaryllis i Bethany to nie pionki w grze, w której możesz wykazać swą władzę nad wielkim światem. Ani zadurzone wielbicielki, których uległość schlebia twej próżności, dzieciaku!

- Nie myślałem, że uznasz moją chęć pomocy za zniewagę dla siebie i swoich córek. Nie miałem bynajmniej takiego zamiaru - odparował Brummell. - Musisz jednak przyznać, że mają one nieco utrudnioną sytuację z powodu twojej... zaszarganej opinii. Gdyby zauważono, że chętnie spędzam czas w ich towarzystwie, wielki świat poszedłby za moim przykładem.

- Cóż to za wstrząs dla świata, gdy łotr ma piękne córki! - wymamrotał Abbercombe.

- Cóż to ma znaczyć?

- Jak dłużej pożyczysz, Brummell, sam się przekonasz.

W tym momencie powóz zatrzymał się przed Fielding House i stangret zastukał w dach.

- Może wjechać na dziedziniec, jaśnie panie? Już po trzeciej.

- Nie, nie! - Abbercombe wysiadł z powozu. - Dzięki za obiad i pogawędkę, dzieciaku. Przekaż ode mnie Florizelowi wyrazy szacunku. Powiedz, że brakowało mi go. I że

szczerze ubolewam nad... niedomaganiem jego ojca. Pewnie go to niewiele obejdzie, ale tak się składa, że jest to szczerą prawdą. - Z tymi słowami książę zamknął drzwiczki i bez pośpiechu ruszył do bramy, a przez nią na dziedziniec.

- Zaczekaj chwilę. Jem - polecił stangretowi Brummell. - Ruszymy, gdy książę wejdzie do domu.

Beau nie odrywał oczu od księcia, który wspinał się już po schodach prowadzących do głównego wejścia. Prinny z wiekiem wiele stracił ze swego uroku i dostojeństwa - myślał - ale ty, mój panie, nadal jesteś najbardziej imponującym dżentelmenem, jakiego w życiu spotkałem!

Wtem ciszę nocną zakłócił strzał z pistoletu. Brummellovi zaparło dech. Abbercombe z szablą w ręku zbiegł ze schodów. Z mroków dziedzińca wynurzyło się kilka niewyraźnych postaci i rzuciło na księcia.

- Jaśnie panie! - Stangret załomotał w dach.

- Uwiąż konie, Jem! - wrzasnął Brummell, wyskakując z powozu, i z laską w ręku popędził na odsiecz księciu.

Nie upłynęła nawet minuta, a zwalisty woźnica z biczem w garści ruszył za nim. Szabla Abbercombe'a była już splamiona krwią. W zjadłym milczeniu zadawał ciosy napastnikom, obstępującym go coraz ciasniej. Było ich zbyt wielu, by jeden człowiek zdołał się im długo opierać. Brummell włączył się do walki, z wielkim zapałem waląc opryszków laską. Stangret poszedł za przykładem swego pana, okładając nocne zjawy batem i kułakami. Zza drzwi frontowych Fielding House wyłoniła się drobna postać z pałką w ręku i włączyła się do walki. Zbiry ze zdumiewającą jednomyślnością i konsekwencją opędzali się tylko od Brummella, Jema i Fanninga, zachowując mordercze ciosy dla księcia.

Raz jeszcze rozległ się strzał; ktoś wypalił z bardzo niewielkiej odległości. Jem krzyknął coś, a książę zachwiał się i upadł. Fanning, Jem i Beau jak jeden mąż zaatakowali łotrów znajdujących się najbliżej rannego. Walczyli zjadle, udaremniając napastnikom zadanie mu ostatecznego ciosu. Przez jakiś czas - który dłużył się jak wieczność - osłaniali w milczeniu Abbercombe'a. Wreszcie książę podźwignął się

i cięcia jego szabli znów towarzyszyły uderzeniom laski, ciosom pałki i smagnięciom biczu.

- Walcie po gębach - syknął Abbercombe. - Po płaszczach nie warto: za grube!

Laska Brummella i biczysko Jema siekły więc zbirów po policzkach i oczach, a pałka Fanninga obijała nosy i brody. Ostrze księżęcej szabli pozostawiało krwawe rysy na szyjach, uszach i rękach, aż wreszcie napastnicy załamali się i rzucili do ucieczki. Brummell rwał się już do pościgu, lecz księżę chwycił go za ramię.

- Nie, Beau - wykrztusił; krew zalewała mu oczy. - Zaraz by cię otoczyli i powalili... - Upuścił szablę, zgiął się w pół i jęcząc usiłował zaczerpnąć tchu.

Fanning podbiegł do swego pana. Podniósł jego szablę, otarł i wsunął do pochwy.

-Aleśmy im dali łupnia, co? -Jem uśmiechnął się szeroko, aż krew trysnęła z przeciętej wargi.

- Też bym się pewnie ubawił, gdybym był młodszy - westchnął księżę, prostując się. - Ładnie z waszej strony, żeście wspomogli mnie w opresji!

- Tam leży trzech. Już po nich - mruknął Brummell, rozcierając obolałe ramię.

Abbercombe z wysiłkiem podszedł do leżących, ukląkł przy pierwszych zwłokach i zdjął szal okrywający rysy napastnika. Potem odstłonił pozostałe dwie twarze.

- Jem - zwrócił się do woźnicy, który zaglądał mu przez ramię - starczy ci sił, by wezwać straż miejską?

-Już po nich lecę - odparł stangret i puścił się pędem.

Księżę stanął prosto, ale zaraz zachwiał się i oparł na ramieniu Fanninga.

-Jakoś się dziwnie czuję, Robinie -wymamrotał.

- Ciężko ranili waszą księżęcą mość? - zaniepokoił się Brummell.

- Do śmierci mi daleko. - Abbercombe otarł czoło rękawem. - To twoja zasługa, dzieciaku! Mego nazwiska nie da się zataić w tej sprawie - westchnął - ale ty nie musisz zawierać znajomości ze strażą. Robin zbudzi mego stangreta

i John odwiezie cię do domu, zanim zjawią się stróże porządku. Bardzo mi przykro - dodał podejrzanie drżącym głosem - ale z tych żółtych pantalonów nie będziesz już miał pociechy.

- Istotnie - przyznał cierpko Brummell. - Podobnie jak z surduta. 2 fularu oczywiście też. Ale pomyśl, Abbercombe, jak ucierpi moja opinia przeciwnika wszelkiej brutalności, jeśli będę obstawał przy naszej znajomości!

- Lepiej więc zrezygnuj.

Książę odwrócił się, by wejść na schody, ale zachwiał się na nogach. Fanning i Brummell wzięli go pod pachy i razem zataszczyli do hallu, a następnie do położonej na tyłach domu kuchni. Fanning podsunął księciu krzesło, zapalił świece i rozniecił na palenisku dogasający ogień.

- Gdzie można znaleźć brandy? - spytał Brummell.

- W gabinecie jego książęcej mości. Trzeba wrócić do hallu, a stamtąd drugie drzwi na prawo.

Beau wziął do ręki świecznik i udał się na poszukiwanie brandy. Tymczasem Fanning zajął się rozległym, lecz płytkim śladem pozostawionym przez przelatującą kulę na lewej skroni Abbercombe'a.

- Trochę cię ogłuszyło, milordzie, i tyle. Jeszcze tylko kilka ściegów i po krzyku.

Było już dobrze po jedenastej, gdy Abbercombe ocknął się z paskudnym uczuciem, że ktoś mu zwałił na klatkę piersiową dzwon z katedry św. Pawła. Otworzył oczy i ujrzał dobrze znany baldachim. Leżał we własnym łóżku. Ugniatający mu pierś ciężar - o dziwo - poruszył się. Z kąta pokoju doleciał stłumiony chichot. Książę zamknął znów oczy. Brzemię na jego piersi znów się przemieściło.

- Niech to jasny grrrom! - ryknął. - Liczę do trzech i orwierrram oczy! A jak zobacze kosmatego stworrrra, co depcze mi po piersi, to pasy każę drzeć z łotrrrrów, co go tam wsadziły! Albo rzucę rrrekinom, do krrroćset!

Kilku osobom wyraźnie zaparło dech. Potem w pokoju rozległ się tupot, małe rączki ściągnęły szczeniaka z ojcowskiej

piersi i kilka niewielkich postaci zeskoczyło w popłochu z łóżka na podłogę.

Abbercombe bez pośpiechu doliczył do trzech i ryknął znowu;

- Stać! Ani krrroku dalej, podłe ładowe szczurrry! - I usiadł na łóżku.

Trzy pary nóżek zatrzymały się w pędzie, trzy niewinnie wyglądające buzie zwróciły się ku księciu i uśmiechnęły anielsko. Czwarta para nóżek (z przyległościami) znikła w garderobie.

- Ani krrroku, powiadam, nędzne zbirrry! - wrzasnął książę, wymachując groźnie palcem w stronę trójki znajdującej się w polu jego widzenia.

Wyskoczył z łóżka, otulił się szlafrokiem i z palcem na ustach podkraść się do drzwi garderoby.

- Mam cię, drrrański kundlu! - huknął triumfalnie, wygarniająca z za futryny Frazierera razem ze szczeniakiem. Uniósł obie wyrwijące się ofiary i rzucił na środek wielkiego łóżka. Następnie pochwycił chichoczącego Ethana, skrzeczącą Gracie i piszczącą Helen i dorzucił do żywego stosu.

-Wrrreszcie was dorrwiałem! -oznajmił strasznym basem, poddając każdego z jeńców, który usiłował zbiec, najstrasliwszym łaskotkom. W chwili gdy do sypialni wkroczył Robin z filiżanką kawy, oprawca i torturowani tworzyli jeden kłęb miotających się ciał, wierzgających nóg i młóących powietrze kończyn. Dziwaczny stwór równocześnie ujadał, chichotał i ryczał.

- Co tu się dzieje?! - spytał groźnym tonem Fanning.

-To kapitan Krętacz! -wykrztusiła Helen. - On się nad nami ZNEĆCA!

- Właśnie widzę - odparł Fanning. Usta mu podejrzenie drżały, ale w głosie brzmiała powaga. - Nad psem też?

- Nikomu nie daruje! - poinformował go Frazier, usiłując chyłkiem spełznąć z łóżka.

- Ratuj nas, Robinku! - poprosiła spod kołdry Gracie i dała wesolutko: - Kapitan Krętacz znowu nas dopadł!

- Wrrrr! - przytaknął szczeniak, szarpiąc dzieciaki za ubra-

nie. Na ostatek dopadł Abbercombe'a i wylizał go za wszystkie czasy. - Hau! Hau!

- Spał i spał... aż w końcu... niedźwiedź... go obudził! ... - dukał Ethan, którego ojciec dopadł na wezgłowie i bezlitośnie łaskotał pod pachami. - Ratunkuuu!

- Ja umyвам ręce - oznajmił Robin, potrząsając głową. - Ale możecie spróbować zakłęcia.

- Jakiego zakłęcia?! - wrzasnął Frazier, dopadnięty w połowie drogi na ziemię i odrzucony z powrotem na łóżko.

- LADY CASTLEREAGH - wydekłamał Fanning z nienaganną dykcją. - O PIERWSZEJ.

- LODY-KASZEL-RAJ! - wrzasnęła Gracie, nie szczędząc płuc, przyrzucona jeszcze jedną poduszką.

- O PIERWSZEJ! - zawyli w duecie Helen i Ethan.

Frazier tylko chichotał, wisząc głową w dół. Ojciec trzymał go za kolana i majtał nim nad kwiecistym dywanem.

Nagle Abbercombe odezwał się całkiem innym tonem:

- Co tu się dzieje? Frazier, czemu wiesz w powietrzu? Spadliście z nieba na moje łóżko?! I co tu robi ten pies?

- To kapitan Krętacz! - zapiszczała Helen, odbijając się jak piłka od materaca. - On nas złapał i się znęcał! Ale zląkł się zakłęcia i już go tu nie ma!

- Dzięki Bogu! Mógł was zamęczyć na śmierć. Lepiej zmykajcie stąd, zanim wróci! - poradził księżę i spędziwszy dzieci z łóżka, wygonił je z sypialni. Potem wziął filizankę z rąk służącego i przysiadł na brzegu materaca.

- Wasza księżęca mość ma źle w głowie - westchnął Fanning. - Te brewerie, milordzie, przyjdzie ciężko odpokutować!

- Tak, tak... Powiedz no mi, Robinie, bo ani rusz nie pamiętam: była tu straż miejska?

- Pewnie! Jak raz zszywałem waszą księżęcą mość. Obejrzeliby sobie tych trzech obwiesiów na dziedzińcu. Dwa to zwykłe rzezimieszki, ale trzeci to podobno groźny zbój, Brylantowy Russell.

- Rozbójnik?

- Ci ze straży tak powiedzieli. Niczego wasza księżęca mość nie pamięta?

- O, bijatykę pamiętam bardzo dobrze. Ale co było potem, jakoś mi umknęło. Czy ten smarkacz Brummell wrócił cało do domu? Chyba go nie ranili?

- Posiniaczony, potłuczony i pokrwawiony, milordzie, ale cholernie z siebie zadowolony. Coś mi się zdaje, że pierwszy raz brał udział w bijatyce. Trzeba było widzieć, jak się pusił, że wytrwał do końca i ani razu go nie zbili z nóg! Teraz jednak wasza książęca mość kładzie się z powrotem, jak Pan Bóg przykazał. A ja spojrzę na szwy na głowie i opatrzę resztę guzów i siniaków. Nie jest wcale aż tak dobrze, jak książę pan sobie wmawia.

Pan Charles Stanton i panna Clarissa Greene spotkali się na parterze, w korytarzu przy drzwiach pokoju zwanego przez wszystkich mieszkańców Fielding House „jaskinią rozbójniczą”.

- Pani podopieczne też znikły? - spytał Stanton z pogodnym uśmiechem.

- Nie mam pojęcia, gdzie się podziały - westchnęła panna Greene, odgarniając z czoła kosmyk ciemnych włosów. - Kiedy wychodziłam z dziecięcego pokoju, dziewczynki w najlepsze malowały portret Misia, który ma ozdobić gabinet ojca. A wyszłam dosłownie na chwilkę!

- Chłopcy też znikli jak kamfora. Chris i Daymee są na górze, planują wyprawę do Vauxhall... choć wątpię, czy książę na nią zezwoli. Podobno nie widzieli małych urwisów. Jeśli ich nie znajdę w „jaskini rozbójniczą”, to doprawdy nie wiem, co zrobić! Szukałem ich w stajni, w piwnicy, w pokoju kredensowym i na poddaszu. Bez rezultatu.

- A ja byłam w kuchni, w spiżarni i w ogrodowej szopie na narzędzia. Zajrzałam nawet do szafkowego zegara.

- Do zegara?! - zachichotał guwerner.

- Może panu wydaje się to zabawne! Ale dwa dni temu znalazłam Gracie i Helen wewnątrz zegara. Wcisnęły się do środka, żeby sprawdzić - cytuję: „czy jak to złote coś się rusza, to wieje wiatr?”.

- Z drogi! Z drogi! - dało się słyszeć wołanie od strony schodów, po czym nastąpiły wrzaski, chichoty, zawzięte uja-

danie i warczenie oraz tupot biegnących nóg. Po chwili pan Stanton i panna Greene zostali wessani przez trąbę powietrzną. - Żywo! Do kryjówki! - wrzasnęła trąba powietrzna, wpadając do „jaskini rozbójniczą” i zatrzasnąc za sobą drzwi.

- Udało się! - wrzasnął Ethan, padając bez tchu na mocno sfatygowaną kozetkę.

- Udało się! - powtórzył jak echo Frazier, puszczać rękę panny Greene; ruchem wirowym dotarł do orzechowego fotela z nieco spłowiała śliwkową tapicerką.

- Udało się! Udało się! - zapiszczały Gracie i Helen i puszczać nogi pana Stanton, których się przed chwilą uczepliły, klapnęły na sam środek dywanu, pociągając za sobą rozbestwionego Misia.

- Miło mi to słyszeć - uśmiechnął się szeroko pan Stanton. - Czy wolno spytać, jakiego nieszczęścia uniknęliśmy?

- To był kapitan Krętacz! - wysapała Helen, wpatrując się w gubernera wielkimi oczyma. - Na szczęście, Robin wybrał dobre zaklęcie!

## 9

Ku swej uciechu pan Stanton i panna Greene wydobyli od dzieci szczegółowe informacje na temat kapitana Krętacza. Ów jegomość - jak się okazało - zakłócał życie małych Denbighów w najbardziej nieoczekiwanych momentach. Gdy wszystko wróciło znów do normy, dwójka opiekunów zabrała się do poprawiania i przyglądania ubranek, rozczesywania splątanych złotych loczków, pomagania przy myciu spoconych i ubrudzonych buzi i rączek. Ostatecznie kwadrans po pierwszej dostawili czwórkę swych podopiecznych w stanie niemal idealnym do salonu, gdzie dzieci miały zostać przedstawione lady Castlereagh.

- Ogromnie się cieszę, że was widzę - oświadczyła szacowna dama, starając się ukryć rozbawienie na widok ceremonialnych



ukłonów Ethana i Fraziaera oraz niezbyt udatnych dworskich dygów Grace i Helen. - Wasi starsi bracia i siostry właśnie mi o was opowiadali.

- Naprawdę? - spytał Frazier. - Bardzo na nas psioczyli?

Amaryllis uśmiechnęła się szeroko i kazała młodszemu rodzeństwu usiąść grzecznie i nie zrażać dostojnego gościa złym zachowaniem.

- Dobrze wiecie, że lady Castlereagh była najlepszą przyjaciółką naszej mamusi, a teraz wyświadczyła nam wielki zaszczyt swoją wizytą.

- Mamusia opowiadała nam często o Londynie, o przyjęciach i rautach - wtrąciła nieśmiało Bethany. - Zawsze powtarzała, że Emily Anne... to znaczy lady Castlereagh, była królową każdego balu. Obie z Amy wyobrażałyśmy sobie panią jako zakłątą księżniczkę z bajki...

- Wielkie nieba! - wymamrotała lady Castlereagh, która akurat takich ambicji nigdy nie miała. Prawdę mówiąc, była jedną z najbardziej despotycznych „protektorek” i żelazną ręką sprawowała rządy w wielkim świecie. - Wasza mama z pewnością nie opowiadała o mnie takich rzeczy!

- Tatuś często się z nią przekomarzał... Mówił, że gdyby Castlereagh tak szybko nie zawojował pięknej Emily Anne, on sam ruszyłby do niej w konkury!

- Czy wasz ojciec jest zadowolony z powrotu do Londynu?

- Bynajmniej, łaskawa pani - odpowiedział cicho, ale dobitnie stojący obok kominka Christian. Z jego postawy i głosu przebijała synowska i rodowa duma. - Sprowadzenie go tutaj było wielkim błędem. Zastanawiamy się właśnie z rodzeństwem, co będzie właściwsze: wyjechać stąd czy pozostać.

- Wy się nad tym zastanawiacie? - spytała zaszokowana lady Castlereagh.

- Oczywiście, proszę pani - potwierdziła Amaryllis. - Tatuś udałby się do Sankt Petersburga, gdybyśmy nie uparli się sprowadzić go tutaj. Nie mieliśmy oczywiście pojęcia, jak horrendalnie zostanie tu potraktowany. Ale to nasze rodzinne sprawy, nie będziemy pani nimi zanudzać - dodała, obrzucając groźnym spojrzeniem starszych chłopców.

- Co to znaczy h...horrientalnie, Amy? - spytała Grace z głębi ogromnego fotela, w którym umościły się obie z Helen.

- Cicho, kochanie - upomniała ją siostra. - Wyjaśnię ci to kiedy indziej. Prawda, że lady Castlereagh ma czarującą suknię?

- Ona cała jest zaczarowana! - sapnęła z przejęciem Helen. - Wystraszyła kapitana Krętacza, wiesz?

Damian zachichotał, Bethany omal nie roześmiała się na głos. Lady Castlereagh była wyraźnie skonsternowana.

- To taka dziecinna zabawa - wyjaśniła Amaryllis z ujmującym uśmiechem. - Potrzebne im było zakłęcie i wtedy właśnie padło pani nazwisko. A teraz Helen uważa, że jest pani obdarzona czarodziejską mocą.

- Celia... wasza matka była niezwykle uroczą osobą... więc nic dziwnego, że dochowała się tak uroczego potomstwa - powiedziała lady Castlereagh z entuzjazmem. - Wszyscy jesteście do niej ogromnie podobni.

-Ja tam nie -mruknął Frazier, tłukąc obcasem w nogę krzesła, na którym siedział. -Ja jestem wykapany tata!

- Bardzo możliwe... ale to wcale nie znaczy, byś nie miał w sobie czegoś z mamy. Włosy w tym samym odcieniu ...i kształt nosa.

- Tata złamał sobie nos - oznajmił Ethan z wielką powagą. - I to dwa razy!

- Wiem! - roześmiała się lady Castlereagh. - Za pierwszym razem to była moja wina.

- Otworzyła pani z takim impetem drzwi, a tatuś był akurat po drugiej stronie, prawda? - Bethany uśmiechnęła się szeroko. - Mamusia opowiadała, że właśnie spiskowaliście, jak wyciągnąć z pokoju ciotkę Lidię, żeby lord Castlereagh mógł się pani oświadczyć... Tylko tatuś dostał takiego krwotoku z nosa, że lord Castlereagh, zamiast oświadczyć się o pani rękę, musiał go odwieźć do domu!

- A ja nie miałam o tym pojęcia! Pomyśleć tylko, że przez te wszystkie lata Castlereagh nie wspomniał o tym ani słowem!... Jaka szkoda, że wyjechał akurat do Wenecji! Z pewnością bardzo by się ucieszył z powrotu waszego ojca.

W młodości ogromnie się przyjaźnili. Przeważnie widywało się ich razem... albo we czwórkę z Worthem i Channingiem Ketteringiem. Byli ze sobą bardzo życzliwi.

- Myśli pani, że lord Castlereagh chciałby się spotkać z tatusiem? - spytał Christian z powątpiewaniem. - Tylko stryj Sebastian i hrabia Worth odwiedzili tatusia po przyjeździe... a później jeszcze sir Ralph i pan Hurley.

- Ależ, młody człowieku! Castlereagh z pewnością serdecznie powitałby przyjaciela!

- Bardzo przepraszam, lady Castlereagh... ale pani go przecież nie powitała... I nie przyjechałaby z wizytą, gdyby tatuś pani nie ubłagał... ze względu na nas.

- Christian! - syknęła Amaryllis.

- Wiem, że nie powinienem tego mówić, Amy, ale jestem pewny, że tatuś musiał ją błagać, żeby się z nami spotkała! Moja mama - kontynuował, obrzucając lodowatym wzrokiem lady Castlereagh - uważała panią za swą najbliższą przyjaciółkę. Często wysyłała do pani listy, ale na żaden z nich nie otrzymała odpowiedzi. Nieraz płakała, bo czuła się samotna... Chciała wierzyć, że jej listy ginęły po drodze i wcale do pani nie docierały. Czy tak było naprawdę, lady Castlereagh? Nie otrzymała pani żadnego listu od naszej mamy?

Lady Castlereagh siedziała bez ruchu, z rozchyłonymi ustami i rękoma zaciśniętymi na poręczach fotela.

- Chyba naprawdę ich nie dostała - szepnęła Bethany, spoglądając z wyrzutem na brata. - Zresztą... nie wypada zadawać gościowi nietaktownych pytań.

- Jak my o to nie pytamy, to kto?! - burknął Damian. - Tata nigdy ani słowem nie wspomni jej o tym! Ani jej mężowi, jeśli go w ogóle spotka. Czy pani otrzymała listy od naszej mamy, lady Castlereagh?

Dostojnej damie dosłownie zapało dech. Od lat nikt nie ośmielił się wytknąć jej błędu, a już z pewnością nie powążył się na to nikt równie młody! Odgrywała rolę surowego sędziego i inkwizytora wobec niezliczonych panien ubiegających się o prawo wstępu do Almack's. Z tej racji jeszcze bardziej przywykła do pochlebstw i czołobitności. Nic dziw-

nego, że to nagłe przesłuchanie, bez najmniejszych względów dla jej godności i pozycji, zbiło ją całkiem z pantafyku.

-Ja... ja nie miałam pojęcia! - wykrzyknęła w pomieszeniu. - Rzeczywiście, dostałam kilka listów od Celi... i naprawdę chciałam odpowiedzieć na nie... tylko wyszłam właśnie za męża i wszystko było takie ekscytujące... a potem z mężem włączyliśmy się w życie towarzyskie... - Głos jej zaczął drżeć. - ...I nigdy jej nie odpisałam!... Jak mogłam... jak mogłam być taka... okrutna...?

- Tatuś zawsze mówi, że prawie nikt nie bywa okrutny - wyrwał się Frazier, który co prawda niewiele z tego rozumiał, ale żal mu się zrobiło płaczącej damy. Podszedł do niej i podał jej chusteczkę. - Tata powtarza, że to, co wygląda na okrucieństwo, to przeważnie bezmyślność, brak odwagi albo głupota.

- Tak, drogie dziecko - potwierdziła, pochlipując lady Castlereagh. - A w moim wypadku wszystko naraz.

- Ale to się może zdarzyć każdemu! Chris i Daymee i Amy mówili teraz bez zastanowienia... to bezmyślność, prawda?

- Prawda - rzekła Bethany, podchodząc do szlochającej damy i dotykając lekko jej ramienia. -Jestem pewna, że nasza mama nie przestała pani kochać. Gdyby tak było, nie opowiadałaby nam o pani tylu pięknych historii!

- Bardzo proszę, niech pani nie płacze! - zaklinał Christian. - Zachowałem się jak ostatni gbur, wyjeżdżając z tymi pretensjami!

- Wszyscy zachowaliśmy się karygodnie - stwierdziła Amaryllis, podchodząc do gościa z resztą rodzeństwa. - Błagamy o przebaczenie, lady Castlereagh! Tak byśmy chcieli, żeby pani nas polubiła!... I lord Castlereagh również.

- Mój Boże!... Ależ ze mnie płaksa! - wymamrotała przez łzy lady Castlereagh. - Zazwyczaj nie zachowuję się tak niemądrze, możecie mi wierzyć!... Ale zawsze myślałam, że wasza matka jest szczęśliwa... Bardzo kochała waszego ojca... mimo wszystko.

- Mama nie zawsze czuła się samotna, proszę pani. Tatuś starał się jak mógł, żebyśmy wszyscy byli szczęśliwi.

- Tatuś umi być bardzo zabawny! - dorzuciła Helen i kiwnąwszy zdecydowanie główką, wdrapała się na kolana dostojnego gościa, a Grace za nią.

Lady Castlereagh odruchowo przytuliła do siebie dziewczynki, a jej serce wezbrało tęsknotą za własnymi dziećmi.

- Wielkie nieba! Cóż za uroczy obrazek! - zawołała lady Jessica, wchodząc do salonu. - Jak miło mi panią widzieć, lady Castlereagh! Znacie się, oczywiście, z hrabiną Vale?

- Nie, nie! Proszę sobie nie przeszkadzać - mruknęła hrabina, gestem powstrzymując młodszą damę od wstania. - A więc to są dzieciaki Rudolpha? - dodała, bacznie przyglądając się gromadce zebranej wokół fotela lady Castlereagh. Z zadziwiającą bystrością zidentyfikowała Christiana i poprosiła: - Pomóż mi usiąść, Warren! - A gdy posadził ją w zabytkowym wyściełanym fotelu z wysokim oparciem, spytała: - Wiesz, kim jestem?

- Niestety, łaskawa pani - wymamrotał. - Nie mam pojęcia.

- Jestem chrześną matką waszego ojca i przyjechałam z Somerset specjalnie po to, żeby obejrzeć was wszystkich, a wasze starsze siostry wprowadzić w wielki świat. Tak, Emily Annę! - roześmiała się na widok zdumionej miny lady Castlereagh. - Jessica powiadomiła mnie, że Amy i Beth otrzymały wiele zaproszeń i nie mogą z nich skorzystać z powodu braku odpowiedniej przyzwoitki. Postanowiłyśmy więc podzielić się z Jess obowiązkami. A teraz - zwróciła się do dzieci - przekonacie się, ile o was wiem! Ten młody człowiek - pomarszczona ręka zacisnęła się wokół nadgarstka Christiana - to Chris, markiz Warren, choć wasz tatuś nigdy go tak nie nazywa. A ty, moja droga, jesteś Beth...

Z zaskakującą trafnością hrabina rozpoznawała każde z rodzeństwa, dodając uwagi świadczące o tym, że istotnie wiele o nich wie. Powodowało to mnóstwo chichotów i wybuchy śmiechu.

- Skąd pani hrabina tak dobrze nas zna? - spytała Bethany, gdy przegląd dobiegł końca. - Nawet cioci Jessice czasem się mylimy... a przecież ma z nami do czynienia od ponad miesiąca!

- Ale ja, moja droga, znam waszego ojca od czterdziestu

paru lat, a od osiemnastu pisuje do mnie, opowiadając o każdym z was.

- A ja myślałam, że tatuś bardzo rzadko pisuje listy - zdumiała się Amy. - Do stryjka Sebastiana napisał tylko trzy razy!

- Pewnie dlatego, że dzięki mnie wiedział doskonale, co się dzieje z jego bratem.

- A poza tym, choćby napisał do stryjka Bastiana, dziadek z pewnością nie oddałby mu listu - uzupełnił Damian.

- No właśnie! - przytaknęła lady Vale. - A teraz, Emily Anne, mów otwarcie: przyślesz dziewczętom karty wstępu do Almack's? Wiem, moje kochane, że nie zamierzacie ubiegać się o nie - zdławiła w zarodku protesty bliźniaczek - ale chyba przyjmiecie je, jeśli spadną wam jak z nieba?

- Mogę was zapewnić, że tak się stanie - uśmiechnęła się lady Castlereagh. - Choć Abbercombe znajduje się w... nie-szczególnej sytuacji, przyjaciele Celi nie zapomną o jej córkach!

Kiedy lady Castlereagh ucałowała na pożegnanie Gracie i Helen, uściskała resztę dzieci i opuściła Fielding House, lady Vale zwołała naradę rodzinną, na której uznała za niezbędną obecność Abbercombe'a. Christian udał się do ojca, by przekazać mu życzenie chrzestnej matki. Amy, Beth i Damian pożegnali się z ciotką i z lady Vale i pędząc przed sobą młodsze rodzeństwo, opuścili salon.

Lady Jessice zaparło dech na widok szwagra.

- Co ci się stało, Cash?! - Nie mogła oderwać oczu od jedwabnego szala owiązanego wokół głowy księcia i zapewne dlatego nie dostrzegła wesołych iskerek w jego oczach.

- Aż tak okropnie wyglądam, Jess? To był pomysł Robina. Uznał, że jeśli zakryje bandaż piracką przepaską, efekt końcowy wywoła raczej zgrozę niż litość. Odnoszę wrażenie, że Fanning wylansuje nową modę! Dzień dobry, ciociu Margarot. Jakże się cieszę, że cię widzę!

Stara hrabina przyjrzała mu się bacznie.

- Możesz się ukłonić czy żebra też ci pogruchotali?

- Jeszcze dziś rano byłem zdolny do ukłonów - odparł Ab-

bercombe z szerokim uśmiechem. - Ale w tej chwili wolałbym nie ryzykować.

- Widzę, widzę, że jesteś całkiem sztywny. Jak do tego doszło? Czyżbyś stracił wreszcie cierpliwość, mój chłopcze, i nie wytrzymał kolejnego afrontu?

- Nie, droga ciociu. Zostałem napadnięty przez opryszków na moim własnym dziedzińcu. Mam wrażenie, że zamierzali mnie ukatrupić. No, no, Jess, nie przejmuj się: przecież im się nie udało! Zachowywali się zresztą bardzo dyskretnie, nie narobili hałasu i nie zbudzili mi dzieciaków.

- Siadaj tu! - Lady Vale wskazała krzesło na wprost siebie. Potem podeszła do kanapy, wybrała jedną z poduszek i mimo protestów Abbercombe'a podłożyła mu ją pod plecy. - No i co? Od razu wygodniej, nieprawdaż? - stwierdziła, wracając na swoje miejsce.

- Gdyby mi nawet nie było wygodniej - odparł książę - i tak bym się do tego nie przyznał. Z pewnością kazałabyś mi położyć się na kanapie, ciociu!

- Coś mi się zdaje, że to byłoby najwłaściwsze rozwiązanie. A teraz zdradź nam, kto nienawidzi cię do tego stopnia, że dybie na twoje życie?

- Masa ludzi, ciociu Margaret... ale żaden z nich nie ma nic do roboty w Anglii. Z wyjątkiem...

- Kogo?

- Jak ci się zdaje, ciociu: czy Stamford mógłby...

- Też coś! Ta wypatroszona glista?!

Abbercombe ryknął śmiechem, ale zaraz jęknął i schwytał się za żebra.

- Co... co to... znaczy?! - wysapał.

- To znaczy, że jest godny najwyższej pogardy i nie ma dość ikry, by spełnić swe pogroźki. W każdym razie Vale w ten sposób się o nim wyrażał - odparła starsza pani, a oczy jej błyszczały wesołością. - Wiesz, w tej jedwabnej przepasce istotnie przypominasz pirata. Może Robin tak cię wyelegantował, żeby dzieciaki się nie przestraszyły...? Oberwałeś po głowie pałką?

- Nie. Kula z pistoletu otarła mi się o skroń. Zwykłe dra-

śniecie, ale Robin upiera się, że muszę nosić bandaż. A teraz wyjaśnij mi, cioteczko, co cię tu sprowadza.

Lady Vale wyłuszczyła krótko sprawę, a lady Denbigh poparła ją w tych punktach, które razem uzgodniły.

- Jessie chce się zaopiekować dziewczętami tak samo jak ja. Doszliśmy do wniosku, że jeśli podzielimy się obowiązkami, dla żadnej z nas nie będzie to uciążliwe. A oprócz tego, Rudolphie, chciałabym jak najczęściej widywać się z resztą dzieci.

- W takim razie musisz porzucić gościnny dom Sebastiana i zamieszkać w Fielding House - mruknął Abbercombe ku zdumieniu obu dam. - Nie wyobrażam sobie, ciociu Margaret, jak mogłabyś pełnić rolę przyzwoitki Amy i Beth, a równocześnie widywać się z resztą dzieci, gdybyś nadal mieszkała pod dachem młodszego Denbigha!

- Przeniosę się do Fielding House z największą przyjemnością! - roześmiała się lady Margaret. - No, daj mi całusa - dorzuciła, wstając i pochylając się nad chrześniakiem. - Teraz pojedziemy z Jess po moje rzeczy, a ty powinieneś poleżeć. Nie jesteś już młodzieniaszkiem, mój kochany, i nie ma co udawać, że nic się nie zdarzyło!

Następnego dnia, gdy lady Vale opisywała obrażenia Abbercombe'a, Olivia zbladła jak ściana.

- Bronił się zębami i pazurami przed moją opieką, ale nie na darmo tyle razy użerałam się z chorym Valem! A Robin chętnie korzysta z mego doświadczenia. Nie ulega wątpliwości, że ten, kto wynajął najemnych zbirów, życzył sobie śmierci Abbercombe'a. Gdyby zamiast musnąć skroń, kula ją przeszyła, stalibyśmy teraz nad grobem Rudolpha.

- Nie mogę w to uwierzyć! - jęknęła Olivia cichutko, żeby nie usłyszały jej Amy, Beth i April, rozmawiające z grupą młodych dam i dżentelmenów w przeciwległym końcu salonu.

-Jednego tylko nie rozumiem -kontynuowała hrabina - czemu zaczęli się na niego o trzeciej nad ranem? Skąd mogli wiedzieć, że w ogóle wyjdzie z domu, a rym bardziej, że wróci o tak późnej porze? Dawson twierdzi, że nikt nie kręcił się w pobliżu Fielding House aż do jedenastej; o tej właś-



nic godzinie zamykali razem z Gowanem dom i stajnię. A w dodatku Cash nie wybrał się własnym powozem!

Serce Olivii, które z każdym wypowiedzianym przez starą damę słowem biło coraz gwałtowniej, ścisnęło się boleśnie. Kto wiedział, że Abbercombe będzie jadł obiad na mieście...? Ona to wiedziała i przekazała tę informację panu LeBruinowi!... Ale LeBruin z pewnością nie wynająłby płatnych zbirów, by zabili księcia. Miałby na niego oko, postarałby się wydobyć od niego informacje o miejscu pobytu Andrew oraz uniemożliwić mu zdobycie cennych danych, by nie przesłał ich do Francji.

- Byłam doprawdy zaskoczona, widząc was razem w parku - powiedziała stara hrabina, przerywając zadumę Olivii.

- Co takiego...? A, tak. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy.

- Doprawdy? Od samego początku czy dopiero po poznaniu jego dzieci?

- Słucham?

- Chciałam się dowiedzieć, Olivio... Mogę ci mówić po imieniu, nieprawdaż? A więc intryguje mnie, czy Cash wydał ci się godny uwagi od pierwszego wejrzenia, czy rozbroił cię dopiero wtedy, gdy ujrzałaś go w towarzystwie dzieci?

Olivia czuła, że się czerwieni.

- Mam wrażenie, lady Vale, że oczarowały mnie przede wszystkim jego dzieci. I to, jak bardzo je...

- Jak bardzo je kocha? Nic bój się tego słowa, moja droga! Cash nie miał pojęcia, czy rodzice żywili wobec niego jakieś uczucia, bo nigdy ich nie okazywali. Dlatego tak bardzo zależy mu na tym, by jego dzieci wiedziały, jak bardzo je kocha i jak kochała je Celia.

- Pani hrabina znała żonę księcia? - spytała Olivia, chcąc odwrócić uwagę rozmówczyni od samego Abbercombe'a. Na każdą wzmiankę o nim czuła niepokój i wyrzuty sumienia. Czy była częściowo odpowiedzialna za tę nocną napaść? Czy LeBruin i jego zwierzchnicy z ministerstwa zniżyliby się do skrytobójstwa? Nie, to niemożliwe! Z całą pewnością rząd nie stosuje takich brutalnych i ryzykownych metod! Przecież aby położyć kres działalności księcia, wystarczyłoby go aresztować

i postawić przed sądem pod zarzutem zdrady państwa... I nagle Olivii przyszedł do głowy doskonały pomysł. Zaaranżuje spotkanie z Jamie Rathertonem i spyta go - bardzo dyskretnie, oczywiście - jak wygląda procedura postępowania wobec Anglików współpracujących z obcym wywiadem.

- Tak, moja droga. Znałam Celię, i to dobrze. Okropna była z niej jędza!

- Nie mogę w to uwierzyć, pani hrabino!

- Ale to prawda. W życiu nie spotkałam równie despotycznej, wymagającej i rygorystycznej młodej damy. Cash wcale się nie chciał z nią żenić, ale ich rodzicom zależało na tym małżeństwie. Celii zaś nigdy nie wpadł w oko inny mężczyzna, choć Cash dwoił się i troił, by podczas sezonu przedstawić jej każdego kawalera i wdowca.

Starsza dama roześmiała się na to wspomnienie. W tym właśnie momencie podeszła do nich lady Pomeroy, mama jednej z panienek, które April zabawiała w przeciwległym końcu salonu.

- Jak miło, hrabino, znowu cię widzieć w Londynie! Czy zabawisz tu nieco dłużej?

- Do końca sezonu, Pamelu - odparła stara dama. - Zamierzam wprowadzić w świat dziewczynki Casha. - Lady Vale śledziła zawieruchę uczuć na twarzy rozmówczynie. - Słowo daje, Pamelu - dodała, gdy lady Pomeroy usiadła naprzeciw niej na szezlongu - dochowałaś się wyjątkowo nieśmiałej córki! Zdumiewające, jak niewiele mają do powiedzenia obecne debutantki! O ile pamiętam, ty nigdy nie kryłaś się w cieniu.

- Pewnie, że nie! Ale Caroline zupełnie się we mnie nie wdała. Ta gaska, wyobraź sobie, hrabino, boi się mężczyzn!

Rozmowa na temat zmarłej księżnej Abbercombe nie została podjęta, gdyż coraz więcej mamusie debutantek przyłączało się do kręgu otaczającego hrabinę. Choć Olivie cieszyło, że bratanica dobrze się bawi w towarzystwie rówieśników, czuwające nad nimi mamusie posłałaby chętnie do wszystkich diabłów. Wiedziała, że nie uspokoi się, dopóki nie porozmawia z Jamie Rathertonem. Tymczasem pogoda była fatalna i nikomu z gości nie spieszyło się do wyjścia na

dwór, gdzie mżyło i wiało. Musiała więc opanować nerwy i dalej odgrywać rolę czarującej pani domu.

Otrzymałszy od córek liścik z wiadomością, że wraz z hrabiną Vale pozostaną na Park Street do wieczora, Abbercombe powiadomił panią Griffin, że na obiedzie będzie o trzy osoby mniej i że zamierza o ósmej wyjść z domu. Ta niezwykła dama, której dyplomatycznych talentów mógłby pozazdrościć niejeden ambasador, najpierw postarała się wprawić w dobry humor szefa kuchni, niepozornego Francuza imieniem Andre, następnie zaś przekazała mu taktownie życzenia jego książęcej mości co do wcześniejszego obiadu dla mniejszej niż zwykle liczby osób.

Kiedy gospodyni przebywała w kuchni, do panny Greene dotarł następny nieoczekiwany rozkaz: obie panienki, lady Grace i lady Helen, mają zejść na obiad w najelegantszych sukienkach. Pan Stanton miał zaś dopilnować, by wszyscy czterej młodzieńcy przywdziali stroje wieczorowe, gdyż po obiedzie mają towarzyszyć ojcu do opery.

- Do opery? - jęknął Damian, odkładając książkę, i spojrzał podejrzliwie na gubernera.

- Tak mnie poinformowano, milordzie. Jego książęca mość zamierza się tam udać w towarzystwie wszystkich czterech synów.

- W takim razie zabierze też Gracie i Helen! - jęknął również Christian, zasłaniając rozpoczęty obraz i zabierając się do mycia pędzli.

- Jestem pewien, że nie będzie się wam nudziło - uspokajał ich nauczyciel. - Opera Królewska to zdumiewające miejsce, będzie tam mnóstwo do podziwiania, nie licząc spektaklu muzycznego.

- Może i tak, ale pan po prostu nie rozumie sytuacji, panie Stanton - westchnął znów Damian. - Tata nie czuje się dobrze, a jeśli wybiera się do opery, to choćby był zdrow jak ryba, sroży się jak niedźwiedź!

Charles Stanton roześmiał się.

- Jeszcze nigdy nie widziałem waszego ojca w roli rozszalonego niedźwiedzia. Czy naprawdę go przypomina?

- Oczywiście, że nie - zaprzeczył Christian, posyłając bratu wściekłe spojrzenie. - Daymee chciał po prostu powiedzieć, że tata będzie w złym humorze. Nie przepada za operą, a w dodatku zawsze mu się wtedy przypomina mama.

- Więc czemu tam bywa? - spytał skonsternowany guwerner.

- Pewnie chce, żebyśmy docenili uroki opery - odparł Damian.

- Ale o tym nie ma mowy! - uzupełnił Christian.

- Może powinniście wyjaśnić to ojcu? - z uśmiechem podsunął pan Stanton.

- Nie warto - westchnął ciężko Damian. - Już raz próbowaliśmy go przekonać, ale powiedział tylko, że zmienimy zdanie, jak dorośniemy.

- Może tak będzie.

- Mowy nie ma! - wykrzyknęli jednogłośnie obaj chłopcy.

Geoffrey Hempstead ciągle nie mógł uwierzyć, że zaraz spotka się z człowiekiem, którego lord Wyndham nazwał najwspanialszym szpiegiem w dziejach świata. Zgodnie z zaleceniem zaczekał do połowy trzeciego aktu i dopiero wówczas dyskretnie opuścił swe miejsce na parterze. Z foyer po wspaniałych marmurowych schodach dotarł do korytarza, wzdłuż którego znajdowały się drzwi do pierwszego rzędu łóż. Łowiąc słuchem i wzrokiem każdy szmer i każdy ruch, Geoffrey bez pośpiechu zbliżył się do drzwi oznaczonych cyfrą siedem, nacisnął klamkę i wszedł do loży. W dole scena płonęła jaskrawymi barwami, muzyka Verdiego wibrowała w powietrzu. Hempstead stał bez ruchu, czekając, aż jego oczy przywykną do półmroku. Gdy tak się stało, skonstatował z przerażeniem, że jest sam. Niezbyt pewnym krokiem postąpił do przodu, zastanawiając się, gdzie popełnił błąd. Czyżby pomylił godzinę... albo dzień? A może - Boże święty! - trafił do niewłaściwego teatru?! Powtórzył w myśli instrukcje Wyndhama i doszedł do wniosku, że niczego nie przekreślił. Był dokładnie tam, gdzie trzeba... ale gdzie się podziewa „Łotr”?!  
- Trzęsiesz się prawie tak jak Hartshorn podczas pierw-

szego spotkania - rozległ się za jego plecami cichy, ale wyraźny głos. - Nie, jeszcze się nie odwracaj. Połóż ręce na oparciu fotela, za którym stoisz, i udawaj zafascynowanego widza. Właśnie tak... znakomicie! Ale popełniłeś błąd, Hempstead: nie należało wychodzić na środek łoży. W tym miejscu jesteś doskonale widoczny.

- Bardzo przepraszam, nie wiedziałem...

- Oczywiście, skąd miałeś wiedzieć? Ale teraz już wiesz i nie popełnisz więcej tego błędu, prawda? Nie stało się nic złego. Obserwowałem cię od pierwszej chwili, gdy wszedłeś do teatru. Nikt cię nie śledził, nie ściągnąłeś na siebie żadnych podejrzeń. Ale to się zmieni, gdy tylko rozejdzie się wieść, że zostałeś nowym asystentem Wyndhama. Najdziwaczniejsze typy zaczną się tobą interesować i kręcić się w pobliżu, dokądkolwiek się udasz i czymkolwiek się zajmiesz. Wyndham przypadł ci do gustu?

- Ależ... oczywiście, proszę pana - zapewnił gorliwie Hempstead i skinął głową.

- Błąd!

- Co takiego?!

- Powinieneś pamiętać, że stojąc tam, gdzie stoisz, jesteś dobrze widoczny. Ktoś mógłby zauważyć, że kiwasz głową, jakbyś rozmawiał z kimś niewidzialnym. Odwróć się teraz, udając brak zainteresowania, i bez pośpiechu przejdź na tyły łoży.

Hempstead przybrał znudzoną minę, odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

- Gdzie pan jest? - spytał, zatrzymując się, gdy tylko znalazł się poza zasięgiem wzroku widowni.

Dłoń w miękkiej rękawiczce wynurzyła się zza kotary z prawej strony łoży i schwyciła Geoffreya za ramię. Aż podskoczył z wrażenia. Ręka zacisnęła się mocniej, wciągając młodzieńca za kotarę.

- Abbercombe?! - Żrenice Hempsteada rozszerzyły się w ciemności. - To pan, milordzie...

- Tak, to ja. Wraz z mymi dziećmi podziwiam uroki opery. A teraz słuchaj bardzo uważnie, Hempstead. Wyndham

musi skontaktować się z *madame* Lavoisier. Paryż, Rue Julienne, numer czternasty. Jego wysłannik ma jej przekazać, że *monsieur* LeCheval i jego towarzysz, ostatnio widziany w Gironde, zostali zatrzymani. Pamiętaj, że musisz powtórzyć wiadomość słowo w słowo. Gdybyś tylko przekazał jej sens, Antoinette błędnie odczytałaby naszą informację.

- Monsieur LeCheval i jego towarzysz, ostatnio widziany w Gironde, zostali zatrzymani - powtórzył Hempstead. - Zrozumiałem.

- Jeszcze tylko jedna wskazówka i musisz stąd wyjść.

Abbercombe zwrócił uwagę Geoffreya na znajdującą się za nimi ścianę.

- To wewnętrzne drzwi?

- Prowadzą do sąsiedniej łoży. Mojej. Będę z niej korzystał do końca sezonu. To niezawodny sposób, by spotkać się, nie zwracając niczyjej uwagi. Wystarczy przesłać krótki liścik ze słowem „opera”, a tego samego dnia poczuję głód kulturalnych wrażeń. Zwłaszcza muzycznych.

- A jeśli w łoży numer siedem będzie akurat jakiś meloman?

- Bez obawy, Geoff! Nikt niepowołany z niej nie skorzysta. Należy do dżentelmena nazwiskiem Matthew Warren. A on po prostu nie istnieje.

- A gdybym w krytycznej sytuacji musiał spotkać się z panem natychmiast, milordzie?

Książę roześmiał się.

- Wiesz co, Hempstead? Bardzo mi przypominasz Harry'ego! W takim wypadku musisz dowiedzieć się, gdzie jestem, i przesłać mi wiadomość. Albo zjawić się tam osobiście i przyciągnąć moją uwagę.

-Jak?

- No, cóż... jeśli będę na przykład w jakiejś speluncie, zajmiesz miejsce w polu mego widzenia, zamówisz butelkę czego tam chcesz i kichniesz. A gdybym wybrał się na przejażdżkę po Hyde Parku, wymijając mnie, kaszlniesz. Otrzymawszy taki sygnał, udam się za tobą i spotkamy się w miejscu, które uznasz za bezpieczne.

- Ale skąd mam wiedzieć, gdzie pana szukać, milordzie?

- Od mego lokaja. On zawsze wie. Wystarczy zastukać do mych drzwi i spytać o Fanninga. Rankiem zawsze zastaniesz mnie w domu. Wystarczy wtedy przesłać wiadomość przez jakiegoś ulicznika.

- A jeśli wasza księżęca mość będzie musiał natychmiast skontaktować się ze mną?

- Wówczas dotrę do ciebie najszybciej, jak się da. Niech cię o to głowa nie boli. jakim sposobem. A to - dodał na zakończenie, pokazując Geoffreyowi piękną hebanową laseczkę ze srebrną rączką w kształcie jastrzębia - prezent dla ciebie. Dziś młodzi ludzie nie mają zwyczaju nosić broni przy boku, więc nie rozstawaj się z tym drobiazgiem. Nie sądzę, byś musiał z niego korzystać, ale nigdy nic nie wiadomo, i lepiej mieć coś takiego pod ręką. - W osłupieniu Geoffrey przyglądał się, jak Abbercombe demonstruje ukryte wewnątrz laski trójkątne ostrze, spojone ze srebrną rączką. - A teraz zabieraj to чудо i obchodź się z nim ostrożnie. I jeszcze jedno, Hempstead: bardzo się cieszę, żeś zdecydował się na tę posadę.

## 10

Wybiła północ, gdy goście opuścili wreszcie dom przy Park Street. Olivia marzyła już tylko o tym, by znaleźć się w zaciszu sypialni i przeanalizować swe uczucia i obawy związane z osobą Abbercombe'a. Jednak April pokrzyżowała jej plany.

- Możemy jeszcze przez chwilę pozostać na dole, cioteczko? - spytała. - Jest coś, o czym chciałabym z tobą pomówić.

- Doprawdy? W takim razie wróćmy do salonu. Siądziemy wygodnie przy kominku i pogawędzimy sobie. - Usadowiły się na kozetce, każda z filiżanką herbaty w ręku. - A teraz mów! O czym chciałaś ze mną porozmawiać?

April spojrzała w pełne niepokoju oczy ciotki, ale zaraz wbiła wzrok w dogasający ogień,

- Chodzi o... o księcia Abbercombe'a, ciociu Olivio.

- Doprawdy,..?

-Tak! Wiem od Amy, że miał wypadek. Czy ciocia też o tym słyszała?

- Owszem, moja droga. Lady Vale mnie poinformowała. Czy Amy mówiła coś więcej na ten temat?

Olivia zauważyła, że bratanica nerwowo szarpie obszyty koronką mankiet długiego rękawa.

- Powiedziała, że wczoraj wieczorem jej ojciec, wysiadając z powozu pana Brummella, poślizgnął się o coś na dziedzińcu i rozbił sobie głowę. Czy lady Vale powiedziała cioci to samo?

- Podejrzewasz, April, że Amy cię okłamała?

- Skądże znowu, ciociu Olivio! Ale przyszło mi do głowy, że ojciec nie powiedział im całej prawdy... - Błyszczące oczy April zwarły się na sekundę z oczyma ciotki, po czym dziewczyna pospiesznie odwróciła wzrok. Ciemny rumieniec oblał jej szyję i twarz. - Wiem, ciociu, że to nie mój interes, ale... ale księżę wcale nie wygląda na takiego, co się przewraca, wysiadając z powozu! Nie jest aż taki stary ani słaby w nogach!

- Istotnie - wykrztusiła Olivia i rozkasłała się, by ukryć rozbawienie. -Ja również nie uważam go za trzęsącego się staruszka... ale ostatecznie każdy może się potknąć. Może przy obiedzie panowie sobie trochę podpili? Dżentelmen, który ma w czubie, nie zawsze potrafi zachować równowagę.

- Ale księżę chodzi bardzo pewnie, nawet jeśli nie jest całkiem trzeźwy! Kiedy odprowadzał mnie do domu z Broad Street, ani razu nie zmylił kroku! A potem jeszcze wspiał się na balkon i zeskoczył! Ani nie upadł, ani nie skręcił nogi!

- Co takiego?! - wykrzyknęła Olivia, a jej bratanica zatkała sobie usta ręką. - April, popatrz mi w oczy! I powtórz, co takiego zrobił Abbercombe!

Zielone jak morze oczy April pełne były wstydu.

-Ja... ja nie chciałam cioci o tym mówić...

- April - powtórzyła Olivia ze spokojem - doskonale rozumiem, że ukrywasz coś przede mną i niechący się z tym



zdradziłaś. Teraz musisz opowiedzieć mi o wszystkim, inaczej zacznę sobie wyobrażać Bóg wie jakie okropności!

Piskliwym ze zdenerwowania głosem April opowiedziała o swej niefortunnej próbie ucieczki. Serce Olivii biło gwałtownie, zwłaszcza gdy usłyszała, jaką rolę odegrał w całej sprawie Abbercombe.

- ...byłam taka przerażona, ciociu Olivio, i nie miałam pojęcia, co robić! Gdyby księżę tamtędy akurat nie przechodził i nie pospieszył mi na ratunek, mogłoby się zdarzyć coś... coś straszego! Oczywiście wtedy jeszcze nie wiedziałam, kim on jest!

- Coś takiego!

- Teraz pan Hempstead i ja rozumiemy, jak źle i głupio postąpiliśmy. Słowo daję, ciociu! Zachowaliśmy się jak niemądre dzieci! Nigdy już nie popełnimy tego błędu. Będziemy cierpliwie czekać, aż ty i tatuś udzielicie nam swego błogosławieństwa. A teraz, gdy księżę wyrobił mu posadę u lorda Wyndhama, Geoff będzie mógł cioci udowodnić, że jest odpowiedzialny i ambitny!

- Księżę Abbercombe pomógł mu zdobyć posadę? W Ministerstwie Spraw Zagranicznych?

- No... Geoffrey nie powiedział dosłownie, że zawdzięcza to stanowisko księciu... Ale kiedy jego księżęca mość wróżył mi podczas przyjęcia urodzinowego, przepowiedział, że ktoś zaproponuje Geoffroyowi dobrą rządową posadę... i wkrótce wszystko się sprawdziło co do joty! Od razu pomyślałam, że księżę troszkę losowi pomógł! A cioci jak się zdaje?

Olivia zakryła twarz rękoma i jęknęła.

- Co ja zrobiłam?! - wykrztusiła. - Och, Abbercombe, jak mogłam to zrobić?!

- Co się stało, ciociu Olivio? - April chwyciła jej obie ręce. - Przysięgam, nic złego się nie wydarzyło! Nie będzie żadnego skandalu. O mojej ucieczce wie tylko Geoffrey i księżę, a żaden z nich z pewnością mnie nie zdradzi!

- Tak bardzo ufasz księciu, kochanie?

- Bezgranicznie! - wykrzyknęła z przejęciem April. - Okażał mi tyle dobroci, choć byłam w okropnym położeniu! I zrobił, co tylko mógł dla Geoffroya, choć go jeszcze nie znał!

I nie wymagał od nas żadnej wdzięczności, tylko tego, żebyśmy zachowywali się przyzwoicie, póki się nie pobierzemy!

- Tak - szepnęła Olivia - okazał się wyjątkowo szlachetny.

- Wyjątkowo! - przytaknęła April, rozcierając zimne jak lód ręce ciotki. - I właśnie dlatego chciałam dowiedzieć się, jak to było naprawdę z jego wypadkiem. Jestem pewna, że księżę nie mógł przewrócić się - ot, tak! - i równie pewna, że nie chciałby niepokoić Amy czy Beth, gdyby... gdyby wdał się z kimś w bójkę lub coś w tym rodzaju.

- Został napadnięty przez zbirów... i strzelano do niego! - wypaliła bez ogródek Olivia i z oczu jej trysnęły łzy. - Na dziedzińcu własnego domu. O mały włos nie zginął. A wszystko z mojej winy!

April zrobiła wielkie oczy i zbladła, słysząc te słowa. Objęła Olivie ramionami i przytuliła mocno.

- Ależ, ciociu! - szepnęła. - Przecież nie mogłaś mieć z tym nic wspólnego!

- Właśnie że miałam! Nic nie rozumiesz, April! Ja... ja dałam się przekonać, że księżę jest... francuskim szpiegiem. I... przekazałam informację, która pomogła zaatakować go znie-nacka! - Popłakując i wzdychając żałośnie, Olivia opowiedziała bratanicy o zniknięciu jej ojca, o swych rozmowach z LeBruinem; nie pominęła także rewizji w gabinecie lorda Sinclaira, o której jakimś sposobem dowiedział się Abbercombe. - I nawet wtedy... choć podejrzewał mnie o szpiegostwo... przyszedł do mnie... nie po to, żeby mnie oskarżać, ale żeby zaofiarować mi pomoc!... - wyjaśniła i znów sobie popłakała.

- A ty mu opowiedziałaś o zniknięciu tatusia, ciociu?

- Tak... a on obiecał, że go odnajdzie.

- Wobec tego odnajdzie. Z pewnością! - skonstatowała April. - Ale jaki to wszystko ma związek z napaścią na księcia?

- To, co ci powiedziałam, nie ma żadnego związku. Ale to jeszcze nie wszystko! *Monsieur* LeBruin przekonał mnie, że Abbercombe jest szpiegiem. A ja zgodziłam się zacieśnić znajomość z księciem, by łatwiej było go obserwować. Miałam dopilnować, by wywiązał się z obietnicy odesłania twojego ojca do Anglii. Obiecałam też przekazywać mu niby to cen-

ne informacje, by karmił tymi bajeczkami swoich francuskich mocodawców. I... i powiadomiłam LeBruina, że tamten wieczór księżę spędzi poza domem... Że spotka się o jedenastej z panem Brummellem...

April wydała zdławiony okrzyk, raz jeszcze uściśnęła mocno ciotkę, a potem zaczęła nerwowo krążyć po pokoju. Przez dłuższy czas żadna z nich nie wymówiła słowa. Wreszcie April wróciła na dawne miejsce.

- Powiem ci, ciociu, co powinnaś zrobić! Musisz iść do księcia i opowiedzieć mu wszystko o panu LeBruinie i o tym, jak wprowadził cię w błąd.

- Ależ, April! Nie mogłabym tego zrobić! Tak strasznie mi wstyd... Abbercombe i dla mnie był zawsze taki dobry... a ja uwierzyłam we wszystko, co mi o nim nagadali!

- Jestem pewna, że księżę nie będzie miał o to pretensji do ciebie. Prawie cały Londyn uważa go za zbrodniarza... a Amy i Beth mówią, że ojciec nie bardzo się tym przejmuje. Znacznie mniej niż reszta rodziny. Zrozum, ciociu, jeśli opowiesz mu o wszystkim, przynajmniej się dowie, kto jest jego wrogiem, i łatwiej mu będzie się bronić!

Dżentelmen, o którym tak rozprawiły, opuszczał właśnie gmach opery. Niosąc na ręku dwie śpiące wystrojone dziewczynki, przeciskał się przez zatłoczone foyer do drzwi frontowych. Dwóch rozespanych, niewiele starszych chłopców stapało niepewnie, trzymając się ojcowskiego surduta. Widok księcia i jego potomstwa wytrącał z równowagi i zmuszał do zatrzymania się wielu bywalców opery, przeważnie damy w wytwornych strojach i ogromnych turbanach przybranych w strusie pióra.

Hrabia Stamford, z uwieszoną na jego ramieniu wyjątkowo urodziwą starszą córką Mirandą, stanął jak wryty na spiralnych schodach i obrzucił nienawistnym spojrzeniem jasnowłosą rodzinę, której ojciec z czarną przepaską na złotych kędziornach przypominał z wyglądu pirata. Stojący w grupie dżentelmenów koło drzwi LeBruin także nie odrywał stalowoszarych oczu od Abbercombe'a, śledząc każdy jego krok.

Christian i Damian, którzy ruszyli przodem zawiadomić stan-

greta, by zajechał przed wejście do opery, czekali już w pogotowiu, by pomóc młodszym braciom wgramolić się do wnętrza. Ethan i Frazier wczołgali się w przeciwną stronę obitych czerwonym pluszem siedzeń i zwinęli się w małe kłębuszki. Chris i Daymee zabrali z ojcowskich ramion Grace i Helen (każdą osobno) - i wreszcie Abbercombe mógł sam wsiąść do powozu.

- Nieraz sobie myślę - szepnął książę, gdy wreszcie usadowił się, nie bardzo wiedząc, co go bardziej boli: żebra czy głowa - że nie okazuję wam dostatecznie, jaki jestem z was dumny i jaki wam wdzięczny za wszystko, co od śmierci mamy robicie dla rodziny. Czasem się zastanawiam, jak sobie poradzę z naszą dzieciarnią, kiedy pójdziecie na uniwersytet?

- Jeszcze nie podjęliśmy decyzji, tato, czy będziemy studiować - odparł równie cicho Christian.

- Będziecie, z całą pewnością. Jak nie w Oksfordzie, to na innej uczelni. Ku mojej wielkiej radości.

- Naprawdę? - spytał Damian, pochylając się nad śpiącą na jego kolanach Gracie.

- Jak najbardziej! Myślisz, że wolę, byście wyrosli na bezmózgich kretyńców?

- Z pewnością tak nie myślimy! - uśmiechnął się szeroko Chris. - Ale może oddamy się sztuce i stworzymy całkiem nowy styl w malarstwie?

- Chyba już tego dokonaliście! - roześmiał się cicho książę. - Z całą pewnością nie ma na świecie dzieła sztuki dorównującego nowatorstwem obrazowi, który namalowaliście wspólnie na moje urodziny!

Nazajutrz późnym rankiem, wkrótce po tym, jak Abbercombe zdołał jakoś wypełznąć z łóżka, w jego sypialni zjawił się Dawson.

- Wasza książęca mość, ktoś prosi o audiencję i absolicję.

- O audiencję i absolicję?! - Twarz Abbercombe'a zmarszczyła się w uśmiechu. - Czy ja wyglądam na biskupa, Dawson?

Wargi majordoma wygięły się w uśmiechu.

- Panna Willburton-Smythe tak się właśnie wyraziła. Bardzo jej zależy na rozmowie.

- Olivia...? Zaprowadziłeś ją oczywiście do lady Vale?

- Nie, milordzie. Pragnie się rozmówić z waszą księżącą mością. Bez świadków. Czekaj w bibliotece.

- Powiedz jej, że zaraz zejść. I zadbaj, żeby jej tam było wygodnie!

- Zrobię wszystko, wasza księżą mość, by czuła się mile widzianym gościem.

Następne minuty były prawdziwą udręką dla Fanninga. Księżę ciągle go popędzał, nie mogąc doczekać się końca toalety. Z największym wysiłkiem Robin zdołał go powstrzymać i wy-móc zgodę na zmianę opatrunka. Wyrwawszy się wreszcie z rąk lokaja, Abbercombe popędził po schodach. Zwolnił tempo dopiero przed drzwiami biblioteki, do której wszedł statecznym krokiem. Panna Willburton-Smythe odwróciła się od okna, a księżę skłonił się sztywno i ucałował koniuszki jej palców.

- Jak to ładnie, Olivio, żeś zechciała mnie odwiedzić - powiedział.

Na widok bandaża Olivia krzyknęła, a jej ręka odruchowo uniosła się, jakby chciała dotknąć opatrunku. Abbercombe powstrzymał jednak ciekawską rączkę i podprowadził gościa do fotela.

- To tylko zadrapanie - wyjaśnił z uśmiechem i przysunawszy sobie krzesło, zasiadł naprzeciw Olivii. - Powiedz, czym mogę ci służyć?

Olivia podniosła na niego oczy, spuściła je i znów na niego spojrzała. Policzki jej poróżwiały, co Abbercombe oczywiście zauważył. Uśmiechnął się, by dodać jej odwagi.

- Chciałaś porozmawiać ze mną w pilnej sprawie - odpowiedział. - Czy to dotyczy twojego brata?

Panna Willburton-Smythe potrząsnęła głową.

- To dotyczy... waszej księżęcej mości.

- Mnie?

- T... tak!... Nie mogę... nie zdobędę się na to!... April uważa, że powinnam... Mówi, że nie będziesz się gniewał!... Ale tak mi wstyd!

Abbercombe uniósł pytająco brew i pochyliwszy się ku Olivii, pochwycił jej drżące dłonie.

- Mów bez obawy, drogie serduszek! - powiedział cicho. - Od tak dawna zżyłem się z występkiem i hańbą, że z pewnością nie zdołasz mnie zaszokować.

- Ale ja zrobiłam coś... niewybaczalnego!

- Niemożliwe! - uśmiechnął się. - Jesteś przecież wzorem przyzwoitości. Wiem o tym z najlepszego źródła!

Olivia wzięła głęboki oddech.

-Ja... ja cię zdradziłam!

- Co takiego?! Co to ma znaczyć, Olivio?

Zwiesiła głowę i zaczęła mu opowiadać o LeBruinie tak cicho, że ksiązę musiał pochylić się, by wszystko zrozumieć. Olivia czuła bijące od niego ciepło, oddech Abbercombe'a muskał jej twarz... ale nie ośmieliła się podnieść wzroku. Kończąc, zwiesiła głowę jeszcze niżej, wyrwała ręce z uścisku i zaczęła na oślep szukać w torebce chusteczki. Gdy ksiązę podsunął jej swoją, chwyciła ją, upuszczając torebkę, i gniewnie otarła oczy. Zaraz jednak rozszochała się ponownie i ukryła twarz na jego piersi. Abbercombe wziął Olivię pod brodę i delikatnie uniósł jej głowę, tak iż musiała wreszcie spojrzeć na jego cudownie kształtne usta, złamany nos i zatroskane oczy.

- Tak mi przykro, kochanie - szepnęła. - Możesz mi wybaczyć?

-Ja... w...wybaczyć tobie?! Przecież to moja, tylko moja w...wi...

- Nigdy więcej nie mów o sobie z taką pogardą! Wina leży po mojej stronie. Czemu miałabyś nie ufać panu LeBruinowi, cieszącemu się ogólnym poważaniem, podczas gdy moja reputacja jest nieodwracalnie zaszargana? Oczywiście wolałbym, żebyś mu nie uwierzyła i nie sprzymierzyła się z nim przeciwko mnie, ale bynajmniej cię o to nie obwiniam i nie pozwolę, byś obwiniała się sama! A poza tym, Olivio, rzeczywiście mam posiadłość we Francji, choć pierwsze słyszę, że należała niegdyś do rodziny LeBruina. A cara Rosji istotnie owinąłem sobie dokoła palca!

- Naprawdę?

-Jak najbardziej. Jestem zresztą pewien, że moje dobra we Francji zostały dawno skonfiskowane. I równie pewien tego, że gdybym udał się znów do Rosji, powitano by mnie tam z otwartymi ramionami. Powiedz mi, Olivio... kiedy jeździli-

śmy razem po parku... czy robiłaś to wyłącznie z myślą o ambitnych planach LeBruina...? Czy nie miałaś z tego... choć odrobiny przyjemności...?

Panna Willburton-Smythe spoglądała na niego w osłupieniu.

- Chciałem przez to powiedzieć, że może moglibyśmy... nadal być przyjaciółmi? I widywać się od czasu do czasu...?

- Ależ, Abbercombe! Z mojej winy omal cię nie zabili!

- To dla mnie nie pierwszozna, kochanie. Sam już nie pamiętam, ile razy byłem o włos od śmierci. Ale od lat nie jeździłem po Hyde Parku ze śliczną i interesującą damą... więc ogromnie mi się to spodobało.

Olivia nie miała pojęcia, co odpowiedzieć na takie dictum. Jak on mógł traktować jej ciężki grzech jak błahostkę?! Z pewnością tylko udaje, że go to nie obeszło, żeby nie ranić jej uczuć.

- Nie pojmuję - wyznała, opanowawszy się nieco - że po czymś takim, chcesz jeszcze mieć ze mną do czynienia!

Abbercombe dostał napadu śmiechu.

- W... wybac, Olivio! - wykrztusił z trudem.

- Doprawdy, nie widzę w tym nic zabawnego, wasza księżąca mość - oświadczyła zdeorientowana Olivia.

- To taki... taki prywatny żarcik. Powtórzyłaś słowo w słowo to, co słyszałem za każdym razem od Celi, ilekroć obdarzyła mnie bliźniętami! - I znowu zaniósł się śmiechem.

Olivia starała się zachować powagę, ale w końcu nie zdołała się oprzeć i roześmiała się perliście.

- „C..Cash”, mówiła za każdym razem - jęczał ze śmiechu Abbercombe - taka zaskoczona, z dzieciakiem na każdym ramieniu!... „że też jeszcze chcesz mieć ze mną do czynienia!”.

Olivia sama nie wiedziała, jak to się stało, ale opuszczając Fielding House, nie czuła już wyrzutów sumienia. Oboje z księciem postanowili znów zawrzeć przyjaźń i nigdy nie wracać do przeszłości.

Abbercombe siedział skulony w fotelu, który tak niedawno zajmowała Olivia. Wbił wzrok w przestrzeń i rozważał wszystko, co mu powiedziała. A więc mężczyzną, którego

widział wraz z nią w gabinecie lorda Sinclaira, był LeBruin. I ten Francuzik miał czelność podjudzać Ołivię przeciw niemu i spiskować z nią! Książę przeklinał własną głupotę. Po kiego diabła kazał Robinowi „spalić wykradzione dokumenty?! Powinien był je zatrzymać... albo nawet podłożyć jako dowód obciążający w mieszkaniu LeBruina... i wówczas Wyndham mógłby oskarżyć Francuza o zdradę.

Psiakrew! Że *też* nie wpadł na to wcześniej! Wyraźnie się starzeje! Ale kiedy zobaczył Ołivię myszkującą po gabinecie Sinclaira, poczuł takie straszliwe rozczarowanie... Lecz wszystko już się wyjaśniło! Olivia wcale nie jest szpiegiem, tylko Bogu ducha winną młodą kobietą, lękającą się o życie brata. No, cóż... Harry był już bezpieczny, i jeśli i on, i *madame* Lavoisier okażą się równie niezawodni, jak zwykle, kapitan Willburton-Smythe wróci niebawem do ojczyzny, w ramiona siostry i córki. Trzeba jeszcze tylko położyć kres działalności napoleońskiego szpiega, LeBruina. Bogu dzięki, że Wyndham uspokoił wreszcie Sinclaira przerażonego zaginięciem kurierskiej przesyłki. Z dwojga złego lepiej, że została zniszczona, a nie wpadła w łapy LeBruina!

- Wasza książęca mość... - Fanning wszedł do biblioteki niezauważony. Dostrzegłszy zmarszczkę niepokoju na czole swego chlebobdawcy, zamknął drzwi i natychmiast do niego podszedł. - Może mógłbym w czymś pomóc waszej książęcej mości?

Abbercombe wskazał mu krzesło naprzeciw siebie.

- Pamiętasz faceta nazwiskiem Maxim LeBruin, Robinie?

- Owszem. To on zaaranżował wyspę w Paryżu. O mało waszej książęcej mości nie przyskrzynili.

- Jest teraz w Londynie. I wygląda na to, że mu cholernie zależy na mojej śmierci.

- Te zbiry na dziedzińcu to upominek od niego, milordzie?

- Wszystko na to wskazuje. Wiedział, że będę tamtego wieczora jadł na mieście z Brummellem. Olivia mu powiedziała.

- Panna Willburton-Smythe, wasza książęca mość?

- Tak. To zawiłana historia, mój Robinie. Olivia nie ponosi żadnej winy, ale ten drań był dobrze poinformowany o moich planach, więc mógł bez trudu przygotować zasadz-



kę. Co prawda nie rozumiem, czemu postanowił wykończyć mnie tak wcześnie, kiedy mógł wyciągnąć ode mnie jeszcze wiele cennych informacji... Ale muszę uniemożliwić mu dalszą działalność, bo inaczej nie posunę się ani o krok... Mógłbym wyzwać go na pojedynek... tylko że wtedy musiałbym uciekać z Anglii, a nie mam ochoty.

- Naprawdę, wasza książęca mość? Myślałem, że książę pan o niczym innym nie marzy. Że od samego początku nie podobał mu się ten powrót na łono ojczyzny.

- Tak rzeczywiście było, Robinie, ale... Zaszły pewne okoliczności, które... Nie bardzo mogę... A niech to wszyscy diabli! Przystań się szczerzyć jak głupi, Robinie! To wcale nie to, co myślisz!

- Tak jest, wasza książęca mość - mruknął Fanning.

Z jedną ręką na gzysie kominka, a drugą na gałce laseczki Brummell postukiwał niecierpliwie stopą o posadzkę salonu Wortha, czekając, aż hrabia przestanie się wreszcie śmiać.

- Wybacz, Beau, ale w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem, że ujrzę cię z podbitymi oczyma!

- Mam podbite tylko jedno oko, Edwardzie. Nie dwa! Choć muszę przyznać, że nie brak mi różnych innych obrażeń, na szczęście ukrytych przed wzrokiem ciekawskich. W najbliższym czasie nie zamierzam ukazywać się publicznie.

- Też bym ci tego nie radził. - Worth uśmiechnął się szeroko. - Wzdrygasz się przecież na samą wzmiankę o fizycznej przemocy, a tu masz! Straciłbyś całą wiarygodność, gdyby cię ujrzano w takim stanie. Wytłumacz mi więc, czemu wystawiasz się na moje grubiańskie drwiny? Zakładam, że jest coś, w czym mogę ci pomóc tylko ja, nikt inny. Mam rację?

- Niezupełnie... ale sądzę, że ty, hrabio, najchętniej spełnisz moją prośbę. Otóż, dwa dni temu jadłem obiad na mieście z Abbercombe'em...

- I zbił cię na kwaśne jabłko? - spytał Worth, a oczy mu się śmiały.

- Nie, został zaatakowany przez najemnych zbirów. Spojrzenie hrabiego natychmiast stwardniało.

- Opowiedz mi o tym - zażądał. - Jak najdokładniej!

Zanim opowieść Beau dobiegła końca, Worth krążył w tę i z powrotem po puszystym czerwono-czarnym dywanie.

- Czy Cash domyślał się, kto na niego nasłał tych drani?

- Chyba nie. Ale mózg odmawiał mu posłuszeństwa. Był porządnie zamroczony, a potem całkiem odpłynął, gdy Fanning zszywał mu ranę. Odzyskał przytomność dopiero następnego dnia rano. Wiem o tym, bo wysłałem służącego z pytaniem o zdrowie księcia. Moim zdaniem, Edwardzie, musimy zabawić się w straż przyboczną, przynajmniej do chwili gdy odkryjemy prawdziwego winowajcę.

- „Musimy”, Beau? Ty i ja?

- Tak, do wszystkich diabłów! Jesteś jego najbliższym przyjacielem, prawda? A na mnie, psiakrew, rzucił chyba jakiś urok?! Choćbym chciał, nie mogę się od niego odczepić!

- Dlaczego nie? - spytał Worth. - Wyzywa cię od dzieciaków. Ogrywa cię z pieniędzy. Nie chce skorzystać z twoich chodów. I wciąga cię w najgorsze towarzystwo!

- Właśnie dlatego! - uśmiechnął się Brummell. - Od niepamiętnych czasów nikt nie potraktował mnie tak podle. Jeszcze nigdy nie byłem do tego stopnia zafascynowany!

- Doskonale wiem, co czujesz. Mnie Cash potraktował równie podle, gdyśmy się spotkali po raz pierwszy. Zupełnie mu nie imponowała kolekcja moich znamienitych przodków ani moja szacowna osoba!... Co prawda, byliśmy wówczas siedmiolatkami i większość guzów nabił mi osobiście, ale z grubsza twoje i moje wrażenia pokrywają się. Nie spuszczałem go z oczu, by nie stracić ani jednego z wysoków, na jakie sobie pozwalał. No, ale dość wspomnień! Musimy zatroszczyć się o Casha... i chyba już wiem, co zrobimy! - wykrzyknął Worth, pstrykając palcami. - Chodź, Beau! Przejedziemy się twoim powozem. Możesz usiąść z tyłu, żeby cię nie wypatrzył jakiś ciekawski na Bond Street!

- Według rozkazu pana hrabiego. - Skłonił się Brummell. - Rozporządzaj moją osobą i mieniem, milordzie!

Elijah Stone, osobnik o nijakiej twarzy, odziany w rdzawo-brunatny surdut, spod którego wyglądała zaskakująco ozdobna

kamizelka śliwkowej barwy, przyjął Wortha i Brummella w swojej „prywatnej agencji”, składającej się z kilku klitek na górnym piętrze starego domu przy Newgate Street.

- Dzieńdoberek, milordzie! - powitał kordialnie Wortha. - Kopę lat gały nie oglądały pana hrabia, no nie?

- Racja, Stone! - odparł z szerokim uśmiechem hrabia. - Przyprowadziłem tu pana Brummella, bo obaj chcemy skorzystać z waszej pomocy.

Gospodarz zaprosił gestem gości, by usiedli.

- Nawijaj hrabia - mruknął, zajmując miejsce za wielkim biurkiem o porysowanym i poszczerbionym blacie, zawalonym stertą papierzyków. - Co się rypło? Ktoś was wpuścił w maliny?

- W co? - spytał Brummell z oczyma błyszczącymi wesołością.

- W maliny, Brummell - powtórzył dobitnie Worth, pionując go wzrokiem. - Nie, Stone. Nie chodzi o mnie. Ale jednemu z naszych przyjaciół przydałaby się troskliwa opieka. I pomyślałem, że ty i twoje chłopaki nadajecie się do tego w sam raz.

- A co to za facet?

- Książę Abbercombe.

- Rany boskie! - wykrzyknął Stone i wyciągnawszy z kieszeni sfatygowaną chustkę, energicznie wytarł nos. - Słyszysz niejedno o tym gościu. Dobry kumpel, powiada hrabia? To kawał diabła! Nieźle oskubał speców z rozrywkowej branży. Cóż mi się widzi, że lada dzień zrobi mu się za gorąco w każdym piekiełku w Londynie!

- Widziałeś go kiedy w akcji, Stone?

-A jakże, milordzie. Rączki chodzą mu jak w zegarku! Drugich takich nie uświadczy. Aż serce rośnie! Prawdziwa frajda na coś takiego kikować. Ale zgadnąć, jak on to robi... Paru szemranych się do tego przymierzało... i guzik.

-Jak myślisz, Stone? Może nasz przyjaciel zanadto zderwował któregoś z ważniaków?

- Któregoś?! Wszystkie co do jednego są na niego cięte!

- Na tyle, by pozbyć się go raz na zawsze?

- Na zawsze, milordzie? Tyż coś! Każden jeden chce go

podpatrzeć, jasne? Siedzieć, jak to mówią, u nóg mistrza, i uczyć się od niego fachu. A kto się czego nauczy od trupa?!

- Rozumiem. Wszyscy pragną, żeby grał jak najdłużej - byle nie u nich, co?

- Utrafiłeś hrabia w sedno! To żadna tam nienawiść, tylko trochę ich wkurza, że facet taki więcej nieprzemakalny.

- Niestety, Stone, ktoś go naprawdę nienawidzi. - Worth zmarszczył czoło. - Ktoś kilka dni temu wynajął speców od mokrej roboty, żeby napadli na księcia po nocy. Robili co mogli, żeby go ukatrupić.

- Co pan nie powiesz? - wymamrotał Stone. Odchylił się i wetknął kciuki w miniaturowe kieszonki kamizelki.

- Powiem, że przybyłem tu, by zapewnić sobie usługi waszej firmy. Trzeba znaleźć drania, który nadał tę robotę, i podrzucić go strażnikom. A póki chodzi luzem, zapewnić księciu opiekę.

- Zrobię to z miłą chęcią, milordzie.

- Wiedziałem, że tak będzie. Ale musicie to robić bardzo dyskretnie, Elijah! Książę o niczym nic wie i nie powinien wiedzieć, że ma takich aniołów stróżów.

- Gadki szmatki! Chcesz nas hrabia uczyć fachu?! Jak i hrabia się przyłożyś do tego, bedziem strzegli księcia jak ten mur! Spiknij mnie z jego głównym fagasem, milordzie, to książę złota rączka będzie wśród przyjaciół i w dzień, i w noc. A swoją drogą tego zasrańca, co nadał robotę, wykopiemy choćby spod ziemi!

- Wiedziałem, że można na tobie polegać, Elijah! Kiedy zabierzecie się do roboty?

- Po mojemu, weźniem się za księcia na początku przyszedłego tygodnia. Do tego czasu niech hrabia się pogada z tym całym majordomem, i powi mu, co i jak.

Worth wstał i położył zwitek banknotów na biurku Stone'a.

- Pięćset na początek. Jak będzie po wszystkim, prześlesz mi rachunek. - Ucisnął rękę Stone'a i opuścił jego nietypową agencję. Brummell deptał mu po piętach.

Gdy wsiedli do powozu, Worth rozparł się na poduszkach i spojrzął na Beau z wyraźną pretensją.

- Dajże spokój, Edwardzie! - wycedził Brummell. - Nie

sądziłeś chyba, że będę się wdawał w konwersację z tym osobnikiem?

Hrabia rozchmurzył się, a nawet zachichotał.

- Miałem taką nadzieję, Brummell. W końcu nabrałeś trochę życiowego doświadczenia. Wystarczy spojrzeć na twoje oko!

- Może i nabrałem doświadczenia, ale nie ochoty na konwersację z tym aniołem stróżem z ciemnego zaułka!

- Nie rozumiałeś, co mówi? No, przyznaj się, Beau, że byłeś ciemny jak tabaka w rogu!

- Ani myślę przyznawać się do czegokolwiek. Lepiej oświeć mnie, Worth, gdzie i kiedy nawiązałeś znajomość z tym osobnikiem?

- To długa historia, mój chłopcze, i pewnie by ci nie przypadła do gustu. A zatem, musimy wtajemniczyć Dawsona.

- Istotnie. I mieć oko na Abbercombe'a do przyszłego tygodnia.

- Myślisz, że zdołamy tego dokonać?

Brummell wzruszył ramionami, na ile pozwalał na to modny obcisły surdut.

- Nie widzę powodu, żeby w to wątpić.

Worth skinął głową, oczy błysnęły mu wesoło.

- Nie widzisz, Brummell? Coś mi się zdaje, że niebawem oczy ci się otworzą! Ale zrobimy, co w naszej mocy.

## 11

Wieść o tym, że hrabina Vale zamieszkała w Fielding House, przez wielu młodych dżentelmenów została przyjęta z aplauzem; nic już nie stało na przeszkodzie, aby z bukietem w ręku złożyć wizytę jednej lub obu księżniczkom. Troskliwe mamuśki złotych młodzieńców drżały na myśl, że ich skarby mogłyby wziąć przykład z grzesznego księcia. Jednak większo-

ści tych dam szybko przeszła drżączka, gdy z poczty pantoflowej dowiedziały się, że zarówno lady Amaryllis, jak i lady Bethany dostaną w posagu dziesięć tysięcy funtów, albo i więcej, oraz że książę zamierza przenieść na każde ze swoich dzieci prawo własności do tych czy innych majątków nieobjętych majoratem.

Kiedy spekulacje na temat rozmiarów książęcej fortuny dotarły do uszu czcigodnych matron z londyńskiej elity, nawet one zapomniały o poprzednich obawach i wraz ze swymi pociechami zdecydowały się złożyć poranną wizytę hrabinie Vale i jej podopiecznym, gdyż czego jak czego, ale młodych dżentelmenów z najlepszych rodzin nie brakowało w salonach Fielding House. Przy okazji ten czy ów z kawalerów mógł zauważyć i docenić ujmujący uśmiech, nadobne rysy lub jakże cenny zdrowy rozsądek takiej czy innej obecnej tam akurat panienki.

Wicehrabia Harcourt i czcigodny Bryan Kettering niebawem stali się niemal codziennymi gośćmi w książęcej rezydencji.

- Słowo daję, powinniśmy urządzić dla nich stały wybieg, tak się obłaskawili; zawsze można się tu na nich natknąć - zauważyła pewnego ranka przy śniadaniu hrabina Vale. - Nie ma dnia, żeby Dawson nie zaanonsował nam przynajmniej jednego z nich.

- Nie, kochanie, konfitury nie są od tego, żeby w nich gmerać palcem - mruknął z pewnym roztargnieniem książę Abbercombe, odsuwając salaterkę z konfiturami poza zasięg Helen. - Uważasz, ciociu Margaret, że powinienem wypowiedzieć im dom? Gdyby wieść o tych wizytach dotarła do uszu Stamforda, mieliby za swoje! Nie sądzisz, Frazier, że lepiej oddać tego śledzia Misiowi? I tak już pożarł trzy czwarte.

- Nie, papo, nie zniechęcaj ich, bardzo proszę! - błagała Bethany, nalewając księciu kawy ze stojącego na kredensie dzbanka. - Żaden z nich nie naprzykrza się nam. Nieprawdaż, ciociu Margaret?

- Wcale nie mówiłam, że się naprzykrzają, Beth. Tylko... jakby ci tu...

- Ciocia Margaret chce powiedzieć, Bethany, że ani Harcourt, ani jego brat nie powinni się pokazywać w Fielding House.

-Ależ, papo! Jak możesz mówić takie rzeczy! -wykrzyknęła siedząca po przeciwnej stronie stołu Amaryllis. - Dla czegoż to nie mielibyśmy ich widywać? Są zawsze tacy uprzejmi i mili!

Abbercombe wziął filiżankę z rąk Bethany, podziękował jej, skosztował kawy i ze zdziwieniem odkrył, że w lewej ręce trzyma gorącą bułeczkę, którą wetknęła mu Gracie.

- Cóż to ma znaczyć, złotko?

- Posmaruj, tatuśku!

- Grace Irene Denbigh! Masz już sześć lat i co najmniej od trzech potrafisz sama posmarować bułkę masłem!

- Ale ta ma w środku same kluchy i kłaczki! Jak smaruję masłem, to albo się ciągnie, albo kruszy...

- Kluchy i kłaczki, powiadasz? - Abbercombe skinął głową ze zrozumieniem. - Wobec tego bardzo przepraszam, kochanie. Postąpiłaś wyjątkowo rozsądnie, powierzając sprawę wybitnemu specjalście od smarowania nietypowych bułeczek. Ty, Amy, również masz słuszność - rzekł do pierworodnej, smarując bułkę, a następnie zwracając ją prawowitej właścicielce. - Obaj są naprawdę mili. Jednak z pewnych względów nie powinni u nas bywać.

- Z jakich względów, tato? - zaciekawiał się Christian.

- Hrabia Stamford sądzi, że wasz ojciec jest odpowiedzialny za śmierć jego brata - wyjaśniła lady Vale. - I wobec tego nie zgodzi się na żadne kontakty z waszą rodziną.

- Ale czy jego synowie o tym wiedzą, tatusiu? - spytał Damian.

- O, tak - westchnął Abbercombe. - Powiedziałem im, że jestem winien śmierci ich stryja Channinga, ale to ich widać nie odstraszyło. Uważam, że nie powinni wiecznie się tu pętać. Nie pojmuję, czemu tak lekceważą ojcowskie zakazy!

- Bo ich wzięło, i to na całego! - roześmiał się Christian.

- Słowo daję, stary, nigdy nie masz wolnej chwili! Ależ w ciebie orzą, psiakrew! - mruknął Kettering, gdy Geoffrey po raz ostatni przed wyjściem zerknął do lustra.

- Owszem, i cholernie mi to odpowiada! - odpowiedział

Hempstead z szerokim uśmiechem. - A poza tym niebawem będę miał dwa dni wolnego i dość brzęczącej monety, by zaszać. Wybierasz się dziś po południu do parku, Bry?

- Owszem, jeśli lady Amy wybierze się ze mną na przejażdżkę.

- Robisz się cholernie nudny, Kettering! Nic tylko „lady Amy to” i „lady Amy tamto”! Nie masz pojęcia, jak mi się to przejadło!

- No to wreszcie rozumiesz, cośmy musieli znosić, kiedyś bez przerwy głądził o tej swojej April! - rzucił kpiącym tonem Harcourt, który - już ubrany do wyjścia - popijał czekoladę na gorąco. - A propos, czy wszystko już między sobą uzgodniliście?

- Absolutnie wszystko! April przyrzekła na mnie czekać... do chwili gdy udowodnię jej ojcu i ciotce, jaki ze mnie ambitny, odpowiedzialny i godny zaufania człowiek. A w dodatku majątny... a przynajmniej z realną perspektywą zbicia majątku. Wyndham namówił mnie na kupno pewnych obligacji, rozumiecie, i moje skromne oszczędności już zaczynają procentować. Jutro podczas balu u Skiffingtonów będę mógł zapewnić April, że wszystko jest na dobrej drodze.

- Bardzo mnie to cieszy! - ziewnął Kettering i ściągawszy z głowy szlafmycę, rzucił ją na krzesło.

- Na mnie już czas! - oświadczył Hempstead i pospieszył do wyjścia.

- Na mnie też, Bry - wymamrotał Harcourt, stawiając opróżnioną filiżankę na nocnym stoliku. - Coś mi się zdaje, że nie wyrwę się od ojca przed drugą. Staruszek uparł się, że zrobi ze mnie rządcę! Diabli wiedzą czemu, przecież ma Browninga. Nie zapomnij, Hawkins - zwrócił się do lokaja, który obsługiwał całą trójkę - gdyby ktoś o mnie pytał, jestem w Stamford House.

Służący skinął głową potakująco.

Ubrawszy się i zjadłszy śniadanie, Kettering udał się na pięknym gniadoszu do Fielding House. Upewniwszy się uprzednio, że wygląda zabójczo, oddał się marzeniom o Amaryllis, której szafirowe oczy i złote loki, a także cięty



języczek i urocze poczucie humoru, rzadko spotykane u tak młodej damy, urzekły go od pierwszej chwili.

Zanim stanął na progu jej domu, zdążył w duchu paść przed nią na kolana, wyznać jej swą miłość i błagać ją o rękę. Oczyma duszy widział również, jak Amy odpowiada mu przychylnie, jak na jej policzku pojawia się - o, radości! - najśliczniejszy w świecie dołeczek. Ujmując kołatkę, słyszał w marzeniach miękki, gardłowy szept ukochanej: „Tak, o tak, Bryanie!” Nagle drzwi otwały się z takim impetem, że uderzyły o ścianę, wyrwijąc brutalnie Ketteringa z rozkosznych marzeń.

- Alarm! Kryj się! - darł się mały chłopczyk, pędząc wprost na młodzieńca i zapewne dla urozmaicenia skacząc na jednej nodze. - Przpraszm! - burknął smarkacz i rozpychając się łokciami, przecisnął się obok Ketteringa i pognął na łeb na szyję po schodach. - Biegiem, kto żyw! - wrzasnął jeszcze, rwąc z kopyta przez wybrukowany kocimi łbami dziedziniec.

- Z drogi! Z drogi! - ryknął drugi równie donośny głos.

Nauczony doświadczeniem Kettering przezornie usunął się na bok, gdy drugi chłopak przemknął obok niego, nie zdobywszy się nawet na „przepraszam”. W ślad za tą drugą jasnowłosą trąbą powietrzną gonił wyjątkowo wrzaskliwy szczeniak. Kettering pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział takiej pokraki, która w dodatku skróciła sobie drogę, depcząc po noskach jego świeżo wyglancowanych butów.

Zanim książę postawił nogę na pierwszym stopniu schodów, do uszu Ketteringa dotarł jego gromki ryk.

- Doigrrrraliście się, drrrranie! Pokrrroję was na karrrmę dla moich rrrybek!

Abbercombe zbiegał z hałasem ze schodów, przeskakując po dwa stopnie na raz, prosto na Ketteringa. W ostatniej chwili uniknął zderzenia: wyciągnąwszy ręce, chwycił młodzieńca za ramiona, odsunął na bok i przemknął obok niego.

- Poczekaj, jeden z drrrugim! Jak was dorrrwę, porrrąbię na drrrobną kaszkę - grzmiał arystokrata, zbiegając po schodach na dziedziniec w pogoni za dwoma rozwrzeszczanymi bachorami

Kettering gapił się na Abbercombe'a, póki książę nie znik-

nał za węglem, ścigając Ethana i Frazier. Na twarzy młodzieńca malowało się równocześnie rozbawienie i niedowierzanie. Wreszcie odwrócił się i ujrzał przed sobą niebieskie, śmiejące się oczy Chrisa.

- Amy i Beth są w małym salonie - poinformował go bez troski młody dżentelmen. - Znasz drogę, prawda?

Kettering wspiął się na schody, a następnie korytarzem pierwszego piętra dotarł do małego salonu. Stwierdził, że nie jest jedynym porannym gościem. Powitał ukłonem lady Vale, a potem przez kwadrans usiłował zamienić kilka słów na osobności z lady Amy. Ponieważ okazało się to niewykonalne, spytał, czy nie zechciałaby udać się z nim popołudniu na przejażdżkę. Otrzymałszy przychylną odpowiedź, opuścił Fielding House. I dopiero wówczas przypomniał sobie, że Harcourt pojechał kariolką na spotkanie z ojcem. No, cóż... - pomyślał. Zobaczmy, może Redvers użyje mi swego factonu...? Był już przy bramie, gdy wydało mu się, że ktoś go woła po nazwisku. Wstrzymał gniadego. Księżę, dosiadający znacznie okazalszego wierzchowca niż ten, na którym Kettering widział go ostatnio, podjechał do młodzieńca galopem.

- Dokąd się wybierasz, Kettering?

- Do Redversa, wasza książęca mość. Może mi pożyczy facton i konie na dzisiejsze popołudnie.

- Chcesz zabrać na spacer jedną z moich córek? - Księżę wyminął bramę i przeszedł w stępa.

Kettering dostosował się do jego tempa i ruszyli we dwóch w dół Great Stanhope Road.

- Lady Amy zgodziła się łaskawie towarzyszyć mi do Hyde Parku, wasza książęca mość.

Przez ułamek sekundy Ketteringowi zdawało się, że w głębi szafirowych oczu dostrzega bezsilny gniew i rozpacz. Ale ulotne wrażenie rozwiało się i oczy księcia były znów nieodgadnione.

- Nie jestem pewien, Kettering, czy dotarło do ciebie to, co mówiłem podczas naszego pierwszego spotkania - odezwał się księżę. - A może liczysz na to, że ojciec dostanie ataku apopleksji, zanim cię zamorduje?

- Słucham?

- Czy nie wyraziłem się dość jasno? Było tak, Kettering: twój stryj Channing i ja wdaliśmy się w bójkę. I on tego nie przeżył.

- W bójkę? Wasza książęca mość zabił go w bójce?

- Tak, mój chłopcze. Dokładnie tak. To zbrodnia nie do wybaczenia i nic dziwnego, że twój ojciec mi nie wybaczył. A teraz, gdyby odkrył, że ty i twój brat uganiacie się za moimi dziewczętami, rozpętałoby się piekło. Bądź więc tak dobry i usuń się dyskretnie. I skłoń Harcorta do tego samego, dobrze? Amy i Beth to przemiłe dziewczuszki, ale twój ojciec nie znie- sie, by jego synowie mieli z nimi coś wspólnego.

- Ależ, wasza książęca mość... - protestował Kettering.

- Przemyśl to sobie. Z pewnością przyznasz mi rację. Żaden z was nie jest chyba tak wyrodnym synem, by narzucić Stamfordowi więzy pokrewieństwa w najwyższym stopniu odrażającego. Amaryllis nie weźmie ci za złe, jeśli nie zjawisz się na umówioną pr/ejalażdżkę. Napisz do niej kilka słów, a ja wytłumaczę jej, że to wynik rozmowy ze mną.

Abbercombe zawrócił w pół kroku i odjechał, pozostawia- jąc Ketteringa targanego burzą uczuć, niepewnego, czy słu- chać serca, czy książęcych rad.

W garderobie April odbywała się prawdziwa rewia mody. Podekscytowana panienka defilowała przed ciotką w wieczo- rowych kreacjach, musiały bowiem podjąć decyzję, w czym wystąpi na balu u Skiffingtonów.

- To będzie mój pierwszy bal, ciociu... Tak bardzo bym chciała wyglądać ładnie!

- Ależ, April, ty zawsze ładnie wyglądasz - odparła Olivia, dając jej znak, by obróciła się dokoła; chciała przyjrzeć się sukni ze wszystkich stron. - A w tej po prostu pięknie! Jest zdecydowanie najbardziej twarzowa.

- Jak możesz tak mówić, ciociu? - April wyduła kapryśnie usta. - Jest znacznie mniej ozdobna niż tamte!

- No właśnie! Prostota, elegancja i jakiś staroświecki wdzięk... Idealne tło dla twojej urody. I ta wierzbowa zieleń...

Taka modna i taka twarzowa, zwłaszcza przy twojej karnacji! Oczy ci płoną... niewiarygodny efekt!

- Czy nie uważasz, ciociu - szepnęła April, obracając się przed lustrem - że wyglądam w niej zbyt dziecinnie? Nie chcę, żeby mnie brali za dziecko!

Olivia rozes'miała się.

- Zapewniam cię, kochanie, że nikt cię w niej nie weźmie za dziecko! Chwileczkę, zaraz cię przekonam! - Wprawnymi palcami upięła włosy bratanicy w kok na czubku głowy. Nie-sforne wijące się pasma otoczyły twarz w kształcie serca zwiewną aureolą pierścionków. - A to będzie doskonałe wykończenie! - wykrzyknęła z entuzjazmem Olivia, przetykając stworzoną naprędce koafiurę wstążeczkami w odcieniach zieleni. - Jeszcze tylko sznur pereł... i osiągniemy idealną całość! Pojedziemy do Rubena, jak tylko przebierzesz się w spacerową suknię. Zobaczymy, czy uda się nam znaleźć stosowny naszyjnik. A teraz spójrz! - Odwróciła April twarzą do wielkiego ściennego lustra.

- Och... - westchnęła dziewczyna, wpatrując się w swoje odbicie i dotykając nabożnie jasnozielonego jedwabiu sukni. - Nie mogę uwierzyć, że to naprawdę ja!...

- Zapewniam cię, gąsko, że to naprawdę ty. - Olivia uśmiechnęła się szeroko. - A gdy znajdziemy odpowiedni naszyjnik, staniesz się jeszcze bardziej olśniewająca. Zmień szybko suknię, a ja każę, by powóz zajechał. Wybierzemy się do jubilera. - To rzekłszy, Olivia opuściła pokój i zeszła na parter, gdzie poleciła, by Laslow kazał zaprzęgać. Piętnaście minut później April zastała ciotkę w niewielkim pokoiku od frontu pogrążoną w myślach; jej czoło przecinała niewielka zmarszczka.

- O czym tak dumasz, ciociu? - spytała bratanica, siadając obok niej na ławeczce we wnęce okiennej. - Jesteś taka pochmurna...

- Skądże znowu, moja droga! Zamyśliłam się, i tyle.

- O jakichś poważnych sprawach?

- Myślałam o księciu Abbercombe.

- Ależ, ciociu! Mówiłaś mi przecież, że ksiązę ci wybaczył

i prosił, żebyś przestała się tym zamartwiać... dokładnie tak, jak przewidywałam!

-Tak, moja kochana, ale ja ciągle głowię się nad tym, jak mogłabym wynagrodzić krzywdę, którą mu wyrządziłam tą moją... moją zdradą.

-To wcale nie była zdrada! Po prostu myślałaś, że jest francuskim szpiegiem, i postąpiłaś, jak ci sumienie dyktowało. Książę doskonale zrozumiał twoje intencje!

- Uważam, że stać mnie na coś więcej niż prośba o wybaczenie. Muszę wynagrodzić wyrządzoną krzywdę! I zrobię to, zobaczysz!

April uważnie przyjrzała się dumnie uniesionej brodzie i wojowniczym błyskom w szmaragdowych oczach.

-Jaki masz plan, ciociu? Co możemy dla niego zrobić?

- Ależ, kochanie, to ciebie nie dotyczy!

-Jak najbardziej dotyczy! Nie będę przyglądać się z założonymi rękami! Mam powody równie ważne, jak ty do okazania księciu wdzięczności. I tak jak ty pragnę mu pomóc! Czy jest jakiś sposób, by osłonić go przed atakami LeBruina?

- Myślę, że zdołam pokonać tego łotra bez sumienia, tego francuskiego potwora jego własną bronią. Niech nadal wierzy, że ufam mu bez granic... tym łatwiej będzie mu podsunąć fałszywe informacje albo schwytać go w pułapkę!

-Jakim sposobem, ciociu Olivio?

- Tego jeszcze nie wiem. Muszę to sobie dokładnie przemyśleć.

-Ja też się nad tym zastanowię -oświadczyła April, zadzierając brodę kubek w kubek jak jej ciotka. - Ostatecznie, LeBruin wykorzystał mojego ojca jako przynętę, by podporządkować sobie ciocię. Z przyjemnością odpłacę za to tej bestii!

Olivia spojrzała na siedzącą obok niej młodą damę i serce jej wezbrało dumą. April miała odwagę, wiele odwagi. I choć brakło jej doświadczenia, nadrabiała to determinacją.

Przez całą drogę zawzięcie dyskutowały, ale dotarwszy do pracowni jubilerskiej, nadal nie miały konkretnego planu - ani unieszkodliwienia LeBruina, ani ochrony księcia.

Wszedłszy zaś do sklepu, zdumiały się na widok Abbercombe<sup>^</sup>, rozprawiającego o czymś zawzięcie z Rubenem seniorem. Na dźwięk nazwiska Ołivii, którą witał właśnie jeden z subiektów, książę odwrócił się błyskawicznie, a jego twarz rozjaśniła się chłopięcym uśmiechem.

- Panna Willburton-Smythe - rzekł, składając elegancki ukłon - i panna April! Jakże się cieszę! Jestem pewien, że nie znajdę nikogo, kto lepiej by mi doradził niż wy, drogie panie! - Spoglądał z zachwytem na modną suknię Olivii oraz na zawadiacki kapelusik, siedzący z fantazją na jej ciemnych lokach. Nie uszło jego uwagi, że spod kapelusika nie wyzierały koronki staropanieńskiego czepka.

- Bardzo mi zależy na opinii kogoś, kto zna się na damskiej biżuterii - powiedział, mrugając porozumiewawczo do April. - Wyświadczyć mi, drogie panie, tę łaskę!

- Ależ oczywiście, wasza książęca mość! - uśmiechnęła się szeroko April, biorąc ciotkę pod rękę. - W czym możemy pomóc? Dzień dobry, panie Ruben - dodała, witając jubile-ra lekkim dygiem; Olivia skinęła mu głową.

- Pan Ruben był tak dobry, że wykonał to na moje zamówienie. - Abbercombe odsunął się od kontuaru, by obie panie mogły obejrzeć cztery kamee leżące na czarnym aksamicie.

- O!... - westchnęła zachwycona Olivia i delikatnie muwnęła palcem najpierw jeden, a potem pozostałe trzy wyrzeźbione profile na medalionach zwieszających się z delikatnych srebrnych łańcuszków. - Cóż za misterna robota! Nigdy nie widziałam czegoś równie pięknego! Te twarze wyrzeźbiono w kości słoniowej, nieprawdaż?

- Tak, Olivio. - Książę uśmiechnął się. - Dwie kazałem wprawić w szafiry, dwie osadzone są na szmaragdach. Ale pan Ruben zapewnia mnie, że obecnie debiutantki nie noszą innych ozdób prócz perci.

- Istotnie, tak się przyjęło, wasza książęca mość.

- Ale sznurek pereł to wyjątkowo mdły, pozbawiony charakteru naszyjnik! - burknął Abbercombe. - I najmniej twarzowy! April, czy te medalioniki nie podobają ci się bardziej od tradycyjnych perełek?

- Ależ tak, wasza książęca mość! - odrzekła dziewczyna i oczy jej rozbłyły. - Są takie piękne i takie subtelne.

- I byłąbyś gotowa wyłamać się z ustalonych reguł i wystąpić w takim medalionie... powiedzmy, na balu u Skiffingtonów? Nie są to przecież niesmacznie kosztowne ozdoby, Olivio - dodał, zerknąwszy na urzeczoną kameami pannę Willburton-Smythe. - I mają znacznie więcej uroku od pereł!

Wyjątkowo kształtne usta April rozchyliły się w szerokim uśmiechu.

- Wiedziałam, że tak będzie! - zawołała z triumfem. - Amy i Beth dostały zaproszenie od Skiffingtonów! I nie powiadomiły mnie od razu? Jak to brzydko z ich strony!

- Pewnie chciały ci sprawić niespodziankę - odrzekł z uśmiechem książę - a ja pomieszałem im szyki! Ale z pewnością mi wybaczą. Jak myślisz, Olivio - spytał z wesołym błyskiem w oku - czy Amy i Beth mogą wystąpić w tych medalionach? Mam na myśli te szafirowe.

- Czy takie tło będzie pasowało do ich sukien?

- Owszem. Do ich oczu także.

- To nic ulega wątpliwości. - Olivia nie mogła oderwać wzroku od kamei; April rzuciła księciu szelmowskie spojrzenie. Mrugnął do niej w odpowiedzi, a ona rozchichotała się.

- Nie widzę nic niewłaściwego w tych ozdobach - stwierdziła Olivia z przekonaniem. - Są niezwykle oryginalne, Abbercombe, ale nikt nie mógłby nazwać ich niestosownymi.

Oczy księcia spotkały się z oczyma złotnika nad głową perorującej damy.

- Serdeczne dzięki, moja droga. Rozwiałaś wszystkie nasze wątpliwości!

Z najwyższą pieczołowitością pan Rubcn senior zdjął kamee z kontuaru. Olivia odprowadzała je wzrokiem, do chwili gdy jubiler zniknął na zapleczu.

- Powiedz mi, moja droga - Abbercombe zwrócił się do April - czy ty i twoja ciocia ustaliłyście już, w czym wystąpicie na balu?

- O, tak! Ja będę w wierzbowej zieleni - odparła dziewczyna i omal znów nie dostała chichotek, ujrawszy wyraz

triumfu na twarzy księcia. - Moja suknia jest dokładnie w tym kolorze, co wstążki przy sukni cioci Olivii. A ona włoży na bal toaletę ze wspaniałego szmaragdowego jedwabiu!

- Gracie i Helen będą zrozpaczone, że nie zobaczą tych cudów. Biedactwa, nigdy nie widziały mamusi strojącej się na bal... A teraz wprost nie mogą się doczekać chwili, gdy ujrzą Amy i Beth w pełnej gali!...

- Jakie to urocze, że na wszystko patrzysz zawsze pod kątem dzieci! - uśmiechnęła się Oliwia. - Jadąc na bal do Skiffingtonów, będziemy oczywiście mijać wasz dom... możemy więc wpaść do was na minutkę. Pamiętam jeszcze z dzieciństwa, jakim przeżyciem było oglądanie mamusi w balowej kreacji!

Pan Ruben pojawił się znów i z szerokim uśmiechem wręczył Abbercombe'owi niewielki pakunek

- Dokładnie tak, jak sobie wasza księżęca mość życzył.

- Dzięki, Ruben! - uśmiechnął się książę i ukłoniwszy się paniom, wyszedł ze sklepu.

Abbercombe dotarł do domu, w chwili gdy Worth i Brummell żegnali się właśnie z posępnie wyglądającym Dawsonem.

- Co tu się dzieje? - zawołał, zsiadając z konia i oddając wierzchowca pod opiekę chłopcu stajennemu. - Czy te łotry bardzo ci się dały we znaki, Anthony?

- Bynajmniej, wasza księżęca mość - odparł Dawson, siląc się na pogodniejszy wyraz twarzy.

- Skąd ci przyszło do głowy, że mu dokuczaliśmy? - burknął Worth, gdy książę stanął obok nich na progu.

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł Abbercombe, unosząc brew. - Może wpadniecie na chwilkę?

- Prawdę mówiąc, przyjechaliśmy tu, by ci zaproponować wspólną przejażdżkę po parku - wycedził Brummell.

- A potem obiad u White'a - dodał Worth.

- I partyjkę wista - zakończył Brummell i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Nie - odparł lakonicznie Abbercombe.

- Nie? - Worth uniósł brwi, co ogromnie rozśmieszyło księcia. - Wolno spytać, czemu nie, wasza księżęca mość?



- Bo mam inne plany, Edwardzie.

-Jakie plany?

- Nie twój interes, *mon ami*. Wybaczcie, ale nic z tego.

- Nie spiesz się tak, Cash. Brummell i ja bardzo liczyliśmy na twoje towarzystwo. Nie możesz odłożyć tych swoich planów na dzień czy dwa?

- Wejdźcie do środka! - rozkazał księżę, spoglądając podejrzliwie to na jednego, to na drugiego. - Co ty, Edwardzie, knujesz do spółki z tym dzieciakiem? Nie zaprzeczaj! Wystarczy spojrzeć na wasze miny.

Rozsiadisz się wygodnie w saloniku na tyłach domu, z kieliszkiem brandy w ręku, Worth i Brummell wszelkimi sposobami starali się zapewnić sobie towarzystwo Abbercombe'a na cały wieczór. Posunęli się do tego, że zaproponowali mu wspólną wyprawę do któregoś z podrzędnych „piekiełek”, a choćby i do wszystkich, gdyby księciu na tym zależało. Im dłużej rozmawiali, tym bardziej księżę utwierdzał się w swych podejrzeniach, a wreszcie olśniło go: przejrzał ich grę.

- Zamierzasz zostać moim aniołem stróżem, Edwardzie?! - wykrzyknął nagle i zakrztusił się brandy. - Tam do kata! Ale z ciebie zarozumialec!

- Być może! - odparł Worth z szerokim uśmiechem. - Ale będziemy czuwać nad tobą w sposób wyjątkowo dyskretny... chyba że się zaprzesz kopytami i trzeba cię będzie zmuszać. Zrozum, stary: nie możesz włóczyć się samotnie po ulicach! Nie ulega wątpliwości, że ktoś dybie na twoje życie.

- I w tej sytuacji ty sięgasz po miecz ojców swoich, a Brummell wtyka sobie w portki pukawkę, i obaj macie zamiar łączyć za mną krok w krok?! Nie ma mowy! Po pierwsze: ty, Brummell, stracisz cały szyk i wiarygodność. A po drugie: idę o zakład, że ty, Worth, nie miałeś w ręku białej broni, odkąd dwadzieścia lat temu opuściłem Londyn w tak niefortunnych okolicznościach! NIE, zrozumiano? Doceniam wasze dobre chęci, ale nie zgadzam się, i już. A poza tym, mam się spotkać dziś wieczór z kimś, komu cholernie zależy na anonimowości. Jeśli zobaczy, że łączycie za mną, nie stawi się na spotkanie. Ogromnie mi zależy na jego współ-

pracy, więc bardzo mi przykro, ale nie pozwolę, by któryś z was pętał się koło mnie!

Brummell i Worth wymienili niespokojne spojrzenia.

-Jak głęboko w to wdepnąłeś, Cash? -spytał hrabia. - Szykuje ci się znowu odsiadka w Newgate?

Abbercombe uśmiechnął się rozbrajająco.

- O tym nie może być mowy, milordzie! - oświadczył Brummell. -Jeśli zadarłeś z prawem, to zwrócę się do Prinny'ego...

- Nie fatyguj się, Brummell! Potrafię sam zwrócić się do Florizela, gdyby zaszła taka potrzeba. - Abbercombe wpatrywał się w gości znad kieliszka. - Chodzi o to - powiedział cicho - że mój dobry przyjaciel wpadł w tarapaty. Dotarły do mnie wieści, że tkwi na francuskim wybrzeżu i ani rusz nie może się stamtąd wydostać. Obiecałem, że dostawię go do Anglii zdrowo i cało. Ale nie zdołałem tego dokonać bez pomocy pewnego przemytnika.

- Z którym masz się spotkać dziś w nocy? - spytał Worth.

- Z którym mam się spotkać dziś w nocy. Ale facet rozpoznaje Brummella nawet z podbitym okiem. Ciebie chyba też, Edwardzie.

- A jeśli nas zobaczy, nie będzie chciał z tobą współpracować?

- Właśnie!

- W takim razie mam rozwiązanie - oświadczył Brummell, zakładając nogę na nogę. - Worth i ja odstawimy cię na umówione miejsce i zaczekamy na ciebie w powozie, póki się z nim nie dogadasz.

- Gdzieżeście się umówili? - spytał Worth.

-Jermyn Street siedemdziesiąt siedem.

- Wielkie nieba, Jermyn Street? - skrzywił się Brummell. - Weźmiemy mój powóz, Worth, bo twój zanadto się rzuca w oczy.

- A twój to nie, dzieciaku? - wtrącił się Abbercombe. - Nie, nie! Jeśli już musicie mi towarzyszyć, bierzemy fiakra!

Worth odetchnął z ulgą.

- Więc przyjmujesz naszą pomoc?

- Na dzisiejszy wieczór, Edwardzie. Jeśli dojdę do wniosku, że potrzebna mi jest ochrona, wynajmę fachowców.

a przyjaciół nie będę narażał! A na razie proponuję, żebyście, zamiast latać do White'a, zjedli obiad z nami. Szukacie mocnych wrażeń? Będziecie je mieli!

- Od miesiąca czekam na to zaproszenie, Cash. Był już najwyższy czas! - uśmiechnął się Worth.

- A ty, Brummell?

- Będę doprawdy zaszczycony, wasza książęca mość.

- To mi przypomina... - Worth zaczął szukać czegoś po kieszeniach. - Mam coś dla ciebie. Gdzież ja to... A, jest! Ty również będziesz zaszczycony, przyjacielu - oznajmił, wręczając księciu zapieczętowany list.

Abbercombe zdumiony wpatrywał się we własne nazwisko. Potem złamał pieczęć, zapoznał się z treścią i ryknął śmiechem.

- Nabierasz mnie, Edwardzie! Skąd to wytrzasnąłeś?

- Jak to, skąd? Od lady Skiffington, matolku! Myślisz, że sam to sprokurowałem?!

- Utrafiłeś w sedno. Czemu, u diabła, lady Skiffington miałyby mnie, właśnie MNIE zapraszać na swój bal?! Po to, żeby zrazić do siebie całą resztę gości?

- Przypomnij sobie, Cash, że lady Skiffington to moja teściowa.

- A ty miałeś czelność namawiać ją, żeby mnie zaprosiła?

- Nic podobnego, głupku! Mój teść i moja żona wzięli ją w dwa ognie. John jest ci wdzięczny, bo naprawiłeś mu powóz, a Eugenia bo... bo nie tylko cię polubiła, ale wczoraj przekonała się, że... że...

- Że miałem rację?! - wykrzyknął Abbercombe i zerwał się, by uściskać przyjacielowi rękę. - Wiedziałem, od chwili gdy weszła do namiotu!

- Skąd mogłeś wiedzieć?!

- Do diaska, Edwardzie! Celia nie na darmo urodziła mi ośmioro urwisów! Tylko za pierwszym razem było to pełne zaskoczenie. Kiedy kobieta spodziewa się dziecka, jest w niej coś szczególnego... Jak przyjrzeć się z bliska, widać to wyraźnie! One... one wtedy... świecą własnym światłem.

## 12

Hempstead przez cały wieczór musiał wysłuchiwać pe-anów na cześć dam z klanu Denbighów, ich niezwykłych talentów i cnót. Kettering rozważył radę Abbercombe'a i postanowił ją zignorować. Korzystając z nieobecności księcia, zjawił się w Fielding House i zabrał lady Amy na przejażdżkę po parku. Harcourt natomiast nie zdołał wyrwać się od ojca przed szóstą i skutkiem tego nie mógł towarzyszyć lady Beth podczas spaceru. Odczuwał więc tym większą potrzebę rozmowy na temat tej młodej damy i gadał o niej bez przestanku w trakcie obiadu w Grillon's Hotel i przy portu w klubie White'a.

- Powiadam ci, Geoff, nigdy jeszcze nie spotkałem młodej damy równie uroczej, jak lady Bethany - podsumował wreszcie. - To z pewnością najśodsza, najłagodniejsza dziewczyna w Londynie!

- Nie będę się z tobą sprzeczał - uśmiechnął się szeroko Hempstead. - Moja April ma mnóstwo zalet, ale z pewnością nie jest łagodną owieczką!

- Pewnie że nie! Lady Amaryllis też bym tak nie określił - zaśmiał się Kettering. - Ale to najpiękniejsza i najbardziej niezależna panna, jaką w życiu widziałem! I co za rozum! W tej ślicznej główce wszystko działa jak w szwajcarskim zegarku. Wyjątkowa dziewczyna!

Hempstead odchylił się na oparcie fotela i westchnął.

- Wiem, że ci niełatwo, Geoff - mruknął współczująco Kettering. - Ale jutro wieczorem zobaczysz swoją April. Pomyśl tylko, jak się ucieszy na twój widok!

- Mam nadzieję, że tak będzie... bo inaczej wszystkie moje starania nie byłyby warte funta kłaków!

-Jakie znów starania? -spytał Harcourt.

- A jego harówka u Wyndhama to nic? - Kettering posłał bratu wymowne spojrzenie. - Sam powiedz, Geoff, urobiłeś sobie ręce czy nie?

- Do łokci - potwierdził z westchnieniem Hempstead. - Co tam znowu?!

Jack Sloan zmierzał wyraźnie ku nim.

-Wiadomość dla pana, panie Hempstead. Jakiś dżentelmen to naskrobał i nie czekał na odpowiedź. - Stróż świętych wrót White'a kiwnął głową i odszedł.

Hempstead rozłożył kartkę i pochylił się nad ogniem, by lepiej widzieć. Żołądek fiknął mu koziołka, gdy zapoznał się z treścią. Wstał pospiesznie i wydukał:

- Bardzo mi przykro, ale muszę was opuścić.

Nie wdając się w dalsze wyjaśnienia, chwycił płaszcz, kapelusz i łaskę od Abbercombe'a (przedmiot podziwu i zazdrości wszystkich przyjaciół, od chwili gdy pierwszy raz ujrzeli to cudo) i wciągając rękawiczki, skierował się ku drzwiom.

- Zaczekaj, Geoff! - zawołał za nim Kettering. - Nagłe wezwanie, co? Może ci się na coś przydamy, Harcort i ja?

Hempstead zatrzymał się w pół kroku, zmierzył przyjaciół wzrokiem i przez chwilę się zastanawiał. Niełatwo mu było podjąć decyzję. Ale właściwie czemu nie miałyby zabrać ze sobą Harcom i Ketteringa? Jeśli zanosilo się na kłopoty, to wzmocniona obstawa wyjdzie na korzyść księciu.

- Chodźcie - zawyrokował wreszcie. - Będę wam wdzięczny za pomoc.

Bracia pospiesznie włożyli płaszcze, kapelusze i rękawiczki. Hempstead skinął na przejeżdżającego fiakra i we trójkę wpakowali się do zamkniętego cuchnącego pudła.

- Trzeba było poczekać na coś wonniejszego, Geoff! - rzucił Kettering. - Ten smród nas wykończy! Naprawdę kazałeś się zawieźć pod dwie siódemki na Jermyn Street?

- Naprawdę. Ja też wiem, co tam jest, ale takie dostałem polecenie. Rozmyśliłeś się? Wsiadacie?

- Skądże znowu - odparł Harcort, wciągnąwszy głowę do wnętrza powozu. - Jedziemy z tobą. O, cholera!... - Znow wychylił się przez okno.

- Mój braciszek ma diabelnie delikatny żołądek - zachochał Kettering. - Ale poza tym ostry z niego facet!

- Czasem aż za bardzo. - Hempstead pokiwał głową. Z pewnym niepokojem dostrzegł, że powóz skręca już w Jermyn Street. Przeczesał wzrokiem mroczne kąty między budynkami. - To tu! - obwieścił wreszcie i wyskoczywszy z powozu, zapłacił woźnicy. - Nie musisz na nas czekać - mówił właśnie, gdy Kettering i Harcourt wylądowali obok niego na kocich łbach. Trzymając się razem, dotarli do drzwi najbliższej spelunki w całym Londynie. Hempstead przedstawił swój plan działania.

- Musimy udawać mocno podpitych frantów, szukających rozrywki. Znajdziemy wolny stolik, hukniemy, żeby nam dali butelczynę, i rozejrzemy się po sali. Nie jest wcale pewne, czy włączymy się do akcji.

- Za kim mamy się rozglądać, Geoff? - spytał żywo Harcourt.

- Wcale nie powiedziałem, że mamy kogoś szukać.

- Nie jestem taki głupi, jak ci się wydaje! Dostajesz liścik, po którym lecisz do tej mordowni. Jasne, że chcesz tu kogoś przyłapać. Pomyśl, że trzy pary oczu to więcej niż jedna i nie bądź taki tajemniczy, przyjacielu!

Hempstead przez chwilę rozważał sytuację.

- Nie mogę wam zdradzić wszystkiego - mruknął na koniec - ale ktoś od Wyndhama dał mi cynk, że Abbercombe tu jest i może wpaść w tarapaty. Sama obecność Abbercombe'a w Londynie to dla naszego ministerstwa twardy orzech do zgryzienia, choć mało kto o tym wie.

- Macie go na oku, bo był karnie deponowany? - spytał Kettering.

- Właśnie! - zełgał Hempstead. - I kto wie, czy nie trzeba go będzie deportować jeszcze raz, jeśli spowoduje zbyt wiele zamieszania.

- Niech mnie diabli! - wymamrotał Harcourt. - Czy Abbercombe wie, że macie go na oku?

- Nie... i dlatego nie rozpuszczajcie ozora po próżnicy! A zwłaszcza nie wygadajcie się przed jego córkami! Mogę liść na waszą dyskrecję, prawda?

- Jasne! - zapewnili go bracia, po czym objawszy się ramionami, wkroczyli do jaskini hazarda Rozsiedli się beztrąsko przy jednym ze stolików, a Kettering zachrypniętym głosem zażądał czegoś mocniejszego. Cała trójka z powodzeniem wcieliła się w mocno podchmielonych paniczek, którzy nie zdając sobie z tego sprawy, zabłądzili do meliny rzeźmieszków.

Abbercombe zauważył, rzecz jasna, triumfalne wejście hałaśliwej trójki. Posłał im spojrzenie pełne pogardy, po czym znów skoncentrował się na grze w faraona. Usłyszał donośne kichnięcie i uśmiechnął się w duchu. Skupił uwagę na osobie rozdającego, bacznie obserwując, jak odwraca kolejną kartę... i książęce pieniądze zasilają bank. Nie zrezygnował z dalszej gry i z ponurą zawziętością przegrywał coraz więcej i więcej w kompletnym milczeniu, którym wyróżniał się spośród rozgadanych graczy. W końcu wyciągnął z kieszeni skórzaną sakiewkę i wytrząsnął jej zawartość na obity zielonym suknem blat. Pozostali gracze zrobili wielkie oczy i stracili (nareszcie!) mowę.

- Ejże, milordzie! Chcesz to wszystko postawić? - spytał szeptem rozdający, łakomie wpatrując się w stos banknotów.

- Sto tysięcy. Zakładam, że wasz bank też dysponuje taką sumą. Sam się dziś do tego walnie przyczyniłem.

- Jasne, że bank dysponuje, milordzie. Ale wątpię, czy innych gości stać na taką grę.

- W takim razie stawiam wszystko na jedną kartę - wycedził Abbercombe. - Wybierz ją dla mnie, Solomonie, a ja spróbuję odgadnąć, co to za karta. Wóz albo przewóz. Trochę mi się już przejadła gra, nie mam ochoty siedzieć tu do rana.

Rozdający obejrzał się i dostrzegł jednego z właścicieli spelunki przy końcu stołu. Mężczyzna skinął głową na znak przyzwolenia.

- W porządku, milordzie, niech będzie na jedną kartę. Mam otworzyć nową talię?

Abbercombe leniwie wzruszył ramionami.

- Nie widzę takiej potrzeby, ale jeśli sobie życzysz...

Rozdający potrząsnął głową i uśmiechnął się szeroko. Tym razem chyba szczerze.

- Bank też nie widzi takiej potrzeby. Te karty nam wystarczą. Proszę wskazać którąś z nich. Co to będzie, milord/k'?

Abbercombe wstał i z godną podziwu zręcznością wyciągnął szablę i końcem ostrza dźgnął górną kartę leżącej przed nim talii.

- Walet kier - oznajmił cicho i jednym ruchem nadgarstka zrzucił kartę na stół, równocześnie odkrywając ją. Spojrzały nań malowane oczy waleta kier. Książę zaśmiał się, a reszta graczy obserwujących tę scenę z zapartym tchem odetchnęła głośno. Książę uniósł brew, zgarnął do siebie wygraną ostrzem szabli, zwinął banknoty jedną ręką i rzucił rozdającemu gwineę.

-Wielce zobowiązany -mruknął cicho. -Jeszcze sobie kiedyś zagramy, co?

Hempstead poczuł silny skurcz żołądka, gdy książę włożył cylinder na bakier, naciągnął rękawiczki i spacerowym krokiem skierował się ku drzwiom. Dwaj mężczyźni siedzący przy stole po obu jego bokach wstali także i ruszyli do wyjścia, depcząc mu niemal po piętach. Hempstead ruchem głowy dał znak Ketteringowi i Harcortowi i wszyscy trzej pospiesznie opuścili lokal.

- Tam! - szepnął Geoffrey, gdy drzwi domu numer siedemdziesiąt siedem zamknęły się za nimi, i wskazał palcem. Choć Abbercombe wyprzedził ich dość znacznie, był wyraźnie widoczny. Wyglądało na to, że chce zatrzymać nadjeżdżającego fiakra. Hempstead spodziewał się ujrzeć również dwóch mężczyzn, którzy wyszli tuż za księciem, ale nie dostrzegł żadnego z nich. Widać poszli w przeciwnym kierunku - pomyślał i poczuł ulgę. Od chwili gdy Abbercombe wetknął do kieszeni sto tysięcy funtów wygranej, Geoffrey spodziewał się napaści i rabunku. A jednak Abbercombe był najwyraźniej sam i całkowicie spokojny. Powóz zatrzymał się obok księcia, zagrzecgotały opuszczane schodki. I wtedy strzał z pistoletu zakłócił nocną ciszę. Abbercombe poślizgnął się na stopniu i zatoczył się, uderzając o bok powozu. Hempstead, Harcort i Kettering puścili się biegiem. Worth



wyskoczył z fiakra na ulicę, w chwili gdy w posepnym mroku huknął następny strzał. Abbercombe zwał się na bruk.

- Są tam! - krzyknął Brummell, wyskakując również z powozu z pistoletem w garści. - Koło magazynów!

- Zostańcie przy księciu! - wrzasnął Hempstead i wraz z Harcortem i Ketteringiem wyminęli pędem fiakra i popędzili wąską uliczką za dwiema niewyraźnymi postaciami, które to kryły się, to znów wyłaniały z mroku. Jeden ze ściganych przy końcu alejki skręcił w lewo. Harcort rzucił się za nim i odległość między nimi zaczęła maleć. Ścigany potknął się, odzyskał równowagę i biegł dalej. Jednak jego tempo wyraźnie zmalało i Harcort ostatkiem tchu dogonił go, podciął mu kolana i zwał na ziemię. Opryszek bronił się wściekle, młóćąc pięściami i kopiąc wicehrabiego ciężkimi buciorami w żebra.

W pewnej odległości od nich Hempstead i Kettering prawie już doganiali drugiego opryszka, gdy nagle skręcił w prawo i niczym duch zniknął im z oczu. Szukali go zawzięcie, szarpiąc drzwi wejściowe pobliskich domów, przeszukując wszelkie możliwe kąty i kryjówki, nawet wielkie kupy śmieci.

- Niech go wszyscy diabli! - wykrzyknął wreszcie zdyszany Hempstead. - Zwiął!

- Przepadł bez śladu! - przytaknął sapiący jak miech Kettering. - Jak on to zrobił? Chyba zapadł się pod ziemię, kundle parszywy!

W znacznie wolniejszym tempie dotarli z powrotem do uliczki, z której wystartowali, z przeciwnej strony przykuśtykał do nich Harcort.

- Wywinał mi się - wymamrotał, ocierając krew z rany na czole. - Walnął mnie kolbą pistoletu... tak mi się zdaje. Na szczęście spieszyło mu się, więc nie poprawił, tylko zwiął.

- Przyjrzałeś się temu draniowi? - spytał Hempstead wicehrabiego, który oparł się na ramieniu brata.

-Ja... ja...

- Co takiego? - zaciekawił się Kettering. - Coś zobaczył, Uavey?

- Chyba już widziałem tego łobuza, ale... nie wiem gdzie

ani jak się nazywa. Nic mi nie jest, Bry! Kilka siniaków i tyle. Cholera!... nie mogę sobie przypomnieć!... Było w nim coś...

- No, jak tam, moi panowie? Wszyscy cali i zdrowi? - Worth podbiegł do nich, kiedy dotarli do drugiego końca alejki. - Psiakrew! Cash znów trafił w dziesiątkę! Powiedzieli: Hempstead, Kettering i Harcourt, choć obaj z Beau nie mogliśmy uwierzyć, by diabli was przynieśli w te zakazane kąty! A ten cholerny drań założył się z nami, że to wy. Wisimy mu po dwadzieścia pięć funciaków od łebka!

- Co takiego?! Założył się z wami, kto ściga tych łajdaków?

Kettering z wyraźną ulgą powierzył brata opiece Wortha i zaczerpnął wreszcie powietrza w spragnione płuca.

- I wygrał. Zamierzałem od razu zawieźć go do chirurga; Brummell mógłby sam poczekać na was... ale Cash nie chciał słyszeć o odjeździe, póki się nie przekona, że wysłicie cało z tej opresji. Omal nie złapaliście obu... a w każdym razie jednego, prawda? - Worth uśmiechnął się do wicehrabiego. - Nie martw się, Harcourt, tobą też się zajmiemy!

- To nic wielkiego, milordzie.

- Wszystko jedno, trzeba to opatrzyć.

- Co z księciem? Ciężko ranny? - spytał Hempstead. Serce nadal się w nim tłukło, a pot zalewał mu oczy.

- Można odpowiedzieć i tak, i nie. Zależy kogo będziesz pytał, tego pomyleńca czy mnie i Brummella. Cash powie, że to nic wielkiego, choć stracił masę krwi. Już są! - obwieścił głośno, pomagając Harcourtowi wsiąść do powozu i ponaglać Hempsteada i Ketteringa do wsiadania. - Cash znowu nas ograł, Beau! Ale my mu jeszcze pokażemy! Ruszaj! - huknął na woźnicę, stukając w dach powozu. - Na Great Stanhope!

Zanim dotarli do Fielding House, opatrunek uciskowy, który Brummell zmajstrował z dwóch fularów i skrępował nim ramię Abbercombe'a, całkiem przesiąkł krwią.

- Wielki Boże! - wykrzyknął Dawson, gdy otworzył drzwi i ujrzał ich wszystkich na progu. Pospiesznie wprowadził ich do salonu na parterze i zapalił świece. - Czy ktoś już wezwał chirurga? Nie? Zaraz posłę Nathana. Sprowadzi go raz dwa.

Abbercombe z ulgą osunął się na kanapę i oparł głowę o poduszki. Wyciągnął rękę i schwycił majordoma za rękaw.

- Nie posyłaj po chirurga, Anthony. Zawołaj Robina.

- W tej chwili! - rzucił Dawson. Jak burza wypadł z pokoju.

- Połóż się porządnie, milordzie. Z nogami do góry - doradzał Brummell, stając przy rannym.

Abbercombe zmierzył go spojrzeniem.

-I znów przeze mnie zniszczyłeś sobie ubranko, dzieciaku! Aż dziw, że mnie nie zadusiłeś własnymi rękami.

- Musimy czym prędzej zatamować krew, bo się obejdzie bez duszenia - mruknął Worth. - Trafisz do kuchni, Kettering? Weź świecznik. Na dole, przy końcu korytarza.

- Na pewno trafię! - zapewnił ich Kettering.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła półgłosem pani Griffin, wkracząc do pokoju ze stertą płótna. - Nie, nie, wielmożny panie! Proszę nie fatygować się do kuchni. Sama przyniosę, co trzeba. - Położyła płótno na stole i wyjąwszy z kieszeni fartucha nożyczki, wręczyła je Worthowi. - Pan Fanning powiedział, żeby rozciąć surdut i koszulę. A panu wicehrabiemu - dodała, podchodząc do Harcorta - sama opatrzę czoło, jeśli pozwoli. Przyniesie wodę, jak tylko się zagotuje, Nathanie - zwróciła się do pierwszego lokaja, który właśnie ukazał się w drzwiach. - I dopilnuj, żeby był ogień na kominku. Jeszcze by książę pan zziął na dodatek!

- Nigdy w życiu nie widziałem tyle krwi! - mamrotał Brummell, wtykając księciu do ręki kieliszek brandy. - Wszystko przesiąknięte!

Podał brandy pozostałym dżentelmenom i zdjawszy surdut, podwinął rękawy koszuli i zabrał się do rozpalania ognia. Książę sącył brandy i obserwował Wortha, który odrzucił nożyczki i rozerwał rękoma resztę szwów, odsłaniając ramię. Zjawił się Fanning, taszcząc ze sobą juki. Przerazenie w jego oczach znikło, gdy Abbercombe uśmiechnął się do niego.

- Nie jestem może w najlepszej formie, Robinie, ale teraz, kiedyś się wreszcie przywłókl, wszystko będzie dobrze.

- Ma się rozumieć. Czy to tym dżentelmenom należą się dzięki za ocalenie waszej książęcej mości?

Abbercombe skinął głową.

- Nie rozumiem, czemu to cholerstwo tak krwawi! Nie pamiętam, by aż tak sikało zeszłym razem.

- Niewiele można zapamiętać, milordzie, jak się leży bez przytomności - wycedził Fanning, dokładnie oglądając ranę i potrząsając głową.

- No, weźże się już do roboty - ponaglał go książę, odstawiając kieliszek. - Tylko co z dziećmi? Żadne nie wpadnie tu znienacka?

- Lady Amy i lady Beth wróciły do domu godzinę temu - mruknął Robin.

Z pomocą pani Griffin, Brummella, Hempsteada i Ketteringa rana Abbercombe^ została wkrótce oczyszczona, owinięta i ciasno obandażowana. Obrażenia Harcorta również opatrzone.

- Pomóż mi, Brummell - szepnął Abbercombe, gdy Beau przyklęknął obok niego, zbierając pokrwawione kawałki płótna do wielkiej porcelanowej misy. - Muszę zamienić z Hempsteadem słówko na osobności. Będę ci bardzo wdzięczny.

- Doprawdy? - mruknął Brummell. - Panowie, łaskawa pani - obwieścił donośnym głosem, podnosząc się z klęczek. - Czy moglibyście udać się ze mną na chwilę do kuchni? Ty lepiej zostań, Hempstead, żeby książę nie zrobił jakiegoś głupstwa. Zgoda?

- Już sobie poszli, Geoff? - spytał cicho Abbercombe, gdy wszyscy prócz nich opuścili pokój.

- Tak jest, wasza książęca mość.

- Doskonale. Nie wypaplałeś Ketteringowi i Harcortowi, co było w liście ode mnie?

- Nie, wasza książęca mość. Dostarczono mi list, gdy byliśmy razem u White'a i nie wiedziałem, jak ich powstrzymać: koniecznie chcieli mi towarzyszyć. Powiedziałem więc, że w naszym ministerstwie, by uniknąć niemiłych incydentów, zarządzono nadzór nad waszą książęcą mością jako dawnym skazańcem, karnie deportowanym.

Abbercombe roześmiał się.

- Przyjrzałeś się uważnie, jak prosiłem, mężczyznom, którzy siedzieli obok mnie przy stole do faraona?

- Tak, wasza książęca mość. Czy to ich podejrzewasz, milordzie, że do ciebie strzelali?

- Nie, Geoff, to nasi sprzymierzeńcy. Im zawdzięczam wygraną w końcowej grze o jedną kartę. Ten w śliwkowym surducie to Elias Pendleton, a tamten wysoki i ciemny, ubrany na szaro, to Anthony Saukill. To zwolennicy wolnego handlu, Geoff; a mówiąc prościej - przemytnicy. Czy teraz, skoro się im dokładnie przyjrzałeś, poznasz ich przy następnym spotkaniu?

- Tak jest, wasza książęca mość.

- W takim razie zastąp mnie, jeśli łaska, podczas jutrzejszego spotkania. Czy mój surdut leży jeszcze na podłodze? Tak? Podnieś go, Geoff, i wyciągnij pieniądze z wewnętrznej kieszeni. Musisz zanieść tę gotówkę do stajni przy Grillon's Hotel tuż po północy i oddać Pendletonowi do rąk własnych.

- Tak jest, milordzie. Ale wasza książęca mość powinien się koniecznie położyć: twarz szara, oczy dziwnie błyszczą...

- Doprawdy...? Pamiętaj, Geoff: gotówka musi trafić do rąk Pendletona albo Saukill. Nikomu innemu nie oddawaj!

- Tak jest, wasza książęca mość. Dopilnuję, żeby wszystko zostało załatwione jak należy, ale proszę się nie kłócić z Fanningiem, kiedy przyjdzie zaprowadzić waszą książęcą mość do łóżka. Musimy także odstawić Harcorta do domu.

- Jeszcze chwilę! Weźmiesz fiakra i każesz się zawieźć na Albemarle Street. Stamtąd udasz się spacerkiem do stajni przy Grillon's. Jeden ze stajennych - ma na imię James, brak mu dwóch zębów z przodu - zaprowadzi cię na tyły, do składu uprząży. Pendleton i Saukill udadzą się tam za tobą. Udawaj, że ich nie widzisz, Geoff. Są cholernie nerwowi i ulotnią się natychmiast, jeśli się do nich odwrócisz. Masz im przekazać: „Spotkanie w Marsylii według umowy. Ładunek do zabrania z Alderney dwudziestego ósmego”.

- Zapamiętałem - zapewnił Hempstead z przekonaniem. - Wasza książęca mość może mi zaufać.

- Dość już tego! - oświadczył Fanning, wchodząc do poko-

ju i wiodąc za sobą wszystkich dżentelmenów z wyjątkiem Wortha, co położyło kres poufnej rozmowie. - Teraz wasza książęca mość powinien odpocząć. Wicehrabia Harcourt też. Odesłałem panią Griffin i Nathana, żeby się choć trochę prze-  
spali. Lord Worth poszedł po fiakra, by odwieźć wszystkich nocnych gości do domów. O, konie już zajęchały! Teraz proszę ładnie podziękować młodemu dżentelmenom za okazaną pomoc i zaraz odstawimy waszą książęcą mość do łóżka.

- Sam trafię!

- Owszem, ale pod opieką moją i Dawsona - oświadczył Fanning niewzruszony jak skała. - Pięknie dziękujemy i idziemy na górę.

- Serdeczne dzięki, moi panowie! - powiedział Abbercombe ze znużeniem w głosie, ale z wesołym błyskiem w oku na widok nieugiętej miny Fanninga. - Jestem wam wielce zobowiązany. - Podniósł się z kanapy i przy pomocy lokaja niezbyt pewnym krokiem ruszył w stronę drzwi.

- O czym tak konferowaliście, Hempstead? - spytał Worth, gdy pięciu dżentelmenów wsiadło do wynajętego powozu. - Czy wiesz coś więcej niż my na temat dzisiejszych zajęć?

Hempstead opadł na poduszki z szerokim uśmiechem.

- Nie, panie hrabio. Książę chciał się tylko upewnić, że nie będę paplał na ten temat w pracy. Zapewniłem go, że zachowam dyskrecję.

- Abbercombe to istny diabeł! Zgadzasz się ze mną, Brummell? - wycedził Kettering. - Gdyby mnie kulka przebiła ramię na wylot, z pewnością nie czekałbym, aż wrócicie z tej śmierdzącej alejki! Ani nie siedziałbym wyprostowany i nie przyglądał się, jak mi tamują krwotok i czyszczą tę cholerną ranę!

- Myślę, Bryanie - rzekł Harcourt, kładąc zbolałą głowę na oparciu - że powinniśmy czuwać nad księciem... Choćby ze względu na Beth i Amy. Ktoś wyraźnie się na niego wziął. I chce go ukatrupić!

- Na twoim miejscu nie odważyłbym się odgrywać anioła stróża - mruknął Brummell. - Jeśli Abbercombe się o tym dowie, nie zostawi na tobie suchej nitki! Nawymyśla ci od bezczelnych zadufków i smarkaczy!

- Amaryllis zapewnia, że jej tatuś dużo szczeka, ale prawie nigdy nie gryzie - wtrącił Kettering i ziewnął potężnie.

- I słusznie! - zachichotał Worth. - Ale ponieważ zaznałem jednego i drugiego, przestrzegam was, że jak już ugryzie, to porządnie!

Było już dobrze po jedenastej następnego ranka, gdy Chris i Daymee zastukali do drzwi saloniku starszych sióstr.

- Ciocia Margaret zeszła do domowej apteczki i przygotowuje jakiś lek dla tatusia, a Fanning opatruje mu ranę - oznajmił Christian. - Nikt nam nic przeszkodzi.

Czworo starszych Denbighów usadowiło się wygodnie przed kominkiem.

- Daymee i ja zbieraliśmy informacje, gdzie się tylko dało - zagaił półgłosem Christian. - Ale na razie odkryliśmy niewiele. Tatuś wysyłał ostatnio masę listów do Francji i sporo do Hiszpanii. A kapitan Dunleavy otrzymał polecenie trzymania „Sokoła” w pogotowiu. W każdej chwili musi być gotów do wypłynięcia w morze, tylko nikt nie ma pojęcia dokąd.

- Wiedziałam! - zawołała półgłosem Bethany. - Byłam pewna, że tatuś nie da za wygraną! Nie zrezygnuje z poszukiwań, póki nie odnajdzie Harry'ego!

- Ja także w to nie wątpię - przytaknął Christian. - Ale jeśli nawet Harry został uprowadzony, a tata wszędzie go szuka, jaki to ma związek z kręcącym się po dziedzińcu drabem, którego Ethan i Frazier spostrzegli z okna swego pokoju?

- Jesteś pewien, że go widzieli? Może sobie tylko wyobrazili, że tam ktoś jest? - spytała Amaryllis z nadzieją w głosie. - Ostatecznie, od kolebki są za pan brat z tajną policją, z agentami wywiadu i tak dalej. Trudno się dziwić, że widzą napastników i sekretnych wrogów na każdym kroku!

- Niestety, Amy. Mogę potwierdzić, że naprawdę kogoś widzieli - westchnął Daymee. - Nie chciałem o tym wspominać, ale niedawno tatuś został zaatakowany przez bandę rzezimieszków na naszym dziedzińcu.

- Och, nie!... Czemuś nam od razu o rym nie powiedział? - zawołała Beth. - Kiedy to było?

- To było tamtej nocy, gdy rzekomo potknął się na kocich łbach, a potem przez cały tydzień miał obandażowaną głowę. Wiem, że to bujda, bo tamtej nocy z okna chłopców widziałem bijatykę na dziedzińcu. Obudziło mnie drapanie i pisaki Misia z pokoju Ethana i Frazia. Poszedłem tam, żeby psiaka wypuścić. Okazało się, że wdrapał się na parapet i usiłował wydostać się na zewnątrz. Gdy odruchowo spojrzałem przez okno, zobaczyłem kupę ludzi na dziedzińcu. A potem usłyszałem wystrzał z pistoletu. Po chwili z domu wybiegł Robin. Nie mam pojęcia, kim byli tamci, ale widziałem, jak Robin i pan Brummell pomagają tacie wejść do domu. Wybiegłem na podest na piętrze, żeby zbadać sprawę.

- Ale nie spytałeś, co się stało? - upewniła się Amaryllis.

- No, nie... Chwyciłem Misia, wróciłem w te pędy do pokoju i udawałem, że śpię. Pomyślałem, że tatuś wcale by się nie ucieszył, że byłem świadkiem tej sceny. Dobrze wiesz, jaki on jest, Amy!

- Pewnie że wiem! Zaklinałby się, że wszystko ci się przysniło, i przez trzy dni zamartwiałyby się i wściekał na siebie za to, że jest, kim jest, i naraża nas na niebezpieczeństwo!

- No właśnie! - westchnął Christian, obejmując rękoma kolana. - Miałeś rację, że nic mu nie mówiłeś... ale szkoda, żeś się nie zwierzył nam.

-W takim razie tatuś już po raz drugi został napadnięty przez opryszków - zauważyła Beth, przygryzając wargę. - Nie wierzę, że to był napad rabunkowy! Tatuś znowu nam nazmysłał, żebyśmy się nie martwili.

- Do wszystkich diabłów! - zawołała Amy. - I pomyśleć, że przywlekliśmy go do Londynu, żeby był bezpieczny!... Trudno, stało się. Teraz trzeba wykryć, o co tu chodzi, a potem opracować plan kampanii. Ty, Chris, musisz razem z Daymee dowiedzieć się, kto zajął miejsce Harry'ego. Jestem pewna, że ktoś go zastępuje, bo tatuś nadal działa. My z Beth spróbujemy wyjaśnić, kto się włóczy nocami po dziedzińcu. Zabierzemy się do tego dziś wieczór; namówimy Johna, by pomógł nam w poszukiwaniach, kiedy wrócimy od lady Skifington. Latarnie powozowe ogromnie nam ułatwią sprawę!



- Jak chcesz zwerbować stangreta do pomocy? Nie możesz mu wyjawiać prawdy, bo wszystko by się wydało! - zauważył Damian.

- Upuścimy coś, co potoczy się po kamieniach - przedstawiła plan Beth. - John z pewnością zechce nam pomóc szukać. Jeśli się pospieszymy, może nawet uda nam się przyłapać któregoś z tych wścibskich łotrów! Jeśli szczęście nam nie dopisze, zdobędziemy przynajmniej dowody ich obecności.

- A co zrobicie, jeżeli naprawdę złapiecie ich na gorącym uczynku i oni rzucą się na was? - spytał trzeźwo Christian.

- Wezwiemy na ratunek ciebie albo Daymee, ma się rozumieć - odrzekła Amaryllis. - Powinniście się ukryć na dachu nad głównym wejściem.

- Pewnie! - wykrzyknął Damian. - Wiedziałem, że nie zapomnicie o nas! A my postaramy się o broń.

- Niby jaką? - spytał sceptycznym tonem Chris.

- Może proce? - podpowiedziała Beth. - Chyba dałoby się wynieść kilka sporych kamieni na dach nad portykiem?

- Możecie też położyć pałki pod zewnętrzną ścianą portyku. Jak skoczycie nam na pomoc, będziecie mieli pod ręką coś w sam raz do walenia po łbach - uzupełniła Amy.

- To brzmi całkiem rozsądnie! - przyznał Christian. - Ale musicie obiecać, że uciekniecie co sił w nogach, jak zobaczycie, że chwytam za proce.

- Na pewno tak zrobimy - obiecała Bethany. - I postaramy się ich jakoś oświetlić, żeby wam było łatwiej trafić do celu!

- Przynajmniej na jakiś czas się ustatkuje - powiedział Brummell, odbierając z rąk lady Worth filiżankę gorącej czekolady. - Musi chcąc nie chcąc pozostać w domu, póki ramię się nie zagoi.

- Istotnie, a tobie i mnie będzie łatwiej go upilnować - przytaknął Worth, przyciągając do siebie Eugenię i skłaniając ją, by siadła na sofie obok niego. - Chyba że wolisz się wycofać, Beau.

Poważne oczy Brummella spojrzały prosto w twarz Wortha.

- Zaangażowałem się w to od pierwszej chwili, gdy Abber-

combe wszedł do White'a i za grubszą forszę zgodził się uściskać mi rękę, Edwardzie - wycedził. - Ten łotr schwytał mnie w swoje sidła i nie potrafię się od niego uwolnić. Jest fascynującą nową łamigłówką, której ani rusz nie mogę ułożyć. Nie gadaj mi więc o wycofaniu się, nie dam się spławić!

- Doskonale. - Hrabia skinął głową. - Będziesz dziś na balu u Skiffingtonów?

- Oczywiście! Za żadne skarby nie zrezygnowałbym z niego, odkąd wiem, że spotkam na nim córki Abbercombe'a.

- Mogę spytać, jakie żywi pan zamiary w stosunku do tych dziewcząt? - spytała lady Eugenia, unosząc zadziornie brodę.

- Po prostu utnę sobie z nimi rozmówkę. Niezbyt długą, lecz wystarczającą, by zapewnić im popularność.

Worth roześmiał się.

- Widzę, że wystarczył jeden obiad w towarzystwie tych dzieci, by cię oczarowały ze szczętem! Ale nie lekceważ córek rozbójnika; nie są ani trochę podobne do naszych panienek z towarzystwa.

- A ja nie wątpię, że zdobyłyby popularność nawet bez pańskiej pomocy - dorzuciła lady Worth - gdyby im na tym zależało.

- Abbercombe był tego samego zdania, kiedy ostatnio rozmawialiśmy na ten temat.

- Co ty powiesz! Naprawdę? - spytał zdumiony Worth. - Mam nadzieję, Beau, że nie uznałeś tego za prowokację.

- Nie, nie! Po prostu odezwała się w nim ojcowska duma - odparł spokojnie Brummell. - Teraz, gdy poznałem jego dzieciarnię, doskonale go rozumiem. A zatem, jakie mamy plany na dzisiejszy wieczór?

- Bez względu na to, co ustalicie - wtrąciła się lady Worth - powinniście być bardzo ostrożni. Jeżeli ktoś chce zabić Abbercombe'a, to nie zawaha się także przed zabiciem was. I moim zdaniem - dodała z całą powagą - jeden z was musi powiadomić Sebastiana Denbigha, że jego brat jest w wielkim niebezpieczeństwie.

## 13

Było już prawie południe, gdy Olivia z promiennym uśmiechem powitała w swoim salonie czcigodnego Jamesa Rathertona.

- Jestem panu ogromnie wdzięczna, Jamie. Zna pan oczywiście moją bratanicę, April?

- Istotnie, łaskawa pani - odpowiedział gość, witając April lekkim ukłonem. - Odnoszę wrażenie, że to jakaś nagląca sprawa. Czym mogę służyć? - Przystojny dżentelmen zajął wskazane miejsce i wziął z rąk gospodyni filiżankę czekolady. - Nadal nie mamy wieści od Andrew, jeśli o to chciałoby panie zapytać.

- Nie, panie Ratherton, wcale nie o to nam chodzi! - wyrwała się niecierpliwie April. - Chcemy się dowiedzieć jak najwięcej o szpiegach!

Ratherton spoglądał ze zdziwieniem to na jedną, to na drugą z pań. Nie mógł pojąć, czemu te dwie perły doskonałości i kobiecego wdzięku zainteresowały się - choćby przelotnie - szpiegostwem?!

- Zainteresowałyśmy się nimi po ożywionej dyskusji na wieczorze muzycznym u lorda Sinclaira - pospieszyła z wyjaśnieniem Olivia. - Zapragnęłyśmy dowiedzieć się czegoś więcej... i od razu pomyślałam o panu, Jamie. Bardzo przepraszam, jeśli moja prośba oderwała pana od ważniejszych zajęć. Ale skoro już pan przybył, może zechce pan wyjaśnić kilka dręczących nas kwestii?

- Zrobię, co w mojej mocy - uśmiechnął się z pobłażaniem Ratherton. - Pytajcie śmiało, drogie panie!

- Po czym można poznać, że ktoś jest szpiegiem? - spytała April. - Oni chyba starają się wyglądać... zwyczajnie, jak wszyscy inni, nieprawdaż?

- No, tak... Usiłują być... zwyczajni albo nieskazitelni, po-

nad wszelkimi podejrzeniami. W tym kryje się ich siła. Robią, co mogą, by przeniknąć do wyższych sfer, dzięki czemu spotykają się, a nawet przyjaźnią z tymi, których warto obserwować. Na przykład wspomniany przez panie lord Sinclair musi ustawicznie mieć się na baczności ze względu na swe wysokie stanowisko w Ministerstwie Wojny. Zdumiewające, że dyskusja na ten temat miała miejsce w jego rezydencji! - dodał Ratherton z błyskiem rozbawienia w ciemnych oczach. - W tym samym czasie gabinet lorda został przetrząśnięty, a pewne dokumenty wykradzione.

- Och! - jęknęła Olivia. - To okropne!

- Nie tak znów bardzo, choć Sinclair zmartwił się, oczywiście, że ktoś odnalazł jego tajną skrytkę. Jednak wykradzione papiery nie miały większego znaczenia i lord Wyndham uspokoił Sinclaira, że zabrał je ktoś z Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

- A więc ktoś z gości zabrał te dokumenty? - spytała żywo April.

- Jestem tego pewien, panno April, choć moim zdaniem ten ktoś nie jest zawodowym szpiegiem.

Olivia wygładziła fałdy swej rdzawobrunatnej sukni.

- Gdybym więc podejrzewała jakąś osobę o to, że jest szpiegiem, mogłabym zwrócić się do kogoś z... pańskiego ministerstwa i opowiedzieć o swych podejrzeniach?

-Jak najbardziej.

- I co by wówczas zrobił ów pracownik?

- Oczywiście zbadałby sprawę!

- Ale nie aresztowalibyście podejrzanego? - spytała April.

- Nie, drogie panie, chyba że wykrylibyśmy dowody poważnie go obciążające. - Ratherton zachichotał i wypił łyk czekolady. - Gdybyśmy aresztowali wyłącznie na podstawie czyjegoś widzimisień, osadzilibyśmy za kratkami mnóstwo wybitnych osobistości!

- Ale gdyby władze państwa miały pewność, że ktoś jest groźnym szpiegiem... - spytała Olivia, spoglądając na rozmówcę niewinnymi oczyma - czy nie mogłyby... jak by to określić? ...zaaranżować dyskretnej likwidacji?

- Wielkie nieba! - wykrzyknął Ratherton. - Cóż za pomysł, droga pani?! Nie jesteśmy przecież dzikusami! Taka osoba oczywiście zostałaby aresztowana.

- Dokładnie to samo powiedziałyśmy naszym rozmówcom! Widzisz, cioteczko? Miałyśmy absolutną słuszność! Jak pan myśli, panie Ratherton, czy na przykład... księżę Abbercombe mógłby być szpiegiem?

- April! - oburzyła się jej ciotka.

Ratherton uniósł dłoń, uciszając protest Olivii, i z szerokim uśmiechem zwrócił się do dziewczyny.

- Intrygujący dżentelmen, nieprawdaż, panno April? W życiu nie widziałem drugiego takiego jak on: wystarczy, że się pojawi, a budzą się gwałtowne emocje. Ale właśnie dlatego nie bardzo się nadaje na szpiega.

- Wszyscy mówią, że to niebezpieczny człowiek!

- Owszem, ale to banita, poza nawiasem społeczeństwa i wiecznie na cenzurowanym! Niewiele by zdziałał jako szpieg! Któż by się komuś takiemu zwierzył, kto dopuściłby go do źródła cennych informacji? Przecież wszyscy i tak spoglądają na niego podejrzliwie!

- Rzeczywiście! - zgodziła się April.

Ratherton wypił czekoladę i odstawił filiżankę na pobliski stolik.

- Obawiam się, że na mnie już czas, drogie panie. Mam nadzieję, że zdołałem choć po części zaspokoić waszą ciekawość?

- Jak najbardziej, Jamie - zapewniła go Olivia. Podniosła się z miejsca i odprowadziła gościa. Powróciwszy znów do salonu, oświadczyła: - Mam więc pewność, że LeBruin dla własnych niecznych interesów chciał mnie nastawić wrogo do Abbercombe'a! Jeszcze tego pożałuje, perfidny intrygant! Przekonasz się, April, że pożałuje!

Lady Vale stała obok fotela, w który wtłoczyła Abbercombe'a przy wydatnej pomocy Fanninga. Na kominku, na wprost księcia, płonął suty ogień; nogi rekonwalescenta okryte były pledem. Odniósłszy zwycięstwo w batalii o wstanie z łoża boleści, księżę nie mógł się uskarżać (a raczej

uskarżał się bezskutecznie) na warunki, w jakich miał spędzać bezcenne chwile poza łóżkiem.

- Tu jesteś i tu zostaniesz, zrozumiano?! - obwieściła tonem nieznoszącym sprzeciwu hrabina. - A jeśli nadal będziesz stroił fochy, zostanę, by cię pilnować. Niech Jess sama idzie na bal z dziewczętami i bawi się w przyzwoitkę!

- Ależ, ciociu Margaret! Musisz im towarzyszyć! Przecież wyłącznie po to przyjechałaś do Londynu!

W tym momencie Dawson zaanonsował przybycie lorda i lady Denbigh oraz obu pań Willburton-Smythe. Goście wkroczyli majestatycznie do salonu i tuż za progiem skamienieli.

- Co się stało, Cash?! - wykrzyknął Sebastian na widok brata z ręką na temblaku. Podbiegł natychmiast do księcia.

- Zwykła kulka w ramię, Bastianku. Jak ostatni żółtodziób prowokowałem los, wędrując samopas Jermyn Street. Kogoś podkusiło, by wypróbować własne oko i szczęście, a mnie uwolnić od brzemienia wygranej.

Olivia jęknęła cicho. Książę odwrócił się do niej i oczy zapłonęły mu zachwytem.

- Wyglądasz bosko, moja droga. Jestem olśniony.

Jego twarz miała barwę popiołu, pod oczyma widniały czarne kręgi, ale usta uśmiechały się uparcie; Olivia widziała, jak bardzo Abbercombe pragnie, by ten wieczór okazał się tak wyjątkowy, jak to sobie wymarzył. Postanowiła mu pomóc. Zdjęła z ramion aksamitną pelerynkę i powierzyła ją opiece niezawodnego Dawsona. Abbercombe aż się zachłysnął na widok jej obnażonych ramion nad przylegającą do ciała szmaragdową kreacją z jedwabiu i brabanckich koronek. Olivia uśmiechnęła się triumfalnie i wykonała pełny obrót, demonstrując pantofelki, których obcasy skrzyły się od klejnotów.

- No i co, wasza książęca mość? Ujdę w tłoku? - spytała prowokacyjnie, gdyż April i Jessica poszły za jej przykładem i także zrzuciły wierzchnie okrycia.

Sebastian, który właśnie klepnął brata po kolanie, znieruchomiał, a potem zajaśniał uśmiechem na widok zalotnie wierzających przed nimi elegantek.

- Gdzież są te małe urwisy? - spytała Olivia. - Przybyłyśmy tu przede wszystkim po to, by zyskać ich aprobatę!

- Tu jesteśmy, panno Gilbujdasmyk! - zapiszczała Gracie.

Cztery uderzająco piękne młode damy wpłynęły do pokoju, wspierając się na ramionach czterech bardzo młodych i niezwykle wytwornych kawalerów. Ich powierzchowność była niezbitym dowodem, że funkcja osobistego lokaja jest - przynajmniej w przypadku Fanninga - szczytnym powołaniem. Olivia i April aż westchnęły; lady Jess zaklaskała; a lord Sebastian wybuchnął śmiechem, gdy młodzi dżentelmeni złożyli ukłon całemu towarzystwu, a towarzyszące im damy wykonały dworski dyg. Amy i Beth miały identyczne kreacje: długi do ziemi spód z połyskliwego szafirowego atłasu, a na nim wierzchnia suknia z kremowej koronki. Głębokie dekolty pozwalały podziwiać podarek tatusia: kamee z kości słoniowej na tle z szafirów.

Także Grace i Helen, pokazując w uśmiechu prześliczne dołeczki, demonstrowały dumnie swe stroje. Aksamitne suknie lazurowej barwy miały długie rękawy i koronkowe kołnierzyki i mankiety.

- Aleśmy wszyscy ładni, co? - zapiszczała Helen, wymachując rączkami w białych rękawiczkach. - Jak królowny i królowicze z bajki!

- Podobamy ci się, tatuśku? - zachichotała Gracie, widząc, jak ojcu błyszczą oczy.

- Jestem oczarowany! - odparł z całą powagą. - Ale zdawało mi się, że tylko Amy i Beth idą razem z ciocią Margaret na bal.

- My będziemy mieli własny bal, tato! - wykrzyknął radośnie Frazier, z trudem powstrzymując się od podskakiwania. - Panna Greene, pan Stanton, Chris i Daymee będą nam przygrywać. A ja, Ethan, Gracie i Helen będziemy tańczyć dla ciebie, tatusiu! I zabawimy się dużo fajniej niż u jakiejś tam lady Skifflering!

- Jedzenie też będzie balowe! - pisnęła triumfalnie Helen.

- Krambelowe lody, wiśnie w czekoladzie i lemoniada! - wykrzykiwał w ekstazie Ethan.

Abbercombe nawet już nie próbował ukryć śmiechu.

- Ubóstwiam krambelowe lody - oświadczył. - Będę się czuł jak car Aleksander, oglądając swój domowy balet. Bal u lady Skifflering, czy jak jej tam, nawet się nie umywa do naszego! Amy...?

-Już się robi, tatusiu! -odpowiedziała młoda dama. Wystąpiła do przodu, trzymając w ręce płaskie pudełko. Wręczyła je April ze słowami: - To dla ciebie od nas wszystkich. Jesteśmy ci bardzo wdzięczni za to, że od samego początku byłaś naszą przyjaciółką!

- Mam nadzieję, że i pani, panno Olivio, zechce przyjąć tę drobnostkę na znak naszej ogromnej wdzięczności - dodała Beth, wręczając identyczne pudełko ciotce April.

Obie panie Willburton-Smythe wpatrywały się w osłupieniu w podarki.

- Otwórzcie je - nalegała Beth. - Wszyscy chcemy zobaczyć, czy prezenty się wam spodobają!

Obie kamee na szmaragdowym tle ukazały się równocześnie i April zapiszczała z zachwytu, zupełnie jak Gracie czy Helen.

- Załóżcie je! Załóżcie! - wolał podekscytowany Ethan. - Tyleśmy się naczekali!

- To był naj... naj...maksymalowniejszy sekret w naszym życiu - obwieścił z triumfem Frazier. - Nie wygadaliśmy się nawet przed ciotką Jessie! Prawda, tato?

Sebastian roześmiał się i wstał, by pomóc obu damom odpiąć perłowe naszyjniki i zastąpić je medalionami.

- Naprawdę, Abbercombe, nie powinieneś... - mamrotała Olivia, obracając w palcach misterny klejnocik.

- Nie podoba ci się, Olivio? - spytał z niepokojem. - Kiedy je oglądałaś u Rubena, miałem wrażenie, że ci się spodobały.

- To prawdziwe cudo! Ale nie mogę przyjąć...

- Bzdury! - oświadczyła stanowczym tonem lady Vale. - Nie ma w tym nic niestosownego. To upominek od całej naszej rodziny.

Usta Olivii wygięły się w uśmiechu, na policzku pojawił się zdradziecki dołeczek.

- April i ja czujemy się ogromnie zaszczycone... I coś mi się zdaje, że we cztery wylansujemy nową modę!



- Wszyscy zzielenieją z zazdrości! - April uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Strasznie wam dziękuję!

- Teraz ja? - spytał Christian.

- Chyba najwyższy czas - roześmiał się Abbercombe. - Zbyt długo na to czekała!

Chris sięgnął do kieszeni surduta, wyjął płaskie czarne pudełko i z uśmiechem podał je lady Jess. W środku na wyściółce z czarnego aksamitu leżał naszyjnik z kutego złota w kształcie kwietnej girlandy; każdy z kwiatków miał rubinowe oczko, które kusicielsko mrugało. Lady Denbigh zaparło dech.

- Dziękujemy, lady Trzęsinko, żeś zgodziła się zostać naszą ciocia! - szepnął nieśmiało Chris i zawiesił jej na szyi rubinowo-złote cudo.

Olivia zauważyła szeroki uśmiech na twarzy Abbercombe'a. Dostrzegła również, że hrabina Vale obejmuje swego chrześniaka i całuje go w czubek głowy.

- Nigdy nie prezentował się tak wspaniale, nawet na szyi twojej matki, Cash! - powiedziała z westchnieniem stara dama.

- To była własność twojej matki?! - wykrzyknęła lady Jess, sięgając odruchowo do naszyjnika. - Nie mogę pozbawiać cię takiej pamiątki!

- Czemu, u licha - zwrócił się książę z pretensją nie wiadomo do kogo - damy zawsze zarzekają się, że nie mogą i nie wezmą, kiedy wszyscy widzą wyraźnie, że prezent przypadł im do serca?! Jessico, nigdy w życiu nie widziałem mojej matki w tym naszyjniku - ale tobie pasuje jak ulał!

- Tatuś ma rację! - wtrąciła Amy. - Jest po prostu dla ciebie stworzony: taki okazały... a zarazem subtelny!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Sebastian i Dawson pomogli obu paniom Willburton-Smythe włożyć pelerynki, Chris i Daymee otulili siostry narzutkami, a Abbercombe z miłą chęcią przyjmował pożegnalne i dziękczynne pocałunki

- Uważajcie jedna na drugą! - polecił córkom.

- Tak, tatusiu, będziemy na siebie uważać - odpowiedziała za siebie i za siostrę Bethany. - Na pewno będziemy się wspaniale bawić!

- Nie wątpię! - zachichotał i spozierając na wiercących się F.thana, Frazierę, Grace i Helen, dodał: - Ale z całą pewnością nie tak dobrze jak my na naszym domowym balu!

Odziany niezwykle gustownie Geoffrey Hempstead bezwiednie poprawiał co chwila krawatę, rozglądając się po sali balowej w rezydencji Skiffingtonów. Dwa antyczne żyrandole obciążone mnóstwem świec odbijały się w lśniącym parkiecie. Młode damy i kawalerowie ochoczo popisywali się zręcznością i znajomością figur najnowszego tańca. Hempstead jednakowoż nie rwał się na parkiet, lecz z niezadowoloną miną podpierał ścianę. Jego przystojna twarz ani razu nie rozjaśniła się uśmiechem, od chwili gdy lord Goddering porwał April do tańca.

- Niechże się pan tak nie chmurzy, panie Hempstead! - odezwał się z boku pogodny głos. - Nie może pan bez przerwy tańczyć z April!

- Panna Willburton-Smythe?! D...dobry wieczór pani!

- Dobry wieczór, Geoffreyu. Nie masz nic przeciwko temu, żebym ci mówiła po imieniu?

- S...skądże znowu! To dla mnie wielki honor.

- Może moglibyśmy przysiąść gdzieś na chwilkę?

Hempstead doprowadził ciotkę swej ukochanej do sofki stojącej między ogromnymi wazonami pełnymi kwiatów. Usiadł sztywno, obawiając się, że usłyszy surowy wyrok, ostatecznie potępiający go za uporczywe zalecanie się do April.

- Zanim wyjawię to, co postanowiłam ci dziś oznajmić - zaczęła Olivia z wielką powagą - chciałabym wiedzieć, co spowodowało, żeś zgodził się na tę idiotyczną ucieczkę z moją bratanicą.

Hempstead zbaraniał.

-Ja... ja wiem, że postąpiłem bezmyślnie, panno Willburton-Smythe - dukał. - Dałem się ponieść uczuciom. Gdybym miał czas na zastanowienie, pewnie bym na to nie przystał.

- A więc to był pomysł April?

Hempstead strzelał oczyma na wszystkie strony, byle tylko nie spojrzeć na Olivię.

-Och, na litość boską, Geoffreyu! Przecież wiem dosko-

nale, że to był jej pomysł. Ale mimo wszystko dziwię się, że jej tego nie wyperswadowałeś.

- Powiniennem być to zrobić, łaskawa pani - wymamrotał Hempstead. - Wyrzucam sobie, że tego nie zrobiłem. Ale to było zaraz po tym, jak pani zabroniła mi wszelkich kontaktów z April... Znajdowałem się na dnie rozpaczy.

- A teraz? - spytała cicho Olivia.

- Teraz mam nadzieję, że uda mi się zdobyć przychyłność pana kapitana i pani. Udowodnić państwu, że jestem odpowiedzialny, wierny w miłości i ambitny. Zdobyłem posadę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i dołożę wszelkich starań, by zapewnić sobie pozycję w świecie.

- Coś już o tym słyszałam. - Olivia uśmiechnęła się, widząc na przystojnej młodej twarzy cień nadziei. - Jestem do prawdy pod wrażeniem!

- Lord Wyndham chwali mnie, że z dnia na dzień czynię większe postępy.

Nieśmiałość Hempsteada gdzieś znikła; Olivia była zdumiona jego zapałem i rozsądkiem. Miała przed sobą całkiem odmienionego młodzieńca, pełnego wiary w siebie.

- Geoffreju - powiedziała, gdy skończył - dostrzegam w tobie ogromną zmianę. Całkiem możliwe, że za kilka miesięcy twoja ponowna prośba o rękę April spotka się z życzliwym przyjęciem.

Hempstead poczuł, że serce podchodzi mu do gardła.

- Naprawdę pani tak myśli? Nie jest już pani z gruntu przeciwna...?

- Myślę, Geoffreju, że jeśli będziesz nadal kroczyć tą drogą, ani ja, ani mój brat nie staniemy wam na drodze do szczęścia. - Olivia nie mogła się powstrzymać od uśmiechu na widok zdumienia, ulgi i radości, które odbiły się na twarzy młodego mężczyzny. - A teraz proszę mi wybaczyć... *Monsieur LeBruin* właśnie tu zmierza, by upomnieć się o swój taniec.

Maxim LeBruin zbliżał się rzeczywiście; Olivia wstała i podeszła do niego. Wzięła Francuza pod rękę i coś mu szepnęła do ucha. LeBruin skinął głową i wyprowadził ją na balkon. Znalazłszy się tam, Olivia odetchnęła z ulgą.

-Jestem ogromnie wdzięczna, że nie obstawał pan przy kadrylu. Jakże byłam spragniona świeżego powietrza!

- Proszę mi wierzyć, *mademoiselle*, że szukam jedynie pani czarującego towarzystwa. Taniec nie ma znaczenia.

- Otrzymałam krótką informację od Abbercombe'a, *monsieur* - zaczęła Olivia, spoglądając na ogród Skittingtonów oświetlony migoczącymi lampionami. - Powiadomił mnie, że dotarły do niego wieści od Andrew.

- Od pani brata, *mademoiselle*? Czy to możliwe?

- Wiadomość dotarła z małej miejsciny na wybrzeżu wraz z sygnetem Andrew. Abbercombe chce mi go pokazać, gdyż nie jest pewny, czy to naprawdę pierścień mego brata. Mam wrażenie, że książę obawia się zasadzki. Czy istotnie szykuje się na niego jakaś zasadzka, *monsieur*?

- Nic mi o tym nie wiadomo, *mademoiselle*.

- A nasze władze, *monsieur*? Może to rząd próbuje go schwytać, stosując podstępne metody?

- Chyba nie - wymamrotał LeBruin, mrużąc szare oczy. - Czy książę zamierza przynieść ten liścik i sygnet do pani uroczej siedziby?

- Nie, *monsieur*, przyniesie je tutaj. Mam się z nim spotkać w oranżerii lorda Skiffingtona w porze kolacji. Będzie tam wówczas całkiem pusto; idealne warunki do rozmowy w cztery oczy.

- Niech pani będzie ostrożna, *ma belle* - ostrzegł ją LeBruin, kładąc jej rękę na ramieniu. - Kto wie? Może to perfidna sztuczka tego wcielonego diabła! Gotów panią skłonić do powierzenia losu brata w jego ręce!

- Będę bardzo ostrożna, panie LeBruin. Jeśli są to istotnie wieści od Andrew, rozpoznam od razu jego charakter pisma i sygnet. A teraz muszę wracać na salę, bo April zacznie mnie szukać!

- *Oui, mademoiselle.*

LeBruin podał Olivii ramię. Milczący cień, który krył się w najodleglejszym kącie balkonu, równie dyskretnie wszedł na salę przez francuskie okno.

April skończyła przed chwilą taniec z Hempsteadem

i właśnie się rozstawali. Dostrzegłszy ciotkę, podeszła do niej natychmiast. LeBruin skłonił się z wdziękiem i odszedł.

- Powiedziałaś mu, ciociu? Uwierzył ci?

- Chyba tak. Będę bardzo zdziwiona, jeśli nie przyłapiemy LeBruina w oranżerii z pistoletem w pogotowiu. Czy pan Hempstead zgodził się nam pomóc?

- Nie prosiłam go o to - odparła April. - Ma bardzo ważne spotkanie z lordem Wyndhamem. Właśnie udał się tam. Ale wiem, kto nam pomoże!

- Kto? Mam nadzieję, że ktoś godny zaufania?

- Wicehrabia Harcourt - szepnęła April - i pan Kettering. Zrobiliby wszystko dla Amy i Beth! A w dodatku Harcourt jest tego samego wzrostu co książę i w półmroku może go z powodzeniem udawać. Pan Kettering ukryje się razem z mną, by w razie potrzeby obezwładnić LeBruina. A poza tym przyda się nam dwóch wiarygodnych świadków!

Nieco zbита z tropu Olivia spoglądała w błyszczące oczy bratanicy.

- Ależ z ciebie intrygantka! Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewała. Musimy natychmiast porozumieć się z Harcortem i Ketteringiem!

Hempstead czekał na swój kapelusz i laskę. Majordomus Skiffingtonów już posłał po niego lokaja. Kiedy ktoś zakołatał do drzwi, a Lindner je otworzył, Geoffrey nie wierzył własnym oczom.

- Dobry wieczór, Hempstead! - wycedził Abbercombe. - Ciebie właśnie szukam! Czy możemy gdzieś porozmawiać w cztery oczy?

Lindner odprawił lokaja i mimo ogromnego zdumienia (dobrze wiedział, kim jest spóźniony gość) rozsądnie zasugerował, że gabinet jego lordowskiej mości będzie najodpowiedniejszym miejscem na poufną konwersację. Abbercombe zaaprobował ten pomysł i majordomus zaprowadził ich do przytulnego pokoju. Ponieważ żaden z dżentelmenów nie życzył sobie drinka, służący wyszedł, zamykając za sobą drzwi

- Co wasza książęca mość tu robi?! - spytał nachmurzony Hempstead.

- Mam do tego pełne prawo. Czyżbyś zapomniał, że zostałem zaproszony?

- Nie zapomniałem ani o tym, ani o twojej ranie, milordzie! Zdumiewające: czyżby wasza książęca mość nie życzył sobie, żeby się zasklepiła?

- Bzdury! Gdybym chciał wyliczyć wszystkie swoje rany, słuchałbyś tej litanii do przyszłego tygodnia! Nie znoszę, jak się ze mną cackają! Ale w tej chwili przydałaby mi się twoja pomoc.

- A mianowicie?

- No, cóż... z tym ramieniem nie mogłem się wcisnąć w żaden angielski surdut... w dodatku bez pomocy Fanninga. Musiałem więc przywdziać tę starzyznę. Ale nie poradziłem sobie z guzikami.

- Czyżby wasza książęca mość życzył sobie, żebym mu pozapinał guziki?

- Nie wszystkie, Hempstead. Tylko te, z którymi sobie ani rusz nie mogłem dać rady. I zechciej mi zawiązać chustkę na szyi. Jedną ręką tego cholerstwa absolutnie nie da się zrobić!

Hempstead przyjrzał się księciu bystrym wzrokiem.

- Chyba się nie mylę, milordzie, podejrzewając, że wasza książęca mość wymknął się cichaczem z własnego domu? - Zabrał się do wiązania fularu i poprawiania krzywo zapiętych guzików, starając się nie urazić ramienia Abbercombe'a.

- Owszem, wymknąłem się.

- Wbrew zdrowemu rozsądkowi. A jak wasza książęca mość tu dojechał?

- Wynajętym powozem. Wybierasz się do Grillon's Hotel? Już czas!

- Gotowe! - westchnął Hempstead. - Musi wystarczyć. Już mnie tu nie ma! Czyżbyś mi nie ufał, milordzie, i chciał sam załatwić sprawę?

- Nie, Geoff, miałem tylko nadzieję, że cię jeszcze złapię i dam ci to. - Książę wyciągnął z kieszeni gruby zwitek banknotów i wetknął je Hempsteadowi do ręki. - W środku jest kartka z instrukcją, jak znaleźć mój szkuner i kapitana Dunleavy'ego w Portsmouth. Czeka tam na mnie. Nie będziesz mu-

siał go przekonywać, że przysyłam cię w zastępstwie. Część pieniędzy przeznacz na karetkę pocztową i czwórkę dobrych koni, by cię dowiozły na jutro do Portsmouth. Upewnij się, czy nikt cię nie śledzi. Sto tysięcy dla Pendletona i Saukilla po dostarczeniu towaru. Oddaj tę sumkę na przechowanie kapitanowi. Bardzo mi przykro, Geoff, że obarczam cię tym wszystkim, ale chyba się jeszcze nie nadaję do podróży.

- Moim zdaniem nie nadajesz się i na bal, milordzie - mruknął Hempstead, widząc ból w oczach księcia i krople potu na jego czole. - Proszę pozwolić, bym odwiózł waszą książęcą mość do Fielding House, zanim się udam do Grillon's!

- Nie ma mowy, Geoff! Spóźniłbyś się. Sam trafię do domu!

Piętro wyżej, w sali balowej Skiffingtonów, elegancki jak zawsze Beau Brummell ruszył prosto do panien Denbigh. Korpulentny jegomość w jaskrawoczerwonej kurtce z epoletami i niebieskim szamerunkiem oraz w ciemnoniebieskich pantalonach dzielnie dotrzymywał mu kroku. Stojący między bliźniaczkami Worth z całą powagą zaznajomił towarzysza Beau Z damami: hrabiną Vale, lady Amaryllis i lady Bethany.

- Córki Abbercombe'a, nieprawdaż? - spytał, ścisząc głos księżę regent. - Nie sposób się pomylić! Tylko jego urok osobisty i niezwykła uroda lady Celi mogły zaowocować takim podwójnym arcydziełem wdzięku!

- Wasza wysokość jest dla nas zbyt łaskawy - odparła Amy. - Istotnie, księżę Abbercombe to nasz ojciec; znamy doskonale waszą książęcą mość z jego opowiadań.

- Tyle wam o mnie nagadał? A wy mu uwierzyłyście?

- O, tak! - odparła z zapałem Beth, wpatrując się w regenta wielkimi oczyma.

- Niech to diabli! - westchnął Prinny.

- Nie rób takiej chmurnej miny, Florizelu! Dziewczęta gotowe jeszcze pomyśleć, że z ciebie stary zrzęda... a czegoś podobnego im o tobie nigdy nie mówiłem!

- Tatusiu! - zdumiała się Amaryllis. - Co ty tu robisz?!

- Cóż za pytanie, moja droga? Przecież zostałem zaproszony - odparł Abbercombe z szerokim uśmiechem.

- Ale twoje ramię, tatusiu! - zaniepokoiła się Bethany.

- Nie będziemy teraz o tym dyskutować, kochanie! Jestem ci ogromnie zobowiązany, Florizelu, że zechciałeś poświęcić nieco uwagi moim córkom.

Prinny, na którego rumianym obliczu malowało się coś w rodzaju zbożnego lęku, wyciągnął rękę do Abbercombe'a.

- Z radością bym uściśnął dłoń waszej wysokości, ale zostałem postrzelony i prawica całkiem mi odmawia posłuszeństwa. Czy wasza książęca mość nie uzna tego za despekt, jeśli podam lewą?

- Skądże znowu! - uspokoił go Prinny i potwierdził swe słowa czynem.

- A co ze zdrowiem twego ojca? Czy jest nadzieja, że mu się polepszy?

Brummell i Worth zdrętwieli. Nikt w rozmowie z księciem regentem nie poruszał tego tematu. Najmniejsza wzmianka o chorobie Jerzego III mogła jego następcę przyprawić o furie!... Tym razem jednak twarz księcia Walii złagodniała, a po jego ustach przemknął uśmiech.

- Z pewnością by cię poznał, Abbercombe, gdybyś go odwiedził. Tylko musiałbyś się przedrzeć przez kordon przekłutych konowałów! Nadal wspomina cię życzliwie, kiedy jest przytomny.

- Wobec tego zrobię wszystko, by mnie do niego dopuścili. A teraz... wygląda na to, *mon ami* że znów razem nabroiliśmy: tylu ludziom przerwaliśmy taką wspianą zabawę!

- Co takiego?! - Zdumiony Prinny rozejrzał się dokoła. Ze wsząd otaczało go morze nieruchomych, niemych postaci i wpatrzonych w niego oczu. Nawet orkiestra przestała grać.

- Pewnie spodziewają się pojedynku - mruknął Abbercombe. - Uruczmy ich czymś równie emocjonującym. Nie zapomniałeś chyba, jak się tańczy walca? Wchodził właśnie w modę, kiedy ostatnim razem spotkaliśmy się w Wiedniu.

Księżciu Walii zabłyśły oczy.

- W Londynie do tej pory się nie przyjął. Wszyscy stróże moralności będą oburzeni!

- Doskonale! Znów znajdziemy się razem na czarnej li-



ście, Florizelu! Worth, pogadaj z orkiestrą, niech nam zagra walca! Amy, moja pierworodna, zatańczysz z księciem regentem! A ty, Beth, ruszysz do walca z jednorękim zbójem?

- Z jednorękim zbójem nie, ale z tobą zatańczę z przyjemnością, tatusiu!

Panna Willburton-Smythe (podobnie jak reszta gości) zastygła w niemym podziwieniu, gdy zagrzmiała muzyka i obie pary wyszły na środek sali. Mimo unieruchomionej ręki Abbercombe był doskonałym tancerzem, a Prinny - acz otyły - poruszał się zwinnie, niemal nie dotykając stopami lśniącego parkietu.

Lady Worth uśmiechnęła się z wyraźnym żalem. Lady Skiffington, widząc to, skinęła przyzwalająco głową. Zbrojna w matczyne błogosławieństwo młoda hrabina potrząsnęła zadziornie orzechowymi lokami i podszedłszy do męża, szepnęła mu coś na ucho. W onh bez zwłoki chwycił ją w objęcia i zawirowali w żywym rytmie walca. W krótkim czasie sala balowa wypełniła się tłumem walcujących par, które od dawna o tym marzyły, ale nigdy nie miały na to dość odwagi.

Gdy przebrzmiały tony walca, tańczące pary schodziły z parkietu z zarumienionymi policzkami i roziskrzonymi oczami. Jedynie twarz Abbercombe'a była pozbawiona barwy, a oczy nie płonęły grzeszną uciechą. Kiedy odstawił Bethany pod skrzydła lady Vale, siedząca obok niej Olivia spostrzegła jego błądliwość. Wstała, wzięła księcia pod ramię i wyprowadziła go na balkon.

- Cóż za nieznośna kreatura z waszej książęcej mości! Drugiego takiego uparciucha w życiu nie spotkałam! - syknęła. - Jak można tak lekceważyć własne zdrowie?! Nie tylko zrywasz się z łóżka, milordzie, bo zachciało ci się balu, ale w dodatku popisujesz się walcem! Czy waszej książęcej mości brakuje piątej klepki?!

Brew Abbercombe'a uniosła się w górę, na ustach pojawił się cierpki uśmiech.

- Wolno spytać, co to panią obchodzi? I jakim prawem strofuje mnie pani jak niesforenego dzieciaka?

- Kiedy ktoś zachowuje się jak rozwydrzony dzieciak, po-

winiem być jak on traktowany! - warknęła Olivia. - Musisz natychmiast wrócić do domu! Jestem pewna, że masz gorączkę. Nie możesz zostać tu ani chwili dłużej!

- A to dlaczego, Olivio? - wymruczał książę.

- Bo jesteś chory i... i nie pozwolę, byś rozchorował się jeszcze bardziej!

Olivia tupnęła zdobnym w klejnoty pantofelkiem i głośno wciągnęła powietrze, gdy Abbercombe zdrowym ramieniem objął ją i mocno przytulił do siebie. Jego wargi spoczęły miękko na jej ustach. Zaszokowana panna zamachnęła się, by wymierzyć policzek... i nagle coś ją powstrzymało. Zawołała więc tylko: - Jak śmiesz?! - I przycisnęła rękę do piersi.

- Wybacz mi, Olivio - szepnął książę. - Nie mogłem się powstrzymać! Chyba masz rację: ta eskapada pogorszyła mój stan zdrowia i już nie wiem, co czynię.

Olivia rzuciła mu złe spojrzenie, lecz ujrzawszy w blasku księżycy skrzące się wesołością oczy Abbercombe'a, zdołała tylko fuknąć: - Wstydu nie masz! - I dostała napadu chichotek.

- Wiem, wiem. Nie pojmuję, czemu tak się dzieje, panno Gilbujdasmyk, ale ilekroć piękna dama wygłasza mi przedwcześnie mowę pogrzebową, tracę panowanie nad sobą.

Ponownie przyciągnął ją do siebie i wpatrując się w jej oczy, delikatnie dotknął ustami jej ust. Tym razem nie wyrywała mu się. Objęła go za szyję i oddała pocałunek.

- Och! - jęknęła, gdy odsunął się od niej. - Nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło! Jeszcze nigdy nie zachowałam się tak skandalicznie!

- Doskonale ci poszło, Olivio, mimo braku doświadczenia - zażartował książę. - Chyba jednak powinniśmy wrócić na salę. Nie odpowiadam za to, co się stanie, jeśli jeszcze przez chwilę będę oglądał twoją twarz w blasku księżycy!

Ostatni taniec przed kolacją dobiegał końca. Prinny'ego już nie było. Brummell, Worth i Sebastian Denbigh pogrążeni byli w dyskusji z lady Vale i lady Jess. Harcorta, April i Ketteringa nie było nigdzie w polu widzenia.

Oranżeria Skitfingtonów stanowiła oddzielny budynek, do którego dochodziło się przez ogród. Harcourt, April i Kettering skradali się najciszej jak mogli. Wnętrze oranżerii tonęło w głębokim mroku, wpadający przez uchylone okno lekki wietrzyk poruszał liśćmi i kwiatami egzotycznych roślin, które - sądząc z ogólnego wyglądu - nastawione były do intruzów zdecydowanie wrogo. Harcourt aż się skulił, zaważdziwszy rękawem o jedną z donic; na szczęście zdołał ją przytrzymać, zanim rozbiła się z hukiem. Odkrywszy w kącie komplet narzędzi ogrodniczych, Kettering uzbroił się w widły, April wręczył grabie o żelaznych zębach. Następnie pospiesznie obrali sobie kryjówki: April w kępie filodendronów, Kettering za eukaliptusem i dwiema syberyjskimi sosnami. Upewniwszy się, że oboje są należycie uzbrojeni i dobrze ukryci, Harcourt powrócił do ogrodu, by tam czekać na pannę Willburton-Smythe.

Olivia tymczasem stała na schodach, sprzecząc się z nieznosnie upartym księciem.

- Nic mnie to nie obchodzi, milordzie! - burknęła, wiedząc, że powinna już udać się do oranżerii. - Nie powinienś być tu przychodzić i nie możesz tu zostać. Spójrz tylko na siebie! Z pewnością ramię straszliwie ci dokuczają!

- Nic podobnego! - zaprzeczył książę, zastanawiając się w duchu, czemu kłóci się z tą damą ząb za ząb, gdy w gruncie rzeczy niczego goręcej nie pragnie niż powrotu do domu i łóżka. - Cóż takiego knujesz, Olivio, że gwałtem chcesz się mnie pozbyć?

- Co j a knuję?! - Olivia wzięła się pod boki i w bezsilnym gniewie tupnęła nogą. - Jak śmiesz podejrzewać mnie o podstępne machinacje?! To ty wymykasz się chyłkiem z własne-

go domu, to ty pozwalasz sobie... niecznie wykorzystać sytuację na balkonie! To ciebie należy spytać: co knujesz, mój panie?! - Dziwny wyraz oczu księcia sprawił, że umilkła. - Co się stało, Abbercombe? Słabo ci...? Musisz koniecznie usiąść!

Księżę zamierzał poinformować ją, że nigdy w życiu nie było mu słabo i teraz też nie zamierza dostać waporów... gdy nagle dotarło do niego, że jej błędne przypuszczenie może okazać się przydatne.

- Pomożesz mi zejść ze schodów, moja droga? - spytał pokornym tonem, którym zawsze potrafił rozbroić Celię. - Nie chcę zrobić z siebie widowiska na oczach tych wszystkich ludzi. Nie zniósłbym takiego upokorzenia!... Na parterze jest salon... Jeśli pomożesz mi tam dotrzeć, przyrzekam święcie, że przez chwilę odpocznę i wrócę do Fielding House.

- O, to masz jak w banku! - odezwał się lord Denbigh, podchodząc do brata i obejmując go w pasie. - Z całą pewnością wrócisz do Fielding House!

- Ale on chce przed odjazdem posiedzieć chwilę i odpocząć, Sebastianie - wtrąciła Olivia.

- Wiem, wiem... - Bardzo ostrożnie, by nie urazić zranionej ręki księcia, Sebastian i Olivia pomogli mu dotrzeć do salonu, gdzie posadzili go przy ogniu. Widząc, że brat blednie coraz bardziej, a jego czoło znów pokrywa się potem, lord Denbigh zaczął mu rozwiązywać fular.

Tymczasem Olivia wierciła się niespokojnie. Jeśli ich plan miał się powieść, powinna zaraz stąd wyjść... ale jak mogła to zrobić, gdy księżę z każdą chwilą czuł się coraz gorzej?

- Wyjdź stąd, Olivio - wymamrotał Abbercombe. - Nie chcę, byś oglądała mnie w takim stanie. Idź na kolację! Nie zostawiaj April bez opieki!

- April?! Och, muszę już iść. Zaopiekujesz się swoim bratem, milordzie?

- Jak najtroskliwiej - zapewnił ją lord Denbigh i Olivia wybiegła z pokoju

- Zauważyłeś, Sebastianie, w którą stronę się udała? - spytał księżę.

- W którą stronę...?

- Tak. Czy schodami na górę, czy skrzyła w lewo?
- Cash, nie masz przypadkiem gorączki?
- Gorączki nie, ale mam niedobre podejrzenia. Olivia coś knuje i chce się mnie stąd pozbyć!
- Knuje czy nie knuje, ty wracasz do domu! Jeśli będziesz stawiał opór, wezwę na pomoc Wortha!
- Co takiego? Sprzymierzysz się z nimi przeciw własnemu bratu?! Sprawiasz mi gorzki zawód!
- Nic podobnego! To ty chcesz mnie nagiąć do swej woli. Abbercombe złożył głowę na oparciu kanapy.
- Masz rację. Przepraszam! Ostatnio na każdym kroku widzę czyhających na mnie opryszków i intrygantów.

Głos księcia przepełniony był taką rozpaczą, że Sebastian chwyciłby brata w ramiona, gdyby nie obawiał się, że go urazi w bolące ramię.

- To zupełnie zrozumiała reakcja, Cash, gdy na każdym kroku dybią na twoje życie! Ale jak możesz podejrzewać Oliwię o spiskowanie? To krzycząca niesprawiedliwość!

- Masz rację - przyznał Abbercombe i głos mu się załamał. - Tak mi trudno się pozbierać, Bastianie... Wybacz... i jeden jedyny raz spełnij moją niemądrą zachciankę! Czy pan-na Olivia poszła schodami na górę?

- No, nie... poszła dalej korytarzem. Zdaje się, że lady Skiffington wydzieliła na parterze pokój dla dam, które chciałyby się odświeżyć. - Lord Denbigh zauważył, że brat zamknął oczy. Nigdy jeszcze nie widział, żeby ktoś zasnął tak szybko! - Cash...? - szepnął, ale nie doczekał się odpowiedzi. Cóż w tym dziwnego? - mówił sobie w ducha Ubiegłej nocy oberwał kulkę w ramię i stracił mnóstwo krwi, a mimo to przywłókł się na ten przeklęty bal... I jeszcze mu się chciało tańczyć!...

Z wielką troskliwością ułożył śpiącego na kanapie i podsunął mu poduszkę pod głowę, a następnie udał się na poszukiwanie majordoma; zamierzał go poprosić, aby niezwłocznie sprowadził powóz. Upewnił się raz jeszcze, że książę śpi spokojnie, i udał się do jadalni, by zapewnić sobie pomoc Wortha przy eskortowaniu rannego.

Gdy Abbercombe usłyszał, że Sebastian opuszcza pokój

i zmierza na górę, wstał z kanapy. Z korytarza dobiegały odgłosy rozmowy, więc podszedł do jednego z okien. Rozsunął story, otworzył okno i wymknął się na trawnik. Postanowił najpierw udać się do ogrodu, a gdyby tam nie znalazł Olivii, wrócić do domu kuchennymi drzwiami i przeszukać całą rezydencję.

Serce Olivii biło jak szalone, gdy wkraczała do pogrążonej w ciszy oranżerii. Parne powietrze i zapach wilgotnej ziemi skojarzyły się jej z cmentarzem. Wnętrze oświetlał tylko migotliwy blask księżycy. Lekki wietrzyk szeleścił liśćmi i kołysał kwiatami bezbarwnymi o tej porze niczym widma. Wymarzone miejsce - pomyślała Olivia z pewnym niepokojem - na ostatni zamach LeBruina na życie Abbercombe'a! Weszła do wnętrza, wstrzymując dech i powtarzając sobie w duchu, że księżę jest całkowicie bezpieczny pod opieką brata, a jej również nic nie grozi, choć nie mogła dostrzec swoich ukrytych sprzymierzeńców. Nerwowo obracała w palcach medalion z kameą i postukiwała pantofelkiem o kamienną podłogę. Gdzież się schował Harcort? Opuścił salę balową wcześniej niż ona.

- Abbercombe! - szepnęła, pamiętając, że wicehrabia miał odegrać rolę księcia.

Szmer i westchnienie, przypominające odgłosy wiatru na poddaszu, przyciągnęły uwagę Olivii do wyjątkowo mrocznego kąta w tylnej części oranżerii; miała wrażenie, że coś się tam poruszyło.

- Abbercombe! - odezwała się półgłosem. - Czy to ty, mi lordzie?

Serce podskoczyło jej do gardła, gdy rozległ się nagły łoskot. Błyskawicznie odwróciła się w stronę drzwi. W księżycowym blasku rysowała się w nich mgliście wysoka postać. W następnej chwili Harcort pochwycił obie ręce Olivii.

- Przepraszam za ten hałas. Wszędzie tu pełno doniczek!

Wicehrabia mówił niskim, miękkim głosem, starając się naśladować gardłowe tony księcia. Wyjął z kieszeni surduta jakiś papier i pierścień i wetknął je w ręce Olivii.

- Proszę powiedzieć, czy to należy do kapitana?

Panna Willburton-Smythe stanęła w smudze księżycowego światła, udając, że ogląda w skupieniu rachunek od krawca i pierścień należący z pewnością do Harcorta.

- To sygnet mego brata! - jęknęła. - I jego pismo!... Wasza książęca mość naprawdę odnalazł Andrew.

- Wielka szkoda! - wycedził z afekcją ktoś ukrywający się wśród wielkich roślin mniej więcej w połowie wąskiego przejścia. - Gdyby to było zwykłe oszustwo, *monsieur le duc*, nasza gra toczyłaby się nieco dłużej, zanim padłbyś z mojej ręki. - LeBruin pewnym krokiem podszedł do rzekomego księcia, mierząc mu z pistoletu prosto w serce. - Teraz jednak, gdyś zdołał odkryć, gdzie zaszył się *le capitain*, nie mogę ryzykować, *mon ami!* Przetrzęsaliśmy wieś po wsi, miasto po mieście, tropiąc zarówno ciebie, jak i jego... ale biedny kapitan nie ma tyle szczęścia, ile ty, *mauvais sujet!* Niech pani z łaski swojej poda mi liścik kapitana, *mademoiselle!*

Serce Olivii zamarło z przerażenia. Wyobrazić sobie, że LeBruin jest groźnym szpiegiem, to podniecająca zabawa, ale widzieć go przed sobą z pistoletem wycelowanym w pierś Harcorta to całkiem co innego!... Gdzież się podziewają Kettering i April? Czemu nie wyskakują ze swych kryjówek, by wspólnie obezwładnić tego nikczemnika?!

Szczęk metalu i ledwie dostrzegalny w mdłym świetle ruch sprawiły, że LeBruin raptownie odwrócił głowę w stronę kryjówki April. W tym samym momencie Kettering wyskoczył z ukrycia i z całej siły walnął trzonkiem wideł w przegub Francuza. Pistolet wypadł mu z ręki i potoczył się po podłodze. LeBruin odwrócił się do nieoczekiwanego przeciwnika, uskoczył przed jego kolejnym ciosem i zdzielił go potężnym hakiem w szczękę. Kettering runął na ziemię. Wtedy spomiędzy filodendronów za plecami Francuza wypadła April i bez wahania rąbnęła go w potylicę grabiami... co prawda nie metalowymi zębami, tylko płaską stroną. Na chwilę LeBruin zastygł w bezruchu, po czym osunął się na podłogę. Harcort, który odciągnął Oliwię w bezpieczne miejsce, był już w połowie drogi do LeBruina, gdy francuski emigrant upadł. Ale w chwili gdy LeBruin osunął się na posadzkę, a Harcort

się zatrzymał, z mroku w tylnej części oranżerii wyłoniła się jeszcze jedna postać z pistoletem w ręku.

Książę Abbercombe wskoczył przez otwarte okno, zza którego śledził przebieg wydarzeń, i zbił Harcorta z nóg, pociągając go na podłogę w tej samej sekundzie, gdy w ciemności zagrzmiął wystrzał. Zrywając się błyskawicznie, rzucił się następnie ku April i popchnął ją za wielkie krzewy. Wreszcie przeskoczył przez stół, strącając i tłukąc mnóstwo porozstawianych tam doniczek, i usunął Olivie z linii strzału. Aż krzyknęła, gdy zderzył się z nią i oboje potoczyli się po podłodze.

-Tutaj! -syknął Brummell. Wychylił się zza potężnego pnia dębu, rosnącego obok podjazdu do Fielding House i chwycił Wortha za rękaw. - Czemuś tak marudził?!

- Młody Denbigh poprosił mnie, bym pomógł mu znaleźć Casha. Zostawił go tylko na chwilę w salonie Skiffingtonów. Był przekonany, że brat śpi. Kiedy wrócił, tego pomyłonego łotra już nie było. Przeszukaliśmy we dwóch cały dom, ale nie znaleźliśmy go. Przekonałem lorda Sebastiana, by został do końca balu, a nuż się ten piekielnik zjawi... choć bardzo w to wątpię. Znacznie bardziej prawdopodobne, że zjawi się tutaj. Mam szczerą nadzieję, że tak będzie. Czułbym się jak skończony głupiec, warując przez resztę nocy na rym dziedzińcu, gdyby się okazało, że Cash gdzie indziej wpadł w tarapaty!

- A ja będę się czuł skończonym kpem bez względu na to, jak sprawy się potoczą! -westchnął Brummell. -Jeśli wieść o tym wszystkim rozejdzie się po Londynie, fama o mej doskonałej obojętności rozwieje się jak dym! A ryle mnie kosztowała starań!

- Nigdy nic wierzyłem w te bajdy, Beau... ale mimo wszystko nie spodziewałem się, że zobaczę cię przykucniętego za drzewem i ze szpadą w garści! Bo to szpada, nieprawdaż?

- Nie inaczej, Worth! A teraz będziesz jedynym świadkiem mojej kompletnej hańby: Brummell leżący plackiem na ziemi pod osłoną dębu. - Ze znużoną miną Brummell osunął się na trawę. - Kiedy rano zobaczę te zielone plamy, chyba popełnię samobójstwo.



- Zauważyłeś kogoś podejrzanego? - Worth klapnął obok niego.

- Nie, tylko kilku stajennych krząta się przy koniach. Zeszłym razem te podlece ukrywały się w tamtej kępie drzew przy podjeździe, jeśli się nie myłę.

- Uszy do góry, Beau! Niebawem zastąpią nas Stone i jego ferajna, a ty znów będziesz co wieczór pławił się w luksusie Carlton House, siedząc przy kominku Prinny'ego i działając mu na nerwy!

- Tak... ale powiedz mi, Worth, co myślisz o zdumiewającej komitywie Abbercombe'a z Prinny'm? Byłem zaszokowany, gdy Abbercombe spytał o zdrowie króla, a Prinny przyjął to spokojnie i odpowiedział z całą uprzejmością! Nawet zasugerował, by księżę odwiedził staruszka!

- „Jerzy Hreczkosiej” zawsze bardzo cenił Casha. Wyrok skazujący Abbercombe'a i jego deportacja były dla króla prawdziwym ciosem, podobnie jak dla mnie. Co to takiego?

Obaj odwrócili głowy: od strony podjazdu dobiegł ich odgłos kroków. W gęstniejącym mroku pięć cieni przemknęło na paluszkach w stronę bujnych krzewów. Trzymając się z dala od płonących pochodni, zarówno przy bramie, jak i przy drzwiach frontowych, cienie przemieszczały się w karnym szyku, aż dotarły do gęstych choć niskich krzewów, wśród których znikły.

Ze swego stanowiska na daszku nad portykiem Christian i Damian również śledzili przemieszczanie się cieni.

- To już siedmiu! - mruknął Chris.

- Może powinniśmy zaalarmować służbę? Tata wymknął się z domu, więc nie możemy liczyć na jego pomoc. A tych drani jest strasznie dużo... Dziewczętom mogłoby się przydarzyć coś złego, gdybyśmy uparli się przy naszych planach.

- Ale nie możemy ostrzec Amy ani Beth, że odwołaliśmy akcję. A one nigdy by nam nie wybaczyły, gdybyśmy wciągnęły w to służbę!

- Nawet Robina?

- O tym nie pomyślałem. - Christian zastanowił się. - Tak,

Robin będzie wiedział, co robić! Możesz wrócić do domu tak, żeby nikt tego nie zauważył?

- Pewnie! Ani się obejrzysz, jak będę z powrotem.

Fanning mierzył Daymee wzrokiem z głębi fotela, który stał w prywatnym saloniku księcia.

- Co to za plany? Z kim chcecie się rozprawić? Oj, coś mi się zdaje, że wasz tata chwyci jednego z drugim za uszy i wrzuci do lochów!

- Tu nie ma żadnych lochów, Robinie, a poza tym wszystko jest już w toku i nie można nic odwołać, bo nie mamy kontaktu z Amy i Beth. Tych zbirów jest siedmiu. Dwóch za starym dębem w pobliżu stajni, pięciu w krzakach przy podjeździe.

Fanning rozstał się z wygodnym fotelem i przeszedł do sypialni księcia. Wrócił stamtąd ze szpadą w ręku.

- Zajmę stanowisko obok zachodniego narożnika domu. Nie wszczynajcie żadnej bijatyki, jeśli siostry nie przystąpią do akcji. A jeśli przystąpią, to strzelajcie celnie! Stangret John ma przy sobie pistolet. We czterech powinniśmy obronić nasze damy.

Damian powrócił na dach.

- Robin wziął szpadę i zaczął się koło zachodniego węgła, a John zawsze jeździ z pistoletem. Mamy się nie wdawać w żadne awantury, póki dziewczyny nie zaczną - relacjonował szeptem. - Czy oni nadal tam są?

Christian potwierdził skinieniem głowy.

- Spójrz, powóz podjeżdża do bramy!

Powóz wtoczył się na podjazd i zatrzymał przed frontowym wejściem. Stangret w książęcej błękitno-złotej liberii zeskoczył z kozła i pomógł damom wysiąść. Już miał podnieść opuszczone schodki, gdy coś brzęknęło o kamienie i rozległ się jęk Amy:

- Och! Wisiorek mamusi! Johnie, czy możesz postarać się o więcej światła? Pomożesz mi go znaleźć, prawda?

- Ja też ci pomogę - zaoferowała się zgodnie ze scenariuszem Beth. - Podaj mi drugą latarnię, Johnie! Z pewnością zaraz znajdziemy zgubę. Nie czekaj na nas, ciociu Margaret! Za chwilę cię dogonimy!

Lady Vale weszła do domu, zanim majordom ukazał się w drzwiach.

- Najmocniej przepraszam, pani hrabino - kajał się. - Nie spodziewaliśmy się tak rychłego powrotu.

- A ja nie spodziewałam się, że cię zobaczę przy drzwiach. Masz przecież dziś wychodne, Dawson.

- Istotnie, pani hrabino, ale nie miałem dokąd pójść, więc zająłem się lekturą w swoim pokoju. - Pomógł starej damie zdjąć okrycie. - Czy panienki nie wróciły razem z panią hrabiną?

- Owszem, ale Amy zgubiła wisiorek i właśnie go szukała w świetle latarni. - Głośny huk zamącił nocną ciszę, a zaraz po nim rozległ się straszliwy wrzask. - Wielkie nieba! Cóż to takiego?! - wykrzyknęła lady Vale. W chwili gdy wraz z Dawsonem szarpali się z frontowymi drzwiami, na dziedzińcu zaroilo się od cieni, a w nocne niebo wzbily się gniewne okrzyki.

W powietrzu świstały kamienie, trafiając celnie w ruchliwe zjawy. Powozowe latarnie drżały w delikatnych rączkach. Hrabina Vale krzyknęła, gdy John rzucił się na jakąś zwalistą zjawę. Dawson zbiegł po frontowych schodach na dziedziniec i w tej samej chwili pojawił się Fanning.

- Leć po panienki, Dawson! Złap za latarnię i zapędź obiczym prędzej do domu!

W kilku susach majordom znalazł się przy powozowej latarni, którą trzymała dziewczęca rączka. Chwycił ją mocno i mamrocząc pod nosem jakieś przekleństwo, popchnął energicznie Bethany ku starej hrabinie. Szczęk broni zmieszał się ze świstem i łoskotem wyrzucanych z procy kamieni. Ogłuszające krzyki i przekleństwa sprawiły, że w hallu Fielding House zaroilo się od służby.

W całym tym zamieszaniu nikt nie zauważył, że dwa inne cienie z pałkami w ręku zeskoczyły z dachu nad głównym wejściem i rzuciły się w pościg za uciekającymi w kierunku stajni opryszkami.

- Niech pani mi pomoże! - Pan Stanton schwycił za ramię pannę Greene. - Zapalimy wszystkie świece, wręczymy je całej służbie i oświetlimy dziedziniec, jak tylko się da!

Lady Vale pierwsza chwyciła wieloramienny świecznik i pobiegła do drzwi. Za jej przykładem poszły Amy, Beth i cała służba księcia. Wkrótce dziedziniec był rzeźnię oświetlony.

Z trudem łapiąc dech, Abbercombe leżał w mokrej trawie obok klombu kwitnących lilii. Trzymał mocno wyrwijącą się Olivie.

- Nie szarp się... - wykrztusił. - Jesteś... bezpieczna.

- Abbercombe?! Co...? Jak...?

- Chwilkę... Już nie jestem... taki młody... - Z bolesnym stęknięciem puścił ją i wstał. - Nie ruszaj się stąd! - rzucił rozkazująco i z wyraźnym wysiłkiem zawrócił do oranżerii.

Po chwili wybiegła stamtąd April i padła na kolana obok Olivii, objęła ją ramionami.

- Och, cioteczko! Bogu dzięki, że nic ci się nie stało!

- April, czy... czy ktoś zginął...?

- Nie, księżę mówi, że nawet LeBruin ocalał, choć po nim na pewno bym nie płakała! Mierzył w ciebie z pistoletu! Jak on śmiał?!

Olivia już ją chciała wyprowadzić z błędu: pistolet był wymierzony nie w nią, lecz w Harcorta. Doszła jednak do wniosku, że w obecnej chwili nie ma to większego znaczenia. Uściskała bratanicę, ale nie odwracała oczu od drzwi oranżerii. Wreszcie Harcourt, podtrzymujący półprzytomnego Ketteringa, a za nim Abbercombe, poruszający się z wyraźnym trudem, wyszli do ogrodu.

- We dwóch z księciem związaliśmy tego drania LeBruina, ale drugi opryszek nam się wymknął - relacjonował bratu Harcourt. - Wiedziałaś, że są tu tylne drzwi? Ja nie miałem pojęcia.

- Nie - wymamrotał zamroczony Kettering. - Jakie zakłęcia...?

- Nie wie, biedak, co gada! - westchnął Harcourt. - Kto by przypuszczał, że ma taką wrażliwą szczękę...? Myślałem, że ten żabojad skreślił mu kark! Kiedy padał...

- Taaa... gadał i gadał - mamrotał Kettering.

- Wetknij braciszкови głowę pod pompę, Harcourt. Obok kuchni. - Abbercombe pomógł April wstać, po czym wyciągnął

rękę do Olivii. - Na nogi, moja panno! - zakomenderował. -  
Przejdźmy wszyscy do kuchni. Należą mi się pewne wyjaśnienia!

- Czy to wojna? - spytała Helen, klęcząc na parapecie, z noskiem rozpląszczonym na szybie.

Gracie skinęła głową.

- Pierwszy raz mamy wojnę u siebie w domu!

Ethan i Frazier spoglądali z niepokojem na rzęście oświetlony dziedziniec, pełen wrzeszczących i bijących się ludzi.

- Ubieramy się raz dwa - rzucił Ethan nagłym szeptem. -  
Potem pomożemy Gracie i Helen. Jeśli to wojna, musimy uciekać, i to szybko!

- Gdzie Miś?! - jęknął Frazier. - Bez Misia nigdzie nie idę!

- Chcę do tatusia! - rozpląkała się Gracie, widząc, jak brat wyciąga spod łóżka opierającego się szczeniaka.

- Nie możemy tu czekać na tatusia - tłumaczył siostrze Ethan, wyjmując z szafy spodenki swoje i brata.

- Tata pewnie jest tam na dole i też się bije - wtrącił Frazier, sadzając Misia na łóżku i zabierając się do wciągania spodni. - Poszukamy Robina, on nam powie, gdzie mamy uciekać.

Chłopcy ubrali się, pomogli w ubieraniu siostrzyczkom, Frazier ścisnął Misia pod pachą i cztery pary nówek zbiegły po schodach na parter.

- Gdzie się podział Robin?! - spytał Ethan, wyglądając przez szparkę w drzwiach. - Jacyś ludzie tu biegną!

- Chować się! - wrzasnął Frazier, zeskakując z ostatnich dwóch stopni, i chwycił Helen za rękę. Ethan zawrócił i złapawszy Gracie, zaciągnął ją do „jaskini rozbójniczą”.

Lord Merriville i lord Bacon, których rezydencje sąsiadowały z Fielding House, z całą armią lokai i stajennych uzbrojonych w co się tylko dało, przybyli na ratunek i rzucili się w wir walki. Podniecona bojową atmosferą lady Vale dodawała walczącym ducha gromkimi okrzykami. Nagle oczy jej padły na nieustraszonego księżęcego stangreta, który zamierzał się właśnie do ciosu.

- Nie, nie, Johnnie! Jego nie! To pan Brummel!!!... O, mój Boże...

Od strony stajni nadciągał oddział zbrojnych w widły, bity i miotły stajennych i ich pomocników. Prowadzili w triumfie dwóch jeńców, popychając ich i poszturchując. Na czele kroczyli Christian i Daymee z dębowymi pałkami na ramieniu.

- Złapaliśmy dwóch! - wołał Chris. - Nic wam się nie stało, Amy?

- Absolutnie nic! Ach, wy, łajdaki bez sumienia! - syknęła do jeńców, których popchnięto w jej stronę. - Chcieliście zamordować tatusia!

Obaj potężnie zbudowani mężczyźni spojrzeli na nią w osłupieniu.

- Za...zamordować, panienko? My?!

Rozległ się strzał i zaraz potem głośne przekleństwo.

- Czemu dybiesz na moje życie, Merrville? - ofuknął lorda ze swobodą dobrego znajomego hrabia Worth. - Nie należę przecież do tych opryszków!

- Ja też nie! - zapewnił równie gromko bardzo pospolicie wyglądający mężczyzna, któremu właśnie wygięto w tył ręce, by je związać. - Precz z łapami, łajdaku! Nazywam się Elijah Stone, hrabia Worth mnie wynajął do...

- To ty, Stone? Jak, u diabła, dostałeś się... Au!!

- Oberwałeś, Worth?! - zaniepokoił się Merrville. - Trzymaj się, już do ciebie idę!

Abbercombe zapędził garstkę pogromców szpiegów do kuchni Skiffingtonów. Gdy zasiedli przy stole, posłał jedną z pokojówek po majordoma, a kiedy Lindner się zjawił, wysłał jego z kolei na poszukiwanie lorda i lady Denbigh. Książę obrzucił groźnym wzrokiem konspiratorów, gdy zakończyli swą relację, potem złożył ramię na blacie starego stołu, a głowę na ramieniu i zamknął oczy. Harcourt chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. April zaczęła się wiercić. Mokra głowa Ketteringa już wcześniej spoczywała na stole. Uświadomiwszy sobie poniewczasie, w jak groźną sytuację się wplątała (wicehrabia omal nie zginął w kwiecie wieku, jej też

to groziło!), Olivia odczuła gwałtowną potrzebę usprawiedliwienia się - wszystko jedno przed kim. Mamrotała więc do siebie: - Planowaliśmy to całkiem inaczej!... Ale mamy przynajmniej świadków, którzy potwierdzą winę LeBruina...

Abbercombe podniósł głowę i utkwiał w niej wzrok.

- Mogli zabić was wszystkich.

- Ale nas nie zabili! - zapiszczała April. - O, mój Boże! Pana surdut, milordzie... cały we krwi!

- Abbercombe! - zawołała Olivia, przytomniejąc raptownie. - Twoja rana otworzyła się!

- Nie rób zamieszania! Robin znów ją zaszyje.

- Poszukaj czystego płótna, Olivio - rzucił Sebastian, wybiegając z kuchni. - A ty, Jess, pomóż Cashowi zdjąć surdut! April, powiedz Lindnerowi, niech mój powóz zaraz zajeżdża! Wracamy do domu.

Gdy powóz lorda Denbigha zajechał na dziedziniec Fielding House, rozgrywająca się tam scena przypominała koszmarne sen. Bitwa jednak zmierzała już ku końcowi. Pan Stanton podszedł do powracających i z trudem udzielił im wyjaśnień, gdyż sam niewiele wiedział. Znużony książę uniósł głowę spoczywającą na ramieniu brata. Jednym kopnięciem zabłoconego buta otworzył drzwiczki powozu, zeskoczył na bruk dziedzińca i popędził do domu. Olivia pospieszyła za nim. Dzieci! - myślała. Lęka się o dzieci!

- Abbercombe! - zawołała, chwytając go za rękaw. - Siądź tu, na ławce! Ja znajdę ich wszystkich!

Nie czekając na odpowiedź, pomknęła na drugie piętro. Dostrzegła na dziedzińcu Amy i Beth, a także Chrisa i Daymee. Wszyscy znajdowali się w pobliżu lady Vale. Przeszukując pokój po pokoju, Olivia wypatrywała więc tylko czwórki najmłodszych i tylko ich wołała po imieniu. Nic znalazłszy nikogo na drugim piętrze, zeszła na pierwsze. Pokoje zionęły pustką, strach chwycił ją w swe szpony. Jeśli dzieciom stało się coś złego, jak on to przeżyje...?

- Ethan! - wołała. - Frazier! Gracie! Helen!

Porzuciwszy pierwsze piętro, pomknęła na dół, ale po-

tknęła się o obrąbek sukni i straciła równowagę. Nie zdążyła nawet krzyknąć, gdy czyjeś ramiona pochwyciły ją i postawiły ostrożnie na podłodze.

- Nic ci się nie stało, Olivio?

- Abbercombe, nie mogę znaleźć dzieci! - Popatrzyła ze strachem w zmęczoną twarz księcia.

- Najpierw mi odpowiedz! - szepnął z ustami przy jej uchu i przytulił ją delikatnie do siebie. - Nic ci nie jest? Nie skręciłaś sobie nogi w kostce? Uderzyłaś nią o poręcz, wiesz?

- Nawet tego nie zauważyłam. Nic mi nie jest. Ale nie mogę znaleźć maluchów!

- Nie przeszukałaś jeszcze parteru, Olivio. Jeśli naprawdę nic ci nie dolega, poszukamy ich razem.

Skinęła głową i księżę wypuścił ją z objęć. Potem chwycił ją za rękę i poprowadził do „jaskini rozbójniczą”. Gdy otworzył drzwi, do uszu Olivii dotarły odgłosy jakiejś szamotaniiny. Spod szczelnie zasuniętych ciężkich kotar wygramolił się Miś i z radosnym poszczekiwaniem zaatakował buty księcia. Zaraz za nim wyplątał się z draperii Frazier i z dzikim wrzaskiem „Tata!!!” rzucił się w ramiona ojca. Kiedy Abbercombe przykucnął, by go objąć, zza starej kanapy wyskoczył F.than; Helen popchnęła od środka drzwi nieużywanej już szafy i wygramoliła się z niej; Gracie uniosła wieko paskudnie poobijanego kufra i radośnie wyskoczyła z jego wnętrza. Cały pokój rozbrzmiewał radosnym wołaniem „Tatuś! Tatuś!”, a czwórka uszczęśliwionych dzieci obiegła księcia z taką energią, że omal nie zbiła go z nóg. Wokół radosnej grupy szalał Miś, chwytając kogo popadło za buty, kostki i kolana. Olivia, na której twarzy malowała się nieopisana ulga, nic odrywała oczu od księcia całującego swe pociechy.

- Jestem ogromnie dumny z was wszystkich - powiedział cicho księżę. - Byliście bardzo dzielni i zachowaliście się dokładnie tak, jak trzeba.

- Czy to naprawdę wojna, tatusiu? - spytał Ethan. - Jeszcze nigdy nie mieliśmy wojny u siebie w domu!

- Nie mogliśmy znaleźć Robina - dodał Frazier.

- Wszyscy sobie pošli! - zapisała Gracie.



- A myśmy się pochowali! - ćwierkała Helen. - Jak wtedy, kiedy nas goił kapitan Krętacz!

- Na całym świecie nie ma sprytniejszych dzieci! - uśmiechnął się szeroko Abbercombe. - A teraz ładnie przywitajcie się z panną Olivią. Szukała was po całym domu!

Nieustraszone plemię młodych Denbighów z niepewnym uśmiechem kłaniało się dwornie lub dygało. Dzieci były jednak zbyt podekscytowane, by uczynić to z należytą godnością. Ale Olivia tym większą miała ochotę każde z nich uściskać. Lewy bucik Helen znalazł się na prawej nóżce i odwrotnie. Gracie włożyła sukienkę tyłem do przodu. Chłopcom też czegoś brakowało - to pończoch, to surduta... ale to im tylko dodawało uroku.

- Leżeliście już w łóżeczkach - spytała Olivia - kiedy zaczęły się hałasy?

- Mhm...- przytaknęła Helen, trąc piąstką oczy. - A Miś wlaź od razu pod łóżko.

- ... a ja i Gracie pobiegłamyśmy do okna, żeby wyjrzeć!

- Tatusiu! - jęknął nagle Ethan. - Jesteś cały pokrwawiony!

Olivia spojrzała na księcia. Lniany bandaż, którym oboje z Sebastianem tak mocno skrępowali jego ramię, nie zatamował krwotoku.

Abbercombe uśmiechnął się szeroko i objął synka obydwojema ramionami.

- To z tej dziurki, którą wybiły mi w ramieniu złodziejzki. Nie pamiętasz, jak wam o nich opowiadałem? Robin i ciocia Margaret znów opatrzą mi rękę i wszystko raz dwa się zagoi!

Chłopczyk skinął głową, ale się nie uśmiechnął. Olivia zauważyła, że pozostałe dzieci też spoważniały i spoglądały na ojca oczyma pełnymi niepokoju. Nic dziwnego, że rana się otworzyła! - pomyślała. Chwycił mnie na ręce, kiedy się potknęłam, a potem podnosił każde z dzieci, wyrządzając sobie coraz więcej krzywdy...

- No, bez tych pogrzebowych min, głupty! - rzucił Abbercombe. - Ani myślę umierać! Ubrudziłem się paskudnie, i tyle! A Robin pewnie znów zacznie gderać, jak myślicie?

- Pewnie! - wymamrotał Frazier, przepychając się koło Ethana, by takie znaleźć się w uścisku ojcowskich ramion. - Okropnie się nawygdera, no nie? - Wyciągnął nieśmiało rączkę i końcem palca dotknął wilgotnej krwawej plamy.

- Mam już dość widoku tych nosów spuszczonech na kwintę! - Abbercombe zerwał się i chwycił na ręce obie dziewczynki. - Najwyższa pora sprawdzić, kto śmiał urządzić sobie wojnę na naszym dziedzińcu!

## 15

Wielki salon na pierwszym piętrze Fielding House był jedynym pokojem, który zdołał pomieścić wszystkich uczestników bitwy. Książę, niosący na ręku Helen i Grace, oraz Olivia, której rąk kurczowo trzymali się Ethan i Frazier, zatrzymali się w drzwiach i popatrzyli dokoła z konsternacją.

Miś przepchał się między nogami księcia i popędził wprost do sofy, z impetem lądując na klatce piersiowej spoczywającego tam dżentelmena.

- Uff! - stęknął Brummell, gdy w wyniku zderzenia całym uszło z niego powietrze. - A niech to wszyscy diabli! - wrzasnął arbiter elegancji, zapomniawszy najwidoczniej o obecności dam. Spróbował odczepić rozbestwionego zwierzaka od swej kamizelki. W końcu dał za wygraną i opadł na wznak, rycząc ze śmiechu.

-Abbercombe! -krzyknął. -Jeśli jesteś w zasięgu moich rąk, bierz nogi za pas, bo takiego lania, jakie ci spuszczę, nie oberwałeś jeszcze nigdy w życiu!

- Z jakiej racji tak się na mnie zawzięłeś, dzieciaku? - spytał książę, przysiadając na niskim stole obok sofy i sadzając sobie Grace na jednym kolanie, a Helen na drugim.

- Gdzieś się, u diabła, podziewał, jeśli tego nie wiesz?! Z tej

racji, milordzie, żeś poszczuł na mnie tego kamizelkożemego stwora! Zabierz go natychmiast!

- Ale co panu szkodzi, że Miś pana od razu polubił? - wymamrotała zbity z tropu Helen. - Jemu bardzo się podoba pana śliczna kamizelka... A co się panu stało w nos? Krew strasznie leci, wie pan?

- A mojemu tatusiowi też krew leci, tylko z ręki! Jeszcze więcej leci! - wtrąciła Gracie z dumą, lecz dość posępnym tonem. - Ale tatuś nam obiecał, że nie umrze. Pan też nie umrze, prawda?

- Skądże znowu, młoda damo! - odparł Beau, dostrzegając niepokój na obu zwykle figlarnych buziach. - Ani mi się śni umierać. Słowo honoru!

Wszyscy troje - Abbercombe, Grace i Helen - jak na komendę odetchnęli z ulgą.

- Ile w końcu pięknych córek zamierzasz wprowadzić w wielki świat, milordzie? - spytał Brummell, jedną ręką macając nos, a drugą usiłując poskromić szczeniaka. - Dwie gwiazdy sezonu ci nie wystarczą? Założę się, że ta druga parka jest równie niezależna i urzekająca, jak pierwsza!

- Jeszcze nie, dzieciaku - uśmiechnął się Abbercombe. - Ale mają dopiero sześć lat. - Postawił córki na podłodze i odczepił Misia od kamizelki leżącego. - To jest pan Beau Brummell, moje serduszka. Chyba brał udział w wojnie na naszym dziedzińcu. Nie myślę się, mój panie?

- Nie, wasza książęca mość - potwierdził z uśmiechem Brummell. - Wystarczy na mnie spojrzeć: inwalida wojenny.

- Cicho, cicho, już dobrze... - wyszeptała Helen, gładząc rączką czoło pierwszego eleganta Anglii.

Gracie wpakowała się na sofę i obdarzyła Beau wilgotnym całuskiem.

- My cię wyleczymy, Bo... Bobo, zobaczysz!

- Pozostawiam cię w dobrych rękach - oświadczył z patosem Abbercombe. Przeszedł przez pokój i pochylił się nisko, by szepnąć coś do uszu I-thana i Frazier. Potem wyprostował się i ujął rękę Olivii. - Chyba powinniśmy spytać, w jaki sposób możemy tym ludziom pomóc. Połowy z nich w życiu nie widziałem!

Po dłuższym czasie, upewniwszy się, że nikt z kombatantów nie odniósł poważnych obrażeń oraz że Ethan i Frazier przynieśli właściwe butelki wina i sprawnie napełniają kiekliszki, ksiązę pozwolił sobie opatrzeć ramię, a następnie usadowił się wygodnie na szezlongu koło kominka. Już stamtąd wyraził swą wdzięczność sąsiadom, lordowi Merriville'owi i lordowi Baconowi, oraz ich służącym. Wszyscy oświadczyli zgodnie, że od lat nie bawili się tak dobrze... Gdy wreszcie obie armie sojusznicze, nieco posiniaczone i potłuczone, ale w znakomitych humorach, wycofały się na własne terytorium, a większość domowników udała się na zasłużony odpoczynek, pozostała nieliczna grupa zebrała się w tej części salonu, gdzie ksiązę spoczywał na szezlongu, a Brummell leżał na sofie i ani drgnął, by nie zbudzić dwóch śpiących dziewczynek, ufnie przytulonych do niego.

- A teraz - zaczął poważnym tonem ksiązę - żądam wyjaśnień. Zacznijmy od ciebie, Worth! Po kiego diabła włóczysz się po moim dziedzińcu w środku nocy?!

- Były już dwa zamachy na twoje życie, zapomniałeś? Brummell i ja postanowiliśmy schwytać każdego, kto zakradłby się tu bez pozwolenia... zupełnie jak my.

- No i kogo schwytaście?

- No, cóż... przyznaję, że nie tych, co trzeba, ale to była cholerna... o, przepraszam: godna pożałowania pomyłka. To pan Elijah Stone - dodał hrabia, wskazując głową niepozornego jegomościa, który wyróżniał się podbitym okiem i bandażem wokół głowy. - A pozostali to jego współpracownicy. Zatrudniłem ich, by cię strzegli i odkryli, kto... - Worth nie dokończył zdania, uświadomiwszy sobie, że dzieci przysłuchują się rozmowie. - Ponieważ tak się złożyło, że nie mogli przystąpić do swych obowiązków od razu, Brummell i ja postanowiliśmy pełnić wartę tej nocy.

- Nie mówiłem hrabi, że sie przyłożymy do roboty i jak się da uwiniemy z nią wcześniej? I że od razu weźniemy się za tą? - burknął pan Stone. - I tak się stało. Odwaliliśmy jedno, złapaliśmy się za drugie.

Ponure oblicze Abbercombc'a zaczęło się rozjaśniać.

- Czy mam przez to rozumieć, że przez pomyłkę wzięły się za łby dwie drużyny moich obrońców?

- Trzy, tatusiu! - wymamrotał Chris, który wraz z Damianem piastowali na kolanach Ethana, Frazier i szczeniaka, którzy spali jak susły. - My... to znaczy Daymee i ja, też mieliśmy na oku niepożądanych gości.

- Zauważyłem ich tamtej nocy, gdy zostałeś napadnięty na dziedzińcu, tato. Wtedy, gdy pan Brummell odwiózł cię swoim powozem - włączył się do rozmowy Damian. - A Ethan i Frazier w następnych dniach też widzieli, że ktoś obcy się tam kręci. Okna ich pokoju wychodzą na dziedziniec, wiesz?

- I wobec tego postanowiliśmy się dowiedzieć, co to za jedni - podjęła wątek Amy, nie chcąc, by całą winę ponosili bracia.

- Chcieliśmy się tylko dokładnie przyjrzeć tym typkom, tatusiu. Ani nam było w głowie wszczynanie bijatyki! - uzupełniła Beth. - Właśnie dlatego Amy upuściła wisiołek. Uprosiłyśmy Johna, żeby oświetlił dziedziniec latarniami powozowymi; mogłyśmy przy tej okazji sprawdzić, czy ktoś się czai w krzakach.

- Obiecały, że nas od razu zawołają, gdyby ktoś je zaatakował. Umówiliśmy się z Daymee, że będziemy rzucać kamieniami w napastników z daszku nad portykiem, żeby dziewczyny mogły uciec!

- Mieliśmy ze sobą proce - dorzucił niezbyt pewnym tonem Damian. Po wyrazie oczu ojca poznał, że wszyscy mu podpadli.

Robin, który także rozpoznał złowróżbny błysk w oku Abbercombe'a, pospieszył na ratunek młodej drużynie.

- Chłopcy zwrócili się do mnie w zaufaniu i powiadomili mnie, że naliczyli aż siedmiu intruzów. Mieli dość rozumu, żeby uznać, że sami nie obronią dziewcząt. Wziąłem więc tę małą szpadę i zająłem upatrzone stanowisko.

- Nic złego by nie wynikło - westchnęła Amy - gdyby ten pan nie podskoczył nagle, kiedy go oślepił blask latarni. John go zobaczył i kropnął do niego z pistoletu.

- Wasza książęca mość sam powiedział, że mam to mieć

zawsze pod ręką - gęsto tłumaczył się stangret. - I jak zobaczyłem nieznaną gębę, to takem się zdumiał, że toto samo mi w rękach wystrzeliło!

- A jakie! - sarknął jeden ze współpracowników Stone'a - i samo mnie trafiło w palec u nogi! Nie dziwota, że się wydarł. No i wtedy jak nie sypną się kamienie!... A tych dwóch leci na nas ze szpadami w rękę!... Jaśniepańskie zabawki, psiakrew! A ten tam wyskakuje zza węgła z jeszcze jedną, taką krótszą!

- No właśnie, Cash! - podjęła opowieść lady Vale. - A kiedy zaczęło się to zamieszanie, Dawson usłyszał hałasy i natychmiast przybiegł na ratunek dziewczętom. A pan Stanton wpadł na pomysł, by wynieść jak najwięcej świec na dziedziniec... żeby Robin, Dawson i John przypadkiem nie pozabijali się nawzajem. Próbowałam ostrzec Johna, kiedy zamachnął się na pana Brummella, bo przynajmniej jego zdołałam rozpoznać... ale obawiam się, że John mnie nie słyszał.

- Nie słyszałam, proszę jaśnie pani - zaklinał się stangret - bo jak nic bym się cfała!

- A potem przybyli nam z odsieczą Merriville i Bacon na czele służby - mruknął Worth - i sytuacja ostatecznie wymknęła się spod kontroli.

- Zdumiewające, że nie ma ofiar w ludziach - warknął książę, obrzucając zniecierpliwionym spojrzeniem starsze dzieci. - Że też w waszych głowach wylągł się równie kretyński plan! Mogliście kogoś zabić! Zostać mordercami! Sprawiliby wam przyjemność, gdyby Worth, Brummell czy pan Stone leżał teraz martwy... wyłącznie z waszej winy?!

- Dość tego! - przerwała mu Olivia, siedząca na sofie obok lady Denbigh. - Posuwasz się za daleko, Abbercombe! Twoje dzieci chciały cię obronić przed zagrożeniem. A hrabia Worth, pan Brummell i wszyscy inni zrobili to, co im dyktował własny rozum. Gdyby wydarzyło się nieszczęście, z pewnością nie ponosiłyby za to winy te dzieci!

- Moja pani! - obruszył się książę. - Lepiej nie pouczaj nas tu, kto ponosi winę, a kto nie! To przez ciebie Harcourt omal się nie pożegnał z życiem! Radzę trzymać język za zębami!

- Cash! - krzyknęła lady Jess, widząc, że przyjaciółka jest o krok od wybuchu. - To niestosowna i niezasłużona uwaga! Olivia stwierdziła tylko, że posuwasz się za daleko. Jesteś niesprawiedliwy wobec dzieci!

- Sprawiedliwy, niesprawiedliwy... jakie to ma znaczenie? - Abbercombe z trudem powstrzymywał gniew. - Tu idzie o życie!

- Właśnie! Czyż oni wszyscy nie lękali się o twoje życie? - przemówiła znów stanowczym tonem Olivia, zaciskając pięści. - Tak samo jak Harcourt, Kettering, April i ja.

- Jestem całkowicie tego świadom, moja pani! Ale dobre intencje nie usprawiedliwiają bezmyślności ani nie zmniejszają odpowiedzialności.

- W gruncie rzeczy - mruknął Brummell, nie podnosząc głosu, by nie obudzić śpiących w jego objęciach dziewczynek - ...wszystko to nasza wina - Wortha i moja. Gdyby nie my, nikt nie kręciłby się o tej porze po dziedzińcu.

- No, właśnie: zwykły zbieg okoliczności! - oświadczyła, wstając z miejsca Olivia. - Ale ośli upór nie pozwala jego księżęcej mości przyznać, że nie miał racji!

- Daj spokój, Olivio - próbowała załagodzić sprawę lady Vale, stając obok niej. - Nie rozumiesz w pełni...

- Rozumiem doskonale, że powinien na kolanach Bogu dziękować za dzieci i przyjaciół, którzy aż tak go kochają!

Abbercombe podniósł się powoli z szeszlona i stanął twarzą w twarz z Olivią. Oczy pałały mu gniewem.

- Panno Willburton-Smythe! Gdyby pani dziwnym trafem została kiedyś panią tego domu - powiedział cicho, wyraźnie powstrzymując się od wybuchu - liczono by się z pani zdaniem w każdej sprawie. Póki to jednak nie nastąpi, nie mam ani zamiaru, ani chęci wysłuchiwać pani opinii. Christian, Damian, na górę! Połóżcie swych młodszych braci do łóżka i kładźcie się sami. Amaryllis, Bethany! Zaopiekujcie się siostrami, a potem spać! Już prawie trzecia po północy - nie czas na dyskusję o czekającej was karze.

Dzieci w milczeniu spełniły rozkaz ojca.

- Jestem zupełnie wykończony, Sebastianie - burknął Abber-

combe po odejściu całej ósemki. - Bądź tak dobry, zastąp mnie w obowiązkach gospodarza. Starczy mi wrażeń na jedną noc - Skinieniem głowy pożegnał towarzystwo i opuścił pokój.

- No, tośmy się doigrali! - wymamrotał Worth. - Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby się tak wściekł!... Co on miał na myśli, panno Olivio, mówiąc że przez panią Harcort omal się nie pożegnał z życiem?

Następnego dnia po południu kapitan Giles Dunleavy z wyrazem podejrzliwości na ogorzałej twarzy wpatrywał się w milczeniu w Hempsteada. Odsunął się z krzesłem od stołu, przy którym zasiedli na samym końcu sali w oberży, i nabił tytoniem fajeczkę z morskiej pianki.

- Jak się nazywasz, chłopcze? - spytał, zapalając ją.

- Hempstead, panie kapitanie. Geoffrey Hempstead.

- I powiadasz, że „Łotr” kazał zabrać ładunek z Alderney dwudziestego ósmego?

- Tak jest.

- A nie wspomniał czasem, dokąd ten ładunek trzeba dostarczyć?

Kapitan pykał fajkę, wpatrując się podejrzliwie w Hempsteada przymrużonymi oczyma,

- Nie, panie kapitanie - odparł Geoffrey, zastanawiając się, czemu tak oczywiste pytanie samo mu się nie nasunęło. - On o tym nie wspomniał, a mnie nie przyszło do głowy o to spytać. Może sądził, że pan kapitan sam to wie?

Dunleavy założył nogę na nogę i przesunął czapkę na tył głowy.

- Kiedyś z nim gadał? Zeszłej nocy?

- Tak, panie kapitanie.

Kapitan westchnął i przez chwilę pykał w zadumie.

- Idziemy! - rzucił wreszcie rozkazującym tonem i wstał. - Wiadomość jest niekompletna. Może reszta informacji czeka na pokładzie „Sokoła”.

Razem opuścili oberżę, przeszli na drugi koniec nabrzeża i wsiedli do niewielkiej łodzi. Dunleavy wziął się do wiosel i w ten sposób dotarli do szkunera.



Hempstead czuł się diabelnie nieswojo. Nigdy dotąd nie wypływał w morze łodzią, a ta, w której siedział, wydawała mu się kruchą łupinką. Tylko patrzeć, jak napór zimnych wód kanału La Manche ją zmiażdży. Kiedy zaś stanął na kolebiącym się dnie, by sięgnąć po zwisającą z burty „Sokoła” drabinę sznurową, twarz mu pobladła, a pot wystąpił na całym ciele.

- Dalej, chłopcze! Chwyć ją mocno w garść i jazda w górę! „Sokół” nie zacznie brykać i nie strząśnie cię do tej solanki, możesz mi wierzyć!

Hempstead odpowiedział niezrozumiałym pomrukiem i całym ciężarem zawisł na drabince. Wspinaczka była trudniejsza, niż przypuszczał. Kapitan uwiązał łódź i zaczął się wspinać tuż za Geoffreyem. Przez większość drogi musiał go podtrzymywać, a na koniec przerzucił go przez reling. Ledwie buty Hempsteada dotknęły pokładu „Sokoła”, kapitan ryknął gromkim śmiechem. Młody pasażer ociekał potem, miał zawroty głowy i najwyższym wysiłkiem woli tłumił odruch wymiotny.

- Aleś pozieleniał, chłopcze! - zauważył wesolutko Dunleavy. - Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś w takim tempie dostał morskiej choroby! Powiedz mi, po co „Łotr” posyła mnie na Alderney? Tu nikt nas nie podsłucha, możesz gadać!

Hempstead jęknął i zgięty w pół wychylił się niebezpiecznie za reling. Gdy znów się wyprostował, czuł się nieco lepiej.

- Bo wynajął przemytników do przewiezienia ładunku... - Nie dokończył i wykonał następny skłon.

Dunleavy stał bez ruchu, pykał fajkę, a oczy mu się śmiały.

- Ani krzryny współczucia! - uzalił się Hempstead.

- Ani krzryny - potwierdził kapitan. - Zdaniem „Łotra” dlatego, że nigdy sam nie dostałem morskiej choroby. No, więc? Kto robi za wozaka i skąd toto zwinie?

- Słucham? - spytał Hempstead, przezornie trzymając się relingu.

- Kto podrzuci nam ładunek i skąd go wytrząśnie? Mnie możesz powiedzieć bez obawy, chłopcze. Znamy się z „Łotrem” od piętnastu lat. Tylko twoja buźka nic mi nie mówi.

- Tak, ale... Chyba z Marsylii...- jęknął Hempstead i znów wychylił się za reling. - ...Pendleton i Saukill.

- Idziemy pod pokład - burknął Dunleavy, chwytając młodzieńca za ramię spracowaną ręką. - Łykniesz sobie eliksiru „Łotra”, poleżysz trochę i mdłości ustąpią.

Kilka godzin później Hempstead obudził się w kapitańskiej kajucie i w kapitańskiej koi. Dunleavy siedział wygodnie w fotelu; na stoliku przed nim leżała mapa. Przez kilka minut Geoffrey bał się poruszyć, potem jednak stwierdził, że nie czuje nic prócz niewielkiego rauszu.

- Odespałeś swoje, co? - zagadnął go kapitan. - Nie jesteś już taki zielony; jeszcze zrobimy z ciebie marynarza! Chodź no tu i siadaj. Muszę z tobą pogadać, nim wrócimy do oberży.

Hempstead wstał i zachwiał się lekko; niebawem jednak przekonał się, że może podejść do stołu i nie ma zawrotu głowy.

- Tam do licha! Naprawdę mi pomogło! A już myślałem, że wybiła moja ostatnia godzina.

- Gdybyś powiedział, że przemytnicy odbiorą ładunek nie w Marsylii, tylko w innym miejscu, toby wybiła. Tyle że nie z racji morskiej choroby.

- To była ta brakująca część informacji? - Hempstead uniósł pytająco brwi. - Mógłbym przysiąc, że „Łotr” nie kazał mi tego panu powtarzać.

Kapitan Dunleavy przesunął ręką po szpeciniastym podbródku i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- „Łotr” dobrze wiedział, że cię o to spytam. Tylko ta jedna odpowiedź nie była podejrzana. Nie mówię „właściwa”, uważasz? Ale nie budziła podejrzeń. Gdyby jakiś facet wiedział coś niecoś o sprawach „Łotra” i musiał na chybił trafił wymienić jakiś port, nigdy by nie wymienił Marsylii. Coś mi się zdaje, że „Łotr” nie bez racji dał w łapę Pendletonowi, żeby go wyręczył. Po naszej ostatniej eskapadzie cała flota żabojadów zna „Sokoła” aż za dobrze! Masz zastąpić „Łotra” w tej akcji, co? Popłyniesz razem z nami i pomożesz przy załadunku, chłopcze? No to uważaj, zaraz ci wytłumaczę, dokąd się wybieramy!

\*

April odetchnęła z ulgą, gdy następnego dnia Amy i Beth weszły do salonu lady Denbigh. Skoro tylko lady Vale spostrzegła Olivie siedzącą obok lady Jessiki, nakłoniła wszystkie trzy panienki, by przeszły w drugi koniec pokoju.

- Muszę porozmawiać z waszymi ciotkami o czymś bardzo ważnym - oświadczyła stanowczo - a nie jest to temat odpowiedni dla tak młodych dam!

Pozbywszy się niepożądanych słuchaczek, hrabina zasiadła w fotelu między Jessicą i Olivią, przyjęła z rąk gospodyni kieliszek wina i zaczęła z podjęciem ważnego tematu, do chwili gdy panienki zajmą się sobą.

- Tak mi ulżyło, gdy was zobaczyłam, zdrowe i w dobrym humorze! - szepnęła April.

- Nic nam nie dolega. - Amy uśmiechnęła się szeroko. - Czemu się o nas niepokoiłaś?

- Zeszłej nocy wasz tatuś był taki zagniewany... bałam się, że grozi wam coś okropnego!

- Co takiego? - spytała naiwnie Beth.

- No... na przykład zamknie was w pokoju... albo nie pozwoli wychodzić z domu przez cały tydzień!

- Tego nie zrobił... ale rzeczywiście wymyślił okropną karę. Gorszy byłby tylko areszt domowy! - westchnęła Amy, poprawiając liliową kokardę we włosach. - Nie pozwolił nam rozmawiać podczas śniadania i kazał Ethanowi i Frazierowi - na przemian - czytać głośno rozważania wielebnego Smithsona o przywarach wieku młodzieńczego. A potem musieliśmy przeprosić za nasze nieodpowiedzialne zachowanie i jego skutki całą naszą służbę, a także lorda Merriville'a, lorda Bacona i wszystkich ich służących.

- Tatuś nalegał również, byśmy napisali do hrabiego Wrotha i pana Brummella, dziękując za ich dobroć i przeprasząc za to, że z powodu naszych nieprzemyślanych poczynań znaleźli się w przykrym i żenującym położeniu - uzupełniła Beth. - Ale słuchanie fragmentów tej okropnej rozprawki było chyba najgorsze!

- Nie! - Potrząsnęła głową Amy. - Najgorsze było to, że tatuś aż tak się tym zmartwił! Jeszcze dziś rano był taki zde-

nerwowany, że nie potrafił tego ukryć. Następnym razem musimy okazać więcej taktu i dyskrecji.

- Następnym razem?! - pisnęła zdumiona April. - Chyba nigdy więcej czegoś podobnego nie zrobicie!

- Nie robimy tego dla zabawy, tylko z konieczności - odparła spokojnie Beth. - Ale dość na ten temat! Musisz nam opowiedzieć, April, coście wymyślili, bo tatuś przez całe rano marudził o strasliwym ryzyku, jakie podjęliście ubiegłej nocy - ty, panna Olivia, Kettering i Harcourt. A potem przyjechał lord Sinclair z Ministerstwa Wojny i o czymś z tatuśkiem konferowali.

W przeciwległym końcu salonu lady Vale bezwiednie znęcała się nad swą batystową chusteczką. Olivia spostrzegła, że stara dama drży, a jej zazwyczaj bystre ciemne oczy są zamglone.

- To nie było... niewybaczalne - mówiła szeptem hrabina. - Wiem, że twoim zdaniem, Olivio, nie można mu tego wybaczyć, i właśnie dlatego chcę ci wyjaśnić sprawę. Dzieci to rozumieją i nic mają do niego pretensji. Ty również musisz mu wybaczyć! On wcale nie chciał tak zareagować na twoje...

- Na moje wścibstwo? Wtrącanie się w jego sprawę? - spytała z oburzeniem Olivia. - „Gdybym dziwnym trafem została kiedyś panią jego domu"! Cóż za bezczelność!

Hrabina Vale westchnęła.

- Nie, nie pozwolę, by znów się tak unieszczęśliwił! Do diabła z obietnicą, którą złożyłam Wyndhamowi sto lat temu! - Na widok zdumionych twarzy Jessiki i Olivii oczy starej damy rozbłysły. - Tego, co wam teraz powiem, nie możecie nikomu powtórzyć. Nawet Sebastianowi, Jessico! Muszę mieć na to wasze słowo.

Obie młode kobiety natychmiast uroczyście przyrzekły zachować milczenie.

- Doskonale. A teraz słuchajcie bardzo uważnie, bo nigdy już nie wrócimy do tego tematu. - Hrabina wyprostowała się w fotelu i spojrzała na swe rozmówczynie. - Czy któraś z was wie, za co Rudolph został skazany na deportację?

- Za to, że kogoś zabił - odparła Olivia jak najciszej, boleśnie świadoma tego, że córki księcia znajdują się w tym samym pokoju.

- Cash nikogo nie zabił. Został oskarżony o zamordowanie Channinga Ketteringa, który byłby obecnie hrabią Stamfordem, gdyby żył do dziś. Ale Cash nie popełnił tej zbrodni.

On kochał Channinga. Przyjaźnili się od lat. Ale stało się coś okropnego - westchnęła lady Vale. - Cash nigdy nie był wzorem szacowności i lubił igrać z ogniem. Zbyt często włączył się po podejrzanych dzielnicach; upodobał sobie Seven Dials. Pewnego razu tamtejsza „elita” namówiła go, by skosztował opium. Skosztował i uznał to za interesujące doświadczenie. Nieco później dał narkotyk do spróbowania Channingowi. Na niego opium podziałało o wiele mocniej i od tej pory nie mógł się bez tej trucizny obejść. Wiecznie się o to straszliwie kłócili z Cashem. Kiedyś Rudolph przywiózł Channinga do naszego domu w Somerset i we dwóch z moim mężem zdołali odciągnąć tego nieszczęśnika na dwa miesiące od opium. Ale po powrocie do Londynu natychmiast wrócił do nałogu.

W końcu do Casha dotarła wieść, że Channing porwał córkę ich znajomych, pannę Wentworth. Rudolph pognał za uciekinierami i odnalazł ich w nędznej izbie na tyłach jakiegoś podejznanego zajazdu. Biedna dziewczyna była roztrzęsiona. Channing, zaprawiwszy się opium, usiłował ją zgwałcić. Cash oczywiście wystąpił w jej obronie. Rozgorzała walka. W pewnej chwili Channing wpadł w szal i zaczął tłuc głową Casha o podłogę. Lała się krew. Biedna dziewczyna, bojąc się o życie swego obrońcy, walnęła Channinga w głowę mosiężnym świecznikiem. Rana okazała się śmiertelna. W ostatnich chwilach życia Channing nieco oprzytomniał i błagał Casha, by zachował w tajemnicy jego odrażający sekret. Zaklinał, by jego rodzina nie dowiedziała się o nałogu ani o niecznych zamiarach względem panny Wentworth. Rudolph dał umierającemu słowo i spełnił jego ostatnie życzenie. Zdołał jakoś wyprowadzić biedną dziewczynę z podejrzanej gospody i odwiózł ją do rodzinnego domu.

Po powrocie do Londynu został aresztowany, zakuty

w kajdany i wtrącony do Newgate. Tylko jego chrzestnemu ojcu, lordowi Wyndhamowi, zezwolono na widzenie przed rozprawą sądową. Rozmawiał z nim też na własne życzenie król Jerzy. Obaj przysięgli, że dotrzymają tajemnicy, i obu Rudolph wyjawiał całą prawdę. Nie mogli jednak wykorzystać tych wiadomości w trakcie procesu. Związani byli przysięgą, a poza tym Cash absolutnie sobie tego nie życzył.

- Ale przecież panna Wentworth mogła zeznawać na procesie! - oburzyła się Olivia. - Chyba nie była całkiem pozbawiona ludzkich uczuć!

- Jej ojciec przybył do Londynu na proces; przypuszczalnie córka powiedziała mu, co się wydarzyło - westchnęła lady Vale. - Ale Cash nie wyraził zgody na to, by on czy ktokolwiek inny świadczył na jego korzyść. Twierdził, że tylko on ponosi winę za śmierć Channinga i że niegodziwością byłoby ciągnięcie po sądach niewinnej dziewczyny. A zresztą przysiągł Channingowi, że dotrzyma tajemnicy; jak mógłby się bronić, nie łamiąc danego słowa?

- Musiał być przecież jakiś sposób, jakiś ratunek... - nie ustępowała Olivia.

- Nie było żadnego ratunku. Cash zawisłby na szubienicy w Tyburn, gdyby nie był pierworodnym synem księcia i spadkobiercą tytułu. A prawda jest taka, moje drogie, że Rudolph uważał się za winowajcę, gdyż podsunął narkotyk Channingowi i nie zdołał wyrwać go z uzależnienia. Ponadto wdał się w bijatykę z niepoczytalnym przyjacielem, zamiast w jakiś inny sposób ocalić pannę Wenrworth. - Lady Vale wpatrywała się w swą poszarpaną chusteczkę. W milczeniu potrząsnęła głową i podniosła oczy na Jess i Olivię. - Kiedy zeszłej nocy dowiedział się o zaplanowanej przez jego dzieci kampanii i o działaniach, które całkowicie wymknęły się spod kontroli, z pewnością znów nawiedziło go wspomnienie tamtej tragedii. Ogarnęła go trwoga, że któreś z jego dzieci mogło - jak on - poczuć się odpowiedzialne za śmierć bliskiej osoby i cierpieć tak, jak on cierpiał. Aż do dziś Rudolph nie potrafi spojrzeć trzeźwo na tamtą tragedię. Dostrzega jedynie własną winę. Nie przyjmuje do wiadomości winy Channinga.

-I nikt nie zna prawdy? - spytała Olivia. - Nikt oprócz pani, hrabino, i lorda Wyndhama?

-I króla. „Jerzy Hreczkosiej” nie był jeszcze obłąkany i niezmiernie lubił Casha. To właśnie król wymyślił coś, co dodało ducha nieszczęśnikowi skazanemu na deportację. Uczynił Casha „specjalnym agentem Korony”.

- Królewskim szpiegiem? - wykrztusiła Olivia.

- Pełni tę funkcję od dwudziestu lat z górą. Pamiętacie chyba, że dałyście słowo? Nikt się o tym nie może dowiedzieć!

- Oczywiście, że nikomu nie powiemy! - wykrzyknęła lady Jess. - Ale przecież ktoś musiał wspomnieć o rym jego ojcu... a przynajmniej Celi!

- Wtedy nic - odparła stara hrabina z posępnym grymasem ust. - Worth domyślał się prawdy. I mam wrażenie, że po kilku latach Cash zwierzył się Celi. Z własnej woli podzieliła jego los. Nikt z tych, co ją znali, nie mógł w to uwierzyć. A jednak stała wiernie u jego boku podczas procesu, a gdy skazano go na deportację, udała się w ślad za nim pierwszym statkiem, który płynął w tamte strony. Czy teraz rozumiecie, dlaczego tak nim wstrząsnęły wydarzenia ostatniej nocy? Czemu był taki przerażony?

Obie młode damy skinęły głowami. Olivia zerwała się na równe nogi i zaczęła krążyć po pokoju.

- Czemu opowiedziałaś nam o tym, hrabino? - spytała starą damę, wróciwszy na poprzednie miejsce. -Jeśli od tak dawna utrzymywaliście sprawę w najściślejszej tajemnicy, nawet przed ojcem, bratem i najbliższymi przyjaciółmi skazańca, czemu wyjawiałaś to dziś właśnie nam, hrabino?

Stara dama wpatrywała się z ogromnym napięciem w twarz Olivii.

-Już w chwili przyjścia na świat Rudolph stracił matkę, a wraz z nią miłość ojca. Potem pozbawiono go brata, domu i ojczyzny. Nie mogłam znieść myśli, że straci również ciebie, moja droga. Pomyślałam, że jeśli choć częściowo go zrozumiesz, zdołasz mu wybaczyć.

- Jest w tobie bardzo zakochany - poparła ją lady Jess. - Podejrzewałam to od dobrych kilku tygodni.

- Zakochany? On miałby być we mnie zakochany?! Czyście poszalały? - spytała Olivia chrapliwym szeptem, wspominając równocześnie zalany księżycowym blaskiem balkon i usta księcia, które w namiętym pocałunku przyłgnęły do jej ust. Zapragnęła nagle, żeby to była prawda, by rzeczywiście ją kochał. - Jestem w stanie zrozumieć jego postawę wobec dzieci i wybaczyć mu nadmierną surowość... Ale to pogardliwe „moja pani!” i kategoryczny zakaz wtrącania się w jego sprawy?! Można sobie rozmaicie tłumaczyć podobne wybryki... ale z pewnością nikt nie uzna ich za dowody miłości!

- Rudolphem zawsze miotają sprzeczne uczucia w stosunku do ludzi, na których mu najbardziej zależy! Jest to wyjątkowo irytujące, ale im bardziej mu brak pewności siebie, tym bardziej staje się uparty i nieustępliwy. Nie miałam pojęcia, jak wysoko ceni cię, Olivio, i jak liczy się z twoim zdaniem, póki nic ofuknął cię grubiańsko, byś zatrzymała swe opinie dla siebie. Postaraj się mu wybaczyć, moja droga! Zapewniam cię, że w tej chwili Cash zadręcza się tym, co ci napłócił!

- Postaram się, lady Vale - wymamrotała Olivia. - Choć, słowo daję, nigdy nie zrozumieję tego dziwaka!

- Z tatusiem trudno nieraz wytrzymać - przyznała Amaryllyis. - To najlepszy, najłagodniejszy człowiek pod słońcem, ale kiedy jest w takim nastroju jak zeszłej nocy, ani rusz nie można go ugłaskać!

- Tak, bywa czasem wyjątkowo uparty! - westchnęła Beth. - Twoja ciocia miała całkowitą rację!

- Och! - April aż się zatchnęła. - Myślałam, że spalę się ze wstydu, gdy mówiła o jego „oślim uporze”!

- Mamusia powiedziałyby słowo w słowo to samo - zapewniła ją Beth. - W każdym razie wtedy, gdyby upierał się na inny temat... nic w związku z odpowiedzialnością za czyjąś śmierć...W tej sprawie nawet ona nie odważyłaby się z nim dyskutować. Znacznie lepiej było wtedy zamilknąć i wyjść, jak tylko skończył. Tatus po prostu nie potrafi myśleć logicznie, kiedy ktoś czy coś przypomni mu o tamtym...

- O czym?



- O śmierci Channinga Ketteringa - szepnęła Beth, spoglądając niespokojnie w drugi koniec pokoju. - Dlatego właśnie tak się rozsierdził wczoraj w nocy! Przypomniało mu się, rozumiesz, bo Channing Kettering także zginął podczas bitki, tylko nie takiej wielkiej jak ta nasza!

- Ilekroć mu się to przypomni, robi sobie straszne wyrzuty - potwierdziła Amy. - I właśnie dlatego tak się na nas wściekał. Szkoda, że nie zaczekał, aż goście się rozejdą. Tak mi go było żal!... Dobrze wiedział, że się zagalopował, ale nie mógł się już pohamować. To okropne: czuć wstręt do siebie... i kompletną bezsilność...

## 16

Worth rozsiadł się bezceremonialnie w jednym z foteli z wysokim oparciem w gabinecie Abbercombe'a.

- Wolno spytać, Cash - wycedził - jak zamierzasz wykorzystać ten bibelocik?

- A bo co? - wymamrotał książę, przemierzając pokój w tę i z powrotem i przerzucając z ręki do ręki porcelanową pasterkę.

- Bo gdybyś miał ochotę walnąć nią o ścianę czy w coś innego, wolałbym znajdować się poza zasięgiem odłamków.

- Bez obawy, Worth! Nie zamierzam rzucać nią w ciebie.

- Lepiej jednak usiądź - poradził hrabia. - Dobrze ci to zrobi po ostatniej nocy.

- Nie wspominaj ostatniej nocy! - warknął książę. - We własnym dobrze pojętym interesie.

Worth wzruszył ramionami.

- Starłeś dzieciaki na proch? Pytam, bo odkąd tu wszedłem, nikt się na mnie nie rzucił... nawet ten cholerny szczeniak. A do tych drzwi od godziny nikt się nie dobija.

- Amy i Beth pojechały z ciotką Margaret do Sebastianów.

Reszta doszła widać do wniosku, że lepiej mnie omijać. Mam wrażenie, że stałem się obiektem ich litości. - Abbercombe odstawił figurkę z powrotem na gzyms kominka. - W życiu nie widziałem takiego paskudztwa! A ty, Edwardzie?

- No, może lekka przesada. Powiedzmy: najbrzydsza porcelanowa pasterka, i tyle. Sam ją wybrałeś?

- Nie tylko ja miewam czasem słabość do jakiegoś brzydactwa! To była figurka Celii. Kupiła ją w Bostonie zaraz po wylądowaniu. Dziarsko zeszła po trapie, dała mi całusa i pu-  
dło od kapeluszy do potrzymania, powiedziała, że wyglądam jak ostatni kmiotek, a potem weszła do pierwszego z brze-  
gu sklepu i wyłoniła się z tym oto potworkiem. I od tej po-  
ry nigdy się z nim nie rozstawała. To draństwo jest nieznisz-  
czalne: nie pęka, nie obtłukuje się, nawet się nigdy nie zawie-  
ruszyło, psiakrew!

- Przed chwilą niewiele brakowało, a byłoby po nim.

- Jak myślisz, czy Olivia raz na zawsze zraziła się do mnie?  
Worth roześmiał się.

- Siądziże wreszcie, matołku! Dość mam już tego spoglądania w górę; kark mi zeszywniał.

Abbercombe opadł na fotel, omal nie urażając się w prze-  
bite ramię, unieruchomione na kolejnym temblaku produk-  
cji Fanninga.

- No więc, zraziła się czy nie? Jak myślisz?

- Biorąc pod uwagę wszystko, coś mi powiedział na jej te-  
mat, przypuszczam, że jedna dawka twego oślego uporu nie  
zdoła jej całkiem do ciebie zrazić. Moim zdaniem ta dama  
jest w łobie zakochana... a zakochane niewiasty potrafią wie-  
le wybaczyć. Co z LeBruinem? Czy jest odpowiedzialny za  
te dwa poprzednie zamachy na ciebie?

Księżę zaczął bębnić palcami o poręcz fotela i westchnął.

- Niech to diabli, Edwardzie! Jakoś nie mogę w to uwierzyć.  
Obaj usiłowaliśmy znaleźć kapitana Willburton-Smythe'a,  
więc w interesie LeBruina leżało, bym żył i odwalał za niego  
ciężką robotę. Dopiero gdy był przekonany, że wykryłem miej-  
sce pobytu kapitana i mam to czarno na białym, uznał, iż nie  
będę mu dłużej potrzebny.

Worth uniósł pytająco brwi.

- A zatem snajper na tyłach oranżerii nie był na garnuszku u LeBruina?

- Podejrzewam, że ktoś podsłuchiwał rozmowę Olivii z LeBruinem i spodziewał się, że zastanie mnie w oranżerii... dojrzałego, że tak powiem, do zgładzenia. A propos: czy dzielna brygada Stone'a zagnieździła się na dobre w Fielding House? Personel powiększył się o lokaja wagi ciężkiej, niezwykle drobnej budowy stajennego, którego Gracie uznała za krasnoludka, i rzekomo zastępującą pokojówkę Beth młodą niewiastę z rączkami dusiciela i buzią do kompletu. Nie wątpię, że to przemili ludzie, ale czy muszą łązić za mną krok w krok?!

- Byli pewni, że ich nie zauważysz - zaśmiał się hrabia.

- Ja miałbym ich nie zauważyć?! Nawet ślepy by zauważył!

- Elijah Stone zna się na swoim fachu jak mało kto. Z pewnością wykryje, kto do ciebie strzelał. Ale póki to nie nastąpi, musisz uzbroić się w cierpliwość, Cash, i pogodzić z obecnością ochrony. Pomyśl, że dzięki temu dzieci będą bezpieczne.

- No, cóż... jakoś to wytrzymam. Ale jeśli będą mi wечно wchodzić w drogę, wyrzucę ich na zbity łeb. Uprzedzam cię, Edwardzie!... No, powiedz... naprawdę myślisz, że Olivia mnie kocha...?

Olivia wróciła z wizyty u Denbighów niezwykle wzburzona. W drodze powrotnej dzieliły się z bratanicą zasłyszczanymi nowinkami. April skłonna była wybaczyć księciu wczorajszy wybuch... ale w końcu to nie ją obrał sobie za cel zjadliwych docinków! Do Olivii nikt przedtem nie ośmielił się przemówić takim tonem. Abbercombe zaś, jak wynikało z jego wypowiedzi, uważał ją za nieznośną, wścibską babę. Nie potrzebował jej pomocy. Lekceważył jej rady. Czyż nie powiedział jej tego wyraźnie już podczas pierwszego spotkania w muzeum? A teraz powtórzył. Z naciskiem!

Olivia zasiadła w salonie z robótką. Lady Vale łatwo mówić, że wybuch księcia i jego zjadliwe uwagi są następstwem dawniejszych (rzeczywiście strasznych!) przeżyć; a jego dzieci przywykły do takich incydentów... Ale dlaczego wybrał so-

bie za cel kąśliwych docinków właśnie ją, Olivię...? To jasne: po prostu nie mógł jej znieść! Czy tylko ona ujęła się za dziećmi? Skądże znowu! Fanning wystąpił w ich obronie, Brummell również... ale im uszło na sucho. Było w niej widać coś odrażającego - myślała, czując wzbierające łyzy. Coś, co wprawiało go we wściekłość!

Ze złością dziabnęła igłą rozpięte na tamborku cieniutkie płótno. A w dodatku ta idiotyczna uwaga Jess, że Abbercombe jest zakochany. Śmiechu warte! Jeszcze nigdy nie zakochał się w niej żaden mężczyzna.

- I wcale sobie tego nie życzę! - burczała, usiłując haftować. - A już z pewnością nie chcę umizgów tego upartego, pomyłonego, niewdzięcznego i w ogóle okropnego księcia!

Drzwi się uchyliły i do salonu zajrzała April.

- Lord Redvers czeka już na dole - oznajmiła z uśmiechem. - Pamiętasz chyba, ciociu, że mamy we czwórkę, z panną Canning i panem Angesem, zwiedzić wzorowe gospodarstwo mleczne w Green Park?

- Pamiętam, pamiętam. Jedź, kochanie, i baw się dobrze! Pani Searle, która nim zawiaduje, to ciotka pana Brummella. Wygląda uroczo w stroju mleczarki i jest ujmująco grzeczna. Trudno się dziwić, że nasz biedny król tak ją zawsze lubił!

Wzmianka o królu znów skierowała myśli Olivii na poprzedni tor. Abbercombe takie był ulubieńcem króla Jerzego. Dobrali się jak w korcu maku - myślała gorzko, wbijając igłę w płócienko - dwaj obłąkańcy!... Ale na wspomnienie księcia obejmującego ją ramieniem i namiętnie przyciskającego usta do jej ust poczuła napływającą do oka następną łzę. Och! Że też była taka głupia i oddała mu pocałunek!... Ktoś taki jak on - koronny szpieg - z pewnością miał na sumieniu mnóstwo niecnie zwiedzionych kobiet!... Teraz zresztą - mówiła sobie w duchu - to już stary dziad, wdowiec z ósmiorgiem dzieci. Czy światowa dama mogła w kimś takim znaleźć upodobanie? O, jest jeszcze dość przystojny na swój sposób, ale ma czterdzieści pięć lat. Niebawem pojawi się mnóstwo zmarszczek i rozmiękczenie mózgu!

Olivia opuściła tamborek na kolana. Co się z nią dzieje?!

Nigdy dotąd się nie okłamywała! Nawet wtedy, gdy stało się jasne, że jej marzenia nigdy się nie spełnią, że nie czeka jej małżeństwo, własny dom i dzieci, nie pocieszała się kłamstwami. Spojrzała prawdzie w twarz, pogodziła się z nią i wiodła dalej użyteczne życie, silnie związana z bratem i bratanicą. A teraz ni z tego, ni z owego próbuje siebie okłamać, tylko dlatego że... Dlatego że tak bardzo kocha Abbercombe'a - za jego niemądry uśmiech, za niesamowite oczy, za serce pełne odwagi, szlachetności i miłości... Każdy mógł dostrzec w nim te wszystkie przymioty! Wystarczyło przyjrzeć się uważnie!...

- No, dobrze - powiedziała sobie, pociągając nosem i wycierając grzbietem ręki zażawione oczy. - Zakochałam się w nim. Ale on mnie nie kocha, więc muszę wybić go sobie czym prędzej z głowy, i tyle!

Z posępnym uśmiechem odłożyła robótkę i udała się do biblioteki po jakąś książkę, przy której zapomni o Abbercombe. Zdecydowała się na *Zamek Rackrent* i tak się zagłębiła w lekturze, iż nawet nie zauważyła, że się ściemnia, póki nie zjawił się majordomus.

- O co chodzi, Laslow?

- Na dole czeka posłaniec od hrabiego Stamforda. Powiada, że ma list do jaśnie pani i odda go tylko do rąk własnych. Czy mam go tu przysłać?

- Zejdę do niego. Dziękuję. - Zaznaczyła miejsce w książce kawałkiem srebrzystej wstążki i skinęła na służącego, który przyszedł zapalić świece i rozniecić ogień w kominku.

- Nie wiesz przypadkiem, Donaldzie, która godzina?

- Siódma, proszę jaśnie pani.

- Już siódma? Wielkie nieba!

Z wdziękiem zeszła na parter i w niewielkim przedsiionku ujrzała lokaja w szkarlatno-czarnej liberii Stamfordów. Podał jej z ukłonem złożoną kartkę papieru. Olivie zdziwiło, że liścik nie był ani zaadresowany, ani zapieczętowany. Pospiesznie zapoznała się z jego treścią. Kiedy znów spojrzała na lokaja, była bardzo blada.

- Ta wiadomość pochodzi od samego hrabiego Stamforda?

- Tak jest, wielmożna pani. A jego powóz już czeka, by zawieźć panią do Stamford House.

- Wobec tego zaczekaj przy powozie. Zaraz będę gotowa. - Powiedziawszy to, Olivia wbiegła do hallu. - I, aslow, mój płaszcz! Panna April miała wypadek. Lord Stamford był tak dobry, że zabrał ją do swego domu. Nie mam pojęcia, kiedy wrócę.

- Tak jest, jaśnie pani - odparł majordomus. - Czy mam zawiadomić stangreta, by zaprzęgał?

- Nie, nie! Powóz hrabiego Stamforda już na mnie czeka. Prześlę ci wiadomość, jak tylko dowiem się o stanie zdrowia mojego biedactwa. Może lepiej od razu wezwać doktora Howarda...?

- Kiedy będzie trzeba, wyślę po niego Donalda, a teraz niech jaśnie pani już jedzie! - odrzekł Laslow.

Odprowadził Olivię do powozu i pomógł przy wsiadaniu. Z przykrym zdziwieniem rozpoznał w stangrecie niejakiego Clive'a Peesby'ego, który niegdyś należał do służby Willburton-Smythe'ów i którego osobiście zwolnił przed trzema laty. Z pewnym przymusem skinał mu teraz głową i spoglądał za powozem, który wyjechał na ulicę.

Olivia nie mogła usiedzieć spokojnie. Ze zwałistym stangretem na wysokim koźle i lokajem z tyłu powóz powinien pędzić... a tymczasem ciągle się zatrzymywał i z trudem torował sobie drogę na zatłoczonych ulicach. Utknęli na dłużej aż trzy razy, nim dotarli do rezydencji Stamfordów przy Green Street. Lokaj opuścił schodki i pomógł Olivii wysiąść. W szeroko otwartych drzwiach stał majordomus hrabiego. Olivia ze strachem podbiegła ku niemu po schodach.

- Gdzie moja bratanica? Czy jest ciężko ranna? Wezwaliście już lekarza?

- Pani będzie łaskawa za mną - wymamrotał majordomus i ruszył przodem - najpierw schodami na górę, a następnie korytarzem pierwszego piętra. Z ostentacją otworzył podwójne drzwi i zaanonsował: - Panna Willburton-Smythe, panie hrabio.

Olivia spiesznie weszła do jasno oświetlonego pokoju, a podwójne drzwi zamknęły się za nią.

\*

Ktoś zastukał do drzwi frontowych rezydencji przy Park Street. Lasiow otworzył i ujrzał ze zdumieniem April, która żegnała się właśnie z lordem Redversem.

- Panna... April...? Nic się panience nie stało...?

- Skądże znowu! Tylko trochę zamarudziliśmy w Green Park. Czy ciocia Olivia była bardzo niespokojna? Czemu tak się we mnie wpatrujesz, Lasiow? Czy ciocia Olivia jest w salonie?

- Nie, proszę panienki. Jaśnie pani nie ma w domu. Musiała iść z wizytą do hrabiego Stamforda.

- Ależ ciocia prawie go nie zna! Z jakiej racji te nagłe odwiedziny?

- Doprawdy nie wiem, panienko - odparł bezbarwnym głosem służący.

- W takim razie idę na górę i przebiorę się do obiadu, żeby nie musiała na mnie ani chwili czekać. Zawiadomisz mnie od razu, gdy tylko wróci?

- Oczywiście, panno April - przytaknął Laslow.

Olivia spoglądała na hrabiego zbity z tropu. Nigdy dotąd nie przyjrzała mu się uważnie i teraz była zaszokowana jego wyglądem. Brązowe włosy, siwiejące na skroniach, były - wbrew obowiązującej modzie - długie i związane na karku czarną aksamitką. Czerwona twarz robiła wrażenie opuchniętej, choć skóra opadała w luźnych fałdach. Zmarszczki i bruzdy oraz ciemne obwódki wokół oczu - ślady hulanki i rozpusty - szpeciły Stamforda jeszcze bardziej. A oczy hrabiego, gdy wreszcie zwrócił je na Olivie, świeciły zimnym blaskiem.

- Nie możesz mnie zatrzymywać wbrew mej woli, hrabio!

- Zapewniam cię, że mogę, moja droga. I mam taki zamiar. Spójrz tylko - mówił niemal szeptem, wskazując stół zastawiony do intymnej kolacyjki we dwoje. - Urządzimy sobie niewielkie, lecz wystawne przyjęcie i wypijemy zdrowie jego szatańskiej mości, a gdy ucztą dobiegnie końca, przygotowujemy się na spotkanie naszego starego przyjaciela, wcielonego czarta. Jego przybycie z pewnością cię uraduje!

Olivia odwróciła się tyłem do mówiącego i wielkimi krokami ruszyła w stronę drzwi. Były nadal zamknięte. Waliła w nie pięściami, aż ręce ją rozboleły, ale służba hrabiego była głucha na te hałasy.

- Jesteś szalony, hrabio! - wykrzyknęła, odwracając się nagle do Stamforda. - Nie pojmuję wszystkich tych bredni o diabłach! Czyżbyś chciał zaprzedać duszę, hrabio, że tak cieszysz się na wizytę tego jegomościa? Ciekawe, czemu - twoim zdaniem - jego przybycie miałoby mnie uradować! Tak czy owak, postradałeś zmysły, hrabio, i potrzebna ci natychmiastowa pomoc. Aż dziw, że nikt dotąd nic zatroszczył się o to!

- Siadaj! - ryknął Stamford, podnosząc się zza stołu.

Olivia mogła teraz ujrzeć jego postać. Stwierdziła z najwyższą odrazą, że ze wzdętym brzuszyskiem i patykowatymi kończynami przypomina gigantycznego pająka.

- Usiądę, kiedy zechcę - syknęła. - Nie jestem twoją niewolnicą, hrabio!

- Wiem, wiem - odparł szyderczym tonem Stamford. - Jesteś jego niewolnicą! Mimo to zniewolę cię, a on będzie musiał na to patrzeć, zanim umrze!

Jadowity ton jego głosu sprawił, że Olivia mimo woli się wzdrygnęła. Nie była jednak naiwną panienczką z prowincji, którą można zastraszyć ohydnyimi insynuacjami i groźbami bez pokrycia.

- Nie ulega wątpliwości, że mam do czynienia z żalosnym obłąkancem. Co za głupota zastawiać wymyślną pułapkę na pospolitą mysz, taką jak ja!

- Ty, moja droga, jesteś tylko przynętą - wycodził Stamford.

- Nie rozumiem ani słowa z tych bredni! - odparła porywczo Olivia i tupnęła energicznie nogą. - Kogóż to chcesz złapać, hrabio, na tak marną przynętę?

Stamford roześmiał się i zaczął dłubać paznokciem w zębach.

- Abbercombe'a - odparł szeptem, kończąc odrażający zabieg. - Abbercombe'a, moja droga! Diabeł, twój pan, zjawi



się po swoją własność. Jestem pewien, że tu trafi: zostawiłem bardzo wyraźny trop!

Była już prawie dziewiąta, gdy Abbercombe zakończył (ku żalowi zafascynowanego audytorium) opowieść o skandalicznym wybryku kapitana Krętacza i przy pomocy Arnaryllis i Bethany położył czwórkę najmłodszych pociech do łóżka. Gracie rozchichotała się, gdy ojciec całował ją na dobranoc, i poklepując go po policzku, obwieściła całemu światu, że tata kłuje jak jeź. Z kolei Helen zarzuciła mu rączki na szyję i szepnęła do ucha, że jest najlepszym ze wszystkich tatusiów na świecie, choćby miał drapiącą brodę.

Ethan i Frazier z nieodłącznym Misiem wpadli do swego pokoju i rzucili się na łóżko.

- Wolnego, moi panowie! - wycedził Abbercombe, wchodząc za nimi. - Pozwolę sobie zauważyć, że jeden z was powinien leżeć POD łóżkiem!

Zanosząc się od śmiechu, Frazier wylazł spod kołdry i wczołgał się pod wielkie łożę z baldachimem.

- Nie ty, łobuzie! - roześmiał się książę. - Miałem na myśli szczeniaka, doskonale o tym wiesz!

Rozchichotane Amy i Beth wyciągnęły Frazierą spod łóżka i spędziły rozbestwionego Misia z kołdry.

- Teraz już lepiej - stwierdził z szerokim uśmiechem Abbercombe. - Nie wiem czemu, jakoś mi niesporo idzie całowanie Misia na dobranoc!

- Będziesz spał spokojnie, tatusiu? - spytał Ethan, gdy Beth zdmuchnęła świeczkę.

- Jak niemowlę - zapewnił go ojciec, zmierzając do drzwi. - I wszyscy pod tym dachem również!

- Wasza książęca mość - odezwał się majordom, gdy tylko książę wyszedł na korytarz.

- Ktoś chce koniecznie pomówić z waszą książęcą mością. Czeka w salonie od frontu.

- Któż to taki? - spytał Abbercombe, zmierzając ze służącym w kierunku schodów. - I skąd ta ponura mina, Anthony?

- Mam wrażenie, wasza książęca mość, że szykują się kłopoty. To Laslow, majordomus panny Willburton-Smythe.

Zeszli na parter i książę pospieszył do salonu. Zastał w nim majordoma Olivii, który zaciskał założone do tyłu ręce i wpatrywał się w ogień.

- To ty, Laslow? Jakież kłopoty?

- Wasza książęca mość...

Lokaj odwrócił się i Abbercombe zauważył, że jego surowa twarz dziwnie się postarzała od ostatniego spotkania. Książę podszedł do kredensu i nalał brandy do trzech kieliszków.

- Nie masz nic przeciwko temu, Laslow, by Anthony dotrzymał nam towarzystwa?

- Skądże znowu, wasza książęca mość! - zapewnił majordomus. - Dziękuję, wasza książęca mość - dodał, przyjmując kieliszek brandy.

- Siadajże, człowieku, i gadaj, o co chodzi. Czyżby panna April znowu...? Nie, Hempsteada nie ma w Londynie.

Laslow pociągnął tęgi łyk złocistego trunku i spojrzał znad kieliszka prosto w oczy księcia.

- Może to nic ważnego, wasza książęca mość... ale wydaje mi się bardzo dziwne... A pannie April wolałem nic nie mówić, bo myślałem... myślałem...

- Lepiej zacznij od początku, Victorze - doradził mu szepcetem Dawson.

- No, tak... Spróbuję. - Z wyrazem posępnej determinacji, nie opuszczając najdrobniejszego szczegółu (włącznie z nieoczekiwanym pojawieniem się Peesby'ego na kozle hrabiowskiego powozu), Laslow zrelacjonował przebieg wydarzeń. W jego głosie słychać było napięcie. - A choć nie chciałem niepokoić panny April, wasza książęca mość - zakończył - obawiam się, czy nie stało się coś złego, bo panna Olivia ani nie wróciła, ani nie przesłała żadnej wiadomości.

- Gdzie jest teraz panna April? - spytał opanowanym głosem Abbercombe.

- W domu, wasza książęca mość.

- A ty jak tu dotarłeś, Laslow?

- Na piechotę, wasza książęca mość.

- Dawson - rzekł książę, odchylając się na oparcie fotela i zakładając nogę na nogę z taką swobodą, jakby przyniesione przez Lasłowa wieści wcale go nie obeszły. - Każ Johnowi zaprzęgać i niech powóz zaraz podjedzie, dobrze? Obaj z Lasłowem pojedziecie po pannę April i jej pokojówkę. Spędzą noc razem z nami w Fielding House. Poproszę panią Griffin, by przygotowała dla nich pokoje. Będzie chyba lepiej, Lasłowie, jeśli zostaniesz przy Park Street. Być może nic się nie stało i panna Olivia niebawem wróci do domu.

- Wasza książęca mość myśli, że to możliwe?

- A ty myślisz, że nie, Lasłowie?

- Sam już nie wiem, co o tym myśleć... Chyba nic jej nie grozi u lorda Stamforda... a jestem absolutnie pewien, że wsiadła do jego powozu.

- Wobec tego zapewne zaszła jakaś pomyłka, a pannę Oliwię coś zatrzymało w drodze powrotnej. Ale na wszelki wypadek zbadam sprawę.

Nie minęło nawet pół minuty, od chwili gdy dwóch majordomów odjechało, a Abbercombe krążył już niecierpliwie po stajni, czekając, aż Jemmy osiodła Dokata.

- Ale, za przeproszeniem księcia pana - protestował chłopiec stajenny - jak można się brać za konne jazdę z łapą na temblaku?!

- Racja, Jemmy! - Abbercombe pozbył się arcydzieła Fanninga. - A tak między nami: gdzie się, u diabła, podział krasnoludek?!

- Jak to gdzie? Wsuwa kolacje, jak raz na to pora. O wiecie księciu panu potrzebny, zaraz go tu ściągnę za łeb!

- Nie, nie, Jemmy. Ale jeśli chcesz, możesz zabrać to cholerstwo i oddać Fanningowi z ukłonami ode mnie.

- Co takiego? Ja miałbym chodzić na pokoje? I wdawać się w parle-franse z tern aligantem, co dyktuje księciu panu, w jakie portki wskoczyć?!

- A żebyś wiedział, Jemmy! - warknął Abbercombe i spojrział na niego zezem, co ogromnie ubawiło małego urwisa. -

I powiedz temu aligantowi, że jadę w odwiedziny do hrabiego Stamforda. A gdybym nie wrócił do północy, ma formować szyki!

Hempstead wpatrywał się w rozżłocone blaskiem gwiazd mroki nocy. Fale uderzały miarowo o kadłub, a załoga „Sokoła” w milczeniu opuszczała żagle.

- Tam! - mruknął Dunleavy, wskazując coś palcem. - Widzisz, jak stoi sobie spokojnie, kapkę od brzegu?

Hempstead wypatrzył podługowaty kształt, prawie niewidoczny wśród nocnych cieni.

- Ale przecież mieliśmy się spotkać na Alderney?

- Nie tej nocy, chłopcze! Dziś tam za gorąco dla Pendletona i Saukilla. Wszystkie sygnały ostrzegają: „Uwaga! Roi się od akcyźników”!

- Jakie sygnały?

- Nie obserwowałeś wybrzeża, jak kazałem?

- Owszem, i to pilnie. Żadnych sygnałów nie dostrzegłem. Dunleavy bez pośpiechu zapalił fajkę.

- Nie widziałeś, że stary gorset pani Blakely powiewa na sznurze, sam jak palec, jakeśmy przepływali blisko brzegu w Bideawee? Nie zauważyłeś tego smarkacza łowiącego ryby w łódce tuż za boją, gdyśmy minęli pierwszą z wysp? To właśnie były sygnały, chłopcze. Nie zobaczyłbyś ich, gdyby droga była wolna.

- Ale przecież nasza akcja odbywa się w ścisłej tajemnicy! Nikt nie ma pojęcia, że właśnie dziś odbieramy ładunek „Łotra”! Skąd ci ludzie wiedzieli, że trzeba nas ostrzec?!

- Ach, ty niewiniątko! Wcale nie nas chcieli ostrzec! To sygnały dla przemytników. Tutejsza ludność ma się na baczności dzień i noc. Każdy tu żyje z przemytu. Mąż i wszyscy trzej chłopcy pani Blakely (tej od gorsetu). Nie ma obawy, już ona nie zapomni o sygnale! Tak samo jak tamten dzieciak w łódce, siostrzeniec Pendletona.

- Czy są i pomyślne sygnały, na przykład „Droga wolna”? - spytał zaciekawiony Hempstead.

- A pewnie! Fremont, zarzuć kotwicę. Tu na nich zaczę-

kamy. Do roboty, Tufor, błyskaj światłami! A uważaj, czy będzie odzew!

Hempstead przyglądał się z zainteresowaniem, jak jeden z majtków pobiegł na sterburtę i przesłał smugę światła ze ślepej latarni ponad wodą. Oczy Geoffreya znów wypatrzyły w ciemności podługowaty kształt przed nimi. Dwa szybkie błyski. Przerwa. Potem jeszcze dwa, równie przelotne.

- A teraz nie ruszaj się i nadstaw dobrze ucha!

Z początku Hempstead słyszał tylko potrzaskiwanie masztów „Sokoła”, plusk fal i skrzywienie liny kotwicznej. Potem wstrzymał dech i wówczas dotarł do jego uszu jakiś przytłumiony, rytmiczny odgłos. Spojrzał na kapitana, a ten kiwnął głową.

- Już wiozą nasz ładunek. Masz pistolet, chłopcze?

-Ja...? Nie.

- Weź ten! Jak tylko zobaczysz, że podpływają do nas, wyceluj pukawkę w tego przy wiosłach i tak trzymaj, choćbyś widział i słyszał diabli wiedzą co! - Dunleavy wolnym krokiem ruszył w stronę sznurowej drabinki, która zwiisała z burty „Sokoła”. - A jakbyś zobaczył, że jakieś światła suną do nas przez wodę, chłopcze, daj znać, z której strony!

Hempstead oparł się o reling na dziobie „Sokoła” i skoro tylko ujrzał płaskodenną łódź zmierzającą ku nim w ciemności, wycelował pistolet w mężczyznę przy wiosłach i od tej pory trzymał go na muszce. W niewielkiej łódce znajdowało się czterech ludzi, toteż była zanurzona niemal po burtę. Umiejętnie kierowana podpłynęła pod sam bok „Sokoła”. Jeden z majtków Dunleavy'ego skierował na nią światło ślepej latarni, by kapitan mógł dobrze obejrzeć przybyszów.

- Mam nadzieję, Dunleavy, że masz pod ręką resztę należnej nam forsy - burknął jeden z pasażerów łodzi. - Nie ma czasu na targowanie się! Na wybrzeżu roi się od plugastwa, a nasza „Mary Beth” wiezie i inny ładunek.

- Ano mam - wymamrotał Dunleavy, sięgając do kieszeni. - Należy się wam sto tysiączków.

Do uszu Hempsteda dotarło stęknienie, gdy kapitan rzucił gruby zwitek banknotów Abbercombe'a prawie niewi-

docznej postaci na dziobie łodzi. Smużka światła zatańczyła po płaskim dnie i znikła.

- Musicie im pomóc, sami nie wleżą - burknął ten sam głos, który domagał się zapłaty. - Obaj są ranni.

Dwóch majtków z załogi „Sokoła” przeskoczyło przez reeling. W błyskawicznym tempie znaleźli się na dole, a następnie wspięli na górę, podtrzymując z obu stron jakiegoś mężczyznę. Potem odbyli tę samą drogę po raz drugi.

- Niech to szlag! - ryknął jakiś głos od strony rufy. - Światła z tyłu! Zbliżają się, kapitanie!

- Już cię tu nie ma, Pendleton! Odciągniemy ich. Podnieść kotwicę! - huknął Dunleavy. - Stawiać żagle! Hempstead, zabierz naszych pasażerów pod pokład! Żywo, chłopcze!

Geoffrey wetknął pistolet za pasek spodni i podbiegł do „pasażerów”, by jak najszybciej sprowadzić ich pod pokład. Przekonał się, że musi pomóc każdemu z nich w pokonaniu zejściówki.

- Do krzesła sam dojdę - wycodził młodszy, gdy wszyscy dotarli szczęśliwie do bezpiecznego wnętrza kajuty. - Z Andrew gorzej; jemu pomóż.

Hempstead skinął głową i zabrał się do ściągania przemoczonej kurtki z dygoczącego kapitana Willburton-Smythe'a. Oddany prawy rękaw koszuli i brak prawego ramienia były dla Geoffreya niemałym szokiem, ale ukrył to jakoś, mamrocząc do biedaka, że zaraz mu będzie cieplej, i nalegając, by położył się na koi, po czym otulił go wełnianym kocem. Przeszukał spieszenie kajutę, wypatrując czegoś jeszcze do okrycia kapitana, i odkrył drugi koc, porządnie złożony w starej marynarskiej skrzyni.

- Masz - wymamrotał Hartshorn, wstając i zdejmując płaszcz. - Okryj go i tym. Nie jest taki mokry jak jego łachy, nie przesiąknie przez koc. Biedny Andrew dość się namęczył. Po cholerę mu jeszcze zapalenie płuc?

- Jak się nazywasz? - spytał szorstko Hartshorn.

- Hempstead, Geoffrey Hempstead.

- Wskoczyłeś na moje miejsce, co? - roześmiał się. - Jestem

Harry Hartshorn. - Nie wstając, wyciągnął rękę. - Wybacz ten brak ceremonii, ale dosłownie lecę z nóg.

Hempstead uściśnął wyciągniętą dłoń.

- Rozejrzyj się za jakimś trunkiem, Hempstead! Jak trochę odpocznę, obaj zabierzemy się do Andrew. Byliśmy już o krok od wybrzeża, kiedy, cholera jasna, trafiliśmy pod ostrzał i trzeba było kluczyć po jakichś zakazanych wertepach. W dodatku Andrew od samego początku nie był w najlepszej formie.

- A... ty? - sytał Hempstead.

- O, ja tylko raz zmyliłem drogę - i mam pamiątkę. - Harry westchnął i zaprezentował owinięte byle jak kolano. - Kulka nadal w nim siedzi, ale niezbyt dokucza.

Hempstead odkrył w najdalszym kącie dolnej półki w oszklonej szafce komplet kryształowych kieliszków i karafkę porto. Zaniósł swą zdobycz na stół, przy którym siedział Hartshorn, i napełnił dwa kieliszki: jeden dla Harry'ego, drugi dla siebie.

- Gdzie się podziewa „Łotr”?

- Nie ma go z nami. Został napadnięty na ulicy w Londynie. Ranili go. Uznał, że nie na wiele by się przydał.

- Wiesz, dokąd teraz zmierzamy, Hempstead?

- Nie bardzo.

- Po mojemu do Gravesend. Jego łotrowska mość ani chybi domyśla się, że Andrew nie jest w szczytowej formie. Z pewnością chce mu zaoszczędzić długiego trzęsienia się po wertepach. A tym razem nie musimy robić tajemnicy z naszego powrotu.

- Czegoś tu nie pojmuję - odparł z lekka otumaniony Geoffrey. - Musieliście bawić się w chowanego z żabojadami, to jasne. Ale czemu, na litość boską, próbujemy umknąć akcyźnikom?!

- To zabawa w stylu Dunleavy'ego: odciąga ich kuter jak najdalej od łajby Pendletona i Saukilla. Mają na pokładzie „Mary Beth” jeszcze jeden cenny ładunek; gdyby wpadli razem z nim w łapy akcyźników, ponieśliby niepowetowaną stratę.

- Ale nie poniosą - podsumował sprawę kapitan, który

właśnie wszedł do kajuty. - Wodziliśmy po manowcach tych rycerzy akcyzy tak długo, że „Mary Beth” zdążyła wpłynąć do zatoczki cała i nieoskubana.

- A ten kuter ciągle płynie za nami? - zainteresował się Hartshorn. - Dobrze, że choć nie strzelają!

- Nie strzelają i już nie zaczną. Z początku chyba ich zaskoczyło, jak zobaczyli takie cudeńko, jak nasz „Sokół”! Nic dziwnego, że nie mieli odwagi do tego strzelać. A teraz, choćby chcieli, mają już do nas za daleko. Płyniemy pod pełnymi żaglami, rozumiecie? Zresztą, choćby nawet dogonili, zaprosilibyśmy ich grzecznie, niech sobie szukają. I tak nic nie znajdą. „Sokół” jest czyściutki: żadnej kontrabandy.

## 17

Hrabia Stamford zjadł do ostatniego okruszka biszkopt z owocami, wytarł palce w serwetkę i wstał od stołu.

- Nic nie zjadłaś, moja droga - wymamrotał. - Trudno, będziesz musiała podróżować z pustym żołądkiem. Okryj się przynajmniej - poleciał, rzucając Olivii jej płaszcz. - Nie chcę, żebyś się na dodatek przeziębiła.

- Podróżować? - Olivia spojrzała na hrabiego z nieukrywanym zdumieniem.

- Naprawdę uważasz mnie za szaleńca, gotowego zabić wroga u siebie w domu? Jesteś w błędzie, moja droga! Do tej pory domownicy zdążyli się poważnie zaniepokoić twą nieobecnością. Twój majordomus zapewne zasięga właśnie rady księcia Abbercombe'a, co czynić.

Olivia nadal siedziała przy stole. Płaszcz z zielonego aksamitu leżał na jej kolanach. Palce nerwowo bawiły się futrzanym obszyciem.

- Skąd to przypuszczenie, hrabio, że mój majordomus uda



się po radę akurat do Abbercombe'a? Wątpię, by Laslow był z księciem w tak zażyłych stosunkach!

- Ale nie jest ślepy, moja droga! Jeśli podejrzewa, że jego pani znalazła się w niebezpieczeństwie, pobiegnie z tym do dżentelmena, któremu twoje dobro leży najbardziej na sercu. Założę się, że Abbercombe jest już w drodze do mego domu. Kiedy tu dotrze, znajdzie dość wyraźny trop, by podążyć za nami.

Starając się nie okazać po sobie rosnącego przerażenia, Olivia wzruszyła ramionami i wstała, otulając się płaszczem.

- Mylisz się, hrabio. Gdyby Laslow chciał zasięgnąć u kogoś rady, zwróciłby się do lady Jessiki.

- Ona zaś udałaby się z tym do swego męża... brata Abbercombe'a, nieprawdaż? A lord Sebastian, zapewniam cię, natychmiast powiadomiłby o wszystkim księcia. No, chodźmy! Nie mamy czasu do stracenia.

Stamford podszedł, chwycił Olivię za ramię i zaciągnął do drzwi, które otwały się jak na komendę. Po kilku minutach siedzieli już w zamkniętym powozie, Stamford naprzeciw Olivii, a Peesby z jeszcze jednym służącym na koźle. Towarzyszyło im również po dwóch zbrojnych z każdego boku.

- Czy doprawdy trzeba aż siedmiu uzbrojonych ludzi, by obezwładnić jednego słabowitego księcia? - spytała Olivia z ironią.

- No, no, panno Willburton-Smythe! - zachichotał Stamford. - Jak można nazywać słabowitym człowieka, który wyszedł cało z dwóch zamachów na życie, zabił trzech zbirów i wskoczył przez okno do oranżerii, spiesząc pani na ratunek?

- Do oranżerii...? Więc to...

- To byłem ja, oczywiście. Widzisz, myślałem, że ten, z kim rozmawiasz, to naprawdę Abbercombe. Gdyby księżę nie natarł z taką energią, kto wie... Ale wtedy od razu zrozumiałem, że tamten to podstawiona kukła!

- Wielki Boże! - wykrzyknęła Olivia, przyciskając ręce do piersi. - Przecież to był Harcort! A ten drugi Kettering!. Omal nie zabiłeś swoich synów, hrabio!

Stamford przez chwilę wpatrywał się w nią w mroku, który to gęstniał, to rozjaśniał się, gdy mijali uliczne latarnie.

- Za tę diabelską sztuczkę ukarzę go jeszcze dotkliwiej, zobaczysz! Nie tylko zamordował mego brata i omamił moich synów, ale nie zawahał się narazić ich życia we własnej obronie! Niegodziwiec! Cóż za chwalebny czyn uwolnić świat od takiego potwora!

Olivię do reszty opuściła nadzieja, że hrabia wróci do rozumu, przekonany logicznymi argumentami. Obarczał Abbercombe'a odpowiedzialnością za śmierć, której cudem uniknęli jego synowie - mimo że sam trzymał w ręku broń i oddał strzały! To było nie do pojęcia! Nie mogąc znieść widoku Stamforda, spojrzała w okno powozu. Odkryła ze zdumieniem, że jadą St. James Street. Opanowała ją gwałtowna chęć wyskoczenia z powozu.

Udając senność, oparła się o poduszki i spod przymkniętych powiek obserwowała hrabiego. Skrzyżował nogi i rozparł się wygodnie. Przejeżdżali właśnie koło White'a, gdy uznała, że czujność Stamforda osłabła. Rzuciła się ku drzwiom, by złapać za klamkę, ale hrabia uniemożliwił jej ten zamiar. Odepchnął ją bez ceremonii, rechocząc bezczelnie.

Jego palce zacisnęły się na nadgarstku Olivii jak żelazne kajdany, gdy pociągnął ją ku sobie tak, że ich twarze niemal się zetknęły.

- Żadnych protestów, żadnych wygłupów! Zachowuj się, jak przystało damie - syknął - bo każę cię związać i zakneblować! Nie myśl, że się zawaham! - Powtórnie odepchnął ją na poduszki.

Dokładnie w tym samym momencie w odpowiedzi na kołatanie Abbercombe'a drzwi frontowe Stamford House otworzyły się i stanął w nich wytwornie odziany majordomus. Z nieprzeniknionym wyrazem twarzy bezbarwnym głosem odpowiadał na zadawane przez księcia pytania.

- Dokąd się udali? Czy Stamford wymienił cel swej przejażdżki?

- Nie, wasza książęca mość.

- A w jakim kierunku ruszyli spod domu?

- W stronę Green Park, wasza książęca mość.

Abbercombe kiwnął głową, wykręcił się na pięcie i odszedł.

Olivia z pewnością nie pojechałaby ze Stamfordem z własnej woli. A więc uprowadził ją siłą! Serce w księciu zamarło. Porwaczowi zależało, by jego wróg dowiedział się o wszystkim! Zaklął głośno po francusku. Dokata poruszył nerwowo uszami, jakby próbował doszukać się w tych dźwiękach jakiejś zapomnianej komendy.

- Dajże spokój, fanfaronie! - wymamrotał książę i poklepał wierzchowca po szyi. - Nie mówiłem do ciebie, rozumiesz?

Opuścił park w pobliżu St. James i przejeżdżał właśnie obok najbardziej znanych klubów. Nagle zatrzymał konia, zeskoczył na ziemię i zawrócił pędem przed drzwi White'a.

- Jack! Jack Sloan! Od dawna tu sterczysz?

- Ma się rozumieć, wasza książęca mość.

- Czy przejeżdżał tędy w ciągu ostatniej godziny powóz... No, karetą podróżna, rozumiesz? Czarna.

- One są przeważnie czarne, wasza książęca mość.

- No, tak. Wielka szkoda... ale to karetta Stamforda. Tylko nie wiem, czy ma herb na drzwiczkach.

- A jakże, Stamford przejeżdżał tędy nie dalej jak dziesięć minut temu, wasza książęca mość. Dwóch ludzi na koźle i czterech konnych po bokach.

- W jakim kierunku?

- Na południe, wasza książęca mość, w stronę rogatek.

Abbercombe zawahał się.

- Powiedz no mi, Jack... czy Worth jest w klubie?

- Nie, choć bardzo by chciał! - odezwał się jakiś głos za plecami stojącego na schodach księcia. - Czy to twoje cholerne bydlę stoi w poprzek ulicy, Cash? Byng omal nie dostał przez nie apopleksji!

- Edward?! Dziękci, Jack! - Abbercombe skinął portierowi głową, wsunął mu w dłoń koronę, obrócił się na pięcie i zbiegł ze schodów, ciągnąc za sobą Wortha.

- Mogę spytać, o co tu chodzi? - burknął hrabia. - Czemu jeździsz samopas? Któryś z ludzi Stone'a powinien ci towarzyszyć, pomyśleńcu! Ostatnio kropią do ciebie jak do tarczy, zapomniałeś?

- Zamknij się, Edwardzie! - rzucił Abbercombe, przypie-

rając przyjaciela do frontowej ściany klubu. - Potrzebuję twojej pomocy! Natychmiast!

- Co się stało?

- Wiem już, kto dybie na moje życie. I wygląda na to, że dziś mu się uda. Musisz przekazać Fanningowi wiadomość ode mnie.

- Mam się bawić w listonosza? Niedoczekanie twoje! - wykrzyknął Worth. - Ugrzęźłeś po szyję w bagnie i myślisz, że zostawię cię samego, niech cię zassie, co?! Puknij się w głowę!

- No, nie... Ale widzisz, Worth... nic nie rozumiesz!

- To mnie oświeć.

Po spiesznym wyjaśnieniach księcia czoło Wortha przecięły głębokie zmarszczki. Gdy miał już pełny obraz sytuacji, odsunął przyjaciela na bok i chwyciwszy za ramię towarzyszącego mu lokajczyka, kazał chłopcu czym prędzej przywołać stajennego.

- Poślemy Harleya z wiadomością od ciebie do Fielding House. Ja pojedę z tobą. A teraz zabierzmy stąd tę twoją paskudną szkapę, zanim ją ktoś zastrzeli!

Hrabia Stamford radośnie chichotał, gdy jego orszak zatrzymał się, by uiścić opłatę drogową, zapewniającą wolny przejazd od południowej rogatki do Gravesend. Spomiędzy fałd jego płaszcza złowróźnie błysnęła lufa pistoletu wycelowana w Olivie.

- Na twoim miejscu nie wszczynałbym zamieszania na rogatkach, moja droga. Byłoby mi doprawdy przykro zabić ciebie i Bogu ducha winnego poborcę myta!

Olivia prychnęła pogardliwie i odwróciła się od hrabiego. Jej umysł szukał wciąż sposobu ucieczki. Musi wyrwać się z rąk tej nędznej imitacji człowieka! Nie wątpiła, że Abbercombe ruszy w pogoń starannie wytyczonym torem - prosto w pułapkę zastawioną nań przez szaleńca. Nie wierzyła, że książę ją kocha; była jednak pewna, że odwaga i poczucie honoru skłonią go do pospieszenia jej z pomocą. Musi więc wyrwać się hrabiemu, nim pułapka się zatrzaśnie.

Powóz zwolnił, skręcił, wymijając rogatkę w Gravesend, i potoczył się w stronę Tamizy. Lodowate macki wilgoci

przenikały przez otwarte okna do wnętrza powozu; Olivia dygotała z zimna. Choć wyteęzała wzrok, niewiele mogła dojrzeć. Dokąd właściwie zmierzali? Chyba Stamford sobie nie wyobraża, że z sześcioma ludźmi zdoła otoczyć Abbercombe'a na otwartej przestrzeni?! Nawet szalenie nigdy by w coś podobnego nie uwierzył! I nagle z ciemności i mgły wynurzył się oświetlony blaskiem powozowych latarni kamienny masyw. Olivii zaparło dech.

- Evelsisor! - jęknęła.

- Istotnie, moja droga - dotarł z ciemności syczący szept Stamforda. - Ruiny opactwa Evelsisor. Abbercombe będzie zachwycony! To jedno z jego ulubionych miejsc. A prawda! Skąd mogłabyś to wiedzieć? Założę się, że niewiele ci wiadomo o dzieciństwie tego łajdaka. Tu właśnie się ukrywał, ilekroć zwiął z Harrow. A belfry, zakute pały, nigdy nie odkryły tej jego kryjówki! Jednego dnia obrywał tęgie lanie, a następnego już go nie było. O, tak! - westchnął Stamford z wyraźnym zadowoleniem. - Pewien jestem, że nasz książę niezłomny będzie zachwycony tym miejscem ostatniego spoczynku, które dla niego wybrałem.

Ruiny opactwa Evelsisor znajdowały się w odległości kilku mil od drogi, pośrodku gęstego bukowego zagajnika w pobliżu Tamizy. Podobne do wielkiego szarego ślimaka bez skorupy ruiny gdzieśgdzie wznosiły się tak wysoko, że srebrzyła je księżycowa poświata, to znów opadały niżej i niknęły w oparach gęstej mgły. Pomiędzy zwietrzałymi kamieniami, niewidoczne teraz, oplecione pędami bluszczu, leżały zwalone deski stropowe i średniowieczne łuki. Pnącza zasłaniały dawne studnie i piwnice obrzeżone zębami ostrych kamieni, ożywiając ich szarość soczystą zielenią liści.

Gdy powóz zatrzymał się, Stamford wyciągnął Olivię na dziedziniec przed smutnymi resztkami dawnej sali paradnej, a raczej wielkiego refektarza.

- Wejdzimy do środka, moja droga? - zachichotał hrabia i chwyciwszy Olivię za łokieć, popchnął ją w stronę zrujnowanego wnętrza. - Nie musimy przecież, czekając na jego szatańską mość, tonąć w tej wilgotnej, ohydnej mgle!

- Nie potrzebuję twojej pomocy, hrabio! - burknęła Olivia i z zuchwałością, która nawet ją wprawiła w zdumienie, obróciła się i z całej siły kopnęła Stamforda w goleń. Tak go zaskoczyła, że puścił ją mimo woli. Natychmiast jednak pochwycił ją jeden z pachołków, który łypał na nią pożądliwie, i brutalnie wciągnął do zrujnowanego wnętrza. Po chwili wśród kamiennego usypiska zapłonął ogień, a wilgotne opary i niesamowite cienie pierzchły w popłochu. Oliwię brutalnie popchnięto na butwiejącą ławę; hrabia z pistoletem w ręku rozsiadł się naprzeciw niej na wielkim rzeźbionym krześle, które - o dziwo! - przetrwało wśród ruin. Zbóje na usługach hrabiego znikli w mroku nocy. Olivia poruszyła się na ławce, a Stamford wycelował pistolet prosto w jej serce.

- Nawet o tym nie myśl, moja droga - syknął, wpatrując się w nią zimnymi oczyma. - To, że dotąd żyjesz, należy przypisać wyłącznie memu szczególnemu upodobaniu do damskiego towarzystwa. Spróbuj tylko ucieczki, a natychmiast wpadniesz do wielkiej dziury, która znajduje się zaraz za tobą. - Hrabia zaniósł się śmiechem, gdy Olivia zerwała się na równe nogi i mrużąc oczy, usiłowała dostrzec, co znajduje się po drugiej stronie zmurszałej ławki. - Lepiej uważaj, moja panno! Gdybyś tam wpadła, nie mógłbym cię stamtąd wydobyć. Zostałabyś tam na wieki wieków amen.

Dokata szedł łeb w łeb z kasztanem Wortha aż do rogatki w Gravesend, ale potem zaczął zostawać w tyle. Hrabia początkowo sądził, że dzielne choć brzydkie zwierzę okulało. Wstrzymał więc w pędzie swego kasztanka i obejrzał się. Zobaczył, że księżę nie tylko stanął, ale i zsiadł z konia. Zawrócił więc i podjechał galopem do przyjaciela.

- Co się stało, Cash?

- Już wiem - wymamrotał Abbercombe, opierając ręce na biodrach i zwieszając głowę jakby w przystępie rozpacz. - Wiem, dokąd ją zabrał!

Worth także zsiadł z konia i objąwszy przyjaciela ramieniem, pochylił się, by lepiej słyszeć, co mówi.

- Dokąd? - spytał cicho. - I dlaczego stoimy, zamiast tam jechać?

- Do Evelsisor.

- Wykluczone, Cash! Z pewnością udał się do Gravesend! Dopadniemy ich w oberży „Pod okrętami”.

Abbercombe potrząsnął przecząco głową. Nie podniósł oczu na przyjaciela. Hrabia objął go jeszcze mocniej.

-W takim razie zaczekasz tu na Fanninga i całą resztę, a ja pojedę do Evelsisor i przekonam się, jak sprawy stoją. Jeśli ich tam nie będzie, wrócę tu i ruszymy do Gravesend. Zobaczysz, Cash, wszystko będzie dobrze!

- Nie, nie! Zachowuję się jak ostatni głupiec. Najwyższa pora przemóc ten bezsensowny lęk! Przecież tam nie ma nic strasznego. Pojedziemy razem do Evelsisor.

- Jesteś tego pewien, *mon ami*?

-Jak najbardziej!

Wsiedli więc znów na koń i jechali dalej; nieco wolniej, bo mgła coraz bardziej gęstniała. Na rozstajach ksiądz zatrzymał się, zdjął chustkę z szyi i owinął nią pień młodej jabłunki, żeby Fannig wiedział, gdzie skręcić.

- Myślisz, Cash, że zauważy to w tych cholernych ciemnościach?

- Na pewno się zatrzyma i będzie szukał jakiegoś znaku. Przez te wszystkie lata bawiliśmy się z Robinem w policjantów i złodziei. Jeden ucieka, drugi go ściga... i na odwrót. Kiedyś wreszcie Fanningowi się to znudzi i podziękuje za służbę.

- Naprawdę przez te wszystkie lata ciągle się narażałeś? - Worth aż uniósł brwi ze zdumienia. - Czemuś mi się, Cash, nigdy nie zwierzył? Z pewnością mógłbym ci się na coś przydać!

- Z całą premedytacją zerwałem z tobą kontakty, Edwardzie. Przysiągłem sobie, że nigdy więcej nie narażę cię na tyle bólu i wstydu, jak wówczas, gdy stałeś wiernie u mego boku podczas tego koszmarnego procesu! - Po raz pierwszy tego wieczora do uszu Wortha doleciał cichy śmiech przyjaciela. - I oto znów stoisz w złej godzinie przy moim boku, mimo moich najszczerzych intencji! Wątpię, bym naraził cię dziś na

upokorzenie, Edwardzie, ale bardzo prawdopodobne, że czeka nas oba kulka w łeb.

- Życie u twego boku nigdy nie jest nudne, *mon ami*. Niekiedy trudne do wytrzymania, ale nigdy monotonne. Czy my też postrzelamy sobie do twoich wrogów? Bo jeśli tak, to przypominam, że nie wzięliśmy pistoletów.

- Rzeczywiście... a ja nie przypasałem mojej szabli. Wydawało mi się to głupią ostentacją, jako że i tak nie mógłbym z niej korzystać.

- Niech to szlag! - wymamrotał Worth. - Zupełnie zapomniałem o twoim ramieniu!

-Ja, niestety, nie. Co chwila mi o sobie przypomina.

Ze względu na mgłę, ciemności oraz fakt, że nie bardzo już pamiętali drogę, jeźdźcy zwolnili do stępa. A gdy ukazały się ich oczom kontury Evelsistoru, zatrzymali się nagle. Abbercombe aż się skulił na widok potężnych, choć zniszczonych murów. Samo wspomnienie odległych chwil: przeraźliwego zimna, nieprzeniknionych ciemności i braku powietrza, przyprawiło go o zadyszkę.

- Spokojnie, stary! - szepnął Worth.

Książę odetchnął głęboko i z wysiłkiem odsunął od siebie straszne wspomnienie. Przywołał w myśli obraz Olivii - wyzywająco zadana bródka, płonące gniewem zielone oczy, stworzone do pocałunków usta, szepczące bezgłośnie: „Ty uparciuchu!”.

- Lepiej zostawmy tu nasze wierzchowce. Wyżej będą same wyboje i dziury.

Worth, który uwiązał już kasztana do niskiej gałęzi, burknął:

- Oni przybyli tu powozem; pewnie skorzystali z dawnego podjazdu. Pójdziemy w ich ślady?

- Ty po jednej stronie drogi, ja po drugiej. Mam nadzieję, że nie ty się pomyliłeś, tylko ja. Ze marnujemy tu tylko czas, a oni pojechali do Gravesend i dziwią się, że nas tam jeszcze nie ma.

Olivii zaparło dech, gdy z mgły wyłoniła się obrzydliwa gęba Peesby'ego.

- Już są, milordzie - burknął cicho. - Tylko dwóch.



Stamford zerknął na pannę Willburton-Smythe z uśmiechem wyższości.

- Twój kochaś odrobinę zmądrzał, moja droga. Miał dość rozumu, by zabrać przynajmniej jednego pomocnika. Zajmij się obydwoma, Peesby. Księcia chcę mieć żywego. Z tym drugim rób, co chcesz; mnie to nie obchodzi.

- Wedle pańskiego życzenia, milordzie. - Peesby pokazał w uśmiechu połamane, żółtkłe zęby. - Już się na to cieszę!

Serce Olivii rozdygotało się. Abbercombe był w pobliżu! Musi go ostrzec, że został przez wrogów dostrzeżony i lada chwila spróbują go pojmać. Spod opuszczonych rzęs obserwowała hrabiego. Niecierpliwie wpatrywał się w mgłę. Nie miała pojęcia, jak daleko znajduje się Abbercombe i czy usłyszy jej wołanie. Wiedziała jednak, że nieuwaga hrabiego długo nie potrwa; byłaby idiotką, nie korzystając z niej.

Ostrożnie pochyliła się do przodu, aby uchwycić jedną z gałęzi, które zgromadzono koło ogniska. Wyprostowała się powolutku. Duży kij zniknął w fałdach spódnicy. Wówczas wzięła głęboki oddech i rzuciła się do ataku, z całej siły uderzając gałęzią w rękę trzymającą pistolet. Równocześnie wrzasnęła głosem tak zmienionym, że sama go nie poznawała:

- Wiedza, że tu jesteś, Cash! To pułapka! - Jej słowom towarzyszył huk strzału. Pistolet wypadł hrabiemu z ręki i padając na kamienie, wypalił.

Rozwścieczony Stamford wyszarpnął gałąź i odrzucił na bok. Bezbronną już „napastniczkę” odepchnął na dawne miejsce z taką siłą, że ławka załamała się pod nią i Olivia runęła w znajdującą się za jej plecami czeluść. Rozpaczliwie machała w powietrzu rękami, usiłując się czegoś uchwycić. Była pewna, że lada chwila nadzieje się na ostre skały lub strzaskane belki, czyhające na nią w mrocznej głębi. Jakież było więc jej zdumienie, gdy co prawda bez tchu, ale cało i zdrowo wylądowała. Nie widziała nic, nawet własnej ręki uniesionej do oczu. Starła się więc dotykiem poznać najbliższe otoczenie. Okazało się, że spadła na stertę zbitych gałązek i liści, przypominających gruby, sprężysty materac. Zaraz potem objęło ją czyjeś ramię i ręka w rękawiczce zatkała jej usta.

- Proszę nie krzyczeć, panno Olivio - szepnął pośpiesznie hrabia Worth. - Wkrótce będzie pani całkiem bezpieczna, słowo daję! - Zdjął rękę z jej ust.

Olivia odwróciła się do niego, ale w absolutnej ciemności nie widziała nawet zarysów jego postaci.

- L..lord Worth...?

- Tak, to ja. Ciii!...

Czując, że Olivia drży, objął ją opiekuńczo ramieniem i przytulił do siebie. Nad nimi rozległo się skrzypienie butów, odgłos kroków na nierównych kamieniach i szybki, ciężki oddech. Potem mocne uderzenie, zdławiony krzyk... znowu stuki, szuranie i sapanie. Energiczne plaśnięcie ręki, tępe uderzenie, a wreszcie głuchy odgłos upadku i grzechot skalnych odłamków.

- Worth...?

Cichy szept Abbereombe'a zagrzmiął w uszach Olivii z siłą dobroczynnego gromu. Był tam, w górze. Żył!

- Tu, Cash! Pospiesz się!

- A Olivia?

- Zdrowa i cała. Szybko!

- Odsuńcie się, zrzucam Stamforda!

Worth łagodnie odciągnął Olivie jak najdalej od otworu. Po przebyciu kilku kroków zorientowała się, że stąpa po równej powierzchni, niezawalanej kamieniami ani strzaskanymi belkami.

- Droga wolna! - syknął hrabia.

Powietrze zadygotało, zaświszczało... i hrabia Stamford, najwyraźniej nieprzytomny, wylądował obok nich, wprawdzie niewidzialny, ale doskonale wyczuwalny wszystkimi innymi zmysłami.

- Proszę tu zostać - do Olivii dotarł znów szept Wortha. Słyszała, że hrabia zmierza po omacku do miejsca, gdzie sama niedawno wylądowała. - Niech go szlag! - dobiegło ją mamrotanie. - Waży chyba tonę!

Olivia zorientowała się, że Worth usiłuje odciągnąć bezwładne ciało Stamforda jak najdalej od grubego pokładu gałęzek i liści. Zrozumiała także, czemu to robi. Ruszyła po

omacku w jego stronę i ostatecznie na niego wpadła. Pospiesznie wymacała jakąś kończynę Stamforda, poczuła pod palcami rękaw i wczepiła się w gruby materiał. Czuła, że Worth stoi obok, i usłyszała jego głos:

- Mądra dziewczyna! Lczę do trzech: raz, dwa, trzy!

Olivia odskoczyła ze swym ciężarem w tył. Worth postąpił tak samo. Usłyszała, jak grzmotnął na ziemię tuż obok miejsca, gdzie sama boleśnie się przewróciła.

Nad nimi znów rozległ się świst i Abbercombe wylądował tam, skąd przed chwilą odciągnęli Stamforda. Olivia i Worth odetchnęli z ulgą.

- Cholernie długo to trwało - rozległ się niski głos księcia. - Już myślałem, że będę musiał wybić resztę tych drani, żeby mieć spokój! Olivio...?

Olivia usłyszała własny płacz. W chwilę później ramiona Abbercombe'a podniosły ją z ziemi i objęły z całej siły.

- Nic ci nie jest, najdroższe maleństwo? Ten bydlak cię nie skrzywdził? Nie potłukłaś się przy upadku? - Mówił z wargami przyciśniętymi do jej ucha; przy każdym słowie przenikał ją dreszcz.

Z góry doleciał tupot ciężkich buciorów i zgiełk głosów, pełnych lęku i zniecierpliwienia.

- Co tu się dzieje, u diabła?!

- Ejże, Barney! Gdzie się podział szef?!

- Nie wiem i nie zamiaruje go szukać! Pełno tu duchów i różnych upiórów, mówię wam!

- Ale gdzie ci faceci, cośmy ich mieli capnąć?!

- Wzięli i przepadli, Jed. Zapadli się pod ziemię abo ich zezarły te upiory, jak naszego szefa i te lepsze cizie.

- Clive'a tyż diabli wzieni! Gdzie, do cholery, przepadł ten Clive?!

- Gównu mnie to obchodzi! Nie bedziem na niego czekać! Chodu!

W ciągu kilku minut cichnący w dali tętent końskich kopyt dotarł do nadstawionych uszu trójki przyjaciół na dnie czarnej jamy. Pozostająca nadal w objęciach księcia Olivia odetchnęła z ulgą i poczuła na wargach lekki dotyk palca

w rękawiczce. Abbercombe znowu ukrył twarz w jej lokach; czuła, jak poruszają się jego wargi, gdy szepnął jej do ucha:

- Musimy być cicho, kochanie. Jeden z nich został!

Olivia poczuła, że księżę dygocze, i objęła go za szyję. Jej palce zanurzyły się w gęstwinie kędzierzawych włosów.

- Drżysz, Abbercombe - szepnęła. - Jesteś ranny?

- Nie - zapewnił ją i dotknął ustami jej zadartego noska; nie widział go co prawda w tej ciemności, ale w całowaniu to nie przeszkadzało. Potem znalazł jej usta i delikatnie dotknął ich wargami. Olivia mocniej objęła księcia i z zapałem oddała pocałunek.

- Jeśli robisz to, o co cię podejrzewam, Cash... - rozległ się w ciemności głos Wortha - radzę ci powściągnąć zapały, póki wszyscy się stąd nie wydostaniemy.

Wargi księcia oderwały się od ust Olivii. Leżący gdzieś w pobliżu Stamford jęknął.

- Mogę się nim zająć? - spytał cicho Worth.

- Czuj się jak u siebie w domu, Edwardzie! - odparł Abbercombe.

Odgłos uderzenia i jęczenie ustało.

- A teraz, moje kochanie - szepnął księżę, całując lekko Olivie w policzek - znów będziesz musiała nam pomóc. - Wypuścił ją z objęć i odsunął się przezornie. - Wzięłeś, co trzeba, Worth?

- Masz!

Po upływie paru sekund księżę skrzesał ogień i cienki patyk zmienił się w miniaturową pochodnię, w blasku której ukazały się twarze obu mężczyzn. Płonącą gałązkę i kilka innych suchych patyków wręczono Olivii; dwaj mężczyźni dźwignęli nieprzytomnego Stamforda.

- Idź pierwsza, kochanie - polecił Abbercombe.

- W którą stronę?

- W prawo, droga pani - wyjaśnił Worth. - To coś w rodzaju tunelu. Proszę nie odejmować ręki od ściany i stapać bardzo ostrożnie!

Oliwia zapaliła już szósty z kolei patyk, a idący za nią mężczyźni, bardzo zasapani, uginali się pod ciężarem Stamforda,

gdy natknęła się na litą ścianę; tak się jej przynajmniej zdawało. Abbercombe i Worth położyli Stamforda na ziemi, a księżę wyjął tłący się patyk z ręki Olivii. Usłyszała grzechot kamieni, dostrzegła też ręce księcia, szukające czegoś w dolnej warstwie kamiennego usypiska. Naraz zrobiło się znacznie widniej. Z każdą chwilą było coraz jaśniej. Olivia wielkimi oczyma spoglądała na podnoszącego się z ziemi Abbercombe'a. W rękę miał ozdobny kandelabr z ogarkami świec. Księżę uniósł go do góry i Olivia ujrzała, że przed nimi piętrzy się góra kamieni i strzaskanych belek. Niewątpliwie dawno temu górna kondygnacja runęła, sklepienie tunelu zawaliło się i przejście zostało zablokowane. Wysoko, niemal na samej górze usypiska znajdowała się szczelina. W sam raz dobra dla myszy - orzekła w duchu Olivia. Zdumiała się, widząc, jak Worth ostrożnie wspina się po kamieniach i znika w maleńkiej szparce.

- Kolej na ciebie, moja miła - oznajmił Abbercombe z posępnym uśmiechem.

W blasku świec Olivia spostrzegła, że jego twarz pod warstwą brudu jest śmiertelnie blada. Cienkie strumyczki potu znaczyły dziwaczne ślady na pokrywającej ją warstwie pyłu.

- Wonh czeka po drugiej stronie i pomoże ci zejść.

Olivia wątpiła, czy w długiej sukni zdoła się wspiąć, ale Abbercombe podtrzymał ją i wspomagał, na górze zaś Worth pochwycił ją, przeciągnął przez otwór i pomógł zejść na ziemię. Minęło dalsze dziesięć minut - ogarki świec dawały coraz mniej światła - nim księżę zdołał wwindować bezwładne ciało Stamforda na górę. Nawet opasy hrabia zmieścił się w szczelinie. Olivia pomogła Worthowi zwlec nieprzytomnego na dół. Gdy spojrzała następnie w stronę szczeliny, nadal migotało w niej światło, ale wbrew oczekiwaniom nie dostrzegła prześlizgującego się przez otwór Abbercombe'a. Zaniepokojony Worth wspiął się znów na górę.

- Pospiesz się, Cash! - nalegał.

- Nie mogę.

- Musisz to zrobić, Cash! Nie przejdiesz przecież zawalonym korytarzem! To jedyne wyjście!

- Uciekaj stąd - odparł głoś niewidocznego Abbercoma.

- Zabierz Olivię! Stamforda zostawcie. Kiedy się ocknie, znajdzie jakoś drogę.

- Cash! - Desperacja w ochrypłym szepcie Wortha zaskoczyła Olivię. Przemógł się jednak i jego następne słowa były kategorycznym rozkazem: - Rób, co ci każę, do cholery! Jeśli sam nie wyleziesz, wyciągnę cię za łeb!

Z mocno bijącym sercem Olivia wspięła się bliżej Wortha, który balansował ryzykownie na samej górze.

- Co się stało? O co tu chodzi?

Worth zwrócił ku niej twarz i dopiero teraz uświadomiła sobie ze zdumieniem, że dostrzega wyraźnie jego rysy, choć świece już nie migotały. Światło dobiegało z jakiegoś innego miejsca po tej stronie zawałiska. Czy mógł to być blask księżycy...? Czyżby byli tuż pod powierzchnią ziemi...? Ale dlaczego ciągle nie ma Abbercombe'a? Może jest ciężiej ranny, niż sądziła? Spojrzała w oczy Wortha, rozpaczliwie szukając w nich odpowiedzi.

- Paraliżuje go strach - odparł bez ogródek hrabia. - Walczył z nim bohatersko, ponad ludzką wytrzymałość. - Rzucałszy jej spojrzenie pełne niepokoju, Worth odwrócił się znów do szczeliny i syknął: - Wyłaż, bo powiem twemu ojcu!

- Mój ojciec nie żyje, głupku - wymamrotał Abbercombe. - Nie zwariowałem do reszty! Dzięki, Edwardzie... ale to nic nie da.

- Dlaczego?! - spytała Olivia szeptem, ciągnąc Wortha za rękaw.

Równie cicho hrabia wyjaśnił jej, że Cash jako chłopiec został uwięziony w tym tunelu, kiedy zawaliło się sklepienie. Samotne, poturbowane dziecko, pozbawione światła i dopływu powietrza, zdane tylko na siebie, jakimś cudem zdołało się wydostać. Olivii ścisnęło się serce. Odsunęła hrabiego i sama stanęła tuż przy szczelinie.

- Cash! - zawołała miękko. -Już tylko kilka kroków, kochanie moje! Zaraz wszyscy będziemy na zewnątrz. Chcesz chyba wyjść stąd, prawda? Chodź do nas, mój najdroższy! Razem będziemy bezpieczni!

Czekała w milczeniu pełnym napięcia, ale nie było odpo-

widzi. Ogarnęła ją rozpacz. Po tamtej stronie szczeliny dopalił się ostatni ogarek.

- Od razu żem wiedział, że to nie żadne upiory! - rozległ się chrapliwy śmiech Peesby'ego.

Olivia wciągnęła raptownie powietrze. Błyskawicznie odwróciła się w stronę, skąd dobiegał głos. Wysoki, chudy stan-gret z szyderczym śmiechem mierzył z pistoletu prosto w serce Wortha.

- Zejdź no tu do mnie, paniusiu! Jak nie, zara go rozwałę!

Olivia machnęła ręką, jakby chciała odpędzić zbója ni-czym natrętną muchę. Potem odetchnęła głęboko i ostrożnie zeszła po wymykających się spod nóg kamieniach. Zatrzy-mała się obok leżącego Stamforda, który znów zaczął jęczeć.

- Wont od mego pana! - warknął Peesby. - Stanać tam! Jedno przy drugim!

Worth ostrożnie zbliżył się do Olivii i doprowadził ją na miejsce wskazane przez stan-greta.

- Nie od razu żem wypatrzył te wasze krecie dróżki - śmiał się Peesby. - Alem wiedział, że coś takiego musi tu być! Udało się wam przepłoszyć głupców, moje jaśnie państwo, jakeśa zaczęli znikać. Wiali aż miło! - Peesby szedł ku nim, nadal mierząc z pistoletu do Wortha. Dotarwszy do leżącego Stamforda, pochylił się nad nim. - Nie zakatrupili pana, mi-lordzie? Ale walnęli zdrowo po głowic, co?

- ...Peesby...?

- Pewnie że ja! Kręci się we łbie? Zaraz się panu hrabi hu-mor poprawi. Złapaliśmy dwoje jeńców. Ten... sukinkot dżentelmen będzie dla mnie, jak mi pan hrabia obiecał.

Określenie „dżentelmen” podziałało elektryzująco na Stamforda. Zdołał uklęknąć.

-Abbercombe? -warknął, zwracając się w stronę, gdzie stali Worth i Olivia. - Abbercombe?

- Tu jestem, hrabio! - warknął książę. Stamford i Peesby odwrócili się raptownie, lecz Abbercombe uderzył już na nich jak taran. Nagły błysk, swąd prochu i ciężki pistolet wypalił. Huknął strzał, a echo pochwyliło go i odbijało bez końca od ścian tunelu niby piłkę. Olivia krzyknęła i straciła przytomność.

Olivia ocknęła się i spostrzegła, że owinięta w ciepłe koce jedzie w niewiadomym kierunku karetą hrabiego Stamforda. Jej głowa spoczywała na czyimś ramieniu, drugie muskularne ramię obejmowało ją w pasie.

- C.Cash...? - wymamrotała.

- Nie, pszepani. Książę z nami nie jadzie.

Zaskoczona dźwiękiem obcego kobiecego głosu Olivia pośpiesznie wyprostowała się.

- Kim pani jest? Gdzie Abbercombe? - I nagle z całą ostrością wróciło wspomnienie wydarzeń, które rozegrały się w tunelu, zanim straciła przytomność. Zadrżała. - Nie ż... żyje!... - wykrztusiła z trudem. - Z... zabili go!

- Ałe gdzie tam! - Duże, silne ręce Esther Dowling zacisnęły się na drobnych rączkach Olivii w krzepiącym uścisku. - Książę pognął własnym powozem co żyw do Gravesend. „Obowiązki mnie wzywają!” - powiada. I zabrał ze sobą pana Fanninga.

- Do Gravesend? Z Fanningiem...?

- A pewnie! Jużemy myśleli, pszepani, że nigdy was nie znajdziemy... Aż tu jak nie strzelnie, choroba, z pistoletu...! jak raz pod nami. No to my dalej szukać jakiegoś dojścia do was! Pan Fanning uwijał sie jak ten wściekły, nie dziwota, że pierwszy znalazł wejście do tunelu.

- Szukaliście nas...?

- No pewnie! Jak ino przyleciał stajenny hrabiego Wortha, to my od razu w drogę! Trafic na was była kaszka z mleczkiem, ślady na każdym kroku! Ale jakeśmy dopadli tej kupy gruzu i zgnilizny, nijak nie mogliśmy się połapać, gdzieście sie podziali! Ale jak koniec końców grzmotnęło z tego gnata, aż echo poszło, tośmy sie od razu połapali, gdzie szukać!



- I... i księciu nic złego się nie stało?

- No, żeby nic zełgać, pszepani, całkiem na sucho mu nie uszło. Posiniaczony od stóp do głów, bidaczysko! A lord Worth tak dostał w slip, że nie wiem! I guzów tyż mu nie brakuje. Ale w ogólności tośta wszystka trzech wyśli z tego tak, jakby nie przymierzając cholerne anioły stróże naobkokoło was latali i skrzydłamy wachlowali!

- A pani...? Nawet nie wiem, jak się pani nazywa...

- Esther, paniusiu. Esther Dowling. Pracuje u pana Stone's Dostaliśmy z koleżkami zadanie ochraniać księcia i jego dzieciaki. Ale tera już ni ma potrzeby; pan Stone wi na pewniaka, że to ten Stamford się co i raz zasadzał na księcia. Ale go już więcej nie ugryzie, i Bogu dzięki!

- Więc to lord Stamford został zastrzelony...?

- Co tyż panienka plecie? Nikogo nie zastrzelili. Kula poszła, jak to mówią, Panu Bogu w okno. Ale jak książe usłyszał strzał, to zara na nich skoczył. Dał im takiego łupnia, że iskry sie sypali! Cholera, że nie zdążyłam tego na własne oczy obglądnać!

Olivia uśmiechnęła się mimo woli.

- To wcale nie było takie cudowne, Esther. Myślałam, że go zabiją. Nigdy więcej nie chciałabym go widzieć w takich opalach!

Dopiero w tym momencie Olivia zorientowała się, że powóz stanął. Po chwili drzwiczki otworzyły się, opuszczono schodki i męskie ramię wyciągnęło się ku niej, by pomóc przy wysiadaniu. Na widok umorusanego Wortha uśmiechnęła się. Potem poczuła pod nogami brukowany dziedziniec i zobaczyła, że stoi przed frontowym wejściem do Fielding House. W szeroko otwartych drzwiach czekał Dawson z uśmiechem ulgi na rozpromienionej twarzy. Z ukłonami wprowadził Olivię do domu i pomógł zdjąć okrycie. Natychmiast objęły ją serdecznie ramiona lady Vale.

- April śpi na górze, kochanie! Powiedzieliśmy jej, że wybrałaś się do opery z Abbercombe'em i Worthami, a my zaprosiliśmy ją tutaj, by nie czuła się samotnie, gdyż spektakl przeciągnie się do późna w noc. Uznałam, że nie należy stra-

zżyć biednego dziecka opowieścią o porwaniu. Byłam zresztą pewna, że Cash przywiezie cię do domu zdrową i całą. A właśnie! Gdzież się podział ten łotrzyk? Nic wrócił z tobą?

- Udał się do Gravesend, lady Vale - wyjaśnił Worth, równocześnie powierzając Dawsonowi pieczę nad swym kapeluszem i rękawiczkami. - W jakichś sprawach związanych ze specjalnym ładunkiem na pokładzie „Sokoła”. Jeśli pani wybaczy mi opłakany wygląd, chętnie napiłbym się koniaku Abbercombe'a i odpoczął przez chwilę przy ogniu, zanim wrócę do domu. Mam wrażenie, że troszkę się podziębiłem.

- Boże drogi! - jęknęła hrabina, lustrując wygląd Wortha. - Musisz natychmiast usiąść przy ogniu, drogi chłopcze! Pozwól, że ci opatrzę oko. Rano będzie wyglądało koszmarnie!

Hrabia zapewnił starszą damę, że koniak będzie wystarczającym lekarstwem, i niezwłocznie został zaprowadzony do gabinetu. Olivia kategorycznie odmówiła udania się na spoczynek, póki nie dowie się, co zaszło po jej idiotycznym zemdlenia Lady Vale skinęła głową i obie damy ruszyły) w ślady Wortha.

Siedząc wygodnie w fotelu z wysokim oparciem, z kieliszkiem najlepszego koniaku księcia w ręku, Worth odpowiadał na pytania Olivii, uśmiechając się ze znużeniem.

- ... I wówczas ludzie Stone'a wtargnęli do tunelu zaraz za Fanningiem, obezwładnili Stamforda i Peesby'ego. Związali i załadowali obu na grzbiet tego dziwnego konia Casha... O dziwo, srokacz nie był ani zaniepokojony, ani się nie ugiął pod tym brzemieniem!

- Z pewnością odtransportowali ich do Newgate - mruknęła Olivia, popijając herbatę, którą lady Vale kazała niezwłocznie podać.

- No, cóż... w każdym razie Peesby tam trafił. Rudolph kategorycznie odmówił przekazania Stamforda policji.

- Co takiego?!

- Proszę się nie obawiać, droga pani! Stamford już nigdy nie sprawi pani kłopotu. Stone i jego współpracownicy będą go mieli stale na oku.

- Cash wbił sobie do głowy, że Kevin stracił rozum z jego winy, nieprawdaż? - westchnęła hrabina Vale.

- To się wprost w głowie nie mieści! - wykrzyknęła Olivia, tłukąc piąstką w poręcz fotela. - Wini samego siebie za to, że hrabia usiłował go zabić?! W takim razie jest równie pomyłony, jak Stamford!

- Prawdę mówiąc, jego podejrzenia wcale nie są takie głupie. - Worth westchnął ciężko. - Kevin ubóstwiał starszego brata. Nietrudno sobie wyobrazić, że powrót zabójcy Channinga wytrącił go z równowagi... a w dodatku odkrył, że jego chłopcy uganiają się za córkami Casha...

- Rudolpha też to niepokoiło - potwierdziła lady Vale. - Próbował zniechęcić Harcorta i Ketteringa... ale chłopcy ogromnie go polubili, no i zakochali się na zabój w Amy i Beth.

- To wszystko nie ma żadnego związku z sednem sprawy! - wybuchnęła Olivia. - Chyba Abbercombe dość się już nacierpiał z powodu czegoś, w czym odegrał mało znaczącą rolę?!

- Mało znaczącą rolę, panno Olivio...? - Worth zamienił się nagle w słuch.

- O!... Przepraszam, nie powinnam była tego powiedzieć.

- Istotnie, moja droga, nie powinnaś była tego mówić - odezwała się bezbarwnym głosem lady Vale. - Wracaj do domu, Worth! Eugenia z pewnością się zamartwia; myśli, że już po tobie! A ty, Olivio, stanowczo powinnaś iść na górę, wykapać się i położyć do łóżka. Dalsza dyskusja może poczekać do jutra rana. - Z tymi słowy starsza dama wstała, zmuszając w ten sposób Wortha i Olivię, by podnieśli się także. - Dawson odprowadzi cię, Edwardzie - pożegnała hrabiego łaskawym uśmiechem. - Dzięki za wszystko, co uczyniłeś!

Kiedy Olivia przejrzała się w wielkim lustrze, rozśmieszyło ją to i zirytowało równocześnie. Wyglądam okropnie, kropka w kropkę jak Worth! - pomyślała, oglądając doszczętnie zniszczoną suknię, fryzurę jak pomiotło i całe pokłady brudu na twarzy i rękach. Nim zdążyła powiedzieć słówko, wniesiono wannę, wielkie dzbany gorącej wody, puszyste ręczniki i pachnące mydło. Esther wystąpiła tym razem w roli pokojówki i wywiązała się z niej znakomicie, pomagając Olivii wyszorować się do czysta, a następnie przebrać w jedną z nocnych koszul lady Yale.

- O rany! Ale paniusia śliczna, jak z obrazka! Jak książę panią taszczył do powozu, powiedział, że pod tym brudem kryje się księżniczka Z bajki. I miał chłop rację!

Olivia uśmiechnęła się do Esther. Jej zbyt długa twarz z mocną szczęką, ciężkimi powiekami i wielkim nosem była naprawdę sympatyczna! Po raz pierwszy zwróciła też uwagę na szerokie bary i muskularne ręce Esther. Dziewczyna odwzajemniła się szerokim uśmiechem, zdejmując narzutę z wielkiego łoża z baldachimem.

- Powiedział, że mam łapy dusiciela i gębę do kompletu... ale nie myślał, że to do mnie dojdzie!

- Kto wygaduje o tobie takie rzeczy?! To wyjątkowo nie-delikatna uwaga, a poza tym absolutna bzdura!

- A kto by, jak nie książę? - roześmiała się Esther. - I ma rację. Ale nie powiedział tego na złość, żebym się martwiła. O Alfie mówił, że to sto funtów żywej wagi... a Micka Crawleya nazwał krasnoludkiem. Aż się człowiekowi zdaje, że wlaźł do książki z bajkami! Z księcia wesoły facet, aż żal, że się nam kończy praca u niego. Chociaż to lepiej, że już nikt nie będzie się za nim uganiał z gnatem w garści!

Esther otuliła Olivię kołdrą i przykazawszy surowo, żeby „raz dwa zamkła oczy i lulu”, zdmuchnęła świece i wyszła, zostawiając tylko ogień na kominku do towarzystwa. Pewna, że czeka ją wiele bezsennych godzin, Olivia westchnęła i zamknęła oczy. W ciemności wydało się jej, że Abbercombe bierze ją w ramiona, dotyka ustami jej ust i szepcze tym swoim miękkim, gardłowym głosem: „moja najdroższa dziewczynko, moje kochanie...” Po paru sekundach spała już jak suseł.

Wybita pluszem podróżna karetka księcia Abbercombe'a posuwała się w wolnym tempie wąską drogą biegnącą wzdłuż brzegu Tamizy. Podobne do zjawy, to ukazującej się, to znikającej w porannej mgle, czarne lśniące pudło na kołach, ciągnięte przez czwórkę równie czarnych koni, zdążyło bez wytchnienia polnymi drogami do Gravesend. Dwaj siedzący na wysokim koźle mężczyźni spoglądali w stronę

rzeki, w nadziei, że w szarawym blasku przedświt ujrzą zaraz wydęte żagle „Sokoła”.

- Proszę o wybaczenie, wasza książęca mość - wymamrotał Fanning, otulając się płaszczem. - ... Ale czy teraz, jak pan Hartshorn całkiem się wylize, wasza książęca mość naprawdę wycofa się z interesu raz na zawsze?

- Czyż tego nie mówiłem, Robinie?

- A jakże! Ale czy wasza książęca mość mówił na serio?

Mimo starego bólu w ramieniu i wielu nowych obrażeń, Abbercombe powoził końmi. Po ostatnich słowach lokaja zamilkł i zapatrzył się w dal.

- Powiedział wasza książęca mość panie Olivii, że jej brat lada chwila wróci?

- Nie. Pomyślałem, że lepiej się z tym wstrzymać, póki kapitan nie wylądjuje szczęśliwie na ojczystej ziemi. Bardzo ci zimno, Robinie? - Książę sięgnął do stojącej obok jego nóg skrzynki i wyjął z niej srebrną flaszkę. - Masz, łyknij sobie na rozgrzewkę! Może należało jej o tym powiedzieć, ale nie byłem pewny, czy kapitan zniesie trudy podróży, a zwłaszcza przeprawę przez kanał. Teraz też nie jestem tego pewien. - Abbercombe też pociągnął z flaszki, zakorkował ją i schował z powrotem. - Jest! - oznajmił, wskazując ręką w górę rzeki. - To „Sokół”!

Zawrócił czwórką koni na niewiarygodnie małej przestrzeni i skierował się do przystani.

Do chwili gdy „Sokół” przybił do nadbrzeża, zebrało się już na nim sporo ludzi. Z kuchni niewielkiej portowej oberży dolatywał smakowity zapach świeżo upieczonego chleba, walcząc zwycięsko z rybim odorem - pamiątką nocnego połowu. Kapitan Dunleavy wyskoczył na ląd i ruszył w stronę książęcego powozu. W tej samej chwili Abbercombe zeskończył z kozła i skierował się do szkunera. Spotkali się w polowie drogi i uścisnęli sobie ręce. Potem udali się na statek, powierzając karą czwórkę i powóz opiece Fanninga.

Skoro tylko Abbercombe wszedł do kajuty, jego spojrzenie padło na Hartshorna. Książę rozpromienił się i uściskał go serdecznie.

- Bogu dzięki, Harry! Wyndham był przekonany, że już po tobie. Ranili cię?

- Głupstwo: kulka w kolanie. - Hartshorn uśmiechnął się od ucha do ucha. - *Madame Lavoisier* przesyła całusy. Kazała powtórzyć, że została wreszcie prababcią i będzie się opiekować *Angełique* i małym *le comte Antoine-Christophe*.

Abbercombe uśmiechał się tak promiennie, że w całej kajucie pojaśniało.

- Nie rozgryźli nikogo Z naszych ludzi, Harry! Nadal mamy otwarte pole do działania! Starsza pani znów ocalała nam tyłki!

- Psiakrew! Kiedy się wreszcie nauczę odróżniać zwykłe głądy od szyfrowanych wiadomości?! - zaśmiał się Hartshorn. - Myślałem, że starowinka chce się po prostu pochwalić, że *Angelique* doczekała się wreszcie syna!

- Tylko że *Angelique* ma już *Antoine'a*. Urodziła go trzy miesiące przed moim wyjazdem. A że przyszedł na świat w moim saloniku, nieźle wryło mi się to w pamięć!

Abbercombe przypomniał sobie nagle o obecności kapitana *Willburton-Smythe'a*, odwrócił się i ujrzał go siedzącego niepewnie na brzegu kapitańskiej koi. Wydawał się półprzytomny i bardzo słaby. Księżę podszedł do niego i zdjął z posłania płaszcz *Hartshorna*.

- Włóż to, Harry!

Rzucił mu okrycie przez całą szerokość kajuty, a ściągawszy własny płaszcz, pomógł *Willburton-Smythe'owi* włożyć go na siebie. Pospiesznie zapiął mu guziki i postawił kołnierz, po czym zwrócił się do *Hempsteada*:

- Pomóż Harry'emu dojść do powozu i wgramolić się do środka! *Robin* zatrzymał konie przy końcu nadbrzeża. My z kapitanem ruszymy pomalutku zaraz za wami.

W drodze powrotnej do Londynu *Hempstead* znalazł się na koźle obok księcia, podczas gdy *Fanning* wewnątrz powozu opiekował się jak mógł najlepiej *Willburton-Smythe'em* i *Hartshornem*.

- Należy ci się podziękowanie, *Geoff* - wycodził oficjalnym tonem *Abbercombe*, kierując konie na londyński trakt. - Sprawiłeś się znakomicie.

- Bardzo miło mi to słyszeć, milordzie, ale ja nic takiego nie zrobiłem. Przekazałem wiadomość od pana, a potem byłem z nimi na pokładzie, kiedy wypłynęli w morze, i tyle.

- Owszem, wypłynąłeś. Bez mrugnięcia okiem zaangażowałeś się w konflikt przemytników z akcyznikami, a w drodze powrotnej opiekowałeś się Hartshornem i kapitanem, co z pewnością nie było łatwe. Dunleavy powiada, że się nadasz. Ma rację! Przyznał, że jesteś odważny, godny zaufania i bystry. Pozyskałeś jego szacunek.

- Do licha! - Hempstead uśmiechnął się od ucha do ucha. - A ja przez cały czas myślałem, że dałby nie wiem co, żebym mu się nie pętał po pokładzie.

- Zapewniam cię, że będzie zaszczycony, gdy nadarzy się okazja, byś znów mu się pętał po pokładzie. Jeśli mi nie wierzysz, spytaj Hartshorna. - Abbercombe uniósł klapę w dachu powozu, umożliwiającą porozumienie z pasażerami. - No, jak tam, Robinie? Można trochę zwiększyć tempo czy musimy dalej wlec się jak za pogrzebem?

- Można szybciej, milordzie! - odkrzyknął Fanning.

Brudna jak nieszczęście twarz księcia rozpromieniła się uśmiechem, dobrze już widocznym w blasku wschodzącego słońca. Cztery pełnokrwiste konie puściły się szaleńczym pędem. Hempstead wpatrywał się z uwielbieniem w Abbercombe'a po mistrzowsku powodującego czwórka i doszedł do wniosku, że drugiego takiego jak on po prostu nie ma. Księżę z niezwykłą łatwością pokonywał niebezpieczne zakręty, bez wahania wymijał wszelkie inne pojazdy. Zwolnili tempo, dopiero wjeżdżając na ulice Londynu. Statecznym truchtem dotarli na Great Stanhope. Księżę zeskoczył z kozia, nim jeszcze konie stanęły na dobre, i rzucił lejce stajennemu, który wybiegł na podjazd, gdy tylko dał się słyszeć turkot nadjeżdżającego powozu.

Fanning pomógł Hartshornowi pokonać frontowe schody i wejść przez drzwi, które majordom rozwarł na oścież. Tuż za nimi postępowali Hempstead i Willburton-Smythe.

- Do „jaskini rozbójniczą!” - zawołał zamykający pochód

książę. - Dawson, poślij kogoś do kuchni... Nie, nie! Sam popędzę kucharza, żeby szykował dla nas śniadanie! A ty poproś panią Griffin, niech przygotuje pokój dla Harry'ego. Chwilę, Dawson! Czy panna Olivia i panią April nadal tu są? - rzucił pospiesznie szeptem, by pytanie nie dotarło do uszu kapitana Willburton-Smythe'a.

Majordom skinął głową potakująco.

- Nie wspominaj im, że już jesteśmy.

Wspólnymi siłami Hempstead i Fanning usadowili Hartshorna wygodnie na szeszlengu, a Willburton-Smythe'a na nieco spłowiełej sofie; książę tymczasem rozpałił ogień na kominku. Przez chwilę spoglądał w zadumie na wszystkie /męczone twarze i mamrotał coś pod nosem. Następnie obszedł cały pokój, zbierając porzucone byle gdzie płaszcze, pochylił się nad kapitanem i szepnął mu coś do ucha; na koniec udał się do kuchni.

- Nic wierzyłem, że ujrzę jeszcze rodzinne strony - wykrztusił Hartshorn - póki nie dotarły do mnie wieści, że „Łotr” mnie namierzył.

- Więc słynny „Łotr” to Abbercombe? - spytał słabym głosem Andrew Willburton-Smythe, usiłując się podnieść.

- A jakże - burknął Fanning, popychając kapitana z powrotem na poduszki. - Proszę leżeć spokojnie, póki nie podadzą herbaty. Nawet wtedy lepiej nie siadać, panie kapitanie. AJe coś gorącego dobrze panu zrobi.

Herbatę na srebrnej tacy wniósł wysoki, szczupły lokaj. Ustawił małe stoliki tak, by zmęczeni podróżnicy mieli do nich łatwy dostęp. Ledwie drzwi się za nim zamknęły, wkroczyło czterech innych służących, niosąc dwie umywalki, miednice i dzbany gorącej wody, a za nimi kilka pokojówek z masą czystych ręczników i jedna z ciepłym, puszystym kocem, którym troskliwie otuliła kapitana. Fanning zmył brud z rąk i twarzy, a następnie obmył kapitana. Hempstead i Hartshorn również chętnie skorzystali z możliwości umycia się - przynajmniej z grubsza. Kiedy umywalki zostały wyniesione, do „jaskini rozbójniczą” wjechały podgrzewane półmiski. Do powrotu Abbercombe'a wszyscy panowie byli



już najedzeni i nabrali nawet chęci do pogawędki, choć to jeden, to drugi nagle przysypiał w trakcie rozmowy.

- No to jak, Fanning? Kiedy się bierzemy do wydłubywania kulki z kolana Harry'ego?

Ujrzawszy wesołe błyski w oczach księcia, Robin wyszczerzył zęby i wzruszył ramionami.

- Jak wasza książęca mość ma ochotę, to można choćby zaraz.

- O, nie! - zaprotestował Hartshorn. - Po moim trupie! Nie dam nikomu ruszyć mego kolana, póki będziesz w pokoju, Abbercombe!

- Czemu? - spytał wyraźnie zainteresowany Hempstead. - Fanning wspaniale sobie poradził z ramieniem księcia!

- Owszem - westchnął lokaj. - I pewnie będę musiał odwalić całą robotę jeszcze raz, po tych wszystkich bijatykach, wspinaczkach, łożeniu po tunelach, zeskakiwaniu ze skał i po tej wariackiej jeździe!

- Do Robina mam pełne zaufanie - roześmiał się Hartshorn. - Ale do jego łotrowskiej mości ani trochę! I on dobrze wie, czemu! Sadysta, psiakrew! Jakbyś sobie złamał paznokieć, oberznąłby ci cały palec!

- Co też ty wygadujesz, Harry? - wymruczał słodkim głosem Abbercombe. - Jeszcze Geoff uprzedzi się do mnie przez twoje gadanie!

- A kto zarykiwał się ze śmiechu, kiedy mnie dźgnęli nożem? I radził Robinowi, że wygodniej będzie wbić trochę mocniej i wyjąć nóż z drugiej strony? A jak upadłem i miałem pęknięcie czaszki z jednej strony, to kto doradzał Robinowi trzasnąć mnie z drugiej, żeby ból się rozłożył równomiernie? A jak skręciłem sobie nogę w kostce, to kto zachęcał, żeby ją złamać, bo chce poćwiczyć zakładanie łubków?!

- Musisz przyznać, Harry, że wyjątkowa z ciebie łamaga: coraz to coś sobie rozbijesz albo zwichniesz. Ale bądź spokojny. Nie zamierzam namawiać Robina, by całkiem wyłamał ci kolano, to kula sama wypadnie. Mam tylko ochotę pogmerać w twojej ranie kozikiem.

- Potwór! - jęknął Hartshorn.

Nawet na twarzy kapitana Willburton-Smythe'a pojawił się błąd uśmiech, a Fanning o mało nie pękł ze śmiechu.

Abbercombe dopilnował, by Fanning w asyście Hempsteada zajął się kolaniem Harry'ego, sam zaś usiadł na krześle obok sofy i wpatrując się w leżącego na niej Willburton-Smythe'a, zagadnął:

- Pańska siostra i córka są na gorze. Pewnie jeszcze śpią. Czy chcesz, kapitanie, żebym je tu sprowadził?

- Nie! - odparł bez wahania Andrew.

- Tak właśnie myślałem...Wiesz, kapitanie, dla nich naprawdę nie ma znaczenia, żeś zgubił prawą rękę w trakcie podróży. Powitają z największą radością całą resztę!

Kapitan Willburton-Smythe zrobił wielkie oczy.

- Oryginalnie pan to ujął, milordzie! - mruknął.

- Co takiego?

- No... że zgubiłem rękę w podróży.

- A nie zgubiłeś, kapitanie? Nie przyszło ci to łatwo, bo jak znam Jean-Claude'a, robił, co mógł, żeby ją uratować. Nie ma zwyczaju iść na łatwiznę w takich wypadkach.

- On... on się naprawdę bardzo starał - przytaknął Willburton-Smythe i nagle zamilkł, uświadomiwszy sobie, jak dobrze książę jest o wszystkim poinformowany. - Psiakrew, „Łotrze"! Ty naprawdę wiesz wszystko o wszystkich! - wykrzyknął w osłupieniu.

Abbercombe roześmiał się.

- O wszystkim nie, ale staram się wiedzieć jak najlepiej. Bogu dzięki, że wezwano do ciebie akurat Jean-Claude'a, inaczej nie odkryłbym, gdzie jesteś. I że trzeba cię jak najprędzej stamtąd zabrać. Sporo ludzi się namozoliło, nim zdołaliśmy tego dokonać. A teraz gadaj uczciwie: naprawdę sądzisz, że utrata ręki uniemożliwi ci powrót do normalnego życia, Andrew? Mogę ci mówić po imieniu?

- Możesz mi mówić, jak ci się tylko podoba! Czyż nie za wdzięczam ci życia i wolności?

- Dobra, dobra! Odpowiedz lepiej na moje pytanie.

- Czuję się bez niej jak... jakiś osobliwy okaz. Potworek!

Nie mogę się pogodzić... Nie wiem, jak... jak się pokażę... April, Olivii, moim przyjaciołom...

- Inaczej mówiąc: boisz się, że nie zniesiesz ich litości, sztucznej obojętności, odwracania oczu, unikania pewnych słów?

- Jakich znowu słów? - spytał kapitan zaskoczony, że księżę rozmawia z nim tak otwarcie o koszmarze, który dręczył go od miesiąca.

- Zwykłych, utartych zwrotów w rodzaju „ręce opadają” albo „chwycić w ramiona”. Aż się wierzyć nie chce, ale ludzie powiedzą odruchowo coś takiego i potem mają ochotę zapaść się pod ziemię. Przez jakiś czas, Andrew, będziesz się wściekał za każdym razem! A potem nauczysz się cierpliwości. Tak, ty! Bo właśnie zdrowi są najbardziej przerażeni: umierają ze strachu, by nie sprawić ci bólu. Jesteś teraz wykończony i chyba zbiera ci się na gorączkę. Nie trać niepotrzebnie sił, martwiąc się na zapas. Za kilka godzin znajdziesz się we własnym łóżku, w otoczeniu najbliższych. Twój koszmar minął, nic ci już nie grozi.

Abbercombe pomógł kapitanowi ułożyć się znów wygodnie na sofie, okrył go kocem i dołożył węgla do ognia. Potem wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi

Kiedy Hartshorn zniósł szczęśliwie zabieg chirurgiczny i został opatrzony przez Fanninga, a następnie ciepłutko opatulony, Hempstead zaś udał się do lorda Wyndhama z wieścią o powrocie Harry'ego i kapitana Willburton-Smythe'a, Abbercombe schronił się w gabinecie, gdzie raczył się to portwajnem, to znów cygarem, krążąc nerwowo po pokoju. Usłyszawszy dyskretne stukanie do drzwi, burknął:

- Wejść!

- Panna Willburton-Smythe jest już po śniadaniu i prosi, by wasza książęca mość w wolnej chwili spotkał się z nią w złotym salonie - oznajmił dyskretnym szeptem Dawson.

Abbercombe zdusił niedopalone cygaro, odstawił kieliszek wina, odsunął niecierpliwie majordoma i wypadł na korytarz. Dopiero gdy znalazł się w złotym salonie i ujrzał miłą Olivii, dotarło do niego, że nadal ma na sobie ubranie, w którym wczoraj wieczorem wyszedł z domu.

-Och, Abbercombe! -zawołała Olivia i zerwawszy się z miejsca, podbiegła ku niemu, rozkoszne zjawisko w porannej sukni w kolorze żonkili, którą przyniesiono jej z domu, z ciemnymi włosami upiętymi w węzeł, z którego wymykały się niesforne kędziorki. - Dopiero teraz wróciłeś z Gravesend? O, moje ty biedactwo! - Dotknęła pieszczotliwie ciemnego siniaka na policzku księcia, który nagle uświadomił sobie, że choć trochę się obmył, daleko mu do przyzwoitego wyglądu. Dolna warga mu pękła, na czole widniało głębokie cięcie, a szczęka bolała jak diabli; była teraz zapewne sinozielona. - Usiądź koło mnie! - nalegała Olivia, biorąc go za rękę i prowadząc do pasiastej sofy. - Dawson powiedział, że koniecznie chcesz o czymś ze mną pomówić. - Jej cudowne oczy przyglądały mu się bacznie z widocznym współczuciem. - Nie wiem, jak ci dziękować za to, żeś pospieszył mi na ratunek. Byłeś... wspaniały!

-Ja... tego... Chciałem cię prosić o wybaczenie, Olivio - dukał ze smętną miną książę. - To przeze mnie uwikłałaś się w taką... pożałowania godną sytuację ubiegłej nocy. I... przeprosić cię za moje zachowanie.

Olivia ze skupieniem wpatrywała się we wzór na tureckim dywanie; robiła, co mogła, by powstrzymać się od uśmiechu.

- Za twoje zachowanie?!

- Tak, w tej cholernej dziurze, kiedy nie mogłem... i za wyjątkowo grubiańskie uwagi pod twoim adresem po tej idiotycznej bijatyce na dziedzińcu. - Abbercombe opadł ciężko na oparcie sofy, wyciągnął przed siebie nogi, wetknął ręce do kieszeni i westchnął. - Naprawdę jestem uparty jak osioł. A w dodatku okropny ze mnie gbur!

- Wiem! - odparła ze śmiechem Olivia.

- No, tak... - kontynuował książę, nie zważając na jej chichoty. - Naprawdę bardzo mi przykro, że cię obraziłem, i mam nadzieję, że mi wybaczysz. Bo chyba mi wybaczysz, kiedy się wreszcie, psiakrew, przestaniesz śmiać?!

Olivia odetchnęła głęboko, raz jeszcze zachichotała i skinęła poważnie głową.

- Bardzo ci dziękuję. Postaram się na przyszłość zachowywać jak należy.

- Och, Abbercombe! Nigdy w to nic uwierzę! Przecież ty nie masz pojęcia, jak się należy zachować! - Olivia uśmiechnęła się do niego i zerknęła spod rzęs. - Spójrz tylko na siebie! Nawet w zamierzonych dniach twojej młodości żaden dżentelmen nie ważyłby się pokazać damie w tak opłakanym stanie! Nawet się nie ogoliłeś!

- No bo... widzisz, wszystko szło jak z płatka, więc mi na myśl nie przyszło gapić się w lustro! Po prostu musiałem zobaczyć się z tobą jak najprędzej! Załagodzić wszystkie nieporozumienia między nami. Nie chciałbym cię stracić... to znaczy, utracić twojej przyjaźni, Olivio.

- Nie utraciłeś mojej przyjaźni i nie zanosi się na to, żebyś ją stracił. Nie wiem, jak to się dzieje, ale ani rusz nic mogę się do ciebie zrazić.

- To dobrze! - odetchnął z ulgą Abbercombe. - Mam szczęście!

- Co cię tak cieszy?

- To, że nic cię do mnie nie zrazi. Muszę ci coś powiedzieć, Olivio.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Jeszcze coś?

- Udało mi się odnaleźć twego brata.

- Och! - Zakryła usta rękoma. - Czy on... żyje...?

- Pewnie, że żyje!... Tylko... nie jest w najlepszej formie. - Abbercombe siadł prosto, a potem przesunął się na sam brzeg. Oparł ręce na kolanach i spoglądał niespokojnie na Olivię. - Twój brat, kochanie, stracił rękę... - Gestem nakazał jej milczenie. - Mówię ci to od razu, żebyś nie okazała przerażenia na jego widok. On tak bardzo potrzebuje pewności, że jest nadal kochany i potrzebny! Nie rozczulaj się, broń Boże, nad jego kalectwem! Znajdziesz go na dole, w „jaskini rozbójniczą”.

Olivia natychmiast zerwała się i pomknęła korytarzem w stronę schodów. Książę podniósł się powoli i wielkimi krokami ruszył w kierunku pokoju śniadaniowego. Skorzystał

z panującego tam zamieszania i zajmą miejsce obok April, zaczął jej coś szeptać do ucha. Siedząca naprzeciw nich lady Valc śledziła grę uczuć na twarzy dziewczyny: zdumienie, przerażenie, podniecenie, radość... Z cichym piskiem April zerwała się z krzesła i wybiegła z pokoju.

- Coś jej powiedział, tatusiu? - spytała zdumiona Amaryllis.

- Ze jej ojciec jest na dole, w „jaskini rozbójniczą”.

- Och, Cash! Udało ci się sprowadzić go do domu! - wykrzyknęła hrabina Vale. - Wiedziałam, że dopniesz swego... choć nie miałam pojęcia, jak zdołasz tego dokonać!

- Czy znalazłeś także Harry'ego, tatusiu? - spytał Christian.

- Tak, Harry jest na górze. Leży w łóżku i pod żadnym pozorem nie wolno mu przeszkadzać, zrozumiano?! Musi się wyspać.

- Harry wrócił! Harry wrócił! - zaczęli wyśpiewywać na cały głos Ethan i Frazier. Gracie i Helen zerwały się z krzesła i klaskały do taktu. Amy i Beth obiegały stół dokoła, by rzucić się ojcu na szyję, a Christian i Damian z powagą dorosłych (niemal) mężczyzn uścisnęli mu prawicę.

- Byliśmy pewni, że ich wyciągniesz, tato! - oświadczył Damian z szerokim uśmiechem.

Kiedy wreszcie kapitan Willburton-Smythe, ciepło opatulony, znalazł się we wnętrzu książęcej karety, pod czułą opieką Olivii April, a stangret wyjechał za bramę i skierował się ku Park Street, Abbercombe, którego od rana rozpieła energia, postanowił ją wreszcie wyładować. Udał się do stajni, osiodłał Dokata i skierował się ku zachodniej bramie Hyde Parku.

Znalazłszy się tam, ku zdumieniu nielicznych o tej porze spacerowiczów, pozwolił się wyszaleć srokatemu dziwołagowi. Pokonywali ogrodzenia, rowy i żywopłoty z taką lekkością i gracją, że nikt, kto miał okazję podziwiać ich podniebne loty, nie mógł powstrzymać się od okrzyków zachwytu. Wreszcie niezwykły jeździec skłonił konia do przejścia z galopu w kłus. Do domu wracali stępa. I koń, i jeździec wydawali się z lekka oszołomieni, jakby zwycięsko stawili czoła szczepom Indian, którzy właśnie wstąpili na wojenną ścieżkę.

Stojąc pod drzwiami sypialni brata, Olivia czekała w napięciu, kiedy doktor Howard skończy go badać. Wreszcie medyk wyszedł i wzięwszy Olivię pod ramię, zaprowadził ją do saloniku na końcu korytarza.

- Jest na najlepszej drodze do odzyskania zdrowia, droga pani! Chirurg, który go operował, spisał się na medal!

- Ale Andrew robi wrażenie ciężko chorego...

- Ma trochę gorączki i jest oczywiście bardzo osłabiony. Pacjentowi po tak ciężkim zabiegu w normalnych warunkach żaden lekarz, nie pozwoliłby wstać z łóżka, a tym bardziej narażać się na trudy, z którymi pani brat borykał się w ciągu ostatnich kilku tygodni. Powinna pani zatrzymać go w łóżku, by wreszcie mógł odpocząć.

Dostrzegając niepokój w oczach Olivii, lekarz zapewnił ją, że zjawi się nazajutrz po południu, i poklepawszy uspokajająco jej dłoń, wyszedł.

Olivia powtórzyła April wszystko, co mówił doktor Howard.

- Jak myślisz, ciociu, czy mogłabym pójść do tatusia i trochę przy nim posiedzieć? Nie będę go męczyć!

Olivia uśmiechnęła się i wyraziła zgodę skinieniem głowy. Po wyjściu bratanic) zasiadła w fotelu i obserwowała przez okno zbierające się chmury. Niewiarygodne, że zbawcą jej brata okazał się Abbercombe - łotr o nieodwracalnie zasarganej opinii! Miała wobec niego ogromny dług wdzięczności! Ostatnia rzecz, jakiej mogłaby się spodziewać w życiu! ...Nie, to nieprawda! Największym zaskoczeniem było to, że zakochała się w nim po uszy.

Stanął jej przed oczyma Abbercombe taki, jakiego widziała podczas ostatniego spotkania: nieogolony, brudny, istny obraz nędzy i rozpacy. Esther Dowling wspomniała, że ksią-

żę nalegał, aby w ostatniej akcji brała udział kobieta, tak by reputacja panny Willburton-Smythe nie doznała uszczerbku. Przypuśćmy jednak, że zostałaaby skompromitowana. Czy wówczas księżę oświadczyłby się jej, żeby mogła wyjść z tego z honorem.-? A czy ona przyjęłaby takie oświadczyzny...? Olivia wstała i zaczęła nerwowo krążyć po pokoju. Z całą pewnością jest i zawsze była osobą niezależną. Z całą pewnością nie potrzebowała do szczęścia ani fortuny Abbercombe'a, ani jego opieki! I z całą pewnością nigdy nie poślubiłaby mężczyzny, który oświadczyłby się jej z musu, wmówiwszy sobie, że z jego winy została skompromitowana!... A jednak... jakże pragnęła mieć go przy sobie, tonąć w jego objęciach, czuć jego wargi na swoich... związać się z nim na zawsze... Zebrawszy wszystkie siły, Olivia odpędziła od siebie głupie myśli i postanowiła zajrzeć do brata.

Przez następny tydzień spędzała dni i noce przy jego łóżku. Doktor Howard przychodził codziennie, by zmienić opatrunek i dopilnować, by pacjent zanadto się nie przemęczał. Czasami Andrew mamrotał coś przez sen; raz nawet zaczął krzyczeć, ale po przebudzeniu nie mógł lub nie chciał powiedzieć siostrze, co go dręczyło we śnie.

- Wojna, moja droga. - Tylko tyle zdołała z niego wydobyć. - Wkrótce o tym zapomnę, Liwy. Nie przejmuj się byle czym.

Olivia wiedziała jednak, że był bardzo przygnębiony. Obie z April dokładały starań, by zainteresować go książkami, które czytały mu na zmianę, lub ploteczkami o znanych mu ludziach. Gdy jednak nikt na niego nie patrzył, oczy Andrew traciły blask i uśmiech zniknął z twarzy.

We czwartek lord i lady Denbigh wpadli w odwiedzinę, Bastian rozmawiał z chorym przeszło godzinę, a w tym czasie jego żona starała się rozweselić Olivię i April. W piątek, ku zdumieniu Olivii, zjawili się lord Worth i pan Brummell i zabawiali chorego przez godzinkę. A w sobotę, gdy Laslow otworzył drzwi frontowe, wkroczył przez nie Geoffrey Hempstead. Spędził zaledwie kawadrans w towarzystwie April i poprosił, by zaprowadzono go do kapitana.



- Nie sędzę, panie Hempstead, żeby to była odpowiednia pora na... - zaczęła skonsternowana Olivia.

- Łaskawa pani nie zrozumiała moich intencji - przerwał jej Geoffrey. - Ani myślę oświadczać się w tej chwili o rękę panny April. Chciałbym tylko zamienić kilka słów z panem kapitanem i zobaczyć, jak się miewa.

Olivia zaprowadziła więc Hempsteada do pokoju brata. Była kompletnie zaskoczona, gdy Andrew przywitał gościa jak starego przyjaciela i wyjaśnił jej, że ten oto młodzieniec opiekował się nim na pokładzie „Sokoła”. Dyskretnie zachęcany przez Geoffreya Andrew po raz pierwszy opowiedział siostrze i córce o tym, jak został uwolniony z lochów zamku Sarvi-gnon, następnie przeszwarcowany przez linie wroga na wybrzeże (razem z Harrym Hartshornem), skąd na statku przemytników „Mary Beth” przybyli na Anderley; ostatni odcinek podróży morskiej spędzili na pokładzie „Sokoła”, a w Gravesend czekał już powóz, by zawieźć ich bezpiecznie do domu.

- Nie zdołałbym wymienić - zakonkludował szeptem - wszystkich ludzi, którzy przyszli nam z pomocą. Czasem zdaje mi się, że były ich setki; a każdy z nich ryzykował życie. Pytałem niekiedy, dlaczego udzielili pomocy nieznanemu. Odpowiadali, że prosił ich o to „Łotr”. Słyszałem o nim już wcześniej - dodał kapitan, spoglądając na Hempsteada - ale miałem nieszczególną opinię o szpiegach. Sądziłem, że są to chciwcy i tchórze, kupczący tajemnicami dla osobistego zysku. Byłem w wielkim błędzie.

Usczęśliwiona, że Andrew wreszcie zdobył się na szczerą rozmowę o swoich przeżyciach, Olivia dziękowała w duchu Hempsteadowi i wszystkim, którzy dołożyli starań, by przywrócić jej bratu poczucie bezpieczeństwa i rozproszyć jego lęk przed konsekwencjami kalectwa.

W niedzielę po południu Andrew uparł się, że przejdzie do salonu. Usadowiono go tam wygodnie przy kominku. Ponieważ słońce świeciło jasno, Olivia odsłoniła okna w nadziei, że piękna pogoda poprawi nastrój rekonwalescentowi. April zasiadła przy fortepianie i miała właśnie zagrać ojcu wiązanekę popularnych melodii, gdy w drzwiach ukazał się

Laslow z szerokim uśmiechem na surowej zazwyczaj twarzy.

- Goście do pana kapitana - oznajmił. - Ale chcą się upewnić, czy pan kapitan nie boi się niedźwiedzi.

- Czy nie boję się niedźwiedzi?! - wykrzyknął Andrew, unosząc brwi ze zdumienia. - Któż to może być, Laslow?

- Ten... ekscentryczny ksiązę panny Olivii - wyjaśnił major-domus, z trudem odzyskawszy powagę. - Z całą rodziną.

- Ksiązę panny Olivii...? No, cóż... Poproś, oczywiście, by weszli - polecił kapitan i spojrzał pytająco na córkę, która zaczęła chichotać.

Najpierw pod opieką Laslowa pozostawiono w hallu imponującą ilość okryć, rękawiczek, kapeluszy i lasek. Potem rozległy się chichoty, szepty i tupot nóg na schodach, następnie na korytarzu dało się słyszeć szuranie i piski... i wreszcie w drzwiach salonu ukazała się cała rodzina. Na przedzie Gracie i Helen w czerwonych aksamitnych sukienkach z koronkowymi kołnierzykami i mankietami, z jaskrawo-czerwonymi kokardami w jasnych loczkach. Dziewczynki trzymały wspólnie wyjątkowo długą smycz. Znajdujący się na jej drugim końcu Miś pierwszy wskoczył do salonu; był wyraźnie pod wrażeniem rozmiarów pokoju i miał szczerzy zamiar wyrzucić tu wszystko do góry nogami. Tuż za tą strażą przednią stali Ethan i Frazier, niezwykle wytworni w sportowych ubrankach z granatowej wełny z dużymi mosiężnymi guzikami. Zza pleców młodszego rodzeństwa starsza czwórka - Amy i Beth, Christian i Damian - odziana w najelegantsze wizytowe stroje uśmiechała się od ucha do ucha.

- Wejdźcie, moi kochani! - zapraszała Olivia, z radością dostrzegając zainteresowanie na twarzy nieco oszołomionego brata.

- Wchodźcie, wchodźcie! Przedstawię was mojemu tatu-siowi. - April stanęła za fotelem ojca.

Gromadka młodych Denbighów zbliżyła się do kapitana i powitała go ukłonami i dygami. Każde z nich zostało uroczyście przedstawione. Kiedy jednak formalnościom stało się zadość, Miś warknął i przypuścił szturm na ranne pantofle kapitana.

- Nie, Misiu, nie!!! - pisnęła Helen i zasłoniła przed nastnikiem pantofle Andrew, przysiadając na jego stopach.

Na widok tej nieoczekiwanej przeszkody Miś szczechnął i dał nura pod fotel, by zaatakować kapitańskie pięty.

- Misiu, wracaj! Misiu!!! - nawoływała piskliwie Gracie. Widząc jednak, że nic to nie daje, wpełzła pod fotel za szczeniakiem. Wówczas Ethan jęknął głośno i padł na czworaki, by odplatać smycz, która owinęła się wokół nóg fotela i oplatała Helen i Gracie. Tymczasem Frazier podczołgał się do fotela z drugiej strony. By wywabić Misia z kryjówki, machał ostentacyjnie przed psim nosem chwaścikiem, stanowiącym niegdyś ozdobę butów taty. Szczeniak skoczył w stronę nowej zabawki, oplątując przy tym smyczą nie tylko Frazier, ale Christiana i Damiana.

- Ratunku! Ratunku! - wołał Frazier, zanosząc się śmiechem i przewracając się na wznak. - Miś trzyma nas wszystkich na smyczy!

Amy, Beth i April, chichocząc jak szalone, rzuciły się na pomoc. Nie minęła nawet sekunda i podcięci smyczą Chris i Daymee zwalili się na kolana. Olivia usłyszała, że Andrew wprost się zaśmiewa. Ona sama aż się popłakała ze śmiechu. Obserwujący całą scenę od progu Abbercombe obdarzył Olivie szerokim uśmiechem.

- Widzę, że moja gromadka zrobiła, jak zwykle, potężne wrażenie - odezwał się donośnym głosem. - Czy my także możemy wejść?

Olivia skinęła głową; odebrało jej nie tylko mowę, ale i dech. Swobodnym krokiem książę wszedł do salonu w towarzystwie wyjątkowo przystojnego młodzieńca z włosami w kolorze jesiennych liści i piwnymi oczyma; młody dżentelmen opierał się na hebanowej lasce.

- Widzę, dzikusy - zwrócił się ze śmiechem do dzieciarni - że w dalszym ciągu nie nadajecie się do życia w cywilizowanym świecie!

- Czy mogę, Olivio - książę stanął obok niej - przedstawić ci pana Harry'ego Hartshorna? Pozwól, Harry: panna Willburton-Smythe.

- Więc to pan zdołał zbiec z Francji razem z moim bratem? - Olivia w jednej chwili spoważniała. - Tak się cieszę, że mogę pana poznać! Proszę siadać, panie Hartshorn... Abbercombe...?

- Chwileczkę, Olivio. Muszę najpierw oswobodzić Andrew od tej hałasty! - Ze zręcznością świadcząca o długoletnim doświadczeniu Abbercombe odpiął smycz od obroży Misia i oswobodził po kolei Daymee, Chrisa oraz rozchichotaną April, Amy i Beth, które z niewprawnych ratowniczek stały się ofiarami szczeniaka. Następnie podniósł Helen, wytrwale osłaniającą stopy kapitana, wyciągnął Grace spod jego fotela i obie posadził na kolanach rekonwalescenta. Potem wyplątał ze smyczy Ethana i Frazierę, połaskotał obu i wzięwszy każdego pod pachę, zaniósł dubeltowe brzemie na środek salonu i złożył na dywanie obok szczeniaka.

- A teraz przez pół minuty kompletny spokój! - przykazał surowo i opadł na fotel z westchnieniem ulgi, ale z oczyma pełnymi śmiechu.

- Niezrównany pogromca... jak zawsze, milordzie! - podsumował Hartshorn z wesołym błyskiem w oku.

- Chyba jeszcze nigdy - odezwał się Andrew, czując się nieco niepewnie z dwojgiem dzieci na kolanach - nie było w tym pokoju tak rojno i gwarno.

- Nie panikuj, Andrew! - rzucił Abbercombe. - Grace i Helen mają już po sześć lat; nie spadną ci z kolan, jeśli się poruszysz, i nie rozbiją się jak porcelanowe lalki. Mam rację, moje serduszka?

- Pewnie, tatusiu! - pisnęła Helen, uśmiechając się nieśmiało do kapitana.

- No, właśnie! A teraz powiedz, Andrew, jak się czujesz? I czy możemy ci w jakiś sposób sprawić przyjemność? Zakładam, że zachowasz się kulturalnie i nie odpowiesz „wynosząc się stąd czym prędzej!”

Kapitan Willburton-Smythe wbuchnął śmiechem.

Popołudnie szybko upłynęło w rozgwarze dziecięcych głosów, przeplatanych szczekaniem Misia. Do ojca April zwracano się na przeróżne sposoby: „kapitanie Gilbujdasmyk”,

„panie kapitanku”, „kapitanie Gilu”, a nawet „kochany Smyku”. Tylko Christian i Damian - usiłując wynagrodzić mu nieostojną poufałość ze strony reszty Denbighów - zwracali się doń nieodmiennie „szanowny panie kapitanie”, dodając „tak jest” lub „wedle rozkazu”, gdzie się tylko dało. Gdy po raz pierwszy Helen spytała, gdzie pan kapitan schował jedną rączkę, a Ethan chciał się koniecznie dowiedzieć, w jakich okolicznościach oddzieliła się od reszty ciała, Olivii zaparło dech. Zraz potem Gracie wyraziła zdumienie, że nikomu nie przyszło na myśl, by oderwaną kończynę posmarować kłajstrem i przykleić z powrotem. Frazier natomiast wyraził pogląd, że rękę należało włożyć do skrzynki i sprawić jej należyty pogrzeb. Olivia nie wierzyła własnym uszom, kiedy Andrew przytaknął ze śmiechem, iż taki pochówek z pewnością wszystkim by się spodobał; żałował, że sam nie wpadł na ten pomysł.

- Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie zła, Olivio, za to straszne zamieszanie w salonie - zwrócił się do niej z uśmiechem Abbercombe, biorąc znów Misia na smycz. - Nie zrobiłbym tego, gdybym nie wierzył, że wyjdzie to Andrew na dobre. Nie sposób ubolewać nad własnym losem ani rozpaczać, kiedy ma się pod bokiem hordę ciekawskich dzieciaków! Muszę wyprowadzić Misia. Przejdziesz się z nami po ogrodzie?

Olivia skinęła głową na znak zgody i wsparła się na książęcym ramieniu.

- Wrócimy niebawem - oznajmiła bratu, który mrugnął do niej w odpowiedzi.

- Czy Hempstead odwiedził was w tym tygodniu? - spytał Abbercombe, gdy schodzili ze schodów.

- Owszem. Byłam zdumiona, dowiedziawszy się, że i on należy do osób, które udzieliły pomocy mojemu bratu.

Olivia odebrała z rąk majordoma wełnianą pelerynkę i pozwoliła, by Abbercombe okrył nią jej ramiona. Następnie zaprowadziła księcia bocznymi drzwiami do ogrodu warzywnego.

- Hurley i sir Ralph Richardson zamierzają zajrzeć tu jutro, o ile wiem - mruknął Abbercombe. - A kilku kolegów Andrew z pułku huzarów planuje odwiedziny w drugiej po-

łowie tygodnia. Musisz podjąć decyzję, czy twój brat ma dość sił, by znieść najazd koleżków z wojska. Nie traktuj go jednak jak słabeusza; Andrew to twardy chłop, sprosta najtrudniejszemu wyzwaniu. Sama się przekonasz, że mam rację.

Olivia wpatrywała się w księcia oczyma pełnymi łez.

- Co się stało, Olivio? - spytał łagodnie, zatrzymując się na ścieżce. - Nie płacz, proszę! Czy aż tak wyczerpało cię pielęgnowanie brata? A może żyłaś w takim napięciu, że teraz, gdy czuje się lepiej, całkiem się rozkleiłaś...? Bo chyba nie powiedziałem nic takiego, co ci sprawiło przykrość...?

- Nie, nie!... Po prostu straszna ze mnie płaksa! - Olivia uśmiechnęła się przez łzy. - Byłeś taki dobry dla April i dla mnie od pierwszego spotkania, a teraz... teraz zachowujesz się równie szlachetnie wobec naszego brata. To przecież ty wyznaczasz dyżury odwiedzających Andrew! Dzięki tobie Worth i Brummell złożyli mu wizytę. Skrzyknąłeś nawet jego kolegów z wojska! Z pewnością nie umiałabym... zbyt rozczulałabym się nad swoim bratem, gdyby nie ty...

Nie mogąc już powstrzymać łez, wtuliła twarz w jego tors i rozszlochała się na dobre. Książę objął ją ramionami i przytulił do siebie. Jedną ręką gładził ją delikatnie po plecach, w drugiej trzymał koniec smyczy.

- Moja najmilsza! - powiedział, gdy pochlipywanie ustało. - Zrobiłbym dla ciebie wszystko w świecie. - Oparł się brodą o czubek jej głowy i przycisnął Olivię do siebie z całej siły. Miała wrażenie, iż zaraz wtopi się w niego. Trwali tak całą wieczność.

- Jeśli się nie opamiętacie, i to szybko, ten szczeniak zwiąże was ze sobą na amen! - zakłócił ich błogostan czyjs burkliwy głos.

Olivia aż podskoczyła. Abbercombe wypuścił ją z objęć.

- No! Wreszcie krok w dobrym kierunku. - Starszy jegoś z krzaczastymi siwymi brwiami wyjął księciu z ręki smycz, którą byli oplatani, i zaczął ją odwijać. - Mam nadzieję, że nikt oprócz mnie nie był świadkiem tych... hmm... dość szczególnych zaślubin!

- Wujek Sully! - zawołał uradowany książę.

- We własnej osobie. Twoje szczęście, że to nie ciocia Margaret. Nawiasem mówiąc, jest w salonie i z pewnością głowi się, gdzie się podziewacie.

- Panno Willburton-Smythe - powiedział Abbercombe z szerokim uśmiechem - mam zaszczyt przedstawić mego ojca chrzestnego, lorda Wyndhama. Wujku Sully, to jest Olivia.

- Miło mi panią poznać, drogie dziecko - rzekł oficjalnym tonem, ale z uśmiechem dżentelmen w śliwkowym surducie i granatowych spodniach. - Czy mogę towarzyszyć pani do salonu? - Przekazał księciu smycz i podał ramię Olivii. Wsparła się na nim z nieco zakłopotaną miną. - Nie bądź taka skonfundowana, moja droga! Jestem pewien, że jeśli zaszło między wami coś niestosownego, to wyłącznie z winy Rudolpha.

- Skądże znowu!

- Coś takiego! - Wyndham zachichotał. - Pani próbuje ratować jego reputację?! Proszę raczej pomyśleć o swojej. Z jego dobrej opinii nie pozostały nawet strzępy!

- Co cię tu sprowadza, wujaszku? - spytał książe.

- Spotkałem w parku twoją ciocię Margaret. Wyraziła chęć zapoznania mnie z kapitanem Willburton-Smythe'em i z jego siostrą.

- Nie wygadasz cioci, że zajmowaliśmy się tu czymś więcej niż pilnowaniem Misia, prawda, wujku?

- Módl się, chłopcze, by nie wzięła mnie na spytki! Jakoś nigdy nie udało mi się jej okłamać.

Hrabia Stamford stał jak skamieniały. Jedyłą oznaką życia było lekkie drżenie nozdrzy. Twarz hrabiego mieniła się barwami: najpierw poróżowiała, potem stała się czerwona, a wreszcie przybrała wyjątkowo zjadliwy odcień purpury. Każdy jego mięsień był napięty, oczy wyłaziły z orbit.

- Usiądź, ojcze! - nalegał Kettering, starając się podprowadzić starszego pana do fotela. - Nie warto z byle powodu narażać się na atak apopleksji!

- Nie waż się wymieniać przy mnie jego nazwiska! Nigdy! - wybuchnął hrabia. Wszystkie jego muskuły nagle zwiotczały. Oczy wróciły na właściwe miejsce. - Nigdy, słyszysz?!

- Całe miasto cię słyszy - wycedził Bryan, rzucając bratu wymowne spojrzenie. - Siądźże wreszcie, ojcze!

Hrabia gwałtownie opadł na fotel i walnął pięściami w dębowe poręcze.

- Doprawdy, ojcze - mruknął Harcourt, napełniając kieliszki maderą - to już lekka przesada!

- Co ty tam wiesz?! - zbył go hrabia. Wziął z ręki syna kieliszek i opróżnił go w dwóch łykach. - Należ mi jeszcze!

David wręczył drugi kieliszek bratu i wznosząc ramionami, napełnił ponownie ojcowski kielich.

- Nie przyszliśmy tu po to, żeby cię denerwować, ojcze. Chcemy ci pomóc. Miranda i Thomas będą tu we wtorek i zabiorą cię ze sobą do Hollow Hills.

- Nie dam się zesaść na zieloną trawkę jak niesforny uczeń! Ani myślę wyjeżdżać z Londynu!

- Właśnie że wyjedziesz, ojcze, i powinieneś Bogu za to dziękować! - wrzasnął Harcourt tak donośnie, że Ketteringowi szczeka opadła. - Nie pojmuję, co w ciebie wstąpiło! Porwywasz pannę Willburton-Smythe, grozisz jej pistoletem! Nastajesz na życie księcia! Przecież ani ona, ani on nie wyrządzili ci żadnej krzywdy!

- Nie wyrządzili mi krzywdy? Żadnej krzywdy?! - zaprzeczył się Stamford, siorbując wina. - Najlepszy dowód, jaki z ciebie ignorant, młokosie! On zamordował Channinga, rozumiesz?! Rozwalił mu głowę świecznikiem! W dodatku od tyłu, podły tchórz!... I co? Każdy inny zadyndałby w Tyburn! Ale on nie! Książęcy synalek! Ulubieniec króla, niech go piekło pochłonie! Morderca, przeklęty morderca!... A teraz jeszcze miał czelność wrócić! Wytresował swoje córki, żeby kusiły moich synów, zgotowały im zgubę, tak jak on doprowadził do zguby mojego brata! - Ręką, w której trzymał kieliszek wina, uderzył z całej siły w poręcz fotela. Odłamki szkła rozprysły się na wszystkie strony, wino chlusnęło ciemnoczerwoną strugą.

Elijah Stone wpadł do salonu, za nim dwóch jego pomocników i jeden policjant. Sześciu krzepkich mężczyzn obeszła hrabiego na tyle, by można było usunąć białe



w dłoń odłamki szkła i opatrzeć ranę. Gdy hrabia nieco się uspokoił, Kettering posłał do apteki po laudanum. Zanim przyniesiono lek, Stamford siedział znów w ulubionym fotelu, a Stone, jego współpracownicy i policjant wrócili na swoje stanowiska przy drzwiach wejściowych.

Harcort krążył po pokoju, mamrocząc coś pod nosem.

- Czy nie rozumiesz, ojcze - powiedział wreszcie, zatrzymując się przed naburmuszonym hrabią - że byłąs teraz trupem albo gnił w Newgate, gdyby księżę nie zlitował się nad tobą?!

- Nie potrzebuję litości tego łajdaka!

- Ty doprawdy nic nie rozumiesz, ojcze - odezwał się Kettering, odstawiając buteleczkę z laudanum na niewielki kredens. - Nic a nic! On wcale nie polecił swoim córkom, by nas kusiły czy wiodły do zguby. Wręcz odwrotnie, robił, co mógł, byśmy z Davidem trzymali się z dala od nich. Zabronił mi uganiać się za Amy. Powiedział, że gdyby dotarło do ciebie, że zadurzyłem się w jego córce, straciłbyś rozum!

- Jak ja teraz spojrzę Beth w oczy, kiedy mój ojciec próbował co najmniej trzy razy ukatrupić jej tatusia?! - wykrzyknął Harcort.

Hrabia Samford jakby się zapadł w głąb fotela. Mamrotał coś pod nosem, łypiąc wściekle to na jednego, to na drugiego syna.

- Co mówisz, ojcze? - spytał Bryan, pochylając się nad nim. - Nic nie rozumiemy.

- Powiedziałem, że chciałbym poznać córki tego łajdaka!

- Po moim trupie! - wykrzyknął David.

Kettering wyprostował się, ujął brata za ramię i odprowadził w drugi koniec pokoju.

- Myślę, że Abbercombe miał słuszność. Powinniśmy wezwać lekarza... wiesz, jednego z tych, co opiekują się biednym Hreczkosiejem,

- Bo ja wiem...? Niewiele mu do tej pory pomogli, Bry. Skąd pewność, że pomogą ojcu?

- Warto spróbować, nigdy nic nie wiadomo.

- W porządku - zgodził się Harcort. - Pogadamy na ten temat z Mirandą i z Tomem. Jeśli będą tego samego zdania.

postaram się o medyka, który wyjedzie razem z nimi na wieś. Ale przyznam otwarcie, nie wierzę, żeby to wiele dało.

Kiedy się odwrócili, by pożegnać się z ojcem, ze zdumieniem ujrzeni pusty fotel. Kipiąc z gniewu, David podbiegł do drzwi salonu i otworzył je energicznym szarpnięciem.

- Stone! - wrzasnął. - Czy hrabia poszedł na górę, do jadalni?

Elijah Stone, który opierał się plecami o drzwi frontowe, wyprostował się natychmiast.

- Gdzie miał iść, milordzie?

- Na górę, Stone!

- Nie ruszył się ani krokiem z salonu. Musi tam być!

- Przecież mówię, że go tu nie ma! Owszem, był jeszcze przed chwilą, ale...

Harcort spojrzął na brata i obaj wrócili pędem do salonu. Stone i Alfie deptali im po piętach. Ani śladu hrabiego!

- Niech to wszyscy diabli! Nie rozpułynał się przecież w powietrzu! - jęknął Bryan. - Ojczce, gdzie jesteś? Odezwij się, do diabła!

Kiedy nie doczekali się żadnej odpowiedzi, Stone posłał Alfiego, by ogłosił pogotowie dla całej grupy, sam zaś udał się na obchód posesji. Tymczasem Esther Dowling i policjant, wspomagani przez Ketteringa i Harcorta zaczęli przeszukiwać dom. Pomagała im ta część służby, która nie maczała palców ani w porwaniu Olivii, ani we wcześniejszych zakusach na życie Abbercombe'a, i skutkiem tego nie została zwolniona. Po upływie kwadransa wszyscy zyskali pewność, że hrabiego Stamforda nigdzie nie ma. Wyglądało na to, że istotnie rozpułynał się w powietrzu. Skonsternowany policjant udał się do najbliższych położonych domów, by spytać sąsiadów, czy nie widzieli hrabiego gdzieś w pobliżu.

- Wracać migiem do Fielding House i nie spuszczać z oka księcia ani dzieciaków, aż złapiemy tego pomyleńca! - polecił swym pomocnikom Stone.

Harcort i Kettering postanowili wrócić do swego mieszkania i z pomocą Hempsteada szukać ojca w klubach, do których należał, oraz w rezydencjach jego dawnych przyjaciół.

- Jak myślisz, czy nasz stary wylazł oknem? - spytał Bryan, wsiadając do kariolki brata.

- Nie mam pojęcia! - burknął rozsierdzony David. - Ale jak tylko go dopadnę, osobiście zataszczę do Bedlam!

- Nie myślisz chyba, że urwał nam się, żeby zabić Abbercombe'a?

- Owszem, tak właśnie myślę. Nie tylko ja; policjant i Stone są tego samego zdania. A ty nie, Bry?

- Nie! Nasz ojciec nie jest aż tak głupi! Ten jego poprzedni zamach był sprytnie zaplanowany. Przez ostatnich osiem dni pewnie znów główkował. Myślisz, że się nam wywinął na poczekaniu? Założę się, że wszystko ukartował z góry!

Hrabia Stamford stał bez ruchu w niewielkim schowku za boazerią. Nie dolatywały do niego żadne dźwięki, postanowił jednak odczekać jeszcze chwilę. Na szczęście, żaden z jego synów nie wiedział o tajnej skrytce za fotelem. Miranda oczywiście wiedziała: obie z matką zadreczały go kiedyś, by kazał ją obstalować ze względu na zabytkowy zegar. Był zbyt cenny, by go zostawić pod płóciennym pokrowcem, ilekroć wyjeżdżali na całą zimę. Na szczęście, hrabia dopilnował, by skrytka była całkiem pojemna; prócz zegara mogły się pomieścić w schowku dwie osoby. Łatwo było tu zniknąć, równie łatwo stąd się wydostać. Hrabia zachichotał, ale zaraz zamilkł. Jakie to jednak zabawne, że niegdyś tak wyrzekał na tę niepotrzebną inwestycję - a teraz ma z niej pożytek! I to jaki!

Kiedy poczuł, że nie wytrzyma w dusznej klitce już ani chwili dłużej, bez trudu uchylił sekretne drzwiczki i wyrztał ostrożnie. W pokoju było pusto. Na paluszkach zszedł do głównego hallu, wziął kapelusz, rękawiczki i laskę, i niezauważony przez nikogo wymknął się frontowymi drzwiami. Postanowił, że pójdzie pieszo; wędrowka do stajni była dodatkowym ryzykiem, na które nie mógł sobie pozwolić. Pierwszy lepszy stajenny widząc go, podniósłby raban. Hrabia włożył cylinder na bakier, obciągnął płaszcz i z właściwą sobie arogancją wyruszył do Fielding House.

Kiedy godzinę później karetka księcia zajechała na dziedzi-

nieć, stała tam już - nieco z boku - kariolka wicehrabiego Harcorta. Frontowe drzwi były otwarte, Dawsona ani śladu. Polecivszy swoim pociechom, by nie opuszczały powozu, a Hartshornowi, by ich pilnował, Abbercombe wbiegł do domu. Zaraz potem lord Wyndham wynurzył się z landa lady Vale, również przykazując swej towarzyszce, by nie opuszczała powozu. Wszedłszy do książęcej rezydencji, starszy pan stanął jak wryty obok Abbercombe'a. Obaj przysłuchiwali się pilnie krzykom, przekleństwom i tupotowi nóg, starając się odgadnąć, skąd dobiegają te odgłosy.

- Chyba z pierwszego piętra, wujku - mruknął Abbercombe i popędził na górę. Wyndham udał się w jego ślady w znacznie wolniejszym tempie, ale z równym niepokojem. Hałasy dobiegały z biblioteki. Wpadając do niej, książę spodziewał się ujrzeć Bóg wie jaką bijatykę. To, co ujrzały jego oczy, było nie mniej zaskakujące. Hrabia Stamford stał wśród stosów porozrzucanych książek i trzymał w szachu Dawsona, Harcorta, Ketteringa, Hempsteada i kilku ludzi Stone'a za pomocą jednego z pojedynkowych pistoletów Abbercombe'a oraz zdobnego drogimi kamieniami sztyletu, którego książę używał jako nożyka do papieru. Zasapany lord Wyndham wymamrotał pod nosem kilka słów, które książę skwitował wybuchem śmiechu.

- Mylisz się, wujku Sully - zachichotał. - To nie jest jeden ze słynnych wieczorów w naszym rodzinnym gronie. Wolno spytać - zwrócił się do zebranych, unosząc brew - co tu się dzieje? - Odpowiedział mu zgiełk zagłuszających się nawzajem głosów. Abbercombe uciszył wszystkich, marszcząc brwi. - Ty mi to wyjaśnij, Kevinie! - polecił hrabiemu.

Ciemne, zimne oczy Stamforda zwały się natychmiast z lśniącymi oczyma księcia. Lufa pistoletu była teraz skierowana prosto w jego serce. Obrońcom Abbercombe'a zaparło dech; na szczęście, choć kurek był odwiedziony, palec hrabiego nie dotknął jeszcze cyngla.

- Wyjaśnij mi, co się tu dzieje, Kevinie - powtórzył Abbercombe łagodniejszym tonem.

- Przybyłem tu, by spotkać się z tobą - wycodził Stam-

ford. - Wygląda jednak na to, że próbujecie mnie pozbawić nawet tej wątpliwej przyjemności.

- Skądże znowu, Kevinie! O czym chciałeś ze mną pomówić?

- Każ wszystkim wynosić się stąd! - rzucił rozkazującym tonem Stamford.

- Nie, Kevinie. Tego nie uczynię. Ale ostrzegę ich, by nikt nie ważył się podnieść na ciebie ręki. Czy to ci wystarczy?

- Jak najbardziej. - Hrabia teatralnym gestem odłożył pistolet i sztylet na półkę za swoimi plecami i wymijając stosy leżących na dywanie książek, podszedł do Abbercombe'a. Zdjąwszy jedną z rękawiczek, trzepnął nią księcia po policzku.

- Harcort i Kettering będą moimi sekundantami - warknął - czy im się to podoba, czy nie!

Abbercombe skinął głową.

- Przysługuje mi prawo wyboru broni, nieprawdaż?

- Dobrze wiesz, że tak.

- A zatem pistolety. Wszelkie inne sprawy ustalą zaraz moi sekundanci.

Z głową dumnie podniesioną Stamford włożył znów rękawiczkę, wyminął księcia i wyszedł na korytarz. Harcort i Kettering wpatrywali się w Abbercombe'a, ogłuszeni i bezradni.

- Idźcie za nim - mruknął do nich książę. - Moi sekundanci skontaktują się z wami. Mam nadzieję, że uda mi się znaleźć Wortha. Harry nie wrócił jeszcze do zdrowia... Geoff, czy wyświadczysz mi tę uprzejmość? Zgodzisz się zostać moim sekundantem?

- Ja... tak... Oczywiście, milordzie - wydukał Hempstead.

- Doskonale. No, wracajcie do domu, do ojca, dzieciaki! A jeśli już mowa o dzieciach... po drodze powiedzcie moim pociechom, że mogą już wejść do domu. Lady Vane i Harry także. - Po tych słowach Kettering i Harcort spiesznie opuścili pokój. - No, zmykajcie stąd wszyscy! - książę zwrócił się do pozostałych. - Dawson, postaraj się o koniak dla Wyndhama, Hempsteada, dla mnie... i pewnie dla Harry'ego. Będziemy w moim gabinecie.

Kettering i Harcort odnaleźli ojca na dziedzińcu. Stał bez ruchu, nie odrywając oczu od książęcej karety. Gdy zatrzymali się obok niego, drzwiczki powozu otworzyły się i z wnętrza wyskoczył Christian. Znalazłszy się na ziemi, wyciągnął rękę, by pomóc przy wysiadaniu starszym siostróm. Zaraz za nimi wynurzył się Damian, a po nim Harry. Wszyscy dostojnym krokiem zbliżyli się do hrabiego Stamforda i jego synów.

- Wicehrabio - zwróciła się Bethany do Davida - czy byłby pan tak łaskaw przedstawić nas panu hrabiemu?

Z wahaniem, zdecydowani rzucić się na ojca, gdyby w czymkolwiek Denbighom uchybił, Harcort i Kettering dokonali prezentacji. Uściskawszy hrabiemu rękę, Hartshorn poprosił o wybaczenie i podszedł do landa, by pomóc wsiąść lady Vale.

- Jesteśmy bardzo radzi, mogąc poznać pana hrabiego osobiście - rzekła z uśmiechem Amy. - Pańscy synowie przynoszą panu prawdziwy zaszczyt, nic więc dziwnego, że zapragnęliśmy poznać ich ojca.

- Choć zdajemy sobie sprawę z tego, że panu hrabiemu nie spieszo do zawierania znajomości z nami - dodała z westchnieniem Beth.

Zaskoczony Stamford wybąkał, że jest oczywiście rad z poznania tak uroczych dam i dobrze wychowanych dżentelmenów. To oświadczenie przyprawiło jego synów o prawdziwy szok.

- Jest pan dla nas zdumiewająco łaskaw, milordzie - stwierdził Christian. - Dobrze wiemy o pańskiej tragedii, za którą ponosi winę nasz ojciec.

- O tak, panie hrabio. Zresztą my również przysporzyliśmy panu cierpienia - podjął Daymee. - Powrót do Londy-

nu był naszym pomysłem. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z konsekwencji podjętej przez nas decyzji.

- Jest nam doprawdy ogromnie przykro, panie hrabio - zakończyła Bethany z rozczulającą naiwnością.

W tym momencie lady Vale, wsparta na ramieniu Harry'ego dołączyła do towarzystwa i zażądała, by przedstawić ją ponownie hrabiemu, gdyż Kevin zapewne nie pamięta jej po tych wszystkich latach, które spędziła z dala od Londynu. Hartshorn po chwili skierował się w stronę domu w poszukiwaniu Abbercombe'a.

- Możemy już wyjść? - zawołał Ethan z okna powozu, przez które ryzykownie wychylała się Helen; Gracie wyłaziła przez drugie. - Tu nic można wytrzymać: niedźwiedz depce po wszystkim!

- Wrrr... Hau, hau! - potwierdził niewidoczny jeszcze Miś.

Stamford jakby przyciągany magnetyczną siłą utorował sobie drogę przez otaczający go tłum.

- Wsiadajcie! - powiedział i obserwował bacznie, jak Ethan i Frazier wyskakują na dziedziniec, a następnie pomagają wsiąść siostrzyczkom.

Miś wydostał się z powozu bez niczyjej pomocy i w podskokach ruszył za dzieciarnią. Następnie - z pewnym wahaniem - obwąchał buty hrabiego i przysiadłszy na kamieniach, spojrzał wyczekująco na nowego znajomego. Stamford przykucnął i poklepał szczeniaka po łebku.

- Jeszcze się nie znamy. Jak się nazywacie? - spytał, mierząc wzrokiem każde z dzieci. Gdy poznał już ich imiona i sam się przedstawił, cztery podniecone głosiki zarzuciły go informacjami na temat kapitana Gilbujdasmyka, który zgubił zagranicą rękę; opisami straszliwego głodu, nękającego całą czwórkę (i Misia), gdyż nie jedli jeszcze obiadu; naleganiami, by ich nowy przyjaciel, a także Wicek-grabie Charkot i pan Kataryna zjedli obiad razem z nimi, bo przy gościach są zawsze większe porcje tortu. Stamford odparł, że ogromnie mu przykro, ale on, Harcourt i Kettering muszą wracać do domu.

- Było mi bardzo przyjemnie - dodał, prostując się - poznać was wszystkich.

Uściskał z powagą dłoń Ethana i Fraziera, a ujrawszy wyciągnięte ręczki Gracie i Helen, pożegnał się z nimi tak samo jak z ich braćmi. Potem wszedł do kariolki Harcorta i czekał cierpliwie na synów, którzy również musieli się ze wszystkimi pożegnać.

Harry wszedł do gabinetu księcia, w chwili gdy lord Wyndham mieszał gospodarza z błotem.

- Przecież, głupi szczeniaku, nigdy w życiu nie miałeś w ręku pistoletu! A ze Stamforda strzelec zawołany! Jak mogłeś przyjąć wyzwanie tego typu?! Mamy przecież niepodważalne dowody, można go oskarżyć o usiłowanie zabójstwa! Ale nie, ty wolisz się z nim pojedynkować! I to na pistolety! Umywam ręce, Cash. Raz na zawsze.

Oszołomiony potokiem wymowy lorda Wyndhama Hartshorn opadł na ławkę obok Hempsteada.

- No, cóż... - odparł książę sztucznie niedbałym tonem, podając kieliszek koniaku Hartshornowi. - Nie mam najmniejszego zamiaru zabić Kevina, wujku Sully, więc jakie to ma znaczenie, czy jestem asem strzeleckim, czy patałachem?

- Potrafisz chociaż nabić pistolet? - warknął Wyndham.

- Nie potrafi, milordzie - odparł cicho Hartshorn.

- Rzeczywiście, nie potrafię - przytaknął Abbercombe. - Ale jestem pewien, że Worth albo Hempstead dadzą sobie z tym radę. Nie wyjdę więc na skończonego durnia. Tym razem pistolet będzie porządnie nabity.

- Czy to znaczy, że ten, którym Stamford wymachiwał w bibliotece, nie był nabity? - zdumiał się Geoffrey.

- Pewnie, że nie był! - wybuchnął Wyndham. - Ten szaleńiec nie ma w domu ani uncji prochu, nie mówiąc już o kulach!

- Ty również byś ich nie miał, wujku Sully, gdyby w twoim domu roiło się od ciekawskich i wszędobylskich dzieciaków. Myślisz, że miałbym ochotę patrzeć, jak jedna z moich pociech przystawia innej naładowany pistolet do głowy?! O, nie! Nie jestem amatorem aż tak silnych wrażeń! Mam wystarczająco dużo kłopotu z upilnowaniem dzieciaków, by nie



dobrały się do moich szabel i szpad. Ani chybi porąbałyby się albo poprzebijały nawzajem!

Kilka minut po tym, jak rozstała się z bratem na progu jego sypialni, Olivia stanęła oko w oko z tonącą we łzach April i przerażonym Hempsteadem.

- Wyjaśnij mi wszystko jeszcze raz, Geoffreju - wymamrotała. - Chyba źle cię zrozumiałam...

- Nie potrafię ująć sprawy jaśniej, łaskawa pani. Hrabia Stamford wyzwał księcia na pojedynek i księżę przyjął wyzwanie. Abbercombe wybrał pistolety, choć nie ma pojęcia o strzelaniu. Twierdzi, że jest to bez znaczenia, bo nigdy nie zamierzał strzelać do hrabiego. Wonh i Hartshorn wciąż próbują odwieść go od tego zamiaru, ale nie mam pojęcia, jak mogliby tego dokonać, kiedy nawet Wyndham nic nie zwojował.

- On zginie, cioteczko! - rozpaczła April. - Wiem, że zginie! Amy i Beth powiedziały mi, że ich tatuś nie może sobie wybaczyć, że spowodował śmierć Channinga Ketteringa. Właśnie dlatego chce służyć hrabiemu za tarczę strzelniczą! Och, Geoffreju! - szlochała, czepiając się klap jego surduta. - Musisz go od tego powstrzymać!

- Tak, to twój obowiązek - poparła ją Olivia. - Jesteś przecież jednym z jego sekundantów. Musisz położyć temu kres!

- Nie zdołam tego uczynić, łaskawa pani. Harcort i Kettering protestowali i błagali ojca, ale Stamford zawział się, że stanie z księciem twarzą w twarz w odległości piętnastu kroków, a księżę uparcie obstaje przy tym, by dać mu tę satysfakcję.

- Kiedy mają walczyć? - spytała Olivia z twarzą białą jak papier.

- Jutro o świcie. Wpadłem tu na chwilę i zaraz wyruszamy z księciem do oberży „Pod różą i koroną”; pojedynek odbędzie się na błoniu St. Charles's Glen, zaledwie o milę od tej gospody.

- A... Stamford? - spytała ze strachem Olivia.

- Mam wrażenie, że i on zjedzie dziś wieczorem „Pod różą i koroną”. Wszyscy jesteśmy zdania, że powinna pani po-

rozmawiać z księciem. Jeśli w ogóle kogoś posłucha, to najprędzej pani.

- Czy nie lepiej, by lady Vale albo dziewczęta...

- Nie, proszę pani. Książę kategorycznie zabronił nam poruszać ten temat w ich obecności. Pewnie by mnie wysmagał szpicrutą, gdyby się dowiedział, że panią niepokoję. Ale Harry... to znaczy pan Hartshorn i ja pomyśleliśmy...

- Słusznie pan postąpił, panie Hempstead, przychodząc z tym do mnie - oświadczyła Olivia, wysuwając podbródek z wyrazem determinacji. - A teraz niech pan wraca do Abbercombe'a. My z April naradzimy się, co robić.

Czując się po trosze zdrajcą, ale znacznie spokojniejszy Hempstead opuścił dom przy Park Street i powrócił do Fielding House. Worth poinformował go, że jak tylko książę ucałuje dzieci na dobranoc, niezwłocznie wyruszą w drogę.

Zaraz po wyjściu Hempsteda Olivia zadzwoniła na Laslowa i kazała natychmiast zaprzęgać. Pospieszenie spakowała kilka niezbędnych drobiazgów do pudła na kapelusze.

- Nie wiem, czego zdołam dokonać, April - powiedziała 7. lekka załamującym się głosem - ale z pewnością nie będę siedziała z założonymi rękami! W najgorszym wypadku rzucę się pomiędzy walczące strony. Przysięgam!

- Och, cioteczko! Nie rób tego! Przecież cię zabiją!

- Nie posunę się do tej ostateczności, jeżeli będzie inne wyjście - zapewniła ją Olivia. - Musisz pozostać tutaj i opiekować się ojcem. Zastanawiam się, czy... - Przerwało jej dyskretnie stukanie. - Proszę wejść! - zawołała.

- Jakaś młoda kobieta chce koniecznie zobaczyć się z jaśnie panią - obwieścił Laslow. - Czeka w salonie.

Olivia miała nadzieję, że to któraś z córek Abbercombe'a przybyła z wieścią o odwołaniu pojedynku. Jednak czekała ją niespodzianka.

- Esther! Panna Dowling! - zawołała, obejmując dziewczynę na powitanie. - Potrzeba mi właśnie kogoś takiego jak pani!

- Wiem, wiem... Zaraz sobie pomyślałam: a nuż się nadam... Byłam pewna, że nie pozwoli panienka swemu chłopu leżeć

na pewną śmierć bez nijakiego sprzeciwu! To żem przyszła do pomocy.

- Znakomicie! Pojedziemy razem „Pod różę i koronę” i tam wygramę księciu, co myślę o tym idiotycznym pojedynku!

Droga do oberży dłużyła się w nieskończoność. Serce Olivii wciąż trzepotało. Abbercombe nie może popełnić tego szaleństwa! Tylko że to do niego takie podobne... Z pewnością uważał takie rozwiązanie za słuszne: koniec idealnie pasował do początku tej zagmatwanej sprawy. W Elviesor mógł bezkarnie zabić hrabiego... ale tego nie zrobił. Nie pozwolił również oddać go w ręce policji. Winił tylko siebie za szaleństwo Stamforda. Ale wszystko ma jakieś granice! Przecież nikt nie poświęca własnego życia, by uspokoić chorobliwe wyrzuty sumienia! Cóż stałoby się z jego dziećmi? Ktoś powinien wybić Abbercombe'owi z głowy ten idiotyczny pomysł - najlepiej szpicrutą!

Zrozpaczeni Harcort i Kettering siedzieli w ogólnej izbie oberży „Pod różą i koroną”, wpatrując się w ogień. Zanim ich ojciec udał się do swego pokoju z butelką porto, zażądał, by oni - jako jego sekundanci - ustalili wszelkie szczegóły dotyczące godziny spotkania, odpowiedniego miejsca oraz środków transportu. Umówili się już z chirurgiem, aby zjawił się przed świtem. Z coraz większym niepokojem czekali na ów świt.

- Bez wątpienia zabije Abbercombe'a - odezwał się wreszcie Harcort z ciężkim westchnieniem. - Stary czy nie, ojciec jest najlepszym strzelcem w całej Anglii.

- Może księżę strzela równie dobrze, Davey.

-I to ma być pociecha?! Wtedy zginie albo ojciec, albo obaj. Abbercombe przyjął wyzwanie nie dlatego, że honor mu to nakazywał! Mógł roześmiać się ojcu w twarz i odesłać go do domu pod strażą Stone'a lub wezwać policję. Czemu tak mu zależy na pojedynku z pomyleńcem?!

Kettering westchnął i nachylił się do brata.

- Wiesz, co myślę, Davey? Że Abbercombe ma nierówno pod sufitem, tak samo jak nasz ojciec.

- Całkiem możliwe - odezwał się z tyłu znajomy głos. - Ale wiem z pierwszej ręki, że Abbercombe nie odda ani jednego strzału; waszemu ojcu nie spadnie włos z głowy.

- Co takiego?! - Kettering odwrócił się raptownie i spojrział w posępną twarz Brummella. - Chyba nie mówisz tego poważnie! A w ogóle, co ty tu robisz?

- Akurat rozmawiałem z Worthem, kiedy zjawił się Hempstead i spytał go, czy zgodzi się zostać sekundantem księcia. Do tej pory wieść o pojedynku rozeszła się pewnie po całym Londynie. Mogę się do was przysiąść?

- Jasne, Beau. Siadaj! - mruknął Harcourt. - Napijesz się brandy?

- Już się o nią postarałem - uśmiechnął się Brummell, unosząc rękę z kieliszkiem. - A więc, jakie macie plany? St. Charles's Glen o świcie, nieprawdaż? Możecie zawiadomić policję.

- Mylisz się, nie możemy - burknął Kettering. - Kodeks honorowy obowiązuje...

- To nie najlepszy pomysł - wymamrotał Harcourt. - Abbercombe był już raz deportowany... Gdyby go aresztowano za udział w pojedynku, diabli wiedzą, czym mogłoby się to skończyć.

- Bzdury! - wykrzyknął Brummell. - Cumberland pojedynkuje się na każdym kroku!

- Masz rację. Ale ostatecznie to brat Prinny'ego, członek rodziny królewskiej. Wątpię, by Abbercombe'owi okazano tyle względów.

Brummell usiadł na krześle i skrzyżował ramiona na oparciu, nie wypuszczając kieliszka z ręki.

- Moim zdaniem Prinny znacznie bardziej lubi i ceni Abbercombe niż Cumberlanda. Ale może masz słuszość. Może reputacja Casha jest aż tak zaszargana, że nawet dobre chęci księcia Walii nic by nie pomogły? A co z waszym ojcem? Czy jest jakaś nadzieja, że zrezygnuje z pojedynku?

- Żadnej! - odparli jednym głosem Harcourt i Kettering.

Bill Wentworth stał przy barze i słuchał pilnie, wycierając od kwadransa ten sam kieliszek. Wreszcie odstawił szkło, odłożył ścierkę i przywołałszy żonę, oznajmił, że musi na-

tychmiast wyjechać. Następnie udał się do stajni, osiodłał konia i ruszył w drogę.

- Tym razem wpakował się w jeszcze gorsze tarapaty! - mamrotał, podskakując na diabło niewygodnym końskim grzbiecie. - Najwyższy czas pogadać na rozum z Janie!

Olivia i Esther wtargnęły do oberży jak burza. Olivia poprosiła pełniącą obowiązki oberżystki panią Wentworth o udostępnienie im prywatnego saloniku i o przekazanie listu księciu Abbercombe'owi.

- Za przeproszeniem wielmożnej pani, nijakiego księcia u nas nie ma - odparła pani Wentworth. - Żeby tak zdrowa była! Jest za to hrabia. Stamford, zdaje się. Może on się paniusi nada?

- Nie, nie! - zaprzeczyła gwałtownie Olivia, którą ogarnął strach na samą myśl o spotkaniu z tym podlecem.

- Ale mamy fart: udało się nam prześcignąć księcia! - szepnęła Esther.

- Jestem pewna - zwróciła się znów do oberżystki Olivia - że książę Abbercombe zjawi się tu lada chwila. Jeśli skreślę kilka słów do niego, czy zechce pani oddać mu ten liścik?

- Ma się rozumieć, proszę jaśnie pani - zapewniła ją z uśmiechem pani Wentworth. - A tera zaprowadzę paniusie do naszego najładniejszego saloniku. I zara przyniesie pióro i kałamarz.

Już miały się tam udać, gdy nagle drzwi otwały się na roścież i do oberży wszedł Abbercombe, a za nim Worth i Hempstead. Książę stanął jak wryty. Zaraz jednak odwrócił się do oberżystki, udając, że nie dostrzega Olivii ani Esther. Panna Dowling trąciła Olivię łokciem, w jej oczach pojawił się wojowniczy błysk.

- Nie można chłopu przepuścić takiego numeru, pszepani! - szepnęła. - Musi mu panienka pokazać, że się nie boi, bo inaczej zawsze nią będzie-pomiatał!

- Wasza książęca mość! - przemówiła Olivia donośnym głosem. - Proszę o chwilę rozmowy.

Z rękoma w kieszeniach Abbercombe podszedł do niej, waląc butami o twarde deski podłogi.

- Słucham, panno Willburton-Smythe. O co chodzi?

- Oddano mi do prywatnego użytku mały salonik. Czy wasza książęca mość zechce udać się tam ze mną?

- Bardzo mi przykro, łaskawa pani, ale muszę się zająć wynajęciem pokoi.

Worth podszedł od tyłu do przyjaciela i położył mu rękę na ramieniu.

- Dobry wieczór, panno Willburton-Smythe... panno Dowling... pani Wentworth. Czy Bill jest gdzieś w pobliżu?

- Jak raz ni ma go w oberży, milordzie. Zajmnę się wszystkim, co trza, z miłą chęcią... ino najpierw pokażę paniom salonik.

- Chętnie poczekam, pani Wentworth. Idźże z panną Olivią, Abbercombe! Hempstead i ja wszystko załatwimy.

- To nie jest najlepszy pomysł - burknął książę, spoglądając na hrabiego niemal wrogo.

- A, rozumiem: obawiasz się, że ktoś mógłby uznać takie sam na sam za niestosowne? - wycodził Worth. - Jestem pewien, że panna Dowling z przyjemnością odegra rolę przyzwoitki.

- Pewnie, że z przyjemnością! - odparła Esther, dygając. - Po mojemu przyzwoitość to grunt!

- Doskonale! W takim razie idź z paniami, Cash, a kiedy skończycie rozmowę, znajdziesz nas na ogólnej sali; łyknijmy sobie piwa, zgoda?

- Bardzo proszę tędy, wielmożne panie, wasza książęca mość! - ponagliła ich oberżystka i nie dając księciu żadnej szansy wymigania się od rozmowy, zaprowadziła ich do salonu.

Oliwia przeszła na drugi koniec pokoju i wbiła wzrok w kwietny wzór na dywanie. Abbercombe podszedł do znajdującego się naprzeciw niej kominka i oparł się o jego gzyms. Pani Wentworth spytała jeszcze, czy ma podać coś do jedzenia, a otrzymawszy odpowiedź odmowną, opuściła pokój.

Esther Dowling stała pośrodku salonu, spoglądając to na Olivię, to na Abbercombe'a.

- Jakoś mi tu duszno - stwierdziła. - Panienska nie weźnie mi za złe, jak otworze te dźwi i trochę się przewietrze? Bede pod ręką, starczy kiwnąć palcem! - I nie czekając na odpowiedź, wyszła z pokoju, nie domykając francuskiego okna.

Olivia uniosła dumnie głowę i obróciła się, by sprawdzić, czy Abbercombe się nie ulotnił. Stał jednak na poprzednim miejscu i bez słowa mierzył ją wzrokiem.

- Nie chcesz usiąść, milordzie? - spytała półgłosem, wskazując fotel koło kominka.

- Dziękuję, wolę stać. Ale proszę zająć miejsce, *madame*.

- Nie popisuj mi się tu francuzczyzną! - zaprotestowała tonem urażonej królowej. - Od początku naszej znajomości mówiłeś mi po imieniu. Skąd teraz to pretensjonalne *madame*? Chcesz mnie w ten sposób ukarać?

Abbercombe odetchnął głęboko i wbił wzrok w buty. Po chwili podniósł głowę i spojrzał w płonące zielone oczy.

- Dlaczego sądzisz, że chciałbym cię ukarać, Olivio? Czyżbyś miała coś na sumieniu?

- Nie!

- Po coś tu przyjechała?

- Po co...?

- Właśnie, Olivio: po co? W jakim celu? Może chciałaś chwilkę odpocząć, nim odwiedzisz znajomych mieszkających w tej okolicy? Albo zależało ci na zdobyciu od pani Wentworth przepisu na jej słynny suflet? Wiele przyczyn mogło skłonić cię do zatrzymania się „Pod różą i koroną” właśnie dziś. Pewne jest tylko jedno: nie spodziewałaś się spotkania ze mną, bo z pewnością przygotowałaś sobie odpowiedzi na ewentualne pytania

Olivia przybrała władczą pozę. Niestety, nawet teraz sięgała księciu zaledwie do spinki podtrzymującej chustkę na szyi.

- Jeśli wasza książęca mość sugeruje, że powinnam była wymyślić sobie prawdopodobną bajeczkę i ściśle się jej trzymać...

Abbercombe ze ściśniętym sercem wpatrywał się w to zuchwale maleństwo w ciemnozielonym płaszczu. Wzięła się pod boki, zadarła bródkę... ale w jej oczach tyle było niepokoju, że z gardła księcia omal się nie wyrwał bolesny jęk. Wydęte w grymasie świętego oburzenia wargi aż się prosiły o pocałunki... Abbercombe tak się na nią zapatrzył, że nie słuchał,

co Olivia mówi. W pewnej chwili uświadomił sobie, że zadała pytanie i oczekuje od niego odpowiedzi.

- Proszę o wybaczenie... zamyśliłem się i nie dosłyszałem...

- Powiedziałaś, wasza książęca mość, że nie niżę się do kłamstwa. Powiem otwarcie, bez fałszywego wstydu, co mnie tu sprowadza: przybyłam, by powstrzymać cię od popełnienia samobójstwa.

- Mnie? Od samobójstwa?! Czyś ty zwariowała, Olivio?!

- Więc według ciebie pojedynek ze Stamfordem to nie samobójstwo, choć on jest znakomitym strzelcem, a ty nie masz pojęcia o strzelaniu?

- Nie, Olivio. To nie jest samobójstwo.

- Tylko co?

- Sąd boży.

- Sąd boży?!

- Tak, Olivio. Czy uważasz, że mam na to zbyt mało wiary? Nawiasem mówiąc, ty nie masz jej ani trochę, jeśli idzie o mnie.

- A niechże cię! - Olivia tupnęła nogą, ale puszysty dywan stłumił odgłos. - Wiem, do czego zmierzasz! To kompletna bzdura, niemająca nic wspólnego z wiarą! Chcesz pozwolić Stamfordowi, żeby cię zabił, bo czujesz się winny śmierci jego brata. Tylko taki postrzeleniec jak ty mógł uroić sobie coś podobnego! Ale nigdy nie zrozumiem, jak ktokolwiek - nawet ty - mógł przez te wszystkie lata traktować poważnie te bzdurne samooskarżenia! A teraz wystawiasz się na pewną śmierć absolutnie bez powodu, jeśli nie...

- Absolutnie bez powodu, jeśli nie liczyć tego, że przyczyniłem się do śmierci brata Stamforda i do konfliktu pomiędzy nim a jego synami? Czy to właśnie chciałaś powiedzieć, moja droga?

- Nie zabiłeś Channinga Ketteringa!

Jej spojrzenie paliło go żywym ogniem i gdyby nie zaciął się aż tak w swym uporze lub gdyby ich kłótnia dotyczyła czego innego, Abbercombe prawdopodobnie porwałby Olivię w ramiona i zakosztował jej wewnętrzznego ognia. Ale wspomnienie śmierci Channinga raz na zawsze utrwaliło się w jego umyśle i w tej sprawie nie mógł ustąpić.



- Powiem ci, co zrobiłem - warknął. - Odkryłem pewną spelunkę w pobliżu Seven Dials, gdzie za marną koronę każdy mógł wnieść się do nieba szaleńców na grzbiecie wściekłego Pegaza. Spróbowałem tych zatrutych rozkoszy i wciągnąłem Channinga w to gniazdo żmij. Jestem godnym pogardy rozpustnikiem, łajdakiem bez czci i wiary i wyrachowanym mordercą. To mnie zawdzięczał Chan swe upodlenie i hańbę. Przeze mnie godny szacunku dżentelmen przeobraził się w ohydny barbarzyńcę. Zabiłem Channinga na długo przedtem, nim ten przekłety świecznik rozłupał mu głowę!

Olivia z rozmachem uderzyła Abbercombe'a w twarz.

-Jak śmiesz! -wrzasnęła. -Jak śmiesz mówić o sobie takie rzeczy!

Książę rzucił jej arogancki uśmiezek, skłonił się lekko i wyszedł z pokoju. Olivia opadła na fotel przy kominku.

- Nie bierz sobie, paniusiu, tego aż tak do serca! - szepnęła Esther, wróciwszy do salonu. - Mało brakowało, a wygrałabyś z nim!

- Słyszałaś, co mówiliśmy...?

- Każdziutkie słowo!

- On... on czuje do siebie nienawiść. Uważa, że...

- Najważniejsze jest dla niego to, co panienka o nim myśli.

- Gdzie tam! - westchnęła Olivia. - Jesteś w błędzie, Esther. Zrobiłam z siebie kompletną idiotkę! I pogorszyłam tylko sprawę. Wszystko stanęło mu jak żywe przed oczami!

Abbercombe wszedł do ogólnej sali, chwycił kieliszek brandy podany przez Wortha, wychylił go jednym tchem, a potem cisnął pustym kieliszkiem tak, że roztrzaskał się o gzyms kominka.

- Mam nadzieję, że zarezerwowaliście oddzielny pokój dla mnie - powiedział zdławionym szeptem, rzucając koronę osłupiałemu posługaczowi - Przynies butelkę porto do mego pokoju.

- Cash...

- Daj spokój, Edwardzie. Wyjaśnij, jak mam trafić do mego pokoju. I zostaw mnie samego co najmniej przez godzinę. Dobrze?

Janie Coltrain opuściła przytulny pokój z kominkiem,

przy którym drzemał jej mąż. Zebrała fałdy długiej spódnicy i wgramoliła się na koński grzbiet za bratem, by po raz pierwszy od piętnastu lat pogalopować „po męsku”.

- Jesteś tego pewien, Willy? - spytała, gdy pasemka jej ciemnoblond włosów zaczęły na wietrze wymykać się z koka.

- Całkiem pewny, dziewczuszko. Odkąd przyjechali, tylko o tym gadają. A w jednym z pokoi na górze zatrzymał się hrabia Stamford. Wcześniej czy później zjawi się i księżę.

- W takim razie popędź szkapę, Willy! Nie przyjdzie mi łatwo ta rozmowa i chciałabym jak najprędzej mieć to za sobą. - Objęła brata w pasie i pogalopowali przez mrok „Pod różę i koronę”. Z głębokim westchnieniem Janie oparła się o plecy Willy'ego i w myśli układała sobie, co ma powiedzieć.

Pierwsze blaski jutrzeńki zabarwiły na różowo kłębki mgły okrywającej błonie St. Charles's Glen. Na poboczu drogi stały rzędem trzy powozy, puste i milczące. Hempstead i Kettering wymierzili krokami teren i sprawdzili, czy nie ma na nim przeszkód mogących spowodować potknięcie się i upadek. Długo debatowali nad tym, którą broń wybrać, ostatecznie zdecydowali się na pistolety hrabiego. Nabili je starannie. Brummell, z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu, rozmawiał po cichu z niziutkim chirurgiem, który dygocząc powtarzał, że jeśli już dżentelmeni muszą się pojedynkować, lepiej, żeby walczyli białą bronią.

Na skraju wytyczonego pola hrabia Stamford rozmawiał z wysoką niewiastą w średnim wieku, ubraną jak wieśniaczka. Połyskliwe, rdzawe włosy i piwne oczy tej kobiety dziwnie niepokoiły Abbercombe'a, który oddalony o dobrych kilka jardów, stojąc w niedbałej pozie, opierał się o dąb.

- Cóż to za kobieta stoi obok waszego ojca? - spytał szeptem Worth.

Harcort zerknął w stronę rozmawiającej pary.

- To siostra Billa Wentwortha.

- Co takiego? Siostra oberżysty?!

- Tak. Wczoraj wieczorem odwiedziła ojca w jego pokoju. Bardzo długo ze sobą rozmawiali. Nie miałem pojęcia, że oj-

ciec ma takie znajomości... ale uparł się, by towarzyszyła mu na błonie. O, idą Bryan i Geoff! Pewnie zaraz się zaczną.

Worth skinął głową i podszedł do stojącego na uboczu księcia.

- Jesteś pewien, Cash, że chcesz to ciągnąć? - spytał cicho.

Dobrze wiedział, jaka będzie odpowiedź, ale zadanie tego pytania było jego obowiązkiem; podobny obowiązek spełniał teraz Harcourt względem Stamforda. Abbercombe kiwnął tylko głową i wyprostował się. Wielkimi krokami przeszedł wraz z hrabią na środek wytyczonego terenu. Zważył w dłoni podane przez sekundanta pistolety i wybrał jeden. Stamford wziął do ręki drugi i obaj w milczeniu czekali, aż sekundanci cofną się poza zasięg strzału. Kiedy wszyscy się usunęli, książę i hrabia ruszyli w przeciwnych kierunkach. Brummell, który podjął się tej funkcji na własne życzenie, odliczał głośno kroki. Doszedł do dziesięciu, gdy nadjechał powóz panny Willburton-Smythe. Gdy Beau zawołał „dwanaście!”, Olivia wyskoczyła z powozu i niezauważona przez nikogo puściła się pędem po obrzeżu wytyczonego terenu. Esther Dowling biegła tuż za nią. Brummell, którego twarz nie była już pozbawioną uczuć maską, łamiącym się głosem zawołał „Piętnaście, w tył zwrot, og...”. Urwał w pół słowa; Olivia rzuciła się między rywali, pistolet księcia wypalił, a Esther wrzasnęła przeraźliwie.

Panna Willburton-Smythe wpadła na Abbercombe'a i oboje zatoczyli się do tyłu. Dymiący jeszcze pistolet wypadł księciu z ręki.

- Olivio! - zawołał rozpaczliwie, przyciskając ją do siebie z całej siły. - Olivio! Odezwij się! Czy jesteś ranna? Czy cię postrzeliłem?! Olivio!

Jego krzyk rozbrzmiewał jej w uszach, ale - podobnie jak szum morza dolatujący do uszu tonącego - był pustym dźwiękiem. Instynktownie objęła księcia za szyję i przywarła do jego piersi.

Kiedy wreszcie odzyskała dech, a echo rozpaczliwych krzyków Abbercombe'a przycichło, spojrzała w jego poszarzałą twarz. Poruszyła wargami, ale nie mogła dobyć głosu.

Wstrząsnęły nią dreszcze. Abbercombe chwycił ją na ręce i zaniósł na pobocze, gdzie Esther Dowling stała jak słup, z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczyma. Książę dał znak pozostałym, by się odsunęli, postawił Olivię na ziemi i chwyciwszy za ramiona, potrząsnął nią z całej siły.

- Mogłaś zginąć! - wrzasnął z gniewem. - Rozumiesz?! Mogłaś stracić życie! - I przyciągnawszy ją znów do siebie, zamknął w namiętym uścisku.

- Co mi po życiu? - wykrztusiła Olivia, kryjąc zapłakaną twarz na jego piersi. - Ty chcesz umrzeć, umrę i ja. Kocham cię, rozumiesz? Jak nikogo w świecie! Gdyby cię zabili, gdyby...

- Moja najdroższa - szepnął. - Ja też cię kocham. Tyle mam w sobie miłości, że to aż boli...

- Mój najmilszy...

- Ale nie mogę dłużej tak żyć, Olivio. Przez wszystkie te lata usiłowałem odkupić swój grzech... i dopiero teraz pojąłem, że to brat Channinga powinien mnie osądzić i ukarać lub uniewinnić. Wiem, że to dziwaczny pomysł... Ale Kevin i ja od lat cierpimy katusze... i nadal będziemy je cierpieć, jeśli nie starczy mi wiary i siły, by zdać się na jego sąd i zaakceptować jego wyrok

Ucałował Olivię w czoło, potem w oczy, a na koniec w usta, z namiętnością i tkliwością, których już nie ukrywał. Wreszcie, poleciwszy Esther, by jej pilnowała i trzymała ją z dala od linii strzału, pewnym krokiem wrócił na wyznaczone miejsce i podniósł z ziemi pistolet. Z bezużyteczną bronią w ręku stanął naprzeciw Stamforda.

- Jeśli chcesz ponownie nabić broń, Abbercombe - rzucił hrabia - nie zgłaszam sprzeciwu.

Książę wetknął lewą rękę do kieszeni i wzruszył ramionami

- Z tej odległości, Kevinie, nie trafiłbym nawet w słonia. Po co marnować kulę?

Stamford skinął głową, uniósł broń, wycelował i wypalił.

Towarzystwo, które zebrało się nazajutrz popołudniu w złotym salonie w Fielding House, było - ogólnie rzecz biorąc - nieco wytracone z równowagi. Lord Wyndham i kapitan Willburton-Smythe krążyli nerwowo po pokoju, lady Jessica i lord Sebastian siedzieli na sofie, a ich oczy biegały niespokojnie po pokoju. Worth zasiadł przy fortepianie i od niechcenia przebierał smukłymi palcami po klawiszach. Lady Worth stała za plecami męża, z dłońmi na jego ramionach. Spojrzeniem jednak błędziła gdzieś daleko. Brummell stał przed serwantką i przyglądał się przez monokl umieszczonym w niej bibelotom, które ani trochę go nie interesowały.

W innym kącie pokoju Harcourt, Kettering, Geoffrey i April siedzieli w milczeniu; każde zatopione w myślach. Zagłębiona w fotelu z wysokim oparciem Olivia wpatrywała się w kominek, a jej spoczywające na kolanach ręce poruszały się niespokojnie. Ulokowany obok niej, z chorą nogą na taborecie, Hartshorn przerzucał z ręki do ręki parę kostek do gry. Wszyscy byli do tego stopnia zadumani, że aż podskoczyli, gdy rozległ się ryk.

- Wrrreszcie was dorrwrwałem, drrrranie! Zapłacie mi zarrraz za swe zbytki, i to drrrogo, jakem Krrrętacz! Łap ich, Zrzęda! Terrraz nam nie ujdą! Co za parrrszywa niesuborrddynacja?!

Nie ustały jeszcze ryki, gdy rozległ się głośny tupot i pod butami uciekających zaskrzypiały schody. Piski przestachu spletały się z chichotem oraz z zażartym warczeniem i poszczekiwaniami. Ponownie zabrzmiał basowy głos.

- A, drrrranie! Buntów się zachciało? Cała załoga dla rrrrekinów! Dobrrre rrrrybki, dobrre! Zarrraz was nakarrrrmię!

- Ratunku! Ratunku! - wrzeszczał Ethan, wpadając do sa-

łonu i kucając za oparciem sofy, na której siedzieli stryjek Bastian i ciocia Jess.

- Uciekać! Kryć się! - skrzeczał między jednym a drugim atakiem chichotek Frazier, pędząc w stronę Worthów. Dotarłszy do nich, padł na czworaki i wpełzł pod fortepian. Skaczący jak piłka Miś oczywiście za nim.

- Goniom nas, panno Gilbujdulko! - zapiszczała Gracie, wdrapując się z pośpiechem na kolana Olivii. - Ale nas obrońcie, prawda?

- Na rączki! Na rączki! - błagała Helen, bez ceremonii ciągnąc arbitra elegancji za pantalony. - Tak wysoko nie będą mnie szukali!

Zachwycony tym logicznym wywodem Beau bezzwłocznie spełnił jej prośbę.

Z korytarza znów dobiegł tupot biegnących nóg, wrzaski i jęki. Chwiejąc się na nogach i przyciskając ręce do serca, do salonu wtoczył się Christian.

- Już po mnie!... - jęknął i runął do tyłu, prosto w ramiona nieco zaskoczonego, ale chętnego do współpracy lorda Wyndhama.

- Potwory! Nędznicy! - biadolili gardłowy głosik.

- O, dolo nieszczęśliwa! - wtórował mu drugi, zdumiewająco podobny.

Po odgłosach szamotaniny do salonu wkroczyły Amy i Beth, wlokąc Damiana; jedna z sióstr trzymała go za lewy, druga za prawy obcas.

- Zaryglować bramy! - wrzasnął Ethan i spełniając własny rozkaz, pomknął przez pokój do drzwi, zatrzęsnął je z hukiem i wrócił do swej kryjówki za plecami cioci i stryjka.

Gromkiemu kołataniu do zamkniętych drzwi towarzyszył duet męski, wykonujący fałszywie, ale z ogromnym zapałem pieśń piratów: „Nie ma to jak mórz głębiny i rekiny, sukiny! Wreszcie czyjaś noga w ciężkim bucie dała takiego kopa upartym drzwiom, że otwarły się na oścież, i przy akompaniamencie przeraźliwych wrzasków i pisków do salonu wtargnęło dwóch dżentelmenów w stroju raczej niedbałym.

- To kapitan Krętacz i kapitan Zrzęda! - wrzasnęła ile sił w płucach czwórka młodszych Denbighów, podczas gdy ich

starsi bracia skręcali się na dywanie ze śmiechu, a siostry z piskiem i śmiechem chroniły się za plecami Ketteringa i Harcorta. Ci ostatni skamienieli, wpatrując się w osłupieniu w stojących na progu mężczyzn.

- Na nich pomoże tylko zaklęcie! - zapiszczała Helen, w wielkim podnieceniu szarpiąc Brummella za kołnierz i podskakując w jego objęciach. - No, wymyślaj mi jakieś zaklęcie, Bobo! Szybko! Szybko!

-OGNIEM-ZIONIE-SMOK! -wymówił tajemniczym tonem, ale z szerokim uśmiechem Beau.

-OGRYZIONY SOK! -wrzasnęła na całe gardło mała przekręcałka, Helen.

- OGRYZIONY SOK! - zawtórowała jej Gracie, wychylając główkę zza oparcia fotela.

-OGRYZIONY SOK! -wydarli się Ethan i Frazier.

- OGRYZIONY SOK! - nie żałowali płuć Amy, Beth, Chris, Daymee, a za nimi Harry, Geoffrey, April, Kettering i Harcot. Nieliczna garstka pozostałych, zatykając uszy, śmiała się do rozpuku.

- Słowo daję, Stamford, nie mam pojęcia, co się w tym domu dzieje! Ciągłe jakieś awantury! Łykniemy sobie na uspokojenie szklaneczkę ogryzionego soku?

- Wiesz co, Abbercombe? Chyba nie odmówię - odparł przyjaznym tonem hrabia. - Bez obrazy, ale wrzaskliwą masz gromadkę. Oni tak zawsze?

- Skądże znowu! - odparł książę i przestępując obojętnie przez wijące się na dywanie ciała swoich synów, pociągnął za sznur od dzwonka. - Wyłącznie w piątek co trzeciego tygodnia w miesiącach parzystych. Dawson - zwrócił się do majordoma, który zjawił się na wezwanie. - Ogryziony sok dla wszystkich, jeśli łaska.

- Ogryziony... sok, wasza książęca mość?

- Nie inaczej. Tylko piorunem, Dawson. Na jednej nodze!

Robin Fanning, który z uśmiechem na twarzy wślizgnął się do salonu za majordomem, szepnął mu coś do ucha i razem opuścili pokój.

- Nie mam zielonego pojęcia, czym nas uraczą - wyznał

rozbrajająco Abbercombe. - Przypuszczam jednak, że będzie to coś oryginalnego. Andrew, mogę zamienić z tobą kilka słów w cztery oczy?

Kapitan Willburton-Smythe skinął głową. Był zdezorietowany, ale w wyjątkowo miły sposób; czuł się jak na rauszu.

- Ja także, panno Willburton-Smythe, chciałbym porozmawiać z panią przez chwilę na osobności. Czy wyrazi pani zgodę, jeśli dam słowo honoru, że zachowam się w sposób absolutnie poprawny? - Hrabia Stamford popatrzył na Olivię ciepło i życzliwie.

- No, cóż... chyba tak - odrzekła Olivia po namyśle. Ostatecznie, cóż mogło jej grozić w domu pełnym ludzi, których kochała i którym wierzyła? Hrabia podał jej ramię i wyprowadzwszy ją na korytarz, skierował się w stronę biblioteki. Brat Olivii i księżę udali się w odwrotnym kierunku. Wszedłszy do biblioteki, Stamford zadbał, by jego towarzysza usadowiła się wygodnie, sam zaś zaczął krążyć nerwowo po pokoju. Wreszcie ustawił krzesło na wprost fotela Olivii i także usiadł.

- Zawiniłem wobec pani, panno Willburton-Smythe - przemówił cichym głosem. - Po rym wszystkim, czego się dopuściłem, nie mogę liczyć na to, że zechce pani spojrzeć na sprawę z mojego punktu widzenia. Podejrzewam, że nie wierzy pani również w moją skrucę; zapewniam jednak, że jest ona szczerą. Nie tylko uprowadziłem panią i groziłem pani, ale naraziłem panią na niebezpieczeństwo podczas pojedynku z Abbercombe'em. Nie powinna była pani wbiegać pomiędzy nas, drogie dziecko. Mogła pani przypłacić to życiem!

- A zatem... nie zamierzał pan zastrzelić księcia? - Olivia obrzuciła hrabiego podejrzliwym spojrzeniem.

- Ależ, jak najbardziej, droga pani! Zamierzałem go zgładzić, odkąd usłyszałem, że miał czelność wrócić do Londynu! Nie powinienem był jednak wciągać pani w tę sprawę. Żałuję tego szczerze. Przez dwadzieścia dwa lata moja nienawiść do Casha rosła w ukryciu. Rzecz jasna, że to jeszcze nie powód, by panią porwać czy zastraszać... Ale byłem przeświadczony, pani rozumie, że zamordowanie mojego brata uszło



księciu na sucho. Spodziewałem się, że Abbercombe zadyn-  
da na szubienicy... a skończyło się na wstydzie i deportacji.  
A przecież na zesłaniu mógł rozpocząć nowe życie... Z kolei  
gdy wrócił, przyjmowano go w Londynie, jakby nigdy nie!...  
Pani tego nic może zrozumieć. Oby nigdy się pani nie prze-  
konała, jak bolesna i gorzka bywa nienawiść... Kiedy jednak  
zobaczyłem dzieciaki Abbercombe'a i odkryłem, że wszyst-  
kie wiedzą o mojej tragedii i o niegodziwości swojego ojca...  
dotarło do mnie, że nic nie uszło mu na sucho. Pomyśleć tyl-  
ko: wyznał wszystko swoim dzieciom! Jak to go musiało bo-  
leć... Wówczas po raz pierwszy zachwiałem się w swych prze-  
konaniach.

Drżącymi palcami Olivia wygładzała fałdki na spódnicy  
z brzoskwiнового jedwabiu.

- Przypuszczam, że poczucie winy nie opuszczało go ani  
na chwilę, panie hrabio. Mimo że wcale nie był winny.

- Rzeczywiście - mrukliwie przytaknął Stamford. Olivia  
podniosła na niego oczy, niebotycznie zdumiona. - Tylko  
skąd mogłem o tym wiedzieć przed brzemienną w skutki roz-  
mową, jaką odbyłem z panią Coltrain? Znałem ją, gdy nazy-  
wała się jeszcze Wentwonh. Janie Wentwonh. Ładniutka  
z niej była dziewczuszka, zawsze pomagała rodzicom w oberży.

-I to właśnie ją..?

-To właśnie ją Channing zwabił do Seven Dials, ją bru-  
talnie zaatakował. I to ona rąbnęła świecznikiem w potylicę  
mego nieszczęsnego brata. Tak, opowiedziała mi wszystko  
o tamtej nocy i nie tylko o tym... Nie miałem pojęcia, że  
Channing był nałogowcem, nie mógł obyć się bez opium... -  
Hrabia urwał w połowie zdania.

Olivia ujrzała w jego oczach ból. Wyciągnęła rękę i ujęła  
jego dłoń.

- Pańskiemu bratu, milordzie, bardzo zależało na tym, by  
pan nigdy się o jego hańbie nie dowiedział - szepnęła.

- No, właśnie! Miałem żyć w przekonaniu, że Channing  
był świętym męczennikiem, który zginął z ręki tego łotra Ab-  
bercombe'a!

- On czuł się odpowiedzialny...

- Wiem o wszystkim, panno Willburton-Smythe. Porozmawialiśmy wreszcie szczerze z Cashem. Ależ z niego pyszałek i megaloman! Wziął na swe barki całą odpowiedzialność.<sup>TM</sup> Jakby Channing był kompletnym niewiniątkiem, jakby nie miał własnej woli i własnego rozumu! Channing wiedział o działaniu opium znacznie więcej niż Cash! Mój ojciec lubił sobie niekiedy wypalić fajeczkę. Nawet ja zdawałem sobie sprawę z tego, jak groźny jest to nałóg... ale Cash założył z góry, że Channing to uosobienie niewinności! Całe szczęście, że wyskoczył z tymi świętoszkowatymi sentymentami już po pojedynku, bo jak nie odstrzeliłbym mu ucho ku przestrodze, że nie warto robić z siebie męża opatrnościowego! - Stamford pochwycił niespokojne spojrzenie Olivii i uśmiechnął się do niej z leciutką ironią. - Naprawdę mógłbym to zrobić. Jestem najlepszym strzelcem w całej Anglii, choć zatabaczony ze mnie staruch. Ale nie wiedziałem o tym wszystkim, więc zmarnowałem dobrą kulę i zraniłem Boga ducha winne drzewo. Nie usłyszałem jeszcze z pani ust, panno Willburton-Smythe, czy mogę liczyć na wybaczenie moich grzechów?

- Tak, milordzie - odparła cicho Olivia. - Zasługuje pan na wybaczenie.

- Dziękuję z całego serca.

Wrócili oboje do złotego salonu, gdzie było już znacznie ciszej i spokojniej. Wszyscy raczyli się napojem, który na pierwszy rzut oka robił bardzo niemiłe wrażenie.

Księżę i kapitan wcześniej zakończyli swą poufną rozmowę i obaj spojrzeli teraz pytająco na Olivię.

- Wszystko w porządku, siostrzyczko? - spytał Andrew. Wziął ją za rękę i podprowadził do fotela.

-Już, tatusiu? - spytała Gracie teatralnym szeptem.

-Jeszcze nie -zachichotała Bethany i wzięła na ręce siostrzyczkę z jej ulubionym kubeczkim i innymi nieodłącznymi bambetlami; podszedłszy do stryja Sebastiana, zwałała mu na kolana najmłodszą bratanicę z całym wyposażeniem. Potem zwróciła się do Olivii. - Nie ma pani ochoty spróbować... ogryzionego soku?

- O, Boże! - jęknęła Olivia i zaraz potem wybuchnęła śmiechem, gdy Beth napełniła jej filiżankę jakąś podejrzaną cieczą z dzbanka. - Chyba jeszcze nigdy w życiu nie piłam ogryzionego soku. - Podniosła bohatercko filiżankę do ust, skosztowała odrobinę, uśmiechnęła się i już bez obawy pociągnęła następny łyk.

- Fajny, nie? - zagadnął Frazier, który siedział po turecku u stóp hrabiego Wortha. Olivia przytaknęła skinieniem głowy i uśmiechnęła się jeszcze szerzej na widok Misia, który ze swojej filiżanki wylizywał ostatnie krople słodkiej cieczy.

- Ciociu Olivio... - zaczęła April, przysiadając na poręczu jej fotela. - Geoffrey i ja chcemy ci oznajmić pewną nowinę.

- Tak właśnie, łaskawa pani - wymamrotał Hempstead nerwowo, opierając dłonie na ramionach April. - Odbyliśmy poważną rozmowę z panem kapitanem, no i... pozwoliłem sobie prosić o rękę April... a ona zgodziła się zostać moją żoną.

- Dobry Boże! Ileż ważnych spraw zdążyłeś załatwić, braciszku, podczas gdy ja konferowałam z hrabią Stamfordem!... Bardzo się cieszę z twego szczęścia, kochanie. - Olivia uściśnęła bratanicę. - Moje gratulacje, Geoffreju.

- Już, tatusiu? - zagadnęła tym razem Helen, która rozsiała się na kolanach Brummella jak na tronie.

- Jeszcze nie teraz, słoneczko - szepnął Beau, całując ją w czubek główki. - Lady Amy, możemy prosić o dolewkę ogryzionego soku?

Amaryllis ponownie napełniła ich filiżanki.

- Może i pan, panie hrabio, skosztuje najnowszego napitku? - spytała Stamforda, podchodząc z dzbankiem do kanapy i zajmując miejsce obok hrabiego. Gdy skinął głową, napełniła mu filiżankę sokiem, a dzbanek odstawiła na stół.

Po chwili podeszli do nich Christian i Damian. Jeden usiadł obok siostry, drugi obok Stamforda.

- Chcemy panu hrabiemu podziękować za darowanie życia naszemu tatusiowi.

- Tak, jesteśmy panu ogromnie wdzięczni, milordzie. I mamy nadzieję, że nie zabije pan również wicehrabiego Harcorta - dodał z lekką ironią Christian.

David z szerokim uśmiechem podał ramię Bethany i podszedł wraz z nią do Stamforda.

- Pragnę ci powiedzieć, ojcze, że ksiązę Abbercombe wyraził zgodę na moje... wiążące zaloty do lady Bethany, z tym że o zaręczynach nie będzie mowy przed końcem sezonu., i pod warunkiem, że ty również zaaprobujesz ten związek Mam nadzieję, ojcze, że nie jesteś na mnie zły.

Stamford roześmiał się.

- Wiążące zaloty?! Kto wymyślił ten zdumiewający termin?!

- Nasz tatuś! - zachichotała Amaryllis.

Przez chwilę hrabia mierzył wzrokiem Abbercombe'a, potem zwrócił się znów do Bethany.

-Jestem zdumiony, uroczą panienko, że nadal chcesz mieć do czynienia z Harcortem, synem zatwardziałego grzesznika. - Westchnął i dodał: - Nie boisz się, moje dziecko, że twój przyszły teść znów straci rozum?

- Ani trochę, panie hrabio! - uśmiechnęła się Bethany i nachyliła się, by pocałować Stamforda w policzek. - Tatuś obiecał, że nie zrobi już nic takiego, co mogłoby cię milordzie, rozwścieczyć. A poza tym jest jeszcze bardziej ekscentryczny niż pan i niesamowicie uparty, a Davida wcale to nie zraziło - ani do tatka, ani do mnie!

Śmiech Amaryllis zabrzmiał w całym pokoju. Kettering mrugnął do Hempsteada i podszedł do starszej z bliźniaczek

-Ja także otrzymałem od księcia zezwolenie na zaloty-do pani, lady Amy - powiedział miękko - o ile nie masz nic przeciwko temu.

- Co takiego?! Nawet słówkiem nie wspomniał mi pan o swoich zamiarach, panie Kettering! - wykrzyknęła zaskoczona Amaryllis.

- Zdumiewające! - uśmiechnął się Chris. - Daymee, Harry i ja doskonale wiedzieliśmy, co w trawie piszczy!

- Pewnie, że wiedzieliśmy! A ty, Amy, lepiej zgódź się od razu - doradził Damian. - Dobrze wiesz, w jakie wpadlibyśmy tarapaty, gdyby Beth miała konkurenta, a ty nie! Wszystko w tym domu stanęłoby na głowie.

- Ależ oczywiście, że się zgadzam. C?uję się zaszczycona! - pospiesznie zapewniła Amaryllis i spłoneęła rumieńcem.

- A ty, Hartshorn - zagadnął lord Wyndham żartobliwym tonem - nie masz nam nic do zakomunikowania?

- Nie, milordzie - odparł Harry i zaczerwienił się prawie tak mocno jak Amy. - Na moim horyzoncie nie widać, niestety, żadnej młodej damy.

-I Bogu dzięki! - stwierdził Wyndham, kiwając głową. - Jak mógłbyś po odejściu „Łotra” objąć jego stanowisko, gdybyś miał w głowie jakieś tam panienki i konkury?

- Harry został prawdziwym szpiegiem! - piał z zachwytu Ethan, podskakując radośnie na sofie, gdzie siedział między lordem a lady Denbigh.

- Był już maksymalistyczny czas - podsumował Frazier.

Hartshorn spojrział pytająco na Abbercombe'a. Książę wzruszył ramionami.

- Nie musisz przyjmować tej propozycji, Harry, jeśli ci nie odpowiada. Ale robię się coraz starszy i jestem cholernie zmęczony, a obaj z Wyndhamem doszliśmy do wniosku, że ty idealnie nadajesz się na mego następcę. Miałbyś, oczywiście, Hempsteada do pomocy.

- Jestem... zachwycony i zaszczycony - rzekł Harry, a Geoffrey pospieszył uściskać mu rękę. - Choć, prawdę mówiąc, nie wiem, jak sobie poradzę, nie mając ani jednego sprytnego dzieciaka do pomocy! Muszę się nad tym poważnie zastanowić.

- No, cóż... jeśli wszyscy po kolei obwieszczają dziś ważne nowiny - odezwał się lord Sebastian z wesołym błyskiem w oczach. - ...to chyba i ja powinienem oznajmić wam... a przede wszystkim tobie, Jess, że zrezygnowałem z ubiegania się o miejsce w parlamencie.

- To wszystko przeze mnie - mruknął Abbercombe, opierając się plecami o gzyms kominka. - Biedaczysko, połknął haczyk i wędkę!

- Rzeczywiście, wszystkiemu jest winien Cash - przyznał Sebastian, szczerząc zęby w uśmiechu. - Dzięki niemu otrzymałem ciekawszą ofertę.

- O całe niebo lepszą, moim zdaniem - mruknął Brummell, nie odrywając oczu od Helen, która dmuchając jak król wicherów Boreasz, wywołała właśnie burzę w filizance ogryzionego soku.

- Wiesz co, dzieciaku? Na twoim miejscu nie zadzierałbym z Panem Bogiem. Tylko on jest wszechwiedzący. A nikt nie darzy sympatią bezczelnej konkurencji! - rzucił lekkim tonem Abbercombe. - Cóż to za oferta, Bastianku?

- Zaproponowano mi stanowisko osobistego wysłannika księcia regenta w Sankt Petersburgu. Oczywiście wybrano mnie przede wszystkim ze względu na twoją przyjaźń z carem Aleksandrem, Cash. Chciałbym wykorzystać ten atut... nie masz mi chyba tego za złe?

Oczy lady Jessiki były coraz większe.

- Do Rosji...? - spytała. - Naprawdę wybieramy się do Rosji, Sebastianie?

- No, cóż... wyraziłem tylko warunkową zgodę. Na pewno tam nie pojedziemy, jeśli nie odpowiada ci ten pomysł albo jeśli Cash jest temu zdecydowanie przeciwny.

- Sankt Petersburg jest cudowny, ciociu Trzęsinko! - zachwalał Damian.

- A oprócz tego jest jeszcze Mińsk! - dorzucił Chris i zrobił minę, na widok której Ethan i Frazier znów zaczęli chichotać.

- Z największą przyjemnością zarekomenduję was carowi Aleksandrowi. - Książę uśmiechnął się szeroko. - Podejmijcie decyzję i zawiadomcie mnie, dobrze...? A co z tobą, ciociu Margaret? Czyżbyś nie miała nam nic do zakomunikowania?

- Absolutnie nic - odparła hrabina Vale i smutno potrząsnęła głową, choć w jej oczach zamigotały filuterne błyski. - Podstarzałe damy rzadko miewają w zanadrzu sensacyjne nowiny... chyba że kogoś z was zainteresuje, iż postanowiliśmy pobrać się z Wyndhamem.

- Co ja słyszę?! Ty i wujek Sully zdecydowaliście się wreszcie? Po tylu latach! - zdumiał się Abbercombe.

- No, cóż... Musieliśmy znaleźć jakiś temat do rozmowy, kiedy ty balowałeś „Pod różą i koroną”, a my zgodnie z twoim rozkazem mieliśmy oko na dzieciaki - wymamrotał

Wyndham. - I w trakcie konwersacji, nie wiedzieć czemu, wypłynął problem powtórnych związków małżeńskich.

- Ty stary spryciarzu! - wykrzyknął książę. - Poleciłem Harry'emu, żeby uważał na dzieci. Ciebie nigdy o to nie prosiłem.

- Naprawdę? - jęknęła ciocia Margaret. - Och! A Sylvester został na całą noc!

- No, cóż.\_ Tak rzadko bywasz w Londynie, moja droga - starał się ułagodzić hrabinę Wyndham, a oczy błyskały mu wesołością. - ...A ja jeszcze rzadziej zapuszczam się na prowincję, więc postanowiłem wykorzystać okazję, kiedy się nadarzała. Tylko mi się nie próbuj wycofać, bo i tak się nie wywiniesz. Pasujemy do siebie jak ulał!

- Eugenio...? - zachęcił żonę dyskretnym szeptem Worth.

- Naprawdę myślisz, że to wypada, Edwardzie?

- Czego się krępować w domu, gdzie roi się od dzieci, moja droga? A zresztą Cash i Beau już wiedzą. Przypuściłem ich do sekretu.

- Do jakiego sekretu? - zainteresował się Frazier, robiąc mostek i próbując z tej niezwyklej pozycji obserwować młodą hrabinę.

- Że będziemy mieli dzidziusia - odparła nieśmiało Eugenia.

- To cudownie! - zawołały chórem lady Jess, Olivia, April, Amy i Beth, na co panowie zareagowali wybuchem śmiechu.

Kiedy śmiech wreszcie ucichł, Brummell zerknął znacząco na Sebastiana, szepnął coś do uszka Helen, wyjął jej z rąk filiżankę i postawił dziewczynkę na podłodze. Lord Denbigh postąpił identycznie z Crace. Bliźniaczki podbiegły do księcia, każda uczepiła się ojcowskiej ręki, po czym wyciągnęły go na środek pokoju.

-Już, tatusiu! -zakomenderowali jednym głosem Brummell i Sebastian.

- Tak, tatusiu, teraz twoja kolej! - oświadczyły stanowczo Amy i Beth, i stanęły po obu stronach ojca.

Christian i Damian oraz Ethan i Frazier wybiegli również na środek pokoju i po chwili pełnej szeptów, chichotów, trącania się łokciami i przegrupowywania szyków, co przywabiło Misia, zawsze chętnego do atakowania chwaścików przy

męskich butach, cała rodzinka zgromadziła się wokół ojca, a wszystkie twarze rozjaśnione uśmiechem zwróciły się ku Olivii.

- Tatusiu, już! - syknęła cała ósemka.

Olivia zachichotała. Nie miała pojęcia, co ma się wydarzyć, ale nie mogła się oprzeć urokowi wszystkich tych niewiniątek... zwłaszcza że Abbercombe także zarumienił się jak panienka.

- No, tatusiu! - ponaglił go Christian.

- Dobrze już, dobrze... choć całkiem inaczej sobie to wyobrażałem - dukał książe. - To znaczy, pamiętam, co wam obiecałem... ale przyszło mi do głowy, że byłoby lepiej, gdyby panna Willburton-Smythe przeszła się razem ze mną po ogrodzie albo... albo coś w tym rodzaju.

- Ale tu nie ma ogrodu! - pisnęła niecierpliwie Gracie.

- O co tu właściwie chodzi? - zapytała ze śmiechem Olivia.

- No, właśnie: wytłumacz, o co tu chodzi, Abbercombe - poprosił ze śmiechem kapitan. - Bardzo jestem ciekaw, jak sobie z tym poradzisz!

- No, cóż... Widzisz, Olivio, chodzi o to, że my wszyscy, dzieci i ja... Nie, oczywiście ja sam... muszę podjąć wkrótce decyzję dotyczącą Chembesley Hall... mojej posiadłości w... w...

- Yorkshire - podpowiedział usłużnie Sebastian.

- W Yorkshire - powtórzył jak echo Abbercombe. - I w związku z tym... chciałbym... chciałbym zasięgnąć twojej opinii.

Olivia spojrzała na księcia całkiem zbita z tropu.

- Przecież ja nic... O Boże! - zawołała, zasłaniając rękoma policzki, które w jednej chwili oblały się rumieńcem. To niemożliwe, by Cash miał na myśli to, co jej się wydawało!... Mimo to jej oczy spoglądały na księcia z nadzieją. - Miałam wrażenie - szepnęła w osłupieniu - że nie zależy ci na mojej opinii... ponieważ nie jestem panią tego domu...

- Owszem, powiedziałem coś w tym rodzaju - przyznał książe, a w jego oczach pojawiły się filuterne błyski - w przystępie oślego uporu. Teraz pytam cię o zdanie... bo zamierzam zasięgnąć twojej opinii w każdej sprawie.



- Tatusiowi chodzi o to, panno Smyk - wystąpił samorzutnie w roli tłumacza Frazier - czy pani zostanie u nas gosposią!

- Nic podobnego! - zaprotestował gwałtownie Chris i ryknął śmiechem, podobnie jak wszyscy obecni w pokoju.

- Tatuś pyta, czy za nas wyjdiesz! - Zgodny pisk Helen i Gracie przedarł się przez huragan śmiechu. Obie dziewczynki podbiegły do Olivii i wdrapały się jej na kolana. Natychmiast za ich przykładem poszli Ethan i Frazier, którzy w braku wolnych kolan przytulili się z obu stron do fotela.

- Będziesz naszą mamusią? - spytał z nadzieją w głosie Frazier.

- Gracie i Helen nigdy nie miały mamusi - wymamrotał żałośnie Ethan - a my bardzo króciutko...

Olivia poczuła w oczach piekące łzy; widziała wszystko jak przez mgłę. Nie zauważyła, że dorośli wycofali się dyskretnie z salonu. Spostrzegła jednak, że Chris i Daymee odciągnęli Ethana i Frazier a wynieśli ich z pokoju, a Amy i Beth zdjęły jej z kolan swoje małe siostrzyczki. Zostali z Abbercombe'em sam na sam. Książę przyklęknął obok jej fotela; w rękę miał chusteczkę, a w oczach zdumiewającą kombinację chłopięcej wesołości i niepokoju.

- Naprawdę straszna z ciebie plaksa, wiesz? - szepnął, ocierając czule jej policzki. - Moja najdroższa, słodka, cudowna, nieustraszona Olivio! Kocham cię całym sercem! Nie jestem już młody i nie mam wysokiej pozycji w świecie... choć pieniędzmi mógłbym w piecu palić! - Uśmiechnął się blade. Kiedy jednak Olivia odpowiedziała mu uśmiechem, a jej zielone oczy rozbłyły, roześmiał się naprawdę. - No! Już znacznie lepiej! Taka sama z ciebie chichotka jak Frazier! Olivio, serduszek moje, wyjdiesz za mnie? Rozmawiałem już na ten temat z twoim bratem. Wyobraź sobie: nie miał żadnych obiekcji!

- C.co t...takiego?! - Olivia nieoczekiwanie dostała czkawki. - Naprawdę prosisz Andrew o moją rękę?!

- A jakże! I miałem takie głupie wrażenie, że pytam Ethana, czy mogę położyć się trochę później do łóżka! Ale zacy kapitan zachowywał się bardzo uprzejmie i ryczał ze śmiechu najwyżej dwie albo trzy minuty. Wyjdiesz za mnie, Olivio?

Bardzo cię proszę!... Wytrzymaj nos! - dodał całkiem innym tonem i wręczył jej chusteczkę.

Olivia wytarła energicznie nos, uśmiechnęła się i wetknęła sponiewieraną chustkę do kieszeni książęcego surduta.

- Tak... - powiedziała cicho.

Zanim zdążyła dodać choćby słowo, Abbercombe zerwał się z klęczek i wziął ją na ręce. Całował ją najpierw delikatnie, potem coraz zapalczywiej, a w końcu z taką namiętnością, że rozgorzał w niej pożar.

Kiedy wreszcie ich usta się rozłączyły, Olivia poczuła, że ktoś ją ciągnie za suknię. Po chwili dziwne zjawisko znów się powtórzyło. Oczy Abbercombe'a były pełne wesołości.

- Czy przypadkiem ktoś cię nie ciągnie za spódnicę? - spytał.

- Tak, kochany - odpowiedziała szeptem.

- No, cóż... Obawiam się, że będziesz musiała do tego przywyknąć - odparł z szerokim uśmiechem. Odsunął się nieco, ale nie wypuścił Olivii z objęć. Popatrzył w dół. Cztery pary niebieskich oczu spojrzały na niego z nadzieją.

- Zostanie naszą mamą, tatusiu? - spytała Gracie z tęsknotą w głosie.

- Na zawsze i zawsze? - uściśliła z nadzieją Helen.

- Wyjdzie za nas? - spytał Ethan, wstrząsany nerwowym dreszczem.

- Za nas wszystkich? - dodał Frazier, tuląc do siebie Misia.

- Przepraszam, tato! Wyrwali się nam! - wyrzucił z siebie Christian. Zatrzymał się tak nagle, że biegnący za nim Damian uderzył weń od tyłu i obaj wpadli na Frazier i Misia, ci zaś podcięli Ethana, który wywalił się na Gracie i Helen.

Olivia wybuchnęła śmiechem na widok Amy i Beth, pędzących bez tchu, by uporządkować tę stertę chichoczących dzieciaków.

- Bardzo przepraszamy, tatusiu - powiedziała ze śmiechem Amy, wyciągając z kłębowiska Frazier. Połaskotała go i stanowczym ruchem postawiła na nogi. - Te łobuziaki nie chciały czekać ani chwili dłużej!

- Powiedziałaś wszystko, jak trzeba, tatusiu? - spytała Beth, biorąc Gracie na ręce. - Nie zapomniałaś o niczym ważnym?

- Tak! - roześmiała się Olivia. - Powiedział wszystko, co trzeba i jak trzeba, więc zdecydowałam się wyjść za niego. A w podróż poślubną pojedziemy wszyscy do Sankt Petersburga. Co wy na to?

- Co takiego? Podróż poślubna z całą tą bandą?! - zajęczał Abbercombe z talentem godnym największych kreacji słynnego Kimble'a.

- Właśnie tak. Całą bandą! - obwieściła Olivia, a oczy jej skrzyły się wesołością.

Dzieciarnia wyraziła swą aprobatę niesamowitym wrzaskiem, przepychając się i usiłując pocałować i uściskać nową mamę, której książkę nadal nie wypuszczał z objęć.

- Lepszy z ciebie numer, Olivio Willburton-Smythe! - szepnął jej do ucha. - Zapłacisz mi jeszcze za te drańskie sztuczki!